

JULIA HEABERLIN

**DO CZEGO MOŻE SIĘ POSUNĄĆ CZŁOWIEK
OGARNIĘTY OBSESJĄ?**

**PAPIEROWE
DUCHY**

**w
ydawnictwo
ab
two**

JULIA
HEABERLIN

PAPIEROWE DUCHY

Przełożył Jacek Żuławnik



Tytuł oryginału: *Paper Ghosts*
Copyright © 2018 by Julia Heaberlin
All rights reserved

This translation published by arrangement with Ballantine Books, an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Jacek Żuławnik, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Motto

Wcześniej

Teraz

1

2

3

Dzień pierwszy

4

5

6

7

8

Dzień drugi

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

Dzień trzeci

21

22

23

24

Dzień czwarty

25

26

27

28

29

30

31

32

Dzień piąty

33

34

35

Dzień szósty

36

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[Dzień siódmy](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[Dzień ósmy](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

60

61

62

Dzień dziewiąty

63

64

65

66

67

Dzień dziesiąty

68

69

70

71

Epilog

*

Podziękowania

Przypisy

*Steve'owi,
który nigdy nie stracił wiary we mnie i dzieciaki*

Zdjęcie to sekret w sekrecie. Im więcej opowiada, tym mniej się wie.

Diane Arbus (1923–1971), amerykańska fotografka [P. Bosworth, *Diane Arbus. Biografia*,
przeł. E. Mikina]

Wcześniej

Kiedy moja siostra miała dwanaście lat, wpadła do grobu.

Chodziłyśmy same po pustym cmentarzu. Stare kamienie nagrobne sterczały z ziemi pod różnymi kątami. Uschnięta trawa i włosy mojej siostry miały tę samą słomianą barwę. Pamiętam dreszcz przerażenia, trzepot w piersi. I to, jak koniuszki jej palców otarły się o moje, kiedy wyciągnęłam swoją drobną rączkę, żeby pomóc jej się wdrapać. Dół był świeżo wykopany. Czekał.

Stała w dziurze i śmiała się.

Miałam wtedy pięć lat.

Siostra uwielbiała się szwendać po cmentarzu w Weatherford w Teksasie. Pochowano tam Piotrusia Pana, choć na kamieniu nagrobnym stało „Mary Martin Halliday”. A także kogoś o imionach Jimmie Elizabeth oraz kogoś, kto miał na imię Sophronia, tak jak ćma, storczyk i postać z Dickensa. Wiem to od siostry. Zamierzała dać tak na imię swojej pierwszej córce i zwracać się do niej zdrobnieniem Sophri albo Phronia.

Na cmentarzu znajdowały się setki grobów. Miliony kości w ziemi, na której robiłyśmy gwiazdy.

„Śmierć przyszła do niej jak letni sen” – tak było wyryte pisanką na jednym z wiekowych białych kamieni. Nie pamiętam dalszego ciągu epitafium, mimo że siostra odczytywała mi je za każdym razem, kiedy tamtędy przechodziłyśmy.

Pobiegłam prawie kilometr do domu babci, by kogoś sprowadzić.

Siostra wygramoliła się z grobu bez niczyjej pomocy. Nic się jej nie stało.

Kiedy teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że właśnie tamtego dnia padła na nią klątwa. Kiedy miała dziewiętnaście lat, zniknęła. Jakby z nieba spadło lasso i porwało ją do góry.

Wiem, że tamtego dnia zaczęłam się bać.

Teraz



– Kim, do diabła, jesteś?

Stawiam swoją królową o jedno pole bliżej jego króla.

– Przecież wiesz.

Bierze zamach prawą ręką – tą jeszcze w pełni sprawną – i jednym szybkim ruchem strąca figury z szachownicy. Odbijają się od dywanu i ze stukotem wpadają w zakamarki zarośnięte kilkuletnim kurzem. Siedzę z kamienną twarzą. Mam w tym wprawę. Jedyna oprócz nas osoba w pokoju, głucha kobieta, która dzierga na drutach niekończącą się błękitną wstęgę – albo zieloną, albo złotą, albo różową; kolor może być dowolny – nawet się nie wzdrygnie.

Kobieta nie ma drutów. Jej dłonie pracują metodycznie, a u stóp rośnie sterta niewidzialnej robótki, układając się w harmonijkę jak w akordeonie. Jej srebrzyste włoski, które z trudem przebijają się przez skórę głowy, zdobi przekrzywiony ślubny welon. Po tarczy wiszącego nad nią plastikowego zegara wędruje sekundnik.

Za każdym razem, kiedy tu jestem, mam ochotę zerwać zegar ze ściany. Dla ludzi w tym domu czas nie ma znaczenia. Nie czują potrzeby wyprawiać się za zamknięte na trzy zamki drzwi wejściowe ani zastanawiać się, kto lub co pozostawiło trzy długie białe rysy na drewnianej okleinie. Nie mają powodu rozmyślać o ludziach, którzy nigdy cię nie odwiedzają, ani o okropnych rzeczach, które zrobiłeś. Co z tego, że nie pamiętasz, że nigdy nie lubiłeś czerwonych bananów ani śmiechu z puszki w *Kocham Lucy*, a teraz jesz to pierwsze, oglądając to drugie?

Ciekawe, o czym myśli Carl. Może o tym, że chciałby mnie zabić. Mam dwadzieścia cztery lata, jestem w odpowiednim przedziale wiekowym. Biała. Szczupła. Podobno wyglądam jak moja siostra. Różnica polega na tym, że od niej biło światło. Była pełna energii. Odważna. Artystyczna dusza. Ludzie do niej Ignęli. Uwielbiali ją. *Carl* też do niej przyłgnał – i odebrał jej życie.

Może wydaje mu się, że jestem moją siostrą, która powróciła, żeby go nawiedzać.

Jestem dublerką, Carl. Jej skorupą, wypełnioną dynamitem i nastawioną na zemstę. Stremowaną aktorką za kulisami, która lada moment ma wyjść na scenę. Ty i ja będziemy grali razem.

Jestem mu też zupełnie obca, ilekroć tu przychodzę. Chyba że Carl kłamie. Za każdym razem twierdzi, że nie pamięta mojego imienia. Nie odpowiada, kiedy pytam, czemu w czerwcu nosi bożonarodzeniowy krawat z mordką Grincha o chytrym spojrzeniu ani gdzie kupił te swoje ciężkie, wiekowe buty, ani jakie było najładniejsze miejsce, do którego ostatnio go zabrano. Jego buty zawsze kojarzą mi się z imponującymi widokami. Z tym, że stoję pewna i niezachwiana na skraju niebezpiecznego urwiska, a przede mną roztaczają się kilometry piękna.

Moje przypadkowe refleksje na temat butów nie robią na nim żadnego wrażenia, podobnie jak Walt Whitman i John Grisham, których czytam mu przy jedynym słonecznym oknie w całym domu, i jak dowcipy o gadających krowach, które opowiadam mu, kiedy chodzimy na spacer po okolicy. Rzeczy, które robiłaby każda kochająca osoba. Dziś po południu poszliśmy do IHOP. Widziałam, jak polewa naleśniki syropem truskawkowym, po czym precyzyjnie kroi je na równe kawałki. Miałam ochotę zapytać: „Czy syrop przypomina ci krew?”.

Chce, bym myślała, że jego oczy pozwalają wejrzeć w ten mroczny układ słoneczny, w którym ukrywa się w samotności, ale nie dam się zwieść. Ciekawe, co takiego widzi w moich oczach. Coś znajomego?

„Jest piekielnie dobrym aktorem”, można przeczytać w stenogramie z procesu.

W tej chwili, posługując się nieszkodliwą przemocą, przypomina mi, że wciąż jest silny. Istotny. To już wiem. Bacznie mu się przyjrzałam. Rozważyłam ryzyko. Przeszukałam jego pokój, kiedy brał prysznic, i znalazłam kryjówkę w wysłużonej walizce pod łóżkiem. Czerwona gumowa taśma do ćwiczeń, dzięki której mięśnie przedramienia zachowują formę, i pięciokilogramowe hantle. W zapinanej na suwak kieszonce naostrzony scyzoryk, srebrna

zapalniczka z wygrawerowanym „N” i jeden papieros.

Zdjęcie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, starannie umieszczone pod podszewką. Mogło zostać zrobione równie dobrze w 1920 roku, jak i przed dwoma laty. Carl fotograf, którego książka *Podróż w czasie*, pełna surrealistycznych obrazów, była kiedyś bestsellerem, specjalizuje się w tym, co pozaczasowe. Miękkie brzegi papieru, pośrodku biała bruzda. Przecina na dwie części ukazaną na zdjęciu dziewczynę stojącą na tle suchego, rdzawego krajobrazu, na który pewnie nigdy nie spadła kropla wody.

Na jej szyi wisi maleńki srebrny kluczyk. Wiem, że ten sam kluczyk ukryty jest w gąszczu siwiejących włosów na piersi Carla. Zobaczyłam go kiedyś, jak się wysunął zza koszuli i dyndał nad szachownicą. Czy dziewczyna jest jedną z jego ofiar?

Dawni seryjni mordercy, ci, którzy wciąż żyją na wolności, muszą gdzieś doczekać końca swoich dni, to jasne. Często o tym myślę. W którymś momencie zaczynają czuć zmęczenie. Uznają, że pora zająć się różami albo wnukami. Łamią staw biodrowy albo dostają ataku serca. Cierpią na impotencję. Zostają bez pieniędzy. Nie zauważają nadjeżdżającego auta. Przystawiają sobie pistolet do głowy.

Mordercy, którzy publicznie triumfują nad systemem, i niewidzialne potwory, które nie pozwalają się złapać i dryfują wśród nas jak cicha, pulsująca muzyka tła. Piskliwy obój i dudniący bęben. Tylko niektórzy słyszą towarzyszące im dźwięki, pod sam koniec, kiedy jest już za późno.

Odnalezienie człowieka, który według mnie zabił moją siostrę, zajęło mi dużo, bardzo dużo czasu. Lata. Dziesiątki rozmów. Setki podejrzanych. Tysiące dokumentów. Czytałam, nękałam, kradłam. To moja obsesja, a w niej wszystkie chwytaki są dozwolone. Zaczęła się, kiedy miałam dwanaście lat. Wtedy to moja siostra, która w biały dzień – rano – pojechała na rowerze do oddalonej o niecałe pięć kilometrów od naszego domu letniej pracy (opiekowała się dwójką małych słodziaków: Oscarem i Teddym Parkerami), nie dotarła na miejsce.

Trudno uwierzyć, że Oscar i Teddy chodzą już do liceum. Kilka

miesiący temu ich matka odnalazła mój adres i przesłała mi pracę, którą Oscar napisał w ramach egzaminów wstępnych do college'u. Dołączyła liścik, w którym wyraziła nadzieję, że postępuje słusznie, udostępniając mi ten tekst.

Nie byłam przekonana i nie od razu zajrzałam do pracy Oscara. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać, wiedziałam tylko tyle, że traktuje o mojej siostrze. Wetknęłam kartki za ramę lustra w łazience. Nieszczerólnie spodobała mi się myśl, że pracownicy działu rekrutacji college'u mieliby w jakiś sposób krytykować i oceniać jej życie.

Dopiero po miesiącu zebrałam się na odwagę. „Nic już nie było takie samo – napisał Oscar. – Miałem zaledwie pięć lat, ale jej zniknięcie wszystko zmieniło. Nosilem plecionkę niezapominajkę, którą zrobiliśmy razem, aż przetały się nitki i całkiem się rozpadła. Nie mogła się z nią równać żadna opiekunka. Ani, jeśli mam być szczery, żadna dziewczyna. Żadne zapewnienia nie sprawiają, że znów poczuje się bezpieczny, a mimo to myślę o niej zawsze, ilekroć muszę się wykazać odwagą. Ze względu na nią chcę się specjalizować w sądownictwie karnym”.

Często zastanawiam się nad tym, jak głębokie piętno śmierć mojej siostry odcisnęła na rodzinie. *Na mnie*. Nawet moje ciało już nigdy nie było takie samo, tak jakby przeobraziło się na poziomie komórkowym, na zawsze wprawilo się w stan podwyższonej gotowości.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że dwaj mali chłopcy, którzy błagali ją, żeby im poczytała *Harry'ego Pottera*, bo świetnie naśladowała głosy bohaterów, też mogą czuć ból po jej stracie. Kiedy dwadzieścia dwie po dziewiątej rano pani Parker zadzwoniła, żeby zapytać, dlaczego Rachel jeszcze nie przyjechała, wyjmowałam właśnie mąkę, aby upiec ciasteczka z kawałkami czekolady.

Rodzice, oboje księgowi, kwadrans wcześniej wyszli do pracy. Miałam dwanaście lat, a do moich obowiązków należało posprzątanie domu i ugotowanie obiadu. Zwyczajny letni dzień w zwyczajnym domu.

„Czy Rachel jest chora?” – zapytała pani Parker przez telefon. Pamiętam, że nie była zła, tylko zaniepokojona. „Ma gorączkę?”.

Wypadek, pomyślałam odruchowo. Potrącił ją samochód, kiedy jechała rowerem. Leży gdzieś nieprzytomna. Pojemnik wypadł mi z ręki i uderzył o podłogę. Biała mąka na czarnych płytkach.

Minęło wiele tygodni, zanim w końcu ktoś ją sprzątnął. W chaosie, który zapanował, ludzie roznosili ją po całym domu i zostawiali mączne odciski butów. Mijały miesiące, a tu i tam białe drobinki wciąż cicho przesuwają się po podłodze. Miałam wtedy wrażenie, jakby Rachel nadal była z nami, jakby krążyła wśród nas niczym duch.

Teraz nareszcie siedzę z Carlem, wykonuję swój ruch i zastanawiam się po raz ostatni, czy wszystkiego nie odwołać. Nikomu się nie zwierzyłam z mojego planu uprowadzenia Carla z tego miejsca i dotarcia do prawdy.

Nie byłaby to pierwsza obietnica, którą sobie złożyłam, a potem złamałam. Dziewczyna w jego walizce, ta z kluczykiem, który nic nie otwiera, zdawała się błagać mnie wzrokiem, bym odeszła, nie oglądając się za siebie.

Nie chcę myśleć o tym, do czego Carl wciąż jest zdolny, co mógłby zrobić gołymi rękami.

Zamontowany w suficie nawiew huczy i wdmuchuje do pomieszczenia ciepławe powietrze. Welon unosi się, pięści pomarszczony policzek jak pajęczyna.

Przyklękam, żeby pozbierać porozrzucone figury, i znikam pod stolikiem do kart.

– Kim, do diabła, jesteś!? – krzyczy Carl, wali pięścią w blat, który uderza mnie w czubek głowy.

Unosi nogę w ciężkim bucie i celowo stawia ją na mojej dłoni, tak żeby bolało. Bez słowa wyszarpuję palce i otwieram zaciśniętą pięść. Chowam w niej najpośledniejszą z figur: piona. No tak, jasne.

– Jestem twoją córką – kłamię.

To jedyny sposób na to, żeby przyznali mi opiekę nad nim.

A ty? Kim, do diabła, ty jesteś?

Po dziesięciu wizytach wprowadzam plan w życie. Carl co prawda nadal stanowczo twierdzi, że nie jestem jego córką, ale zaczyna sobie przypominać moje imię, a właściwie pseudonim, który mu podałam. Mimochodem rzucam propozycję, żebyśmy się wybrali na jakieś krótkie wakacje.

– Dwa tygodnie – obiecuję. – Dla złapania oddechu. Poznalibyśmy się lepiej. Odpocząłbyś od tego klaustrofobicznego więzienia.

– Pozwolisz mi używać pióra, jeśli się zgodzę? – pyta. – Pani T mi nie pozwala. Mówi, że wbiję je komuś w gardło.

– Miałabym sprzątanina a sprzątania – potwierdza pani T z kuchni.

Jej „podrygujący polski zadek”, jak mawia Carl, zawsze pojawia się po cichu i w odpowiednim momencie.

Ale to właśnie ona rok i miesiąc temu przyjęła Carla pod swój dach. Prowadzi dom przejściowy i jako jedyna zgodziła się wziąć do siebie domniemanego seryjnego mordercę z demencją, na którego gliniarz z Waco natknął się, gdy ten szedł autostradą.

Carl Louis Feldman, słynny fotografik i dokumentalista, od lat podejrzewany o stalking i porwania młodych kobiet, utrzymywał, że nie pamięta, jak się nazywa. Potwierdzono jego tożsamość na podstawie odcisków palców oraz próbki DNA. Lekarze miejscowego szpitala postawili diagnozę, a właściwie wysnuli przypuszczenie o początkach demencji i wypuścili Carla z powrotem w świat.

Ponieważ nawet jeśli „nie ma cienia wątpliwości, że jest posługującym się aparatem fotograficznym i jeżdżącym fordem pikapem obrzydliwym naśladowcą Teda Bundy’ego”, jak kiedyś powiedział prokurator w mowie skierowanej do teksaskich przysięgłych, to i tak stanu to już oficjalnie nie interesuje.

W sprawie zaginionej dziewczyny – jedynej sprawie, w której był sądzony; jedynej, w której znalazła się odrobina obciążającego materiału genetycznego – uznano go za niewinnego. Dwa dni obrad

i decyzja o uwolnieniu od zarzutów. I rzeczywiście się uwolnił – od ludzi. Zadekował się na lata w ciemnym kącie jak pustelnik brunatny, a ja czekałam, niecierpliwie tupiąc nóżką, aż wypełźnie.

Kto by pomyślał, że dojdzie do czegoś takiego. Że będę siedziała na zapadniętej kanapie pomiędzy kobietą, która dzierga wyimaginowane szale, a mordercą mojej siostry. Że będę czuła ciepło ich ciał. Kobieta nie ma dziś welonu na głowie, ale nadal zapamiętałe porusza niewidzialnymi drutami, jakby ktoś ją popędzał.

Pozostali mieszkańcy domu siedzą w kuchni, w pokojach, w łazienkach – z daleka od jazgotu telewizora, który rozpoczyna dzień o szóstej rano. Dobywający się z trzewi odbiornika nieustający piskliwy brzęk prześladowuje mnie jeszcze przez kilka godzin po wyjściu z tego domu.

Carl odrywa wzrok od ekranu. Discovery Channel. (Właśnie się dowiedzieliśmy o istnieniu gatunku tarantuli, który jest w stanie przetrwać dwa lata bez pożywienia). Odwraca się w moją stronę, kolano celowo wbija w moje udo. Wyobrażam sobie, jak przytrzymał nim Rachel. Dobrze dla siedzącej obok mnie kobiety, że jest głucha, i dobrze dla mnie, że jej ostre druty są urojone.

Pani T się schowała. Carl unosi dłoń. Chce mnie dotknąć. Pozwolę mu. Niech robi, co chce. Zniosę wszystko, co będzie trzeba.

Przesuwa szorstkimi opuszkami palców wskazującego i środkowego po moim policzku, a ja wpatruję się nieruchomo w ekran, na którym włochaty pająk toczy pojedynek z jaszczurką.

Carl wodzi palcami po mojej brodzie i uchu. Schodzi ku szyi. Kiedy dociera do zagłębienia na wysokości tchawicy, naciska mocniej, niż to konieczne.

– Bum, bum – mówi. – Bum, bum. Tu masz tętnicę szyjną.

Kiwam głową, przełykając ślinę. Wiem dobrze, czym jest tętnica szyjna. Znam ją z lektury setek raportów lekarzy sądowych. Wiem, że ma trzy warstwy: błonę wewnętrzną, błonę środkową i przydanek. Wiem, że dwie tętnice szyjne odpowiadają za transport łącznie dziewięćdziesięciu procent krwi do mózgu. Programy telewizyjne nie kłamią. Przebicie jednej z nich może doprowadzić do śmierci w ciągu zaledwie kilku minut.

Carl nie odrywa ode mnie dłoni, nawet kiedy rozlega się pukanie do drzwi, a po nim dwa ostre dźwięki dzwonka.

Schylam się po torebkę, zmuszając Carla do cofnięcia ręki. Muszę nabrać tchu i zmazać z twarzy pogardę pomieszana z upokorzeniem, której, mam nadzieję, nie zauważył. Zaczynam grzebać w torebce. Słyszę skrzypienie desek podłogowych, szelest spódnicy pani T, hałaśliwe szczęknięcia zamków.

Kiedy znów prostuję plecy, do pokoju wchodzi gość: ciemnowłosa nastolatka – Lolita. Na delikatnej skórze po wewnętrznej stronie nadgarstka ma wytatuowaną różę. Lolita jest wnuczką jednego z lokatorów pani T. Zjawia się każdej środy. Stara się zapomnieć – i świetnie jej idzie – że jej dziadek podpalił kiedyś dom z sześciorożcem ludzi w środku. Dziś potulny z niego staruszek. Nie poszedł siedzieć tylko dlatego, że w pożarze nikt nie zginął.

Zauważyłam, że w obecności Carla Lolita spuszcza głowę. Dziś też to robi. Jak zwykle ma na sobie chustę w różowe i białe ślimaki. Czasem wiązuje nią włosy, które zbiera w koński ogon, czasem przeplata przez szlufki spodni i nosi jak pasek; dziś zarzuciła ją luźno na szyję. Podśluchałam, jak mówiła pani T, że chusta jest prezentem gwiazdkowym od dziadka. Przynosi ją, licząc, że dzięki niej dziadek przypomni sobie, że Lolita jest jego wnuczką.

Pani T i Lolita nie odzywają się do nas, przechodzą obok, trajkocząc. Podaję Carlowi pióro, które wyjęłam z torebki. Moje ulubione, na atrament sunący gładko po papierze jak niebieski olej.

– Zgodnie z życzeniem – mówię. – To co, wybierzemy się? – dodaję zbyt zachęcającym, wręcz błagalnym tonem. Może to brzmi, jakby prosiła córka. Może to dobrze.

Wsuwa pióro za pas dzinsów, odsłaniając intymny, porośnięty czarnymi włosami skrawek ciała poniżej pępka. Czuję pulsowanie w szyi, jeszcze silniejsze, niż kiedy dotykał mnie tam palcami.

– Ładna dziewczyna, ładny szalik – zauważa rzeczowo. – Wiesz, że jad stożka geograficznego może zabić człowieka? Niektórzy nazywają tego ślimaka papierosowym, bo od momentu ukąszenia do śmierci zdążysz wypalić najwyżej jednego papierosa. – Szturcha mnie w żebra. – Ejże, uśmiechnij się. To podobno lekka przesada. –

Przykłada palce do ust i udaje, że się zaciąga. – Ciekawe, czy Lolita pali.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam zdjęcie Carla, przeszedł mnie gwałtowny dreszcz. Jego sylwetka była częściowo skryta w półcieniu, a portret raczej pretensjonalny. Miałam poczucie, że skądś znam tego człowieka. Nadal tak jest. Gdy się skupiam, przypomina to przeczesywanie pamięci w poszukiwaniu nazwiska drugoplanowej postaci z książki, którą czytałam lata temu, albo próbę dostania się do magazynu pamięci genetycznej. A jednak właśnie dlatego śmiem twierdzić, że Carl to *ten* człowiek.

Mam za sobą dwie kolejne wizyty w domu pani T, ale Carl nadal nie zgadza się na wyjazd ze mną. Wciąż o nim myślę, nie mogę się od niego uwolnić. Budzi mnie w nocy. Kiedy leżę sama w łóżku, czuję na sobie jego palce, przesuwają się po moim ciele, szukają miejsc, w których wyczuwa się tętno.

Gotuje się we mnie złość; to ten sam uporczywy impuls, który czułam, jadąc tutaj. Siedzimy, odchyleni do tyłu, na podniszczonych krzesłach ogrodowych na błotnistym podwórzu za domem pani T. W rogu działki znajduje się nierówny skrawek ogródka, w którym – o czym z przejęciem informuje mnie Carl – są zakopane trzy koty i jedna wiewiórka. Solidny trzymetrowy płot oplatają rosnące bez opamiętania wiciokrzewy i pnącza, tworząc gęstą zasłonę.

– Nie wiem, co miałyby mi dać te tak zwane wakacje – marudzi Carl. – Może jesteś wariatką? W rodzinie lwów za dziewięć na dziesięć polowań odpowiada samica. Dowiedziałem się wczoraj z filmu na NatGeo. Muszę przyznać, że pani T nie oszczędza na kablówce. – Z kubka Big Gulp pociąga przez słomkę mieszanekę, którą przyrządziłam mu na jego życzenie: jedna trzecia sprite’a, jedna trzecia cherry coke, jedna trzecia dr. peppera.

Pod wpływem chwili postanawiam zmienić scenariusz.

– Muszę wiedzieć – odzywam się przyciszonym głosem, tak by moje słowa nie przeniknęły przez opuszczone żaluzje.

Carl spokojnie wyjmuje z kieszeni żółtą kartkę i zaczyna ją rozkładać.

– Chcę usłyszeć, jak to mówisz. Muszę wiedzieć, czy jesteś mordercą. Jako twoja córka mam prawo wiedzieć, jaka krew płynie w moich żyłach. Jesteś mi to winien. – Wszystko oprócz wzmianki o córce i krwi w żyłach jest prawdą.

– I co, tak trudno było? Teraz przynajmniej wiadomo, że nie chodzi ci o odtworzenie więzi ani o to, żebym pooddychał świeżym powietrzem. Gdybyś naprawdę była moją córką, od tego byś zaczęła. Powiedziałaabyś, jak bardzo nie chcesz, żeby twoje dzieci wyrosły na morderców. Płakałabyś rzewnymi łzami. I czym prędzej opuściłabyś to miejsce. Tak by postąpiła normalna dziewczyna.

Otwieram usta, by zaprotestować, ale rezygnuję. Nie chcę mu przerywać. Carl ma rację. Nie jestem normalną dziewczyną. Jego umysł jest dziś wyjątkowo klarowny.

– Powinnaś wiedzieć, że to jest jak sprawdzian z szaleństwa – ciągnie. – Nie pamiętam. Co jakiś czas zagląda glina i upewnia się, że nic się nie zmieniło. Myśli, że wciskam kit. Skoro nawet on nie zdołał wejść do mojej głowy, to myślisz, że tobie się uda?

Jaki glina? Znam go? Przez chwilę czuję palce innego mężczyzny.

– Mam pomysł na to, jak sprawić, żebyś sobie przypomniał – próbuję go przekonać. – Znam miejsca, mam zdjęcia. Nie chcesz wiedzieć?

– Czemu miałbym chcieć? Jednak muszę przyznać, że jesteś ładniejsza od tamtego gliniarza. Lwica na polowaniu.

Kładzie pomietą kartkę na poręczy krzesła i rozprostowuje ją. Z tej odległości nie mogę odczytać słów, widzę jedynie, że Carl skorzystał z niebieskiego pióra ode mnie. Potem podnosi kartkę do oczu jak pilne dziecko. Żółty prostokąt lekko drży, mimo że powietrze jest gorące i nieruchome.

Kiedy zaczyna czytać, uświadamiam sobie, że od samego początku zamierzał ze mną wyjechać.

Wymienia warunki, wszystko, czego oczekuje w zamian za swoją zgodę.

Codziennie mrożonej słodkiej herbaty, takiej, jaką robiła jego

babka nieboszczka.

Książek.

Łopaty.

Lista jest dosyć długa. Mniej więcej w połowie przestaję słuchać i zaczynam się zastanawiać nad następnym krokiem: jak pochlebstwami nakłonić panią T do wydania mi Carla? W rozmowie z nią zdążyłam napomknąć, że w moim akcie urodzenia w rubryce „imię i nazwisko ojca” widnieje „nieznany” i że znalazłam tatę dzięki dopasowaniu DNA. Mam nadzieję, że nie będzie chciała ponownie obejrzeć papierów.

Skończywszy czytać, Carl oznajmia wspaniałomyślnie:

– Nie musisz załatwiać tego wszystkiego przed wyjazdem.

Starannie składa kartkę i wsuwa ją do kieszeni.

– Dziwna z ciebie sikorka. Z naciskiem na „dziwna”. Ciekawe, czemu się nie boisz, że ciebie też zabiję.

*

Warunki

Aparat fotograficzny

Salsa z papryczki naga jolokia

Mrożona słodka herbata (codziennie)

Dairy Queen

Whataburger

Ruby Red

Nowe cążki

1015

Szarpana wieprzowina

Baby Head

Muleshoe

Światła z Marfy

Poduszka z pierza

Polędwica wołowa po wiejsku

Wódka Tito's

Skrzynka shinera

Buty turystyczne

Lina

Łopata

Dallas '63 (Stephen King)*

*Na południe od Brazos**

*Ulisses**

Meksykański dr pepper z prawdziwym cukrem

Zegarek wodoszczelny (do 300 metrów)

Latarka

WD-40

„New York Times”

Mocna folia spożywcza

Biblia

* Koniecznie w twardej oprawie!!!

Dzień pierwszy



Mój notes przetrwania, 8 lat

Jak być dzielną jak moja siostra

- 1. Założyć notes.*
- 2. Zbierać informacje o strachach.*
- 3. Badać strachy.*
- 4. Wymykać się nocą przez okno tak jak ona.*
- 5. Nie bać się.*

Jestem nieprzytomna z nadziei. Wreszcie! Carl się pakuje na wyjazd ze mną. Składa T-shirty w idealną kostkę. Zwija skarpetki w kulki i umieszcza w plastikowej torebce. „Osobowość anankastyczna typu borderline”, napisało o nim dwoje psychiatrów. Carl dorzuca dresy i dwie pary spodni od piżam.

Z komody w błękitnym wąskim pokoju wystają puste szuflady. Szafa jest szkieletem z ogołoconych wieszaków. Carl zabiera wszystkie ubrania, z którymi przyszedł do domu ostatniej szansy. Jest ich tak mało, że nawet nie wypełniają walizki.

Co się stało z jego rzeczami? Po procesie – po oczyszczeniu Carla z zarzutów – kiedy sprzedał dom i zniknął na kilka lat, krążyły pogłoski, że zaszył się w jakiejś kryjówce, być może w chacie w lesie. Sugestia pojawiła się między wierszami w pewnym artykule w ilustrowanym magazynie. Artykuł nosił tytuł *Ciemnia*, moim zdaniem wyjątkowo trafny, skoro mowa o fotografiku dokumentaliście podejrzewanym o mordercze skłonności.

Pani T stoi razem ze mną w drzwiach, przygląda się, założywszy ręce na piersi, jest jak pełen dezaprobaty sierżant w spłowiałym fartuchu. Przekonanie jej zajęło mi tydzień. Długo się targowała, aż w końcu zgodziła się na dziesięć zamiast czternastu dni.

– Nie zmieniała pani zdania? – odzywa się, wyrrywając mnie z zamyślenia.

Woli, żeby zwracać się do niej per pani T, bo męczy ją słuchanie, jak ludzie kaleczą jej najeżone spółgłoskami polskie nazwisko.

Co najmniej raz pochwaliła się swoją odwagą w tym, że udziela schronienia wyrzutkom i kryminalistom, „jak nakazuje Chrystus”. Pogardzałam nią, dopóki dwa tygodnie temu przypadkiem nie zobaczyłam, jak w swojej sypialni obejmuje kobietę z welonem i pociesza ją słowami: „Zobaczysz, że wróci z wojny akurat na wasz ślub”.

– Tak. Damy sobie radę – odpowiadam.

– Dziesięć dni to dłużej, niż się pani wydaje. Wiem coś o tym. *Konieczn*ie musi pani pamiętać o jego lekach. W niektóre dni ma to swoje drżenie, w inne czuje się dobrze. – Wskazuje zapakowany do torebki strunowej zestaw, który mi wręczyła. – Będzie kłamał. I zapominał. Niedobrze, kiedy zapomina. Zresztą sama pani widziała w zeszłym tygodniu. Niech mi pani przypomni, ile pani ma lat. Nie wygląda pani na tyle, żeby mogła być jego córką. Trochę za młoda. Dziewiętnaście? Dwadzieścia? Nie wychodzi, jak się policzy.

No to mnie powstrzymaj, myślę. Chyba ktoś powinien to zrobić.

– Ale niech będzie, że pani zaufam, bo czuję, że ma pani dobre serce. Tylko proszę nie zapomnieć o naszej umowie. Odpuszczam pani papierki. Nie chcę, żeby się do mnie przyczepiła ta sztywniara z urzędu, która przychodzi na comiesięczne liczenie, i zmniejszyła mi finansowanie za te dni, kiedy Carl będzie pod pani opieką. Już i tak za mało dostaję. Im się wydaje, że skoro dom jest *przejściowy*, to mogą *przejs*ć do porządku dziennego nad moimi potrzebami. – Podoba jej się ten tekst. Uśmiecha się znacząco za każdym razem, gdy go wypowiada. – Nie zdają sobie sprawy, że zajmowanie się sześciorgiem półwariatów to jak zajmowanie się dwunastką normalnych. W połowie nadal są tymi samymi cwaniaczkami, które tylko kombinują, jak się wymknąć na pączki i tequilę. Druga połowa buja Bóg wie gdzie. Czasem sporo się dzieje pod naszym dachem. Dobrze mówię, panie Feldman?

Milczę, bo słyszałam to już kilka razy. Carl zwija gwiazdkowy krawat i umieszcza go w walizce obok bielizny. Dobrze, że nie zechciał go założyć. Lepiej, żebyśmy nie zwracali na siebie uwagi.

Godzinę temu, kiedy Carl myślał, że jestem zajęta rozmową z gospodynią, widziałam przez okno w kuchni, jak idzie do zaniedbanego ogrodu na tyłach i zakopuje hantle. Nie wiem, co się stało z jego pozostałymi skarbami. Później się tym zajmę.

Nóż, który przeciąłby skórę jak papier i uwolnił truskawkowy syrop. Długa czerwona gumowa taśma do ćwiczeń, którą można udusić. Zapalniczka z wygrawerowanym „N” – nadal działa; wpatrywałam się przez chwilę w jej płomień, zanim ją odłożyłam.

Zdjęcie dziewczyny na pustyni, od którego zasycha mi w ustach.

– Nie wiem, co pani chce robić na tej ojcowsko-córczanej wycieczce – odzywa się pani T – ale proszę się nie spodziewać cudu w kwestii miłości rodzinnej.

– Czy zdarzały mu się wybuchy agresji, od kiedy tu zamieszkał?

Carl stoi jakieś dwa metry ode mnie. Chcę, żeby mnie słyszał. Słowo „agresja” nie pojawia się w żadnym z raportów pani T, a przynajmniej w żadnym z tych, które mi pokazała.

Wyciąga mnie na korytarz.

– Mówiła pani, że wszystko o nim wie. – Widzę, jak napinają się mięśnie jej twarzy. – Proszę posłuchać. Mój siostrzeniec chce mi zapłacić za wynajęcie tego pokoju na pozostałą część miesiąca.

To rozwiewa moje obawy co do policjanta, o którym wspomniała pani T i który – o ile w ogóle istnieje – mógłby zechcieć sprawdzić, jak Carl się sprawuje. Pani T we własnym interesie będzie się starała do tego nie dopuścić.

Gospodyni kombinuje. Boi się, że się wycofam. Powęszyłam. Na co idą pieniądze, pani T? Bo z pewnością nie na używane meble ani na zawartość spiżarni, w której królują wieprzowina, fasola i najtańsze masło orzechowe, i nie na dwie łazienki z korodującymi uchwytami dla niepełnosprawnych i poprzyklejanymi do ścian stronami wyciętymi z „Reader’s Digest”.

Jedynymi solidnymi, lśniącoymi przedmiotami są zamki w drzwiach i szafki na leki. Telewizor jest wprawdzie stosunkowo nowy, ale za to pośledniej marki, a ponieważ działa czternaście godzin na dobę, już zaczyna nieustającym buczeniem sygnalizować swój rychły koniec. Najchętniej bym na nią doniosła, ale mogłoby się to na mnie zemścić. Wolę delikatnie wślizgnąć się do jej życia, a potem z niego usunąć.

Gdzie by się podziała kobieta w welonie? Kto by ją przytulał?

– Zabiorę go – uspokajam ją. – Chciałam się tylko dowiedzieć, czy podczas pobytu tutaj zaatakował kogoś.

– Zależy, co pani ma na myśli. Nie spodziewam się wiele po tych tutaj. I nie wszystko trafia do raportów. Carla z reguły nikt nie zaczepia. Mieszkańcy czują, że lepiej z nim nie zadzierać. Nie podobają im się jego dziwni przyjaciele. – Rechocze.

Znów mnie zaskakuje. Ani ona, ani Carl nie wspominali o odwiedzinach przyjaciół. Czy ktoś za nim zatęskni? Nie pora się nad tym zastanawiać.

Carl wyjmuje coś lśniącego i metalowego spod poduszki. Przedmiot znika w walizce.

Zamyka ją i oznajmia:

– Gotowy.

Jest ubrany w dzinsy, niebieską roboczą koszulę, którą wpuścił w spodnie, poprzecierany skórzany pasek i ciężkie buty, którymi można zmiażdżyć palce. To jego najlepsze ciuchy – wiem, bo postarałam się jak najdokładniej przeszukać jego pokój. Wysilek, jaki wkłada w to, by korzystnie wypaść przed ludźmi, niepokoi mnie i jednocześnie robi na mnie wrażenie.

Nie ukrywa swojej radości w związku z wycieczką.

Przygotowałam się najlepiej, jak umiałam.

– Proszę go przyprowadzić ostatniego dnia miesiąca, z samego rana – powtarza pani T, po czym zwraca się bezpośrednio do Carla: – Panie Feldman, niech pan sobie nie roi o wolności. To będzie pana pierwszy i ostatni urlop od pensjonatu pani T.

Odprowadza nas do drzwi, gdzie czeka wąż złożony z byłych kryminalistów: dwóch mężczyzn i trzech kobiet. Jeden welon ślubny, jedna czapeczka Chicago Cubs, para różowych puszystych papuci, jedna naga pierś, jedna hawajska koszula w palmy. Dwie morderczynie, jedna podpalaczka, jeden pedofil, jeden gwałciiciel. Wszyscy ze zdiagnozowaną demencją, a w przeszłości skłonnością do gwałtownych zachowań. Poczytałam w internecie o ich sprawach, rozmawiałam z pracownikami opieki społecznej, plotkowałam do późna z podchmieloną panią T.

Najsympatyczniejsze są Różowe Papucie. Staruszka zastrzeliła swojego zięcia, który pięć dni wcześniej brutalnie zgwałcił jej córkę. Kiedy wychodziła z więzienia w wieku siedemdziesięciu czterech lat, córka już nie żyła – nie miał kto odstrzelić kolejnego sadysty, za którego wyszła.

Pani T pochyła się do mnie, tak że czuję muśnięcie jej oddechu za uchem.

– Zażyczy sobie aparatu fotograficznego. Chyba nie muszę pani mówić, że spełnienie tej zachcianki byłoby bardzo złym pomysłem. W razie czego proszę nie zapomnieć o buteleczce z czerwonym znaczkiem na nakrętce. Pozdrówcie ode mnie Florydę. – Zdecydowanym ruchem zamyka za nami drzwi. Stało się.

Bezkresne morze. Sól w ustach, na skórze. Miejsce, w którym czas się nie liczy.

Tyle że wcale tam nie jedziemy, o czym Carl doskonale wie.

Idzie piętnaście metrów przede mną, gwizdże z uznaniem na widok zaparkowanego przy chodniku czarnego buicka. Nie wspominam o tym, że auto jest wypożyczone i że się go pozbędziemy. Nie pozostawię po sobie żadnego śladu, po którym mógłby mnie odnaleźć. Kiedy będzie po wszystkim, stanę się jedną z miliona nieuchwytnych drobin w jego umyśle.

Otwieram bagażnik i chcę wziąć od Carla walizkę. On mnie ignoruje, podnosi ją bez wysiłku i wrzuca do środka. Zatrzaskuje klapę. Ot tak. Wiem, że jest silny. Wydaje się wyższy i masywniejszy niż w domu. W formularzu przyjęcia pani T wpisała, że ma metr osiemdziesiąt. W starej kartotece policyjnej znalazłam informację, że metr dziewięćdziesiąt. W obu dokumentach widnieje identyczna data urodzenia – w przyszły czwartek Carl kończy sześćdziesiąt dwa lata.

Otwiera tylne drzwi i zanim wsiądzie, zerka na piętrowy wiktoriański budynek z łuszczącą się szarą elewacją. Więzienie pani T. Sąsiadujące z nim domy wyglądają jak porzucone szkielety, jak ogryzione do czysta kosteczki.

W jednym z okien na piętrze poruszają się listki żaluzji.

Carl zawiadacko salutuje dwoma palcami.

„Rozległy paraliż lewej kończyny górnej”. Liczyłam na prawdziwość tej opinii, brzmiącej tak pewnie i oficjalnie w jednym z raportów. Tyle że Carl właśnie bez najmniejszego trudu zsalutował lewą ręką. Do tej pory w mojej obecności używał wyłącznie prawej. Otworzył nią drzwi samochodu.

Podchodzę, zatrzaskuje je i otwieram drugie, z przodu.

– Nie z tyłu. Siadasz z przodu. – „Tato”. Niewiele brakowało, a powiedziałabym: „Siadasz z przodu, tato”.

– Chciałem być uprzejmy – wyjaśnia.

Zajmuje miejsce dla pasażera. Opuszcza szybę. Uśmiecha się do siebie, widząc, jak cicho sunie szkło. Podnosi. Opuszcza. Smakuje wolność.

Wyjmuje znajomą żółtą kartkę i kładzie ją na desce rozdzielczej.

– Moje warunki. Żebyś nie zapomniała.

– Nie zapomnę.

Ruszam. Poświęciłam pół życia, żeby się przygotować na Carla. Nagle zaczynam się bać, że dziesięć dni może nie wystarczyć.

Rachel okłamywała matkę.

– Przecież mówiłam, że *zostaniemy w domu*. – Każde słowo podszyte wściekłością.

Siostra miała szlaban z mojego powodu, rodzice zabronili jej pójść na imprezę urodzinową z nocowaniem i kazali zająć się mną, a sami pojechali na ślub przyjaciółki, podwójnej rozwódki.

W prognozie pogody mówili, że może nadejść burza.

Kiedy rodzice wychodzili z domu, niebo było jasne i bezchmurne.

Rachel włożyła swoje najbardziej wysłużone najki. Od razu wiedziałam, dokąd się wybieramy: nad przepust pobliskiego strumienia, w którym lubiła brodzić. Aby dostać się do wylotu ciemnego tunelu, którym płynęły i w którym często utykały różne skarby (stara butelka, srebrny pierścionek, raz nawet przemoczona portmonetka z pięćdziesięcioma banknotami dwudolarowymi), trzeba było przejść po czternastu wystających z wody kamieniach.

Byłyśmy w połowie drogi po pochyłości prowadzącej do sieczonego deszczem strumienia, kiedy z Rachel uszła złość.

– To błąd. Zawracamy.

Nagle usłyszałyśmy krzyk. Za chwilę kolejny. Przez ścianę deszczu zobaczyłam małego chłopca stojącego u wylotu spienionego przepustu, jakieś sto metrów dalej, i machającego rękami. Woda w sztucznym zagłębieniu, którego dno pokrywała zazwyczaj najwyżej pięciocentymetrowa warstwa błota, sięgała mu do połowy łydek. Chłopiec był chyba zbyt wystraszony, żeby samemu wyjść na brzeg.

Rachel złapała mnie mocno za ramię. Nikt tak jak ona nie potrafił wyczuć mojego strachu.

– Zaczekaj tu. Nie ruszaj się stąd, rozumiesz? Nigdy, przenigdy nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Dotarła do strumienia, zanim zdążyłam poprosić błagalnym tonem, żeby tego nie robiła. Stałam nieruchomo. Nie mogłam oderwać oczu

od Rachel, która zaczęła skakać po kamieniach jak baletnica w niebezpiecznym tańcu. Tyle że kamieni nie było widać, zasłoniła je wezbrana woda; Rachel skakała na pamięć.

Wyprowadzenie chłopca z przepustu musiało jej zająć nie więcej niż kilka minut, ale miałam wrażenie, że trwało całą wieczność. W pewnym momencie noga małego ześlizgnęła się z kamienia, więc resztę drogi pokonali w bród; woda sięgała biedakowi po szyję.

Przemoczeni i milczący wspieliśmy się we trójkę na wał. Rachel szła między nami, trzymając nas za ręce. Odprowadziłyśmy chłopca do domu – mieszkał dwie przecznice od strumienia – nie zastanawiając się, jak wytłumaczy się rodzicom. Uściskał Rachel na pożegnanie. Nie pamiętam, żebym go jeszcze kiedyś spotkała.

Wydarzenia tamtego wieczoru pozostały moją i Rachel tajemnicą. Wróciłyśmy na długo przed powrotem rodziców. Rachel od razu kazała mi się wykapać, zrobiła kakao, ubrała mnie w jeden ze swoich T-shirtów i położyła do łóżka.

– Śpisz? – szepnęłam po jakimś czasie w ciemność.

– Nie – odparła z sąsiedniego łóżka zaspanym głosem. – O co chodzi?

– Myślałam, że umrzesz. Nie umieraj, dobrze? – Z gardła wyrwał mi się lepki szloch.

Rachel wsunęła się pod moją kołdrę i objęła mnie. Do dziś, gdy zwijam się w nocy w kłębek, czuję na plecach dotyk jej ciała.

Być może każde dziecko przeżyło taką historię, w której niewiele brakowało, żeby wydarzyło się coś strasznego. Być może nurt strumienia wcale nie był aż tak silny, odległości pomiędzy kamieniami aż tak duże, a niebezpieczeństwo grożące Rachel aż tak wielkie.

Wiem tylko, że tamtego wieczoru widziałam, jak Rachel chodzi po wodzie.

Starannie ułożyłam zdjęcia po pięć w rzędzie na blacie biurka w pokoju motelowym. Szeroko otwarte oczy i zamknięte oczy. Dziecięce palce u nóg i pożółkłe zęby. Odcięte głowy i płatanina nóg w biegu. Niektóre to jedynie wypełniacze, mają służyć odsianiu kłamstw Carla. Inne są niemymi świadkami, a przemówią wyłącznie do niego.

Pierwszy sprawdzian. Carl wierci się na fotelu. Po dwóch godzinach jazdy nie może się doczekać, kiedy będzie miał to z głowy i będzie mógł pooglądać telewizję bez targowania się ze współlokatorami o to, który program włączyć.

Zdjęć jest dwadzieścia. Żadnych artystycznych fotografii, same zwyczajne fotki z małpek. W żółtozielonym plastikowym pojemniku na żywność w bagażniku wynajętego auta mam jeszcze co najmniej pięćdziesiąt takich.

Rodzinne pikniki i przyjęcia urodzinowe, świąteczne obiady i zabawy w szukanie wielkanocnych jaj, rozdania dyplomów i śluby. Tam, gdzie obiektyw widzi radosne uśmiechy, ja wyobrażam sobie wijące się pod powierzchnią robaki. Okrutni tatusiowie, zdradzające panny młode, zgniłe jajka, głupie prezenty.

– To ja. – Prawda.

Wskazuję dorastającą dziewczynę, która upaja się kukurydzianą wonią dwóch szczeniactków. Tata pozwolił mnie i Rachel zabrać je ze schroniska. Jednego nazwałam Krakers, bo miał ciasteczkową sierść, na co moja siostra z miejsca nadała drugiemu imię Sos.

Brak reakcji ze strony Carla. Odsuwam firmowy notatnik opatrzony mottem: „Dollar Inn w Waco. Na chwilę i na dłużej”, i rozsuwam szerzej fotografię.

– To ty w college’u. – Stukam palcem w obrazek przedstawiający pięciu chłopaków w koszulkach Kappa Alpha wznoszących toast puszkami bud lighta. – Pierwszy z prawej. – Wpatruje się obojętnie

w oblicze na zdjęciu. Kłamię. Nie mam pojęcia, kim są ci studenci.

Sięgam po sąsiednią fotografię.

– A to wujek Jim z ciocią Louisa przed ich domem. – Prawda. Ktoś napisał ołówkiem na odwrocie: „Wujek Jim i ciocia Louisa”.

– Gówniana chałupa – stwierdza. – Nie żyją? Na pewno chcieli umrzeć.

Jest po dwudziestej pierwszej. Wybrałam sobie bardzo niekorzystną porę na wprowadzenie w życie planu, zwłaszcza jeśli Carl „zacznie okazywać niepokój po zachodzie słońca”, jak nazywają rzecz podręczniki. Jest w tym określeniu coś, co we mnie samej budzi nerwowość. Demencja to przecież nie piękne wieczorne niebo, tylko ocean mgły, niekończący się bieg po plaży o północy, odgłos kroków prześladowcy na piasku. Biegnij dalej albo rzuć się w czarne fale. „Zacznie się zachowywać jak bohaterowie Stephena Kinga” – tak należałoby to ująć.

Chcę go przycisnąć jeszcze dziś, nie mogę się powstrzymać. Od pani T wyjechaliśmy dopiero o szóstej, straciłam prawie cały dzień. Przez półtorej godziny jazdy z domu przejściowego w Fort Worth na przedmieścia Waco Carl drzemał albo tylko udawał, że drzemie. Prawie w milczeniu pochłonął obiad w Dairy Queen, zdawkowo poskarżywszy się na to, że mrożona słodka herbata smakuje jak woda ze strumienia zaprawiona syropem do naleśników.

Wiem jednak, że w rzeczywistości uwielbia Dairy Queen. Numer cztery na liście jego warunków. Przyłapałam go, jak gapił się na mnie, kiedy został w boksie, a ja podeszłam do lady złożyć zamówienie u zabiedzonej nastolatki. To nie było łagodne spojrzenie. Chłodne, zapamiętujące. Mierzył mnie wzrokiem, obmyślał własny plan.

Zaczyna układać zdjęcia jedno na drugim.

– Nora, nie motel.

– Nie ty za nią płacisz – warczę.

W podręcznikach stoi: „Nie warczę”.

Kiedy przed dwoma dniami wybrałam cztery tysiące dolarów z konta, wydawało mi się, że to majątek. Dwa tysiące w zwitkach poupychałam w zapasowym kole w bagażniku. Pięćset umieściłam pod bielizną w jednej z siatkowych kieszeni mojej nowej walizki na

zamek szyfrowy. Resztę trzymam w portfelu obok kart kredytowych na moje prawdziwe nazwisko, których nie będę używała podczas tej wyprawy, chyba że w ostateczności.

Zaczynam się martwić. I liczyć. Dwanaście sześćdziesiąt dwa za hamburgery, frytki i mrożoną herbatę w Dairy Queen. Sto dolarów i dwadzieścia dziewięć centów za dwa skromne pokoje z beżową fugą przy wannie w łazience i szorstkimi poliestrowymi kapami w rdzawoczerwone pasy. Trzydzieści osiem sześćdziesiąt sześć za tankowanie, bo przed podróżą ustaliłam sobie pewne zasady, w tym tę, aby wskaźnik zawsze pokazywał co najmniej pół baku paliwa.

Kolejne trzy tysiące z konta wydałam na krótki wypad do Houston przed paroma dniami. Dałam te pieniądze uczniowi prywatnego liceum, z którym spotkałam się na tyłach hinduskiej restauracji w Rice Village. Kiedy go zobaczyłam, skojarzył mi się z prymusem szkoły handlowej albo może z chłopakiem, który za pieniądze oddaje się do dyspozycji gangowi azjatyckich uczennic szkoły pielęgniarstwa.

Poznałam go w dark webie, gdzie karakony z całego świata prowadzą niewykrywalne sieciowe interesy. Raptem trzy minuty zajęło mi ściągnięcie wyszukiwarki, ta zaś pozwoliła na nieskrępowane szperanie w szarej strefie ramię w ramię z terrorystami, handlarzami bronią, libertarianami i młodymi przedsiębiorcami.

Mniej więcej rok temu fryzjerka Tiffany – która miała „pewien drobny problem z chłopakiem i kartą Discover” – opowiedziała mi o nielegalnej stronie, z której zamierzała skorzystać, żeby wymyślić siebie na nowo jako Lola albo Francesca. Akurat robiła mi kruczoczną płukanę, słuchałam jednym uchem i zastanawiałam się, czy „drobny” odnosi się do penisa wspomnianego chłopaka.

Nigdy więcej nie poszłam do tamtego salonu, ale zapamiętałam i zapisałam sobie hasło „Pamperzzz” do wpisania na stronie mommyhelper.com. Lubię wszystko starannie zaplanować, ale tym razem poszłam na żywioł. Posłuchałam rady Tiffany.

Nie wiedziałam, z kim się kontaktuję. Sądząc po hasle, równie dobrze mógł to być ktoś z szajki porywaczy dzieci, jak i koleś z fetyszem pieluch albo gliniarz szykujący prowokację. Skąd mogłam

mieć pewność, że *wszystkie* sygnały w dark webie odbijają się od szarej sieci jak koniki polne na kokainie?

Niemal natychmiast wyskoczyło okienko czatu: „Witaj, jestem Tom, twój Teksaski Pomocnik. Co chcesz, żeby ci zmienić?”. Dopiero kilka dni później, kiedy posłałam w eter trzy zdjęcia do dowodu i dowiedziałam się, że mogę odebrać przesyłkę w Houston, zorientowałam się, że równie dobrze mógł pytać o pieluchę.

O wyznaczonej porze stawiałam się z torebką z Subwaya zawierającą grillowaną kanapkę z szynką i serem, sałatą, majonezem, czarnymi oliwkami, zieloną papryką, papryczką jalapeño i dodatkowym serem szwajcarskim, a oprócz niej plik dwudziestodolarowych banknotów. Wymieniłam ją na szarą kopertę z trzema podrobionymi prawami jazdy, trzema kartami MasterCard na takie same nazwiska jak prawa jazdy oraz trzema kompletami lśniących teksaskich tablic rejestracyjnych. Trójka zawsze była moją szczęśliwą liczbą.

– Dorzuciłem gratis Larry’ego G na drogę. – Wskazał kopertę. – Gdyby ktoś czegoś potrzebował, szepnij o mnie słówko.

Nie miałam pojęcia, czy Larry G to coś jak Tomcio Paluch dla dorosłych, czy raczej coś nastrojowego do posłuchania.

Ale nie dociekałam, bo moje myśli krążyły wokół innych pytań, które nieustannie sobie zadawałam i które chciałam teraz zadać Tomowi: „Wiesz, że mogą cię za to posadzić na wiele, wiele lat? Zdajesz sobie sprawę, że możesz wszystko stracić i już nigdy tego nie odzyskać?”. Zanim jednak zdołałam to zrobić i dać mu do myślenia, Tom dotknął mojego ramienia i poradził:

– Jeśli wyda ci się, że ktoś nie kupuje kitu, który próbujesz mu wcisnąć, nie panikuj. – Wskazał szarą kopertę. – Jako blondynka wypadasz najmniej wiarygodnie.

Zaczerwieniłam się – nieoczekiwany przyływ wdzięczności na myśl, że ten obcy człowiek przejmuje się wynikiem moich działań. Doznałam nagłego poczucia zażyłości, jak u lekarza, który ogląda cię w niebieskim papierowym fartuchu i z życzliwością kładzie ci dłoń na ramieniu, ale za nic nie rozpoznałby twojej twarzy na lotnisku. Tom odwrócił się, pokonał dwa zatłoczone w godzinie szczytu pasy ruchu

i zniknął, a wraz z nim ulotniło się miłe wrażenie.

Dwie godziny później przetestowałam jedną z kart i jedno z praw jazdy na słodkiej idiotce w wypożyczalni Avis na lotnisku Dallas-Fort Worth. Wydała mi samochód bez najmniejszych podejrzeń. Nie wiem jednak, czy udałoby mi się zwieść tym dokumentem drogówkę, gdyby mnie zatrzymała. Kolejna zasada: bezwzględnie przestrzegać przepisów i nie przekraczać prędkości.

W drodze z lotniska do domu pani T zatrzymałam się na skraju parkingu przed Walmartem i zmieniałam tablice w samochodzie. Pierwszą fałszywą kartę kredytową – która wykonała już swoje zadanie – pocięłam na ostre kawałeczki, by wyrzucać je w półminutowych odstępach przez okno jadącego samochodu. Może to przesada – nie wiem, bo skąd mam to wiedzieć? Kiedy będzie po wszystkim, chcę prowadzić normalne życie. Mam dziesięć dni, nie więcej. Niedługo już tylko dziewięć.

Każdego wieczoru będziemy potrzebowali benzyny, jedzenia i dwóch pokoi motelowych bez względu na koszty, bo nie zamierzam spać w jednym pomieszczeniu z Carlem, nie ma mowy. Dopisuję do listy kolejne pozycje, o których zawczasu nie pomyślałam. Rzeczy, dzięki którym Carl wtopi się w otoczenie. Dobre buty sportowe, przybory toaletowe. Nowa fryzura. Są też ponadplanowe warunki, które dodał w ostatniej chwili. A także „inne”.

Ojciec zawsze mówił, żeby w każdym budżecie uwzględnić rubrykę „inne”. Co do niej trafi w przypadku naszej podróży? Łopówki? Dodatkowe naboje? Bandaże? Łopaty? Cukierki lukrecjowe i ziarna słonecznika o smaku korniszonów z koperkiem, kupowane w każdym sklepie sieci Buc-ee’s, na jaki się natkniemy?

Zdjęcia leżą w zgrabnym stosiku. Carl tak naprawdę wcale się im nie przyjrzał, tylko ułożył je według rozmiarów, największe umieszczając na samym dole. Na wierzchu wylądowało niewielkie, w sam raz do portfela, szkolne zdjęcie chłopca o sennym spojrzeniu i krzywym przedziałku. Alexander Lakinski, syn Nicole Lakinski, kobiety, za której porwanie Carl był sądzony w Waco. Do uprowadzenia doszło w parku. Alexander wyszedł ze zdarzenia ze złamaną ręką. Powiedział, że zleciał z huśtawki. Jego matka zapadła

się pod ziemię.

Carl wstaje. Wyciąga ręce do góry, rozprostowuje je.

– Proszę pani, a czy mogę już pójść do swojego pokoju? – rzuca w połowie drogi do drzwi, które będą nas dziś od siebie oddzielały.

– Obiecałeś.

– Co takiego obiecałem?

– Że się postarasz. Obiecałeś, że się postarasz. Powiedziałeś, że nie pamiętasz, co zrobiłeś, ale chcesz sobie przypomnieć. Że będziesz współpracował. Zresztą nieważne. Tylko weź leki, dobrze? Poczekaj, mam je w torebce.

Bawi się łańcuszkiem w drzwiach po mojej stronie. Delikatnie wsuwa i wysuwa końcówkę. Zastanawia się.

– Carl, musisz przyjmować leki. Taka była umowa. W przeciwnym razie natychmiast wracasz do domu pani T i znów będziesz oglądał robale na Discovery Channel.

– Wiesz, że muchy domowe bzyczą w tonacji F? Z rozkoszą przyjmę leki.

Idzie mi na rękę. Wie, że kłamię, wie, że się nie poddam od razu pierwszego dnia.

Powiedział mi kiedyś, że moje szare oczy kojarzą mu się z kimś, kogo znał. „Pic na wodę, fotomontaż – oznajmił. – Trudno przewidzieć, jak postąpicie”. Rachel miała zielone oczy ze złocistymi plamkami.

Dostrzegłam inteligencję we wzroku Carla, zdrowe zmysły. Nad szachownicą, w Dairy Queen, na podwórzu u pani T, kiedy piliśmy mrożoną herbatę smakującą – to jego słowa – jak triaminic, czymkolwiek to jest.

Carl był kiedyś utalentowanym artystą. Ma spojrzenie, które kojarzy mi się z pokrytą kożuchem błotną sadzawką na jednej z jego fotografii. Policja przeszukała to miejsce, a także kilkanaście innych, usiłując powiązać Carla i jego aparat z innymi zaginięciami w Teksasie. Zbyt szybko zrezygnowała.

Carl wie, że zataiłam przed nim rzeczywisty cel wyprawy. Ani trochę nie wierzy, że jestem jego dawno niewidzianą córką detektywem, która koniecznie chce się dowiedzieć, jakie DNA buzuje

w jej żyłach. I że odejdę, kiedy poznam prawdę.

Wkłada tabletki do ust jedną po drugiej i przełyka na sucho, choć zaproponowałam, że zdejmę folię z kubeczka na komodzie i napełnię go wodą w łazience.

Mogłabym wyłożyć kawę na ławę: ilekroć widzę jego twarz, coś mi podpowiada, aby nie mieć litości. Że między innymi dlatego jestem pewna, że to właśnie on odebrał mi starszą siostrę w biały dzień. Rachel miała mi zapleść warkocz na przyjęcie tamtego wieczoru. Miała zostać sławną aktorką. Miałam mieć siostrzenicę Sophronię.

Pozbądź się uczuć.

Niech on zachodzi w głowę.

Carl jest ciekawski.

„Dlaczego” jest sznurkiem marionetki, za który pociągam.

Poszedł do siebie. Zamknął drzwi. Zaczął nucić.

Powolutku otwieram drzwi. Błada smużka światła wlewa się do jego pokoju, wędruje po podłodze i wspina się po pasach narzuty.

Jest po jedenastej. Boję się, że jeśli jeszcze odrobinę uchylę drzwi, światło padnie na jego twarz i go obudzi.

Czy naprawdę połknął różową tabletkę, po której śpi? A może ją wypluł? Pomysł, że miałabym go traktować jak dziecko, wydaje mi się absurdalny, mimo że pani T wyraźnie powiedziała: „Proszę go traktować jak dziecko”.

Wsuwam się do środka przez wąską szczelinę, szorując brzuchem o klamkę. Zamykam drzwi, ale nie do końca, tak żeby nie szczęknął zamek. Stoję nieruchomo, nie oddycham, czekam, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Na razie nic nie widzę. Zasłony są zaciągnięte. Klimatyzator pod oknem burczy jak ciężarówka, która marzy o emeryturze. Moje nozdrza atakuje zapach stęchlizny i brudnych stóp – w ten sposób źle opłacane pokojówki pokazują środkowy palec.

Nie wyczuwam żadnego ruchu na łóżku, nie słyszę żadnego dźwięku. Klimatyzator jednocześnie ułatwia mi zadanie i utrudnia.

W swoim pokoju przećwiczyłam to sześć razy na tle Nigelli paplającej w telewizorze o *goujon* z soli. Dostaliśmy z Carlem bliźniacze pokoje, identyczne jak więzienne cele. Od miejsca, w którym stoję, do stóp łóżka są dokładnie cztery kroki. Posuwam się ostrożnie, bardzo powoli. Klękam na szorstkiej wykładzinie. Unoszę kapę, wkładam pod nią głowę, włączam miniaturową latarkę i omiatam przestrzeń pod łóżkiem snopem światła.

Ziarenka popcornu, oblepiony włosami smoczek z Myszka Miki i ona – walizka Carla dokładnie tam, gdzie spodziewałam się ją znaleźć. Pacjenci z demencją, osoby z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi i seryjni mordercy mają swoje przyzwyczajenia, których trudno im się pozbyć. Carl należy do co najmniej jednej

z tych kategorii, a być może do wszystkich.

Kładę się na brzuchu i wsuwam głębiej pod łóżko, żeby móc dosięgnąć leżącej na podłodze po prawej stronie walizki. Jest szansa, że go nie obudzę, kiedy będę ją wyjmowała, bo Carl śpi po lewej stronie łóżka. Kilka razy widziałam wgniecenie na poduszce w jego pokoju w domu pani T. Poza tym ten dość osobliwy szczegół pojawił się w zeznaniu sprzątaczk, Irmy, która od czasu do czasu przychodziła do niego, kiedy mieszkał w Fort Worth niecałe dziesięć kilometrów od mojego domu rodzinnego. „Czy seryjny morderca zatrudniałby sprzątaczkę?” – to celne pytanie zadał ławie przysięgłych obrońca Carla.

Irma zajmuje żałośnie małe, puste mieszkanie, trzyma w nim zbiór pieczołowicie odkurzanych figurek świń i kiedy do niej dotarłam, nie miała mi do powiedzenia nic interesującego. Wyraźnie było widać, że nosi w sobie resztki głębokiej sympatii dla Carla, który płacił jej dwadzieścia pięć dolarów za godzinę pracy. W jej mieszkaniu śmierdziało gotowaną kapustą. Moje spojrzenie wciąż wędrowało ku świni stojącej pośrodku lustrzanej półki tuż nad głową gospodyni. Zwierzę miało wyszczerbione białe uszko i groźne pęknięcie dokoła szyi. Irma włożyła dużo wysiłku w uratowanie figurki. Co ta konkretna świnia powiedziała mi o Irmie? Że osobę, od której ją dostała, Irma darzyła zbyt silnym uczuciem, by wyrzucić figurkę?

Po godzinie bezowocnego przepytывania dała mi do zrozumienia, że pora zakończyć spotkanie, ponieważ chciałaby powrócić do lektury soczystego fragmentu erotycznego romansu. „Seks co pięćdziesiąt stron, równo jak w zegarku – poinformowała mnie. – Taka jest zasada”.

Wyłączam latarkę i łapię za rączkę walizki. Jeden, dwa, trzy kroki do łazienki. Płytki pod bosymi stopami są zimne i lepkie.

Zamykam za sobą drzwi i ostrożnie kładę walizkę na dywaniku. Dźwięk suwaka przypomina wizg piły tarczowej. Nieruchomieję na dobre dwie minuty, nasłuchując, czy Carl się nie obudził, po czym znów włączam latarkę i przesuwam snopem światła po starannie złożonych upiornych ubraniach.

Na wierzchu jedna z patelni pani T – to zapewne ten lśniący

przedmiot, który uchwyciłam kątem oka, kiedy ukradkiem wkładał go do walizki. Wsuwam dłoń w każdą szczelinę i kieszeń, a także pomiędzy warstwy ubrań. Natrafiam na miękką krawędź zdjęcia dziewczyny z kluczykiem. Nie mogę jednak znaleźć zapalniczki, noża ani czerwonej taśmy do ćwiczeń, którą wyobrażałam sobie zaciskającą się na mojej szyi.

Liczyłam, że uda mi się wykraść mu te przedmioty jeden po drugim, aż zapomni, że je miał, albo pomyśli, że się zapodziały.

Nie sądzę, żeby wyrzucił je po drodze. Ukrył je w tonącym w ciemności pokoju.

Powrót do Carla.

Niecałą minutę później walizka leży z powrotem na miejscu, a ja jestem już przy drzwiach łączących nasze pokoje, gotowa przejść na swoją stronę.

Nagle wyczuwam ruch. Nie na łóżku.

W drugim końcu pomieszczenia.

Carl nie śpi.

Serce wali mi jak młot.

Wyobrażam sobie swój pokój, żeby wyobrazić sobie jego.

Carl siedzi w ciemnym kącie na plastikowym krześle, którego kolor, gdy tylko weszliśmy do pokoju przed czterema godzinami, skojarzył mu się z Dreamsicle, lodami waniliowymi w polewie pomarańczowej. Natychmiast dołączył je do listy warunków, a kiedy opisał rozkoszny smak zderzenia zimnej wanilii z pomarańczą, ja też nabrałam na nie ochoty.

Kładę dłoń na klamce i ciągnę do siebie. Drzwi otwierają się na pięć centymetrów i stawiają opór. Carl założył łańcuszek.

Odwracam się. Moje pole widzenia wypełniają cienie, wyobrażenia dopowiada szczegóły. Może znalazł pistolet? Nie, pistolet narobiłby hałasu, Carl by tego nie chciał.

W kącie złowieszczy bezruch. Zamykam drzwi, bo i tak nie mam innego wyjścia. Liczę, ile kroków potrzebuje Carl, żeby dotrzeć do mnie w ciemności i założyć mi gumową taśmę na szyję albo wbić scyzoryk między żebra. Jednocześnie usiłuję uporać się z delikatnym łańcuszkiem.

Wpadam do swojego pokoju, zatraskuję za sobą mroczną czeluść, przekręcam maleńki zamek w kłamce i trzęsącymi się palcami trzy razy próbuję założyć lichej łańcuszek po swojej stronie, zanim w końcu mi się to udaje.

Przykładam ucho do drewnianych drzwi. Burczenie klimatyzatora pochłania wszystkie dźwięki.

Chwiejnym krokiem idę do łazienki. Spoglądam w lustro. Moje rozszerzone, szkliste źrenice w niczym nie przypominają oczu Rachel. Myję dłonie pod gorącą wodą, aż przestają się trząść. Wracam do sypialni, wyłączam telewizor, poprawiam długopis i Biblię na blacie biurka. Zbieram brudne ubrania z podłogi i składam je wyjątkowo skrupulatnie. Wszystko, byle się czymś zająć, byle noc szybciej minęła.

Otwieram walizkę i w gardle więźnie mi krzyk.

Carl zostawił mi prezent.

Na samym wierzchu leży chusta Lolity.

Przez chwilę nie mogę złapać tchu. Różowe i białe ślimaki suną niewinnie po materiale, a ich uśmiechy wyglądają jak maleńkie podkreśnione rzęsy.

Przypomina mi się inny materiał, który kłębi się w wodzie na jednej z fotografii Carla. Zaginiona dziewczyna o imieniu Violet. Przenoszę spojrzenie na drzwi oddzielające nasze pokoje. Łańcuszek znajduje się na swoim miejscu. Gałka się nie rusza. Kiedy znów zerkam na walizkę, do moich nozdrzy dolatuje słodka młodzieńcza woń, a wraz z nią pojawia się cicha histeryczna modlitwa o to, by Lolita żyła. I o to, bym nie zbudziła mordercy ze snu zimowego.

Idę do łazienki i oglądam chustę pod światło, trzymając ją za rogi. Przesuwam wzrokiem po wszystkich radosnych ślimakach, szukając plamek krwi. Nic takiego nie znajduję, jedynie bladą plamę po musztardzie i ślad po długopisie.

Wyobrażam sobie grę mięśni przedramion Carla. Jego rozradowaną minę, kiedy usłyszał mój stłumiony krzyk. Jego napiętą, wyczekującą pozę w ciemności. Wyobrażam sobie, jak wrywa mi chustę z rąk i jak zaciska ją na mojej szyi, coraz mocniej, aż tuż przed końcem przed oczami zaczynają mi tańczyć migoczące plamki. „Chciałabyś

najpierw zapalić, kochanie?”.

Kładę się na łóżku i zwijam w kłębek. Zwieram dłonie w pięści.

Chcę do siostry.

Byłam w trzeciej klasie, kiedy po raz pierwszy zataiłam coś przed starszą siostrą.

Rachel miała piętnaście lat, chodziła na zajęcia z teatru, robiła miny, flirtowała z chłopakami. A mnie gnębiły samotność i natrętne myśli. Sporo się wtedy mówiło o wągliku i atakach rekinów.

Byłam dziwną dziewczyną, miałam swoje rytuały. Dzieciaki wyczuwały takie rzeczy, mimo że Rachel starała się układać mi włosy na wzór swojej fryzury i wybierać ciuchy, w których szłam do szkoły. Upierałam się, że zamiast błyszczącego tornistra z twarzą Lizzie McGuire będę nosiła plecak turystyczny z ukrytą kieszonką, specjalnie na mój notes przetrwania. Kiedyś nauczycielka przyniosła do klasy czarnego kociaka. Na jego widok przeżegnałam się i splunęłam przez ramię – prosto na ławkę siedzącego za mną chłopca.

Matka się o mnie martwiła. Na ścianie w naszym pokoju powiesiła plakat z obrazem Matisse'a, na tyle jej zdaniem radosnym i kolorowym, by odpędzał wszelkie upiory, jakie sobie wymyślałam. Nie wiedziała, że co wieczór zamykałam oczy przerażona myślą, że żółtemu kotu, który wkłada łapkę do szklanej kuli z rybami, w końcu się powiedzie. I że kiedy się obudzę, kot zniknie, a woda będzie czerwona od krwi. *Le chat aux poissons rouges*¹. Nawet tytuł obrazu był złowieszczy.

Miesiąc później znalazłam w domu starą fotografię. Znajdowała się w kopercie przyklejonej od spodu do schodów na strych. Matka wysłała mnie na górę po wieniec z bałwanem, który co roku wieszala na naszych drzwiach frontowych.

Z pęknięcia w stopniu wystawał kawałek papieru. Sięgając po niego, myślałam, że to instrukcja obsługi pieca albo zamontowanego na strychu wentylatora. Starsza pani, która mieszkała tam przed nami, miała w zwyczaju przyczepiać koperty z instrukcjami w różnych miejscach, na przykład na spodzie szuflad albo szafek

w kuchni. Rachel i ja nie traciłyśmy nadziei, że któraś z tych kopert będzie zawierała banknoty studolarowe.

Ta jednak była cieńsza i miała ciemnobrązowe plamy od wody. Znalazłam w niej czarno-białe zdjęcie dwóch dziewczynek w lesie. Były mniej więcej w moim wieku, małe panny młode w białych sukienkach i welonach. Wyglądały na bliźniaczki. Postać jednej była rozmyta, tak jakby fotograf uchwycił ją, kiedy wychodziła z drugiej. Na odwrocie widniały napisane niebieskim atramentem słowa – imiona, data – też niestety rozmazane.

Zdjęcie nigdy nie wydawało mi się dziwne, tylko magiczne i wyjątkowe – specjalnie dla mnie. Ciągnęło mnie do tego lasu jak Alicję do Krainy Czarów. Ostrożnie przykleiłam je do ściany w szafie, tak żeby nikt go nie znalazł. Chciałam być jak te dziewczynki: wędrować bez strachu, wspinać się na najwyższe drzewa, łapać stworzenia do słoików, robić przewroty do tyłu, gdzie tylko się da, umyślnie pluć na chłopców.

Rozsuwałam wiszące w szafie ubrania jak kurtynę w teatrze i one tam były – czekały, by się ze mną bawić. Wymyślałam historie. Przerysowywałam ich postaci. Czasem wyobrażałam sobie, że zdjęcie przedstawia mnie i Rachel. Że nie ma między nami siedmiu lat różnicy, że przyszłyśmy na świat w tej samej chwili i że w łonie matki tuliłyśmy się do siebie, i że nawet przez chwilę nie byłam sama i nie musiałam się niczego bać.

W końcu znalazłam sobie prawdziwą przyjaciółkę: niezdarną uroczą dziewczynkę, która przysiadła się do mnie podczas lunchu i jadła tylko to, co pomarańczowe. Ona też miała swoje tajemnice. Kradła jedzenie z kuchni u siebie w domu, chowała je w różnych miejscach w swoim pokoju i nigdy go nie zjadała. Kiedyś znalazłam pod jej łóżkiem nieotwarte opakowanie roztopionych lodów czekoladowych. Przy niej czułam się normalna.

Zdjęcie wywinęło się na rogach, odczepiło i spadło na podłogę.

Zapomniałam o bliźniaczkach.

Nie wiedziałam, że pewnego dnia naprowadzą mnie one na trop mordercy Rachel.

Dzień drugi



Mój notes przetrwania, 8 lat

Jak się nie bać pajków

- 1. Codziennie wieczorem czytać Pajęczynę Charlotty.*
- 2. Narysować ośmionoga w ośmiu tenisówkach.*
- 3. Potrzytać sztucznego.*
- 4. Złapać prawdziwego.*
- 5. Nazwać go Barney albo Żelek.*
- 6. Przyrzec się jakiejś ładnej pajęczynie.*
- 7. Przejść przez nią bez wrzasku.*

Rozsunęłam zasłony najszerzej, jak się dało, żeby słońce zalało pokój. Carl rozwalił się szyderczo na pomarańczowym plastikowym krześle, wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je w kostkach. Dżinsy i buty z ohydnej wężowej skóry. Leniwy wyraz twarzy, na który zapewne nabrał wielu ludzi. Jasne spojrzenie, dobry nastrój, tak jakby zdarzenia ostatniej nocy były tylko anomalią, jakbyśmy wpadli na siebie w krainie snów.

Około dziewiątej rano Carl sześć razy uderzył pięścią w drzwi pomiędzy naszymi pokojami. Przeciągałam pakowanie rzeczy – których mam przecież niewiele – licząc, że im więcej czasu mi to zajmie, tym większa jest szansa, że zastanę łóżko Carla Feldmana starannie posłane, a po nim nie będzie śladu.

Minął raptem jeden dzień, a ja już myślę o takich rzeczach. Jeden dzień!

Nie wspominam o prezencie, który mi zostawił. Śmierć Rachel nauczyła mnie bowiem, jak wielką moc może mieć milczenie. Kiedy otworzyłam drzwi do jego pokoju, Carl czekał grzecznie z walizką w rękę, dopóki gestem nie zaprosiłam go do środka. Powiedział, że zaczął się o mnie martwić. „Zawsze tak późno wstajesz?” – spytał tonem, w którym nie doszukałam się przebiegłej nuty. Tak naprawdę to nie zmrużyłam oka, dopóki nie zadzwoniłam do pani T i dopóki brzask nie szepnął mi do ucha: „Już jest bezpiecznie”. Dwie niespokojne godziny i najwyżej krótka drzemka.

Zastanawiałam się, czy warto budzić panią T. Panika zwyciężyła.

– Do diabła, która to godzina? – zaskrzeczała. – O Jezu, a po co to pani? Nie, nie widziałam Lolity. Dziewczyna zawsze przychodzi w środę. Jeśli dziś jest wtorek, to znaczy, że będzie jutro. – Po czym dodała zrzędlwym tonem: – Dzwoniła wczoraj w porze kolacji, mówiła, że nie może znaleźć tej swojej ohydnej chusty.

Zaczynam przeliczać, o ile więcej będę musiała zapłacić za lepsze

hotele z prawdziwymi zasuwkami w drzwiach. Na niektórych drogach w Teksasie obowiązuje ograniczenie prędkości do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. W myślach skracam wyprawę – osiem dni? siedem? – i mówię sobie, jak bardzo bym chciała zlekceważyć ostrzeżenia pani T dotyczące spania przez ścianę z Carlem – „Proszę reagować, kiedy usłyszy pani jego krzyk. Jeśli po przebudzeniu nie będzie pamiętał, co jest po drugiej stronie drzwi, będzie pani miała kłopot”.

– Sprawdzę jeszcze łazienkę – mówię – i się zbieramy.

Ignoruje mnie, pochyla się i sięga po mapę, którą rozłożyłam na łóżku.

Lubię widzieć Teksas w całej okazałości, każdą żyłę i tętnicę, bo to ciało potrafi zwieść. Nie zamierzam ślepo polegać na nawigacji. Nie chcę zostać namierzona. Jesteśmy z Carlem duchami.

Carl wydaje się zafascynowany trzema zaznaczonymi na mapie czerwonymi kółkami, będącymi jak świeże krople krwi. To punkty, w których robił zdjęcia, w pobliżu miejsc zaginięć dziewczyn. Liczę, że nasza wyprawa okaże się owocna i dynamiczna – że Carl będzie wymazywał kółka albo je dodawał, nieważne, byle mówił, byle czuł, że do pewnego stopnia kontroluje sytuację, byle sobie *przypominał*.

Powiązalam z fotografiami Carla dziesięć zaginionych dziewczyn, w tym Rachel. Na potrzeby planu, który wymyśliłam, z bólem zmniejszyłam ich liczbę do trzech. Zrobiłam to, kierując się intuicją, a także oczami dziewczyn na zdjęciach – poszłam za tymi, które błagały mnie spojrzeniem i rzucały wyzwanie. I których rodziny najbardziej mnie wzruszyły swoim smutkiem.

Te dziewczyny – te sprawy umorzone z braku dowodów – są jak uporczywa, pulsująca nadzieja, są jedynym sposobem, jaki znam, na poruszenie sumienia Carla. Muszę podążyć śladem ich historii, ponieważ w przypadku Rachel historii nie ma. Brakuje kółka. Nikt tamtego ranka nie zapamiętał dziewczyny na srebrnym rowerze górskim. Nikt nie wie, czy Rachel pojechała do pracy nową trasą, czy postanowiła skrócić sobie drogę. Nikt nic nie widział. Po prostu zniknęła.

Zamykam się w łazience. Spłukuję toaletę, odkręcam kran.

Pozwalam, by znaczenie mapy dotarło do świadomości Carla. Zerkam na chustę wiszącą na haczyku na drzwiach. Nie chciałam, żeby przez noc dotykała moich ubrań. Przez chwilę zastanawiam się, czy jej tu nie zostawić.

Kiedy wychodzę, nie ma ani Carla, ani mapy. Drzwi do sąsiedniego pokoju są uchylone. Popycham je ostrożnie, zaglądam do środka. Carl zdjął z łóżka kapę, koc i prześcieradło i złożył wszystko w elegancką kostkę. Na wierzchu stosu pościeli zostawił świeżutki banknot dwudziestodolarowy.

Pani T mówiła, że Carl nie ma gotówki.

Zniknęły obie walizki. Moja torebka również. Zabrał wszystko oprócz drobnych dla pokojówki, które zostawiłam na komodzie.

Wybiegam z pokoju. Samochód nadal stoi na swoim miejscu, dokładnie tam, gdzie go zaparkowałam wczoraj wieczorem. Carl siedzi na fotelu pasażera i z ożywieniem porusza ustami. Na mój widok natychmiast je zamyka.

Ruszam w jego stronę, niespiesznie owijając szyję chustą.

Carl nie skomentował chusty. Poprawiam ją, żeby się nie zamoczyła w kawie, i wsuwam zalaminowaną kartę dań z powrotem za cukierniczkę. Zbliża się nasza kelnerka, idzie powoli między stolikami, niosąc tacę.

Przez całą noc w mojej głowie kłębiły się twarze. Lolita. Violet. Rachel. Bezimienna dziewczyna na tle czerwonego piasku, ta ze zdjęcia w walizce Carla. Wyobrażam sobie jej śliczne włosy spływające po plecach czarnym strumieniem z lokiem na końcu, jak wąż z ogonem uniesionym do ataku.

Jest jednym z najbardziej zagadkowych elementów tej układanki. Kolejną potencjalną ofiarą.

Głowa pęka mi od informacji związanych z Carlem. Zdjęcia, dowody rzeczowe, raporty psychiatrów, plotki, przypuszczenia, wszystko, absolutnie wszystko, co zdołałam znaleźć i wygrzebać na temat siedzącego naprzeciwko mnie w podrzędnej knajpce mordercy.

Jest tego tyle, że podchodzi mi do gardła.

Wyłuskuję jedną drobną rzecz.

– Czemu cię nazwali Rain Manem?

– Po co pytasz?

– Żebyśmy mieli o czym rozmawiać przy śniadaniu.

– No jasne. Niewinna rozmowa przy śniadaniu nie boli. Kiedyś robiłem zdjęcia wyłącznie w deszczu². Okazało się, że to był głupi pomysł. Utrudniał pracę i ograniczał. – Wzrusza ramionami. – To było po tym, jak ktoś, kogo kochałem, zginął podczas burzy.

Zero emocji na twarzy Carla.

Nie pierwszy raz słyszę tę historię. Zwracając się do członków ławy przysięgłych, oskarżyciel nazwał ją bajką dla mediów. „Nie dajcie się państwo nabrać. Ten człowiek nie jest romantykiem”.

Chcę zapytać o coś jeszcze, ale Carl mnie uprzedza. Pochyla się, łokciem roztrącając sześć tabletek, które ułożyłam przed nim na

blacie z laminatu w niebiesko-czarne plamki.

– Pozwól, że to ja wybiorę temat rozmowy. Pamiętałbym, gdybym zabijał ludzi. Pacjenci z demencją tak mają. Pamiętają przeszłość, jakby się, kurwa, wydarzyła wczoraj. Pamiętam pierwsze zdjęcie, które zrobiłem, i to, jak, do cholery, powinna smakować słodka mrożona herbata. Dlatego na pewno pamiętałbym to uczucie, kiedy podrzyna się człowiekowi gardło.

Mimowolnie potrząsam głową tak, że włosy opadają mi z czoła i zasłaniają lewe oko i policzek. Mam tak od dzieciństwa – tik nerwowy, którego za nic, choćbym nie wiem ile ćwiczyła, nie potrafię opanować. Carl wie. Widział, jak to robię u pani T.

– Spokojnie – mówi. – W takiej dziurze masz więcej prywatności niż w komputerze. Nikt nas nie słucha. Tylko ja. Postrzegam życie jako ciąg kadrów. Tu zatrzymać, tam pstryknąć. Nie potrafię tego wyłączyć. W boksie za mną siedzi nastolatka. Wpadła i chce usunąć ciążę. Zrobi to, zanim zacznie być widać brzuszek. Albo ta kobieta za twoimi plecami. Wczoraj wieczorem znowu ją pobił. Obiecuje sobie, że tym razem wystąpi o rozwód. Nic z tego. Aha, żądam telefonu, cholera. Dopisz do listy warunków.

To jego najdłuższa wypowiedź w mojej obecności. Inteligentna i drapieżna. Przed tygodniem mówił, że nie przypomina sobie, żeby był fotografikiem dokumentalistą, ani nawet nie pamięta, czym się ktoś taki zajmuje. Dzień później na pierwszym miejscu listy warunków umieścił aparat fotograficzny.

W knajpce zgiełk, w boksach i przy stolikach pełno ludzi. To Carl wpadł na pomysł, żeby wysiąść z zaparkowanego przed motelem auta i zjeść śniadanie dosłownie kilka kroków dalej. Konkretnie sześćdziesiąt osiem kroków. Uwiera mnie ta moja nowa obsesja na punkcie liczenia: kroków, dni, pieniędzy, tabletek, które Carl właśnie chowa pod krawędzią spodka, na którym stoi filiżanka z kawą. Cztery tysiące pięćset sześćdziesiąt sześć dni od zaginięcia Rachel. Dziewięćdziesiąt cztery dni, od kiedy matka zapewniła mnie, że ponownie rzuciła picie. Trzydzieści osiem dni, od kiedy ostatni raz podpisałam się prawdziwym nazwiskiem.

Muszę odzyskać nad tym panowanie.

– Nie możesz wciąż dopisywać nowych warunków. Skąd wzięłeś dwadzieścia dolarów, które zostawiłeś na łóżku w motelu?

– Pańskie śniadanie – mówi kelnerka, z brękiem stawiając talerz przed Carlem.

– Skądś panią kojarzę – zwraca się do niej Carl. – Ma pani na imię Annette. Nie, Lynette. Ładnie. I pani też jest ładna. – Kobieta posyła mu uśmiech pełen beżowych zębów. „Przecież masz to napisane na plakietce, kretynko! – mam ochotę wrzasnąć. – Zje cię żywcem”.

Na moich oczach Carl zmienia się w kocimiętkę dla starzejącej się kocicy, która nosi przypinkę z hasłem: „Pijemy kawkę ser-duszkiem”. Mam ochotę zapytać, czemu nie „kawusie”. Widać, że z mojego powodu Lynette nie do końca wie, jak się odnosić do Carla. Konkurencja – myśli. – Ale jakiego rodzaju?

– To moja córka – przychodzi jej z pomocą Carl.

– Na pewno nie zje pani nic więcej oprócz tej małej porcji płatków? – pyta kelnerka, dolewając mi kawy. – Takie z pani chucherko.

– Nie, dziękuję, to mi wystarczy.

To, że będziesz dla mnie miła, Lynette, nie pomoże ci się dostać do rozporzeczka Carla i nie wyrwie cię z tej podłej kawalerki, w której mieszkasz.

Jestem obojętna na jej los i na to, że przez całe życie wybierała niebezpiecznych facetów; na los nastolatki, której może się uda wydebić od stanu darmową aborcję; na los kobiety w średnim wieku, która siedzi samotnie nad czarną kawą, od czasu do czasu delikatnie ocierając się włosami o moją głowę; brakuje mi też współczucia dla siebie samej z tego powodu, że minął dopiero jeden dzień, a ja już czuję się bezradna, choć przecież tak wytrwale się do tego przygotowywałam.

– Przestań się wygłupiać – syczę do niego, kiedy Lynette przechodzi do innego stolika.

– No co? Nie chcesz, żebym o nas kłamał? Spokojnie, ona i tak nie jest w moim typie. Ma sratlerka, co szczeka jak panienka. Jeździ gruchotem. Kiepsko tańczy.

– Skąd...? Nieważne.

– Sierść na spodniach, kluczyki do chevroleta malibu z tysiąc

dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku na breloczku przy szlufce, samochód na parkingu przed knajpą. No i wysokie podbicie, które zawsze się łączy z podwiniętymi palcami.

Carl obficie polewa swój naleśnik za sześć dziewięćdziesiąt dziewięć syropem borówkowym, oddziela kawałek widelcem, nadziewa do tego porcję polskiej kiełbasy i wkłada do ust.

– Pycha – oznajmia zbyt głośno. – Pani T potrafi tylko przypalać gofry.

– Niepotrzebnie zwracamy na siebie uwagę.

– Wcale nie.

– Po prostu mów ciszej.

– Tak sobie myślałem. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś kolejną policjantką, która próbuje mnie oszukać? Albo dziennikarką, która pisze książkę?

– Przecież już to przerabialiśmy. Czy według ciebie wyglądam jak glina?

Na słowo „glina” nastolatka nadstawia uszu, ale szybko wraca do stukania w ekran telefonu.

– Zawarliśmy umowę – ciągnę. – Powiedziałeś, że się postarasz. Że będziesz ze mną szczery, jeśli spełnię twoje warunki. Że nie będziesz miał uprzedzeń do tego, co nas łączy. – Blefuję. Nic takiego nie mówił.

– A może tak: będę z tobą tak samo szczery jak ty ze mną? Jak na razie spełniłaś dwa warunki z trzydziestu jeden. Właściwie czemu mielibyśmy nie napisać książki? Mężczyzna z demencją i jego córka, która odnalazła się po latach, wyruszają na wyprawę po Teksasie i rozwiązują przedawnione sprawy po to, żeby się przekonać, czy mężczyzna naprawdę jest seryjnym mordercą. Clint mógłby mnie zagrać w filmie. Albo jeden z braci Bridges, ten młodszy, „Koleś”. W ciebie mogłaby się wcielić Elizabeth Taylor, gdyby nosiła kolczyk w nosie, miała biszkopty zamiast cycków, no i gdyby żyła. Na koniec chciałbym odejść w stronę pustyni. Znam idealne miejsce.

Wylewa trochę syropu na talerz tam, gdzie leżały naleśniki, łyżką rysuje serce albo może cycki Elizabeth Taylor, po czym to rozmazuje.

Chusta z kiepskiego, taniego materiału zaczyna mnie drapać

w kark. Przechodzą mnie od tego dreszcze.

Mimo to nie zdejmuję jej. Carl nadal nie komentuje.

– Czy dla ciebie to tylko jeden wielki dowcip? – cedzę. – Tu chodzi o martwe kobiety.

– Skąd wiesz, skoro nie odnaleziono ich zwłok? Ja też o sobie poczytałem, wiesz?

Zanim zdążę to przetrwać, zjawia się Lynette i zabiera talerz Carla. Jej pierś ociera się o jego ramię.

– Kto płaci? – pyta radośnie.

– Moja córka ureguluje rachunek – oznajmia Carl – a ja zostawię napiwek. – Wkłada Lynette do ręki banknot dziesięciodolarowy. Odrobineń zbyt długo dotyka jej palców, naznacza ją. Ona odchodzi, a Carl łyka tabletki jak miętówki, którymi nas poczęstowała.

– Przysięgli uznali mnie za winnego robienia zdjęć – zwraca się do mnie. – Nie mam powodu wątpić w ich decyzję.

Śledzę wzrokiem kelnerkę, która zbiera talerze ze stolika zajmowanego przez mężczyzn w czapczkach kierowców ciężarówek. Piersi znów idą w ruch. Pieniądze przechodzą z rąk do rąk. Żałuję pospiesznej oceny. Czuję, że Lynette jest sprytniejsza ode mnie. Niosąc stos brudnych talerzy, kelnerka zatrzymuje się przy kasie. Kobieta, która siedziała za mną, płaci za zamówienie. Matka – tyle można wywnioskować z jej wystających boczków i butów z metką Clarks. Miła – a tyle z tego, jak odnosi się do Lynette.

Jeśli Carl ma rację, rozmiar brylantu w pierścionku, który kobieta nosi na palcu lewej dłoni, świadczy o tym, że ma dużo do stracenia. Lubimy z Carlem takie szczegóły.

Kobieta zsuwa ciemne okulary, żeby widzieć, gdzie się podpisać, i pod jej prawym okiem ukazuje się siniak o barwie syropu borówkowego.

– Fajny szaliczek – zauważa Carl.

Kiedy miałam osiem lat (trzy lata po tym, jak moja siostra wpadła do grobu), zaczęłam wypisywać w notatniku wszystkie strachy, jakie przychodziły mi do głowy. Zdążyło się trochę nazbierać. Metodycznie przerabiałam jeden po drugim, począwszy od tych drobniejszych, takich jak podniesienie tarantuli za nogę, zjedzenie jalapeño w całości czy odpalenie petardy, po poważniejsze, jak jazda najstraszniejszą kolejką górską bez trzymanki, dopóki nie przestanę krzyczeć.

Co roku wykreślałam dwa albo trzy i dodawałam cztery albo pięć.

Kiedy miałam dwanaście lat, nauczyłam się sięgać głębiej. Tak długo trzymałam pistolet w dłoni, aż udało mi się opanować jej drżenie. Tak długo powtarzałam wpadanie do najgłębszej części basenu z gracją zepchniętego do wody kota, aż nauczyłam się wchodzić w jezioro jak nóż w masło, przebijać się przez czarne błoto, ocierać o dno i wypływać z rozpalonymi płucami.

W wieku dziewiętnastu lat skakałam ze spadochronem z samolotu i wykonywałam akrobacje w powietrzu, zjeżdżałam na tyrolce nad wąskimi, bezdennymi przepaściami, ślizgałam się w najkach po zamrożniętych stawach pełnych śpiących snem zimowym sumów. W wieku dwudziestu lat pędziłam złowieszczym lejem, aż moją starą toyotą szarpało i stawała w miejscu, pokonana, gotowa dać się porwać.

Za każdym razem serce wyrywało mi się z piersi.

Mój ostatni chłopak stwierdził, że chyba życie mi niemiłe, po czym ze mną zerwał. Nie zrozumiał: ja tylko chciałam pokonać słabość.

Zerkam na Carla siedzącego na miejscu dla pasażera. Niecałe dziesięć minut temu pożegnaliśmy się z Lynette i jej knajpką. Carl mocno zaciska usta. Gdyby tylko wiedział. Przez ostatni rok rozwinęłam swoje zdolności. Kupowałam strach. Płaciłam ludziom za to, żeby zawieszali mnie wysoko z zawiązanymi oczami i puszczaali tak, bym nie wiedziała, czy za chwilę wpadnę do lodowatej wody,

odbiję się od trampoliny, czy polecę na łeb na szyję po niekończącym się zboczu. Zamykali mnie związaną w szafie, aż traciłam poczucie czasu, dopadali mnie i przewracali w podziemnym garażu, śledzili mnie mercedesem, kiedy jechałam z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Długo ćwiczyłam celowanie przeciwnikowi w głowę. Wszystko to odcisnęło na mnie piętno. Ale nie w tym rzecz. Chodziło o odnalezienie w sobie odwagi. Na szczęście okazało się, że ją mam, że jest we mnie. Że tak naprawdę sprowadza się do adrenaliny, pamięci mięśniowej i kontroli umysłu.

Docieramy do pierwszego kółka na mojej mapie: mostu przy Siedemnastej Ulicy w Waco. Dostrzegam skurcze mięśni policzka Carla, który wpatruje się w pejzaż opuszczonych, rozpadających się budynków i maszyn fabrycznych, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Jeżeli pamięta, co się znajduje pod mostem, nie daje tego po sobie poznać.

– Pocisz się jak świnia. – Przekreśla gałkę klimatyzacji do oporu.

Nie wiem, o co mu chodzi, nie ma na mnie nawet kropli potu. Po gęstym, kiełbasiano-kawowym powietrzu i gwarze knajpki wewnątrz buicka jest jak chłodna oaza. Może mózg Carla łaknie białego szumu. Carl ustawia wszystkie kratki wylotów powietrza w moją stronę. Włosy łaskoczą mnie w twarz i wpadają do oczu. Dostaję gęsiej skórki – słabe echo nocnej paniki. Znow widzę Carla, jak siedzi w mrocznej chłodni swojego pokoju motelowego i nasłuchuje mojego rozpaczliwego skrobania łańcuszkiem.

Tego rodzaju strach zawsze kąsał mnie jak stado szczurów. Mówi się, że przychodzimy na świat z wrodzonym lękiem przed zaledwie dwiema rzeczami: głośnymi dźwiękami i wysokością. Umieszczone na szklanym stole małe dzieci i kocięta nieruchomieją, bo boją się, że spadną; kaczęta nie mają tej obawy, ponieważ wiedzą, że potrafią latać. Instynkt. Podobno. Moim zdaniem przychodzimy na świat z pełnym zestawem lęków i tylko udajemy odważnych, dopóki potwór się nie przebudzi.

Carl bawi się pokrętłem radia, zmienia stacje, wypełnia kabinę bezładnymi urywkami piosenek, programów sportowych, prognoz pogody.

Loves me... prawdopodobieństwo deszczu... hallelujah... wysoka piłka... oh my rose...

Mam ochotę dać mu po łapach. Trzepnąć go po tych długich delikatnych palcach, które potrafiłyby z gracją przebierać po strunach gitary klasycznej, wycinać tętniaka albo zaplatać zabójczy węzeł. Zeznając w sądzie, Carl powiedział, że tymi dłońmi wywoływał zdjęcia i przyrządzał whisky sour, ale przecież nikogo nie mordował. W knajpce wspomniał o podrzynaniu gardeł. Szczegóły. One naprawdę się liczą.

– O Jezus, dobra, niech ci będzie. Posłucham tego gównianego country – burczy. – Tylko weź się już zamknij.

Przejechaliśmy przez most. Nie odezwałam się do Carla od co najmniej dwóch minut i na pewno nie mówiłam nic na temat mojego gustu muzycznego. W knajpce był bardzo przekonujący. Pogrywa sobie ze mną? Czy to jednak coś innego? „Proszę nie pozwolić, żeby uśpił pani czujność – ostrzegła pani T. – Demencja to Lis Przechera. Wyjdzie drzwiami, jakby straciła zainteresowanie, ale wróci oknem i nie odpuści, dopóki nie dopadnie i nie zje kury”.

Zjeżdżam na zarośnięte zielskiem pobocze. Carl milczy.

Nie musimy tego robić, mówię sobie. Nie wystarczy, że przejechaliśmy przez most? Czy to nie było wymowne? Mimo to, widząc przerwę w strumieniu aut, ostro kręcę kierownicą, zawracam i zjeżdżam w wąską stromą drogę, która prowadzi pod most. Trzeba się postarać, żeby ją znaleźć – pewnie dlatego tak się spodobała Carlowi.

Powoli posuwam się w dół, żwir chrzęści pod kołami. Zatrzymuję się na samym końcu, ale nie otwieram drzwi. Przed nami dżungla betonowych filarów i wybujałej roślinności.

Sięgam za oparcie fotela po leżące na podłodze dwie białe szmatki. Zapobiegliwość. Paranoja. Możemy się natknąć na wędkarzy, którzy nas zapamiętają. Zasłonię tablice rejestracyjne.

– Nie narób tam z tyłu bałaganu. – Carl jest czerwony ze złości. Z wściekłością strzela oczami to na tylną szybę, to na szmatki, które trzymam w dłoni.

Co tam schował?

Z mojej podświadomości wyłania się imię siostry.

Rachel.

Rachel, Rachel, Rachel. Słowo wytrych, którego używałam z moim trenerem, choć rzadko był wystarczająco blisko, by móc je usłyszeć.

Nagle czuję, jak chusta zaciska się jak stryczek. Na oczach Carla zrywam ją z szyi i wpycham do schowka.

– Na co się gapisz? – rzucam. – Wsiadaj. Przekonamy się, co pamiętasz.

*

TYTUŁ: *GRÓB*

Podróż w czasie. Fotografie Carla Louisa Feldmana

Waco, 2001 rok

Odbitka żelatynowo-srebrowa

Komentarz autora: „Ten tajemniczy krzyż stoi ukryty w zaroślach pod mostem będącym przedłużeniem Siedemnastej Ulicy w podupadłej części Waco. Jeżdżę tam co roku, żeby się upewnić, że nadal jest. Zawsze natykam się na jakiegoś bezdomnego, który łowi ryby w Waco Creek. Lubię cienie pełzające pod mostem, wrażenie porzucenia i martwoty. Podoba mi się to, że krzyż wywołuje w ludziach zdziwienie, ale mimo wszystko go nie usuwają”.

Carl człapie za mną.

Liczyłam, że pójdzie przodem. Ułatwiłoby znacznie dalszą część wyprawy, gdyby zaprowadził mnie prosto do pierwszego punktu na mapie. Gdybym się od razu przekonała – upewniła – że Carl pamięta, że był tu, pod tym mostem, mnóstwo razy, zawsze z tym swoim ukochanym aparatem, który, jak wszyscy wiedzą, obdarzył imieniem George. Aparatem, który zjeździwszy cały Teksas, odszedł na emeryturę w magazynie dowodów rzeczowych.

Szukałam George'a jak wiatru w polu, przekopywałam przeszłość Carla w nadziei, że odnajdę mężczyznę o tym imieniu, który rzuci nieco światła na wydarzenia (pominę milczeniem Allison, jak nazwał swojego starego pikapa).

Kiedy się zatrzymuję, Carl też staje. Nie potrafię stwierdzić, czy pogrywa sobie ze mną, czy rzeczywiście jest zdezorientowany. Wcale nie było łatwo nakłonić go do opuszczenia auta. Po flirciarzu z knajpki nie ma już śladu. Kiedy byłam zajęta zasłanianiem tablic, Carl przesiadł się na kanapę z tyłu i zaczął cicho mówić do siebie. Jeśli ktoś nas obserwował, na pewno pobiegł donieść, że pod most zajechało dwoje czubków.

Dobrą przykrywką byłyby wędki oparte o samochód. Mogłam to przewidzieć. Drugiego dnia wyprawy prowadzę Carla pod smętny most, a w głowie dźwięczy mi niewypowiedziana rada pani T, że powinnam była go najpierw obszukać. Ale wtedy musiałabym go dotknąć, sprawdzić kieszenie, a jemu by się to z pewnością bardzo spodobało... Nie ma mowy.

– Jeszcze niecałe dwieście metrów – mówię, choć w głębi duszy czuję nagłą pewność, że Carl doskonale wie, dokąd idziemy.

To stara droga, nierówna i wyboista po bokach, za to utwardzona i gładka w środkowej części. To oznacza, że nadal jest używana. Jest zatem szansa, że jeśli Carl wpadnie w szal, ktoś mnie usłyszy. Albo

przynajmniej w końcu odnajdzie któreś z nas za wysokimi pierzastymi zaroślami, które rosną wzdłuż drogi, tworząc szpaler jak tancerki w Vegas.

Idę ostrożnie środkiem drogi. Wstęga zardzewiałych torów po lewej przypomina mi pewne zdarzenie z trenerem. Miałam zasłonięte oczy, noga uwięzła mi między szynami, a ja rozpaczliwie próbowałam się uwolnić, słysząc nadjeżdżający pociąg. Później się okazało, że tor był dawno wyłączony z użytkowania, zaś dźwięk lokomotywy pochodził z nagrania. Wtedy jednak o tym nie wiedziałam.

Po prawej odsłonięty wapień schodzi ku korytu strumienia, który dwa, trzy kilometry dalej wpada do Brazos. Rozwarty przepust wygląda jak pusty oczodół, idealne miejsce dla węży, młodych śmiałków, grafficiarzy, a także wszystkiego, co przybyło tu, aby umrzeć. Wszędzie dokoła splątane zarośla, ostre i bezlitosne jak drut kolczasty. Skupiam spojrzenie na widocznym w oddali napisie na hali wytwórni pieczywa Mrs Baird's. Plamki słońca układają się we wzory na moich czarnych butach do biegania. Słyszę za plecami chrzęst podeszew Carla.

– Jesteśmy na miejscu.

Raptem dwieście pięćdziesiąt metrów z hakiem, a mi już brakuje tchu.

Carl zatrzymuje się obok mnie i wbija spojrzenie w stalowy krzyż, który wystaje na jakieś pół metra z postrzępionych krzaków.

– Zrobiłem mu zdjęcie – stwierdza rzeczowo.

– Owszem, zrobiłeś. – Staram się ukryć emocje.

Wpatruję się w poprzeczne ramię krzyża – na jedną połowę pada cień mostu, druga tonie w blasku słońca. Ktoś przyciął zarośla. Spod popękanych bąbli białej farby przebijają rdzawe plamki, są jak krwawe piegi. Na połączeniu ramion znajduje się przyspawana niewielka pusta płytką.

Krzyż wygląda tak samo jak na fotografiach Carla: sterczy ku niebu zaniedbany. Na kliszy z aparatu Carla obrazy z tego miejsca sąsiadowały ze zdjęciami Nicole Lakinski i jej synka, zrobionymi w parku osiem kilometrów stąd, gdzie policja aresztowała Carla za prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu. Mniej więcej dziesięć

lat temu.

Dwudziestosiedmioletnia Nicole zaginęła trzy dni wcześniej. Jej zapłakany synek Alex odnalazł się na ławce w parku. Jego ręka wisiała pod dziwnym kątem. Na desce rozdzielczej auta Carla leżał banknot pięciodolarowy z odciskami palców i DNA Nicole, a na pace pikapa – czapka z daszkiem. Podczas procesu Carl powiedział, że Nicole dała mu pięć dolarów, bo myślała, że jest bezdomny. Próbował zwrócić pieniądze, ale nie chciała ich przyjąć. Alex zapamiętał jedynie upadek z huśtawki. I mężczyznę w niebieskiej czapce. Albo może zielonej.

W tamtym czasie Carl i George objeżdżali z Alisson Teksas w ramach pijackiej eskapady z chrypiącym z głośników Dylanem. Na kanapie z tyłu znajdowało się schludne pościelenie: poduszka i koc. Ani tam, ani na platformie samochodu nie znaleziono nawet kropli krwi. Przysięgli nie obdarzyli Carla sympatią, ale w ich argumentacji za uniewinnieniem pojawił się wątek czystego auta. Oraz fakt, że jedyna czapka z daszkiem, jaką w nim znaleziono, nie była ani niebieska, ani zielona, tylko biała.

Skoro Carl wprowadził Nicole, to czemu nie natrafiono w wozie na choćby jeden farbowany blond włos z jej głowy? Dlaczego nie było śladu jej śliny ani potu? Odłamek któregoś z tipsów w czarno-różowe paski? Odcisku rubinowej szminki? Srebrnego pierścionka w kształcie sowy, który nosiła na małym palcu i który wiecznie się zsuwał? Dowodów było tak mało, że sformułowanie oficjalnych zarzutów zajęło aż rok. Sprawa się przeciągała i sędzia zdecydował, że Carl zaczeka na rozprawę na wolności, po wpłaceniu kaucji.

Przez chwilę wyobrażam sobie scenę pod mostem sprzed dziesięciu lat, tę gorączkę, która wybuchła, kiedy policja wywołała zdjęcia i jeden z funkcjonariuszy rozpoznał miejsce z krzyżem.

Trolle spod mostu przy Siedemnastej Ulicy powiedziały, że od tamtego czasu ścieżka do krzyża dawno zarosła chwastami, ale nie powstrzymało to policji, która przeczesала strumień wypływający z przepustu i zdeptała lesisty teren. Szukano zaginionej kobiety.

Znaleziono dziewięć ubłoconych butów nie do pary, dwieście osiem puszek i butelek po piwie, fragment rozmokłego egzemplarza *Samotni*

Dickensa, klasówkę z matematyki (ocenioną na czwórkę z minusem), zbiór zużytych prezerwatyw i igieł, a także całe mnóstwo drobnych kości zwierzęcych. Ze strumienia wyłowiono cztery pistolety i trzy zardzewiałe scyzoryki. Żadnego z tych przedmiotów nie udało się powiązać z jakimkolwiek przestępstwem.

Nikt się nie zastanawiał, skąd w takim miejscu wziął się krzyż. Policja wykopała tam szeroki i głęboki na trzy metry dół, po czym, nie wygrzebawszy nic ciekawego, zasypała go i umieściła symbol w dawnym miejscu. W Teksasie krzyż ma stać tam, gdzie został postawiony.

Sędzia prowadzący rozprawę chętnie zgodził się na użycie zdjęć z aparatu Carla jako materiału dowodowego. Na tym etapie w mediach już wrzało od spekulacji – reporterzy, prokuratorzy i policjanci od dawna kreślili mętłą sieć powiązań zdjęć Carla z innymi zbrodniami. Jeden z dziennikarzy zwrócił uwagę, że Carl już wcześniej fotografował to miejsce, na długo przed zaginięciem Nicole Lakinski. Redaktor z Waco rozpoznał je w albumie z pracami Carla.

Carl przesuwając dłonią po metalu, podziwiał krzyż tak, jak stolarz podziwiał mebel. Ktoś się postarał: buchnął pręty z jakiejś budowy albo jakiegoś złomowiska, zespawał i pomalował sprejem na biało. To przemyślane, ciężkie dzieło, brutalnie wrazone w serce twardej gliny.

Kusi mnie, żeby wyjąć nożyk, który noszę razem z kluczami, i wyryć „Rachel” na białej powierzchni, choć przecież wiem, że to nie jest grób mojej siostry. Chcę ją upamiętnić. Ten, kto zadał sobie trud postawienia tutaj krzyża, musiał mieć ku temu powód.

Carl klęka przed krzyżem. Zamyka oczy. Odprawia rytuał? Kilka centymetrów od jego nogi z podziemnej forticy wyłania się mrówczy wartownik, który poczuł tąpnięcie, gdy kolano człowieka uderzyło o grunt. Za nim kolejny i następny, i jeszcze jeden, i wszyscy zmiatają rzędkiem w stronę dłoni Carla. Jeden wlaźł mu na kciuk.

Ugryź go!

Mrówka wyraźnie szykuje się już do ataku. Nagle Carl otwiera oczy.

– Pachnie jak syrop do naleśników – stwierdza. – Wiesz, że mrówki mają pięć razy więcej receptorów węchowych niż inne owady? –

Rozgniała wartownika na miazgę. Wstaje. – Możemy jechać dalej.

Inaczej to sobie zaplanowałam. Zmarnowane dziesięć minut. Liczyłam, że odejdziemy stąd z czymś konkretnym. Carl nie mógłby ponownie stanąć przed sądem za zabicie Nicole. Byłoby to powtórne pociągnięcie do odpowiedzialności karnej za to samo przestępstwo. Dlatego, zwłaszcza w tym miejscu, może sobie pozwolić na pewną swobodę i niewykluczone, że nie zdoła się oprzeć pokusie podsunięcia mi jakiegoś szczegółu.

– Czy przypominasz sobie, co się wydarzyło pod tym mostem?

– Pamiętam, że chciałem wyryć imię na krzyżu. – Czyta mi w myślach.

Nagle docierają do mnie ciche, pełne strachu dźwięki skrzypiec. Od strony strumienia? Z wnętrza ziemi pod krzyżem?

– Czemu zatykasz uszy? – Przez dźwięk skrzypiec przebija się głos Carla.

Opuszczam ręce. Słyszać tylko szmer wody w korycie i klakson od strony szosy.

– Idziemy – zarządzam i odwracam się.

– Słyszysz? – pyta Carl.

Nie chcę, ale słyszę. Dźwięk jest jeszcze cichszy, jeszcze bardziej rozpaczliwy. Drżące pociągnięcia smyczkiem po strunie. Nad naszymi głowami nieustępliwy rytm wybijany przez koła na asfalcie.

Czy Carl jest brzucho mówcą? Czy naśladuje głos umierającego człowieka?

Stoi odwrócony twarzą do strumienia, a plecami do mnie. Nie widzę, czy drga mu krtań, ale wiem, że tak jest.

– Ty sukinsynu. – Łapię go za ramię, ale Carl się wyrywa i nurkuje w gęstych zaroślach za krzyżem. Czerwone mrówki wspinają się po moich butach, żadne dostępu do skóry. Jestem jak sparaliżowana. Tyle treningów, myślę. Tyle przygotowań. Carl przedziera się przez krzaki. Nagle cisza. Nie mam pojęcia, czy po drugiej stronie znajduje się droga ucieczki. Carl zniknął, niewykluczone, że na dobre.

Czekam pełną minutę. Potem jeszcze jedną.

Wraca, zgięty pod ciężarem czegoś, co niesie na rękach.

Idzie niepewnym krokiem. Na twarzy i spodniach ma krew.

Moje myśli same wędrują ku Rachel. Ku Nicole.

W miarę jak Carl się zbliża, czuję coraz silniejsze pragnienie ucieczki.

Dziesięć metrów. Trzy.

Muszę zobaczyć, co trzyma.

Jedno oko jest sklejone przez zakażenie i zarobaczone. Widoczna w drugim, brązowym, poważnym, błagalna prośba sprawia, że tracę oddech.

*

ZAGINIONE KOBIETY, KTÓRE POWIĄZAŁAM Z CARLEM

NICOLE LAKINSKI, 27 LAT, WACO

Data zaginięcia: 8 maja 2008 roku, pomiędzy 13.00 a 17.00

Szczegóły: uprowadzona w parku

Ostatnio widziana przez pięcioletniego syna

Podejrzani: mąż (alibi), były chłopak (brak alibi), Carl (uniewinniony)

Stan sprawy: nierozwiązana, nie znaleziono ciała

Fotografia CLF związana ze sprawą: Grób (drwina?)

VICKIE HIGGINS, 24 lata, CALVERT

Data zaginięcia: 9 czerwca 2010 roku, godzina nieznana

Szczegóły: zaginięcie zgłosił mąż, nie zastałszy żony po powrocie do domu

Ostatnio widziana przez 82-letnią sąsiadkę (obecnie już nieżyjącą) na podwórzu ok. 9 rano

Podejrzani: mąż (alibi), kurier FedExu (alibi)

Stan sprawy: nierozwiązana, zaginiona uznana za zmarłą

Fotografia CLF związana ze sprawą: Panna młoda (zaginiona miała wkrótce obchodzić pierwszą rocznicę ślubu)

VIOLET SANTANA, 21 LAT, GALVESTON, PLAŻA PRZY CIEŚNINIE

SAN LUIS

Data zaginięcia: 19 marca 2003 roku, pomiędzy 22.00 a 23.00

Szczegóły: alkohol, kąpiel nago, bardzo ciemno

Ostatnio widziana przez znajomych, z którymi wybrała się na plażę

Podejrzani: brak

Stan sprawy: za zgodą rodziny zaginionej sprawę zakwalifikowano jako przypadkowe utonięcie, nie odnaleziono ciała

Fotografia CLF związana ze sprawą: Utonięcie (Jak ją zabił? Czy ma słabość do imion zaczynających się na V?)

Łamię jedną ze swoich zasad. Sięgam po telefon jednorazowy i stojąc w cieniu mostu, sprawdzam w Google'u adres najbliższego dyżurującego weterynarza. Tyle, jeśli chodzi o postanowienie, że nie będę zostawiała śladów elektronicznych. Jedziemy do znajdującej się dokładnie dwa kilometry i siedemset metrów dalej przychodni, która mieści się w budynku z żółtym szalunkiem rozpaczliwie domagającym się odmalowania.

Zawahałam się, kiedy zobaczyłam szyld „Weterynarz holistyczny na każdą kieszeń – przyjmujemy nagłe wypadki i zwierzęta egzotyczne”, i już miałam się wycofać z parkingu i spróbować poszukać czegoś innego, ale Carl warknął, żebyśmy się zatrzymała. Powiedział, że psu zostało kilka minut życia. Najlepsi zabójcy, tacy, którzy pozostają na wolności, wiedzą, co mówią, jeśli chodzi o te sprawy. Dlatego posłuchałam.

Muszę też uwierzyć tej chudej i przy tym nienaturalnie silnej kobiecie, która ocenia stan ledwie dyszącego stworzenia, że jest dyplomowanym weterynarzem. To, że przywitała nas słowami: „Nazywam się doktor Kiwi, tak jak owoc”, nie podziałało na jej korzyść. Kiedy się pochyliła, żeby podnieść psiaka z leżanki w zatłoczonej poczekalni, zobaczyłam hasło, które wytatuowała sobie na gładkiej powierzchni pleców tuż nad paskiem dżinsów: „Tylko tyran zaklina psy”. Mój trener też nie był entuzjastą Cesara Millana, tego celebryty zaklinacza. „Dominacja nie prowadzi do oswojenia”, mawiał.

Ranne zwierzę leży na boku na stole w gabinecie, skomle przez zaciśnięte zęby, bierze płytkie oddechy i aż mi się serce kraje, kiedy widzę, jak z całych sił stara się być posłusznym pacjentem, gdy badawcze dłonie doktor Kiwi delikatnie wędrują po jego ciele.

Obracam w myślach liczby i przeliczam kurczący się budżet, wpatrując się w maleńkie koty, które uprawiają jogę albo może są

w ferworze tantrycznego seksu – tapeta jest tak wyblakła, że doprawdy trudno powiedzieć. Carl, z założonymi rękami i zaciśniętymi ustami, siedzi na jedynym krześle w gabinecie.

Rozglądam się, byle nie patrzeć na psa, na jego zarobaczone oko i ranę na brzuchu. Skomlenie wije się we mnie jak spirala z drutu pod napięciem. Wolałabym, żeby jego ból należał do mnie, bo ćwiczyłam kontrolę nad tym uczuciem.

Moja radykalna empatia obejmuje również stworzenia, których Bóg nie obdarzył głosem: leżącą na parapecie i przebierającą nogami przetrąconą muchę; wykrwawiającą się na ostrym haczyku rybę, rzucającą się i łapiącą powietrze. Mając trzy lata, zastanawiałam się, czy brzoskwinie nie wydają niemego krzyku, kiedy zęby przebijają skórę i mięsz. Trener próbował walczyć z tą moją słabością, ale poległ. Prawdę mówiąc, nie wkładał w to zbyt wiele wysiłku. I twierdził, że właściwie to nie jest słabość.

Muszę się skupić na czymś innym. Na zewnątrz, w poczekalni, pechowi ludzie i pechowe zwierzęta siedzą ściśnięci na porysowanych pazurami krzesłach i starych kanapach w kwiatowy wzór. Za drzwiami jest jak w ulu – albo jak w prowizorycznym kościele, który czeka na konsekrację. Wszyscy wierni nalegali, by nasz pacjent przesunął się na początek kolejki.

Podajrzewam, że rachunek wyniesie co najmniej czterysta, pięćset dolarów. Doktor Kiwi powiedziała na temat psa i naszej sytuacji jedynie to, że dostaniemy czterdziestoprocentową zniżkę za „szlachetną postawę”. W myślach nadal nazywam psa psem, mimo że w samochodzie Carl nadał mu jakieś absurdalne imię, a lekarka zwraca się do niego per kochanie. Skomlenie obniżyło się o kilka oktaw i przeszło w jęk kojarzący mi się z dźwiękiem, który wydawała moja siostra, kiedy po zgaszeniu światła wpatrywałyśmy się w ciemność otulającą nasze łóżka. Zawsze zbyt łatwo dawałam się wystraszyć.

Doktor Kiwi na pewno się zastanawia, skąd u mnie ta pozorna obojętność i dlaczego skupiam spojrzenie na tapecie w kocięta, tak jakbym dopatrywała się w niej głębszego przesłania. Natomiast Carl bez skrępowania gapi się na żalodne stworzenie na stole.

– W promieniu pięćdziesięciu kilometrów wszystkie schroniska, w których nie usypia się zwierząt, pękają w szwach – odzywa się doktor Kiwi, ustawiając stojak do kroplówki. – To samo tyczy się klatek u mnie na zapleczu. Bo pozostałe schroniska... Jeśli pies przeżyje i trafi do któregoś z nich, i tak znajdzie się na liście do uśpienia.

Daje nam do zrozumienia, że psiak nie ma gdzie się podziać.

Spogląda to na mnie, to na Carla, podrapanego przez kolczaste gałęzie, które trzymały zwierzaka w swoich szponach. Jego policzki i broda wyglądają, jakby dorwał się do nich jakiś szkrab z czerwonym długopisem. Są takie niewinne.

Wzrok doktor Kiwi zatrzymuje się na mnie odrobinę za długo. Zaczynam czuć skrzępowanie. Po chwili przypominam sobie jednak, że weterynarz widzi tylko maskę, a nie prawdziwą mnie. Zapuszczenie włosów do połowy pleców wymagało cierpliwości, w dodatku dopiero za trzecim razem udało mi się uzyskać taki odcień rudego, na jakim mi zależało. Trzy miesiące żywienia się frytkami, fettuccine Alfredo i sernikiem, żeby przytyć cztery kilogramy i nie wyglądać aż tak chudo. Trzy godziny na Amazonie, żeby znaleźć wygodne podpiętki, dzięki którym urosnę do metra sześćdziesięciu ośmiu, kiedy będę chciała.

– Mówiła pani, że gdzie go znaleźliście? – zwraca się do mnie doktor Kiwi. Jednocześnie spostrzegam, że pies się uciszył. Jest *zbyt* cichy.

– Nie mówiłam. – Usiłuję wymyślić jakieś kłamstwo. Łypię na zwierzaka. Nadal oddycha.

– Pod tym cholernym mostem – bąka Carl.

Doktor Kiwi odwraca się do niego.

– Na Siedemnastej? Ludzie pozbywają się tam kotów, psów, świnek morskich. Królików, które kupowali dzieciakom na Wielkanoc. Jeszcze nigdy nie złapano żadnego z tych sukinsynów.

Nie wspomniała o stalowym krzyżu ani o zaginionej Nicole Lakinski, której ciała nie udało się odnaleźć, tak jak mojej siostry, ani o depresji Nicole, o jej romansach i błędach, skrupulatnie wytkniętych przez obronę. „Może uciekła z kochankiem? – pytał adwokat. –

A może się zabiła?”. Przysięgli nie poczuli sympatii do Carla, ale Nicole też nie przypadła im do gustu.

Alex, syn Nicole, dziś kościsty nastolatek, wyznał mi przed trzema tygodniami, że do dziś boli go ręka po upadku z tamtej huśtawki.

Alex pomyślał, że jestem dziennikarką, która przyszła do jego taty, tymczasem ja specjalnie zaczekałam, aż ojciec wyjdzie na wieczorny jogging, i dopiero wtedy zapukałam do drzwi. Otworzył po drugiej serii, dokładnie tak, jak nie powinien. Miałam wyrzuty sumienia, że podałam mu zmyślane nazwisko. Usiedliśmy na schodkach werandy. Chłopak wyraźnie czuł potrzebę porozmawiania o swojej matce. Okazało się jednak, że nie pamiętał dnia, w którym zniknęła. Potrafił przywołać jedynie okrutny trzask łamanej kości.

Miałam ochotę ująć tę jego piegowatą twarz w dłonie i zmusić do szukania matki. Teraz, natychmiast. Równocześnie chciałam go nakłonić, żeby zapomniał. Żeby żył własnym życiem. Żeby nigdy, przenigdy nie uległ przekłętej obsesji, która wykluwa się w jego piersi. Zamiast tego złożyłam fałszywe obietnice. Kiedy wręczył mi cenne stare fotografie, powiedziałam, że wrócę. Nie zdradziłam, że jego matka jest zaledwie jednym z kilku czerwonych kółek na mojej mapie, paroma pikselami z obrazu całości.

Doktor Kiwi wychyla się za drzwi i woła jakąś Daisy. Carl dziwnie się uśmiecha, jakby się krzywił. Zaczynam się czuć nieswojo.

Dociera do mnie, że stoję nad psem i głaszczę go po zmierzwionej sierści. Niewykluczone, że trzeba będzie zmienić samochód wcześniej, niż planowałam.

W drzwiach staje pełna wigoru nastolatka w różowym fartuchu z Hello Kitty. Daisy. Jej dłoń od razu wędruje do kroplówki, obejmuje stojak. Dziewczyna pomoże zawieźć psa do sali operacyjnej.

Jest w niej coś takiego...

Doktor Kiwi patrzy na mnie dziwnie.

– Dobrze się pani czuje?

– Zrobiłaś się zielona. – Carl wyciąga rękę, żeby pomóc mi zachować równowagę. Wyrywam mu się z walącym sercem.

Nie mogę pozwolić, żeby znów mnie dotknął.

Na chwilę Daisy skojarzyła mi się z Rachel. Ta doskonale owalna twarz. Lawendowe cienie pod oczami. Coś... nieuchwytnego.

Złapałam się ściany w tantryczne koty i niepewnym krokiem wyszłam z gabinetu. Nie dopuściłam do tego, by dłoń Carla zetknęła się z moim ramieniem.

Carl się przesuwa, zmienia pozycję. Muszę coś z tym zrobić, nie może być tak, żebym reagowała w ten sposób, ilekroć on się poruszy. Zauważyłam, że kiedy chce, zaskakuje zwinnością. Przed godziną razem włożyliśmy rannego psa do samochodu. Carl bez problemu posługiwał się obiema rękami.

Popijając colę, skupiam uwagę na trzech czarnych ogonach, które to wyłazą zza kratki transportera dla kotów, to się za nią chowają. Zastanawiam się, jak, do cholery, zwabić Carla z powrotem do auta, zanim skończy się operacja.

Właścicielka kotów siedzi na kanapie wciśnięta obok mnie i stuka na telefonie. Na jej pulchnym palcu dostrzegam ledwo widoczny spomiędzy fałd pierścionek z diamentowym odpryskiem, tanim kuzynem lśniącego brylantu kobiety w knajpce. Nie ma porównania z babcynym kwadratowym szmaragdem, który matka obiecała mojej siostrze, a dziś przechowuje w szufladzie.

Pierścionek jako wyraz pierwotnego dążenia do znakowania własności. Jaskiniowcy robili to, skręcając źdźbła traw i zawiązując je kobietom na nadgarstkach i kostkach. Żeby je kontrolować.

– Chcę tego psa – oznajmia Carl. – To warunek.

W jego ogorzałej twarzy i wpatrujących się we mnie oczach dostrzegam chłopca, który sprawdza, jak daleko może się posunąć. W tym układzie on jest synem, a ja matką. Trudno się nie wzdrygnąć. Nie zależy mi na takim związku z Carlem. Nie jestem panią T.

– Pies nie może być jednym z warunków – odpowiadam najspokojniej, jak potrafię.

Carl nie będzie miał na mnie takiego wpływu. Nie powinien czuć, że jest lepszym człowiekiem, ani teraz, ani w ogóle. Nie powinien nosić w sobie przekonania, że gdyby nie on, nie uratowałabym tego zwierzaka.

– Ciocia Kiwi mówi, że mam spisać wasze dane, póki trwa operacja. Lepiej się pani czuje? – pyta troskliwie Daisy, zatrzymując się przy mnie z iPadem.

Z bliska Daisy jednak nie jest podobna do Rachel. Poza tym pachnie jak zasyпка dla niemowląt. Dotyka ekranu iPada i zwinnym ruchem zmienia okładkę sprośnego romansu, który czytała, na formularz rejestracji.

Rachel lubiła czytać o kosmitach. O portalach prowadzących do innych wymiarów. O okropnościach. Pozostawiała na pościeli piżmowy, zmysłowy zapach.

– Czy może pani podać imię swojego psa? – prosi Daisy.

– To nie jest mój pies – odpowiadam odruchowo.

– Ć-m-a B-a-r-o-w-a – literuje Carl.

Nie podoba mi się to, jak błądzi po niej wzrokiem.

– Ćma Barowa? – Daisy chichocze, wpisując imię. – A państwa nazwisko?

– Smith – rzucam. – Nazywamy się Smith. Nie jesteśmy stąd, więc może sobie pani darować resztę formularza. Zapłacę gotówką.

– Ćma Barowa Smith – mówi Daisy z pochyloną głową, sumiennie wypełniając swój obowiązek.

– „Barowa” to część pierwszego imienia, a nie drugie imię – prostuje Carl, po czym bez skrupowania przenosi spojrzenie na protezę nogi siedzącego obok niego mężczyzny.

Dawny wojskowy, myślę. Jego czujny owczarek niemiecki wygląda, jakby był gotów rzucić się na mnie albo na Carla i zagryźć nas na najdrobniejszy gest swojego pana.

– Mój tata miał sztuczną rękę – oznajmia Carl, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Prawdziwą urwała mu prasa na farmie dziadka. Mawiał, że dowodem na trwałość duszy jest fakt, iż wciąż czuje, jak jego niewidzialne palce szarpią struny banjo.

– Cicho bądź – syczę do niego, a mężczyźnie posyłam

przepraszające spojrzenie.

Nie pamiętam tego przerażającego szczegółu na temat ojca Carla, nie pojawił się w protokołach zeznań. Czy to możliwe, że rzekomy niedowład ręki ma podłoże psychosomatyczne? Że mózg wyłącza tę rękę? Czy Carl dopuszczał zabijanie, ponieważ postrzegał swoje ofiary na płaszczyźnie metafizycznej?

Farma jego dziadka rzeczywiście istnieje, znajduje się na mojej mapie, choć nie jest oznaczona kółkiem. Setki kilometrów przed nami, we wschodnim Teksasie. Wskazałabym ją z zamkniętymi oczami. W moich koszmarach zamienia się w bezkresny cmentarz, w którym kopię jak pracowita mrówka.

W poczekalni zalega cisza.

Doktor Kiwi.

Skupiam się na jej rdzawoczerwono-białym czepku z emblematem uniwersytetu Texas A&M. Uciekam wzrokiem od dużej czerwonej plamy na fartuchu, która wygląda, jakby Kiwi właśnie wypatroszyła jelenia, i od widocznego za otwartymi drzwiami stalowego stołu, na którym leży Ćma. Jej zmierzwiony ogon ani drgnie.

Ledwo powstrzymuję się od płaczu nad psem, którego nawet nie znam. Ubranie mam umazane krwią. Wpatruje się we mnie cała poczekalnia pełna obcych ludzi.

Plan się posypał, i to błyskawicznie.

Mam wrażenie, jakbym oglądała powtórkę pierwszej rozmowy Carla z Rachel. Carl oczarował moją urzekającą, błyskotliwą siostrę. Zwiódł ją. Jak to zrobił? Muszę się dowiedzieć. Nie mogę odwrócić wzroku.

Kiedy doktor Kiwi wtajemnicza mnie w szczegóły operacji, w drugim końcu pomieszczenia Carl zagaduje Daisy. Dziewczyna odpowiada uśmiechem, łśni aparat na zębach z różowymi gumkami. Długi czekoladowobrązowy warkocz, który wcześniej miała byle jak upięty na czubku głowy, zsunął się jej na plecy.

Zabierz tę jebaną łapę z jej ramienia! Nie tykaj Hello Kitty!

Już wiem, co ulotnego łączy Daisy z Rachel: to bijący od obu blask.

Docierają do mnie jedynie strzępy raportu doktor Kiwi. Pocisk kalibru 22 w biodrze. Nie ma uszkodzeń najważniejszych organów. Brak chipa identyfikacyjnego. Zwierzę musi zostać na noc na obserwacji.

– Słucha mnie pani? – odzywa się zniecierpliwiona doktor Kiwi. – Daisy zajmie się państwa psem za darmo, bo zalicza wolontariat, żeby się dostać do Ligi Bluszczowej.

Kiwam głową w roztargnieniu. Muszę wyrwać Carla z orbity Daisy. Wyobrażam sobie, co mógłby zrobić z tym niewinnym warkoczem i zębami zamkniętymi w drucianym więzieniu. W przypadku Rachel upatrzył sobie jej przekłute uszy i kolczyki w kształcie serca. Kiedyś śnił mi się los *uszu* Rachel.

– Carl – odzywam się. – Carl! – podnoszę głos.

Wzrusza ramionami, pochyla się nad Daisy i mówi:

– Pani mnie wzywa.

Opuszczamy przychodnię i zostajemy sami, ale nie czuję się dzięki temu lepiej. Carl otwiera drzwi samochodu i znów chce się pakować na tylne siedzenie. Kurwa, o co mu chodzi z tym tyłem?

Wyciągam rękę i zatrzaszukuję drzwi.

– Z przodu – oznajmiam.

– Daisy mówi, że nie może wziąć do siebie Ćmy, bo jej mama ma alergię – odzywa się Carl. – I czasem dostaje bzika.

– Nie zatrzymamy psa! Wybij to sobie z głowy.

Daisy jest bezpieczna w żółtym domku.

W aucie od razu dolatuje do mnie słona woń potu Carla albo utrzymujący się zapach postrzelonego psa, albo jedno i drugie. Nic nie szkodzi, mówię sobie. Po operacji zostały mi trzy tysiące czterysta siedemdziesiąt trzy dolary i czterdzieści trzy centy, w tym kurczący się budżet Carla na napiwki. Podczas przeliczania gotówki potwierdziły się moje przypuszczenia, że ukradł mi sześćdziesiąt dolarów z portfela. Zostało mu trzydzieści. Dzięki tej wiedzy poczułam się lepiej.

Pocieszam się, że jeśli zatrzymamy się tu na noc, będziemy nie więcej niż kilkaset kilometrów do tyłu względem planu podróży. Jeżeli zostawię psa, istnieje ryzyko, że Carl zamknie się w sobie. Postanawiam więc wykorzystać jakoś ten czas. Zastanowię się, gdzie porzucić auto wcześniej, niż planowałam. Kupię trochę psiej karmy, plastikowy pokrowiec i koc, żeby nie ubrudzić eleganckich skórzanych foteli. Pozwolę Carlowi na lody Dreamsicle. Namówię go na fryzjera, niech podetnie włosy i zrobi płukanek na siwiznę. Jeśli będzie trzeba, ogolimy go na лыso.

Carl nie zdaje sobie sprawy ze zwyżki mojego morale. Rozkłada domowej roboty broszurkę, którą pewnie zabrał z zasypanego ulotkami stolika w przychodni.

Kątem oka widzę pajęczy kształt narysowanego odręcznie drzewa i imię nie imię „Matteuss” między gałęziami. Domyślam się, że to reklama ogrodnika (który wkrótce wypadnie z interesu, jeżeli na żywo kształtuje drzewa równie koślawo, jak je rysuje i jak stawia litery). Carl jest pochłonięty treścią ulotki.

Liczę do trzech.

– Słuchaj, Carl. Musisz ograniczyć żądania. Swoje warunki.

Gromi mnie wzrokiem.

– Mój pastor zawsze najpierw mówił: „Słuchajcie”, a potem czytał z ambony fragment Biblii. To słowo zawsze kojarzyło mi się z rozkazem.

Carl podsuwa mi broszurę pod nos. Czytam.
„Pamiętajcie”.

A także: „Mateusz 13,42”.

Zatem to nie imię autora ulotki, lecz adres wersetu z Biblii: o „piecu rozpalonym”, z Ewangelii według św. Mateusza. Carl odwraca kartkę na drugą stronę. Wskazuje odręcznie narysowaną mapkę i niewielki X nieopodal drogi na farmę.

Czy X oznacza Rachel?

– *Słuchaj* – mówi. – Oto nowy warunek: pojedziemy tam.

Carl udaje, że pstryka zdjęcia. Unosi dłonie na wysokość twarzy i naciska nieistniejący spust migawki. Jest jak ta kobieta w domu pani T dziergająca widmową robótkę. Stoi po kolana w trawie na łące, jakieś dwieście metrów ode mnie. Na horyzoncie kłębią się czarne chmury. Na farmie znajduje się kilka budynków rozrzuconych jak pudełka zapalek, poza tym pustka i trawa.

Cofaliśmy się w polne drogi raz, drugi, trzeci, zanim w końcu znaleźliśmy to miejsce. Niczym się nie wyróżnia. Wygląda jak każde ranczo na uboczu. To samo można powiedzieć o żwirowym zjeździe z drogi i tablicy „Zakaz wstępu”.

Carl upiera się, że jest zwyczajnym turystą, badaczem historii i że znalazł ulotkę na tablicy informacyjnej w przychodni weterynaryjnej.

Nie widać żadnych pozostałości po dymiącej ruinie usytuowanego trzynaście kilometrów od granic Waco obozu religijnego, który ćwierć wieku temu FBI zmiotło z powierzchni ziemi, zabijając ponad osiemdziesiąt osób, w tym niemowlęta. Jesteśmy jedynymi intruzami: mężczyzna kręcący piruety na łące i dziewczyna z rozwianymi włosami. Gałąź Dawidowa nadal figuruje w dokumentach jako właściciel terenu. Nikt jednak nie sprzedaje biletów wstępu.

Pewien deweloper miał pomysł, żeby zamienić to miejsce rzezi w biblijny park rozrywki, ale Waco doskonale sobie poradziło z traumą, wywabiło krew z dywanu i po prostu zapomniało. W mieście nie uświadczysz również żadnej tabliczki z informacją, że tutejszy sąd przyklasnął jednemu z najmakabryczniejszych linczów w historii Stanów Zjednoczonych. Rzecz wydarzyła się w 1916 roku na oczach dziesięciu tysięcy gapiów. Ci, którym zajęcie najbardziej uderzyło do głowy, zabrali zwęglone palce ofiar jako pamiątki i wysyłali znajomym pocztówki upamiętniające wydarzenie.

Wiem o tym, ponieważ po drodze Carl przeczytał mi treść gniewnej, pouczającej broszury. Jego głos ma przyjemny, melodyjny

ton, w sam raz do głośnego czytania. Z każdym słowem wyobrażałam sobie, jak to samo robi z moją siostrą, która leży związana na tylnym siedzeniu pikapa i nie ma innego wyjścia, niż go słuchać.

Dostałam gęziej skórki i poczułam ucisk w piersi. Jego zachowanie na tej łące – to, że wygląda jak rozkosznie dokazujące dziecko – jest głęboko niepokojące. A jednak mam wrażenie, że jeszcze nie dotarliśmy *na miejsce*. Carl nie szuka tu niczego konkretnego.

Patrzę, jak figluje. W mojej głowie huczą pytania, których nie jestem jeszcze gotowa zadać.

Czy moja siostra złapała gumę w rowerze?

Czy zaproponowałaś, że wrzucisz rower na pakę pikapa i go zreperujesz?

Czy wpadła na ciebie, kiedy robiłeś zdjęcia?

Czy zatrzymała się, żeby o to zapytać?

Kiedy uświadomiła sobie swój błąd?

Jak brzmiały jej ostatnie słowa?

Te i setki innych w moim archiwum i w dziennikach.

Powietrze się kłębi, jest po trochu gorąco, po trochu chłodno, jakby ktoś wlewał śmietankę do kawy. Niepokojąca aura, którą pchają przed sobą teksaskie burze.

Odwracam się do niewielkiej ceglanej tablicy pamiątkowej, jedyne go pomnika wskazującego miejsce masakry. Na murku leżą kamyki i monety. Wiem, skąd wziął się obyczaj układania zgrabnych rzędów jedno-, pięcio- i dwudziestopięciocentówek – jego źródłem jest grecki mit, w którym mowa o tym, że pieniądze są potrzebne zmarłym do opłacenia rejsu łodzią w zaświaty.

Moją uwagę zwraca kilka bardziej osobliwych przedmiotów: czarno-biała kostka do gry, duży niebieski guzik, złoty kolczyk, kilka muszelek, zielony plastikowy żołnierz i drewniany klocek z literą X z zestawu do gry w scrabble. Każda z tych rzeczy mówi: „Byłam tu”.

Co bym tu zostawiła, gdyby to była tablica pamiątkowa mojej siostry? Ząbkowaną łyżkę do cytrusów, o którą często się kłóciłyśmy? Maleńkiego plastikowego Budę, który wisiał na lusterku w starym czerwonym pontiacu, którym Rachel pojechała do college’u? Delikatnego mosiężnego bożonarodzeniowego aniołka, którego co

roku razem wieszaliśmy?

Łzy napływają mi do oczu. Przesuwam wzrokiem po nazwiskach, zatrzymując się na jednych, pomijając drugie. Nagle widzę: „Rachel Sylvia”. Trzynaście lat.

Rachel. Łatwo dojść do wniosku, że obecność imienia mojej siostry na tabliczce to wiadomość z góry, znak, że podążam właściwą drogą. Ale nie mogę tak tego odczytywać. Bo dostrzegalabym wiadomości od Rachel w każdej sekundzie każdego dnia.

Zobaczyłabym ją w czarno-białej kostce, ponieważ w niedzielne wieczory grywała w tryktraka. Widziałabym ją w żołnierzyku, ponieważ kopałyśmy okopy w błocie. W kolczyku, ponieważ matka wpadła w szal, kiedy Rachel potajemnie zabrała mnie na przekłucie uszu. W klocek z literą, ponieważ ze wszystkich naszych gier scrabble była jedyną, w której nie dawała mi wygrywać.

Choć czasem czuję jej obecność, a nawet z uniesieniem zatapiam się w tym wrażeniu, to jednak przekonanie, że siostra jest moją współniczką w tym, co zaplanowałam, nie doprowadzi do niczego dobrego.

Tkwię w tym całkiem sama.

Wracam myślami do tablicy. Imiona dzieci układają się w szczególnie smutne, makabryczne wersy.

STARTLE SUMMERS, 1 ROK
ZABITY PŁÓD SUMMERSÓW
SERENITY SEA JONES, 4 LATA
MALEŃSTWO JONESÓW, 1 ROK
PAIGE GENT, 1 ROK
DAYLAND L. GENT, 3 LATA
ZABITY PŁÓD GENTÓW

Zapomniana pamiątka. Święty koszmar. Takimi oksymoronami moja siostra opisałyby to miejsce. Rachel uwielbiała bawić się słowami.

„Najświeższe wieści: przepadła bez wieści” – tak by o sobie zażartowała.

Carl coraz bardziej się oddala, jak dziecko nad morzem. Krzyczę do niego, że ma zawracać, i macham rękami, wskazując burzowe chmury, które zdążyły zasnuć połowę nieba. Rosnące wzdłuż drogi na farmę osiemdziesiąt dwa młode drzewa, po jednym na każdego zabitego członka Gałęzi Dawidowej (żadnego dla upamiętnienia czterech martwych agentów ATF) wyginają się z wiatrem.

Krzyczę do Carla, ale na próżno. Podmuch porwał moje słowa i rzucił je między liście, które zerwał z rosnącego obok ceglanej tablicy starego dębu. Temperatura szybko – za szybko – spada.

Dwie godziny wcześniej ostrzegał nas przed zbliżającym się tornadem krostowaty stylistą z Supercuts, przycinając Carlowi włosy. Ostrzeżenie powtórzyła kasjerka w Walmarcie, kobieta w średnim wieku, która zza odejmujących jej lat okularów w czerwone paski z podziwem zerknęła na nasze zakupy: moje nowe etui na telefon (w kropki i z klipsem), wybrane przez Carla kwaśne żelki i duże opakowanie czekoladek Whitman's, pakując je do siatki, aż w końcu skomentowała:

– Macie chyba normalnie Gwiazdkę w lipcu. – Wyszło jej „gwizdkę”. – Farciarz ten wasz psiak – zauważyła, skanując kody puszek puriny, opakowań z suszonym mięsem oraz „wyjątkowo wygodnej odblaskowej obroży z miękką warstwą zapobiegającą otarciom”, na którą uparł się Carl. Zanim się zdecydował, pomacał najpierw srebrzyste obroże łańcuszki.

– Chcesz się z nim zamienić i dostawać zastrzyki w dupę? – odparł Carl.

Klik. Klik. Klik. Obracam się na pięcie i widzę, że Carl i jego wyimaginowany aparat znajdują się raptem kilka metrów za mną. Carl mlaska językiem o podniebienie. Jak mu się udało tak szybko pokonać tę odległość? Musiał przebiec dwieście metrów po łące, ale nie wygląda na zdyszanego.

Podskakuje, przykłęka, odchyła się, pstryka nazwiska wyryte na białych, czerwonych, różowych i brązowych wypolerowanych ceglach w kolorach skóry, krwi, kości. Wykopano je na terenie posiadłości, o czym można przeczytać na tablicy. Oczy mu się świecą na widok monet, jakby chciał je zwędzić.

Przerywa szalony taniec i opuszcza niewidzialny aparat na niewidzialnym pasku. Pantomima, którą uprawia, jest tak przekonująca, że niemal widzę przedmiot w jego rękach. Carl wskazuje pole.

– Mój brat stał tam. Patrzył, jak się pali. To trwało niecałe pół godziny.

Brat. Wiem, że miał brata, który zmarł na raka. Na pewno nie był ani policjantem, ani wyznawcą Davida Koresha.

– Norm należał do ochotniczej straży pożarnej w Axtell – ciągnie Carl. – Wezwano ich za późno, a potem zabroniono się zbliżyć. Kiedy FBI wreszcie pozwoliło im podejść z węzami, w środku były już same kości. Szkielet domu, szkielety ludzi. Brat ciągle do tego wracał, przez rok o tym gadał. Lubił patrzeć, jak się pali.

– Nie było mnie wtedy na świecie – bąkam.

Dopiero zostałam poczęta. Byłam w wieku „Płodu Gentów”. O bitwie sekty z FBI dowiedziałam się na zajęciach z religioznawstwa. Zostały mi w głowie dwa obrazki – krajobraz przed: obóz zaprojektowany przez wątpliwych apokaliptycznych architektów, wzniesiony z tanich materiałów, ale z rozmachem, i po: skłębione pomarańczowe płomienie.

– Politycznie poprawne dziadostwo, ot co – szydzi Carl, mając na myśli tablicę pamiątkową. Ponownie wskazuje brodą puste pole, na którym stał obóz. – Wiesz, że pięćdziesiątego dnia oblężenia FBI odcięło zasilanie? – Kręcę głową. – Na dworze minus siedem, wiatr pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a oni wyłączają prąd. Zalali obóz światłem reflektorów punktowych, jakby urządzali wyprzedaż aut. Uderzyli nagraniami krzyku zabijanych królików, wiertel dentystycznych i śpiewów tybetańskich. Tam były dzieci. Użyli gazu łzawiącego. Wykorzystali cholerne maszyny wojenne, żeby się dostać do środka. Nic dziwnego, że te religijne świry pomyślały, że nadchodzi koniec świata. FBI spełniło przekłętą przepowiednię Koresha, tępego bękarta imieniem Vernon, którego urodziła czternastoletnia dziewczyna. Człowieka niespełna rozumu nie należy doprowadzać do ostateczności, prawda? Policja tego nie rozumiała.

Carl, zdecydowany w swoich sądach człowiek, który ukończył

historię sztuki, dokumentalista, ma przebłysk świadomości podszyty obłędem.

Mam jednak wrażenie, że ten pierwiastek szaleństwa każe Carlowi zmyślać. Próbuje mnie przestraszyć. Krzyczące króliki? Na mój nadgarstek spada pierwsza gruba kropla deszczu. Włosy wpadają mi do oczu, przyklejają się do ust. Carl powoli unosi dłonie na wysokość twarzy i pstryka mój nieistniejący portret.

Uderza mnie w głowę grudka gradu. Kolejna trafia w kark.

Nawet w dokumentach sądowych dzieciństwo Carla zostało opisane dość pobieżnie. Skoro jego brat mieszkał w tych stronach, to może Carl również? I niewykluczone, że po raz pierwszy zobaczył Nicole Lakinski znacznie wcześniej, niż sądził prokurator. Jutro postaram się sięgnąć do plastikowego pojemnika i dorzucić kilka jej zdjęć do zestawu dla Carla. Wizerunek napiętej buzi Aleksa, syna Nicole, nadal leży na wierzchu stosiku.

– Mój brat licytował w internecie chevroleta camaro z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, który kiedyś należał do Koresha – mówi Carl. – Nie wygrał, bo za mało dawał. Wózek poszedł za trzydzieści siedem tysięcy.

– Carl, po co tu przyjechaliśmy?

– A to nie był twój pomysł?

– Nie, to ty... – urywam. – Wracajmy do auta, zanim lunie. Znajdziemy jakiś motel.

Carl podchodzi niebezpiecznie blisko, znów unosi dłonie. Góruje nade mną.

Wyobrażam sobie swój portret w zbliżeniu. Mokre ciuchy kleją się do piersi i bioder. Błada blizna między oczami, wyraźna pod spływającym w deszczu makijażem. Jedna brew wyższa od drugiej. Drobnny pieprzyk tuż nad wargą, maleńki diamencik w lewym nozdrzu. Odrosty, które wypadałoby ufarbować. Wybór odcienia wiśniowej coli tylko dlatego, że spodobała mi się nazwa, był jednak błędem.

Nikt mnie nie rozpozna w komputerowej kostnicy zaginionych osób. Matka może czekać całe dni, nawet wieczność, a i tak się nie dowie, co się ze mną stało. Tak jak czeka na wieści o losie mojej

siostry.

Jego brat lubił patrzeć, jak się pali.

Myślę, że Carl już tu kiedyś był.

Chaotyczna gonitwa myśli w mojej głowie. Robię krok do tyłu, kładę dłoń na biodrze, tam, gdzie powinien się znajdować pistolet... który nadal spoczywa w walizce.

Klik, klik, klik, mlaska Carl.

Pani T ma rację. Nie wolno kupować mu aparatu.

Nie chcę zostać kolejną martwą naturą w jego kolekcji.

Carl nagle znów opuszcza dłonie i skupia uwagę na czymś innym.

– Nie możemy jej zabrać ze sobą – utyskuje, z rozdrażnieniem wykrzywiając usta. – Nie mamy miejsca.

Gra w klasy z jego umysłem staje się coraz łatwiejsza.

– Bardzo się cieszę, że zgadzasz się ze mną co do... Ćmy. Znajdziemy dla niej dobry dom.

– Nie mówię o nim – odwarkuje Carl. – Ćma Barowa to chłopak. I warunek. Chodzi mi o nią. – Pokazuje palcem obłęd i powietrze za moimi plecami.

Trzask pioruna sprawia, że mam wrażenie, jakbym pękała na dwoje. Carl stoi niewzruszony, a mnie przechodzi dreszcz. Ciekawe, czy Carl widzi pulsowanie na mojej szyi, ten ruch jak żabiej gardzieli, i czy ma ochotę dotknąć jej dwoma palcami, zatrzymać. Nadal wskazuje coś... i nic.

– Jak ona ma na imię? – pytam ostrożnie. Nie jestem pewna, co się właściwie dzieje, ale nie chcę tego schrzanić.

– Nie powiedziała.

– Znacie się... od jakiegoś czasu?

Nie jest dzieckiem z tablicy? Nie jest Startle Summers ani Serenity Sea, ani Maleństwem Jonesów?

– Jasne. Pięć razy jej mówiłem, że nie może jechać. Wiecznie jest cała mokra.

– Jak długo tu stoi?

– Niby skąd mam wiedzieć? Przecież byłem na łące. Sama ją zapytaj. I powiedz, żeby, do cholery, nie wychodziła poza obraz.

Ubranie ciąży mi jak zbroja. Nogi mam oblepione błotem po kostki. Pamiętam, jak biegałam w mokrych ciuchach, a trener mierzył mi czas, i jak wiele cennych sekund traciłam akurat wtedy, kiedy sekundy się liczyły. Pamiętam też jedną z najpiękniejszych fotografii, jakie wyszły spod ręki Carla: kobieta biegnie w deszczu, a mokra sukienka klei się do jej nóg; wygląda jak wykuta w marmurze bogini. Carl zatytułował tę pracę *Kobieta w deszczu*. Czyżby mu się wydawało, że jej bohaterka opuściła ramy zdjęcia i znalazła się tu, na polu? Czy ją też zabił?

Zerkam na znajdujący się za plecami Carla zwirowy wjazd na posesję. Patrzę na bramę dla bydła, przez którą musimy się przedostać – płynie nią strumień wody. Deszcz obmywa nasze twarze. Carl chyba czeka, aż się odezwę.

– Może... chodźmy wszyscy do samochodu – ponagliam. – Nie

jesteśmy bezpieczni pod tym drzewem. Przemokniemy do suchej nitki.

– Jej problem polega na tym, że ona nigdy nie wysycha ani nie zmienia ubrań. Wiecznie z niej kapie. Po kilku dniach, o ile zabawi tak długo, zaczyna cuchnąć stęchlizną. Poza tym w samochodzie nie ma miejsca.

– No chodź, Carl – mówię, po czym przywołuję skinieniem pustkę, tego jego ducha. – Ty też.

– Nie udawaj, że ją widzisz. Ona jest już przy bramie. Kiedy biegnie, praktycznie nie da się jej złapać.

Po powrocie do auta moje ciało zwraca się przeciwko mnie. Dzwonię zębami, jakbym wyszła z lodowatej wody. Trzy razy próbuję chwycić palcami kluczyki tkwiące w stacyjce.

Wreszcie Carl wyciąga rękę i sam zapala silnik. Jego łokieć zatrzymuje się dłużej na mojej piersi. Prawie go nie czuję w tej swojej rozdygotanej panice, ale wiem, że tam jest. To przekroczenie ważnej linii, zza której nie mogę się już cofnąć.

Szalejąca na zewnątrz burza jest jak maniackalny prześladowca: smaga drzewa, buja samochodem – bo po prostu może. W ciasnym wnętrzu wozu czuję, że siedzący obok mnie dręczyciel próbuje rozstrzygnąć: zabić mnie i mieć to z głowy czy jednak ciągnąć tę jakże rozkoszną grę.

Jedną trzęsącą się dłoń trzymam na kierownicy, a drugą w kieszeni, z wściekłością pocierając czarno-białą kostkę. Wiatr zdmuchnął ją z murku, zanim się ewakuowaliśmy. Jest śliska. Chłodna. Podarek od Rachel z tablicy.

Carl jest całkowicie opanowany. Nie przechodzą go dreszcze. Suszy sobie włosy jedną ze szmatek z tylnego siedzenia. Rzuca mi drugą. Potem swoją przeciera przednią szybę od środka i zaczyna się bawić przyciskami na tablicy rozdzielczej, próbując znaleźć funkcję odparowywania.

Twierdzi, że duch kobiety wślizgnął się na tylne siedzenie. Jest halucynacją Carla, czemu więc czuję jej obecność? I dlaczego moje nozdrza wypełnia stęchła woń? „Musisz się przesunąć”, zwrócił się do niej.

– Co z tobą, do diabła? – odzywa się Carl. – Mam poprowadzić za ciebie?

Jeśli mu na to pozwolę, to będzie koniec.

W ogłuszającej gradowej kanonadzie czuję się jak Bonnie, z Clyde'em u boku, pod obstrzałem. Przeczekiwałyśmy z Rachel

burze, bawiąc się w udawanki. Pewnego razu, kiedy chowałyśmy się pod kołdrą, pokazała mi książkę z biblioteki, w której było zdjęcie ślicznej Bonnie Parker, zakrwawionej szmacianej lalki w fordzie V8 z 1934 roku, podziurawionej kulami przez teksaskich policjantów. Miała prawie dwadzieścia cztery lata, tyle co ja teraz. Podobno ona też pragnęła śmierci.

Niebo wygląda jak jeden wielki siniak, ma szczególną apokaliptyczną szarozółtą barwę.

Zniecierpliwiony Carl sięga do klamki po swojej stronie, gotów wyjść prosto w nawałnicę, obiec wóz, usiąść za kierownicą i zabrać nas stąd do kolejnego krwawego kółka.

Nagle dociera do mnie, jaka byłam głupia. Że nie zauważyłam czegoś tak oczywistego.

Za każdym razem, gdy wsiadaliśmy do samochodu, Carl otwierał drzwi na tylne siedzenie. „Chciałem być uprzejmy”, twierdził. „Nie narób tam z tyłu bałaganu”, warknął przy moście.

Przypominam sobie inne dziwne urywki jego wypowiedzi po tym, jak opuściliśmy dom pani T.

„O Jezusie, dobra, niech ci będzie. Posłucham tego gównianego country. Tylko weź się już zamknij”. „Pocisz się jak świnia”.

Nie mówił wtedy do mnie.

„Nie możemy jej zabrać ze sobą. Nie mamy miejsca”, oznajmił zaledwie kilka minut temu.

Ponieważ nie byłaby naszą jedyną niewidzialną pasażerką.

Kobieta w deszczu jest druga.

Siedzę na brzegu łóżka i schnę, obracając w palcach kostkę do gry, za ścianą w przyległym pokoju Carl rozmawia ze swoimi duchami, a za oknem wyje wiatr. Czuję, że kostka wróży pomyślność. Wiatr i deszcz rzuciły ją prosto pod moje nogi. Wypadła piątka. Moja szczęśliwa liczba to trzy. Szczęśliwą liczbą Rachel była szóstka. Mimo to zabrałam kostkę.

Wkładam ją z powrotem do kieszeni i zabieram się do przeglądania zawartości toreb z Walmartu, które leżą rozrzucone na jednym z dwóch łóżek. Wolę nie myśleć, co bym zobaczyła w ultrafioletowym świetle, gdybym postanowiła się przyjrzeć babcinym narzutom w niebieskie kwiaty.

Dopiero w trzeciej torbie znajduję to, czego szukam: blokada do drzwi, jak dotąd mój najbardziej natchniony pomysł podczas wyprawy, który doczekał się krótkiego „bez komentarza” ze strony kasjerki. „Brak komentarza to też komentarz”, odburknął Carl.

Kiedy wróciliśmy do smaganego deszczem auta, poczułam się, jakby czyjaś dłoń przeniknęła przez zaparowaną przednią szybę i wymierzyła mi siarczysty policzek.

„Zostań”, poleciłam Carlowi, kiedy podjechaliśmy pod recepcję pierwszego z brzegu taniego motelu, którego neon zamigał przy szosie. Ruszyłam prosto w ciemność, byle uciec od tamtego miejsca, gdzie pękło niebo. W miarę jak oddalaliśmy się od Waco, grad powoli słabł, za to deszcz lał nieustannie, nie przerywając nawet na zaczerpnięcie tchu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po zaparkowaniu przed motelem, było sprawdzenie swojego wyglądu w lusterku wstecznym.

Spływający po policzkach tusz do rzęs wyglądał jak łzy z węgla drzewnego. Włożyłam bluzę z kapturem, którą kupiliśmy w Walmarcie dla Carla i która leżała na tylnym siedzeniu niczym linia podziału pomiędzy dwoma duchami. Ukryłam pod nią włosy

w odcieniu cherry cola, teraz o dwa tony ciemniejsze, bo mokre.

Przygarbiona weszłam do pomieszczenia udekorowanego starymi plakatami przedstawiającymi plażę tysiące kilometrów stąd. Przygarbiłam się, bo pewnego Halloween dowiedziałam się od siostry, że postawa mówi o nas wszystko. Ujawnia nasz wiek, nasze piękno, naszego ducha. „Chcesz wyglądać jak stara wiedźma? Zegnij plecy. Chcesz kuśtykać? Wrzuć parę kamyków do buta albo wsadź linijkę w nogawkę spodni i przyklej ją sobie taśmą do nogi”.

Zaczęłam paplać do chudego chłopaka o indiańskich rysach i z plakietką „Artie” na piersi, że potrzebuję dwóch pokoi: jednego dla mnie z mężem, drugiego dla jego brata, który chrapie jak świnia z ryjem pełnym glutów, co na stówę jest jednym z powodów, dla których w zeszłym miesiącu rzuciła go żona.

Jak najłatwiej zniknąć? Zanurzyć się w strumieniu zwyczajnych, drażniących stworzeń. Milczące, wystraszone dziewczę zawsze się wyróżnia. I zawsze je proszą o okazanie dowodu.

No więc głądziłam. Powiedziałam, że jedziemy na pogrzeb ciotki Barb z Dallas, która się przekreśliła, bo się obżerała chipsami o smaku fromage. Że w tym deszczu jakiś palant o mało nie zepchnął nas z drogi i nie wysłał na spotkanie z ciotką Barb. Że mąż i jego brat zaczęli się kłócić o to, który z nich wysiadzie i pójdzie wynająć pokoje, więc po pięciu minutach miałam dość i postanowiłam sama to zrobić.

Podrasowałam swój teksaski akcent specjalnie dla Artiego, przeprosiłam go za błoto z butów i zobaczyłam w jego wielkich brązowych oczach, że na wysokości „palanta” przestał zwracać uwagę na inne rzeczy. Przypomina mi się Rachel na scenie w liceum albo w college’u, albo kiedy wciskała rodzicom jakąś bajeczkę.

Okazało się, że jestem w tym zaskakująco dobra. W kłamaniu.

Podpisałam się lewą ręką, podałam wymyślony na poczekaniu numer rejestracyjny auta, zapłaciłam sto dwadzieścia sześć dolarów i czterdzieści dwa centy gotówką i ogołociłam automat z krakersów, snickersów i precli – to będzie nasza kolacja. Jeśli chodzi o tablice, to nie sądzę, aby właściciel motelu Casa Blanco miał ochotę wychodzić w deszczową noc na parking i sprawdzać, czy numery pasują do tych

w księdze.

Coś się ociera o drzwi łączące nasze pokoje. Jak na razie słowem nie wspomniałam o obecności drugiego zmokniętego ducha, o którym Carl wyraża się per on. Postanowiłam, że zaczekam z pytaniami, aż trochę odpocznę, a oczy Carla przestaną się szklić.

„Nie podobają im się jego dziwni przyjaciele” – skomentowała pani T, wyjaśniając, dlaczego współmieszkańcy unikają Carla. Uznała to za tak mało istotne, że nie wymagało dodatkowych wyjaśnień.

Na ekranie wyciszzonego telewizora widać złowieszczą mapę pogody. Zbliża się kolejny czerwony zawijas, za nim następny, są jak ożywiona sztuka abstrakcyjna. Na zewnątrz, na galerii, tabliczka informująca o lokalizacji automatu z przekąskami poluzowała się i hałasuje niemiłosiernie; metal szoruje o metal. W środku, w blasku telewizora i czterdziestowatowych żarówek, rzucam ukradkowy cień na ścianę.

Otwieram nożyczkami plastikowe opakowanie ciężkiego czerwonego urządzenia, które wsunięte pod drzwi zabarykaduje mnie przed Carlem. Ważę je w dłoni. Nie jest lekkie. Trochę przypomina lewarek. Dziewiętnaście dziewięćdziesiąt pięć plus podatek – niewysoka cena za możliwość wyspania się. Budżet topnieje. Zostawiłam osiemdziesiąt osiem dolarów i dwadzieścia jeden centów w Walmarcie. W niecałe czterdzieści osiem godzin wydałam prawie osiem setek. Na razie chowam blokadę pod łóżkiem.

Pukam do drzwi prowadzących do przyległego pokoju. Nie ma łańcuszka, jedynie zdrapana farba w górnym prawym rogu, tam, gdzie się kiedyś znajdował.

– Carl, przygotowałeś ubranie? – Stukam ponownie. – Carl?

Drzwi uchylają się na dziesięć centymetrów. Wysuwa się dłoń, a w niej brudne, zakrwawione dżinsy i koszula. Dobrze przynajmniej, że nie ma bielizny.

– Dzięki – mówię, a on już cofa dłoń i zamyka drzwi. – Weź leki! – dodaję głośniej.

Brak odpowiedzi. Zza cienkiej ściany dolatuje ciche dzyń, dzyń i rechot publiczności w studiu telewizyjnym. Może to i lepiej, że już się dziś nie zobaczymy.

Podzieliłam zakupy z automatu. Wzięliśmy po coli i piwie z lodówki turystycznej, którą wożę w bagażniku – kolejne łupy z Walmartu. Dzisiaj już mi się nie chce rozkładać zdjęć przed Carlem. Nie wspomniał słowem o Nicole. Myślę tylko o tym, żeby ułożyć się na tej nieszczęsnej gąbce na łóżku i odpłynąć w sen.

Najpierw jednak ciuchy. Rozebrałam się w łazience i wzięłam letni prysznic. Schylałam się po to, co zostawiłam na podłodze, i widzę swoje odbicie w zamocowanym na drzwiach tanim długim lustrze.

Nie jest źle.

Bez butów mam metr pięćdziesiąt siedem wzrostu. Bez makijażu i z włosami związanymi w niechlujny kucyk dałabym sobie siedemnaście, osiemnaście lat. Lekko zaokrąglone policzki. Małeńki ćwiek w nosie – znak, że wchodzę w fazę buntu. T-shirt z zoo w Columbus – z pandą, bo pandy są słodkie, a poza tym nic a nic nie łączy mnie z Columbus w stanie Ohio.

Szorty, które kończą się tuż pod łukami pośladków. Widać blaknące siniaki na obu kolanach. Na kostkach ślady po ugryzieniach mrówek.

Z lustra patrzy na mnie delikatna bezbronna dziewczyna. To dobrze, bo lepiej, żeby ludzie nie wiedzieli, co ich czeka. Niektórzy powiedzą, że celowo prowokuję Carla. Że powinnam chodzić zapięta pod szyję. Że poniekąd zasłużyłam na to, co mnie może spotkać.

Przed wyjściem owijam się czarnym workiem na śmieci i sięgam po woreczek strunowy z ćwierćdolarówkami. Sprawdzam, czy mam w kieszeni kostkę do gry. Wyjmuję z torebki zasobnik z gazem pieprzowym. Nie biorę pistoletu.

Nieprzyjemny spacer, mimo że motelowa pralnia, zgodnie ze wskazówką recepcjonisty, znajduje się raptem sześć pomieszczeń dalej, w pokoju numer osiemnaście. Wąska markiza nie stanowi żadnej osłony. Z jednej strony mam deszcz, który smaga mnie po płaszczu z worka na śmieci, z drugiej pozbawione życia czarne okna pokoi.

Mijam samotną cełę, w której rozwalone na łóżku cielsko ogląda porno po ciemku i przy podniesionych roletach, tak że każdy może zobaczyć. Nieopodal stoją tylko trzy pojazdy: nasz pikap, stara toyota camry, należąca pewnie do pornomaniaka, i czerwone audi z wypożyczalni, które nie pasuje do tego miejsca. Audi wydaje się znajome, mam wrażenie, jakbyśmy kilka razy mijali je na szosie. Albo może widziałam je w reklamie w przerwie Super Bowl?

Kusi mnie, żeby zawrócić do pokoju, ale nie. Jest dopiero wpół do ósmej, a to są najlepsze dzinsy Carla. Muszę trzymać rękę na pulsie nawet w kwestii pokrwawionych ubrań.

Kładę dłoń na gałce i obracam. Właściciel obiecał, że otworzy pralnię specjalnie dla mnie, i tak zrobił. Ale światła już nie zapalił. Wchodzę do ciemnego jak grób pomieszczenia i przez dobre dwie minuty szukam włącznika, przesuwając dłonią po ścianie. Wreszcie go znajduję – półtora metra od drzwi. Światłówki ozywają i rzucają sine światło na dwie stare pralki, jedną suszarkę z drzwiczkami jak okno na statku kosmicznym i poplamioną betonową podłogę. Nikt się nie krył w mroku.

Podnoszę pokrywę najpierw jednej pralki, potem drugiej.

Nie ma karaluchów. Nie ma części ciała ani pleśniejących ciuchów. Tylko wyszorowany do czysta, porysowany metal. Wypuszczam powietrze, które nieświadomie zatrzymałam w płucach. Obdzielam pralki po równo naszymi rzeczami, napuszczam wodę i zaczynam wciskać guziki. Stwierdzam, że w obu urządzeniach brak programu

szybkiego prania. Trudno, najważniejsze, że nie muszę pracować ręcznie w umywalce w motelowej łazience, zwłaszcza jeśli spojrzeć na błotno-krwawą zupe, która zdążyła się uwarzyć w bębnie. Przypominam sobie, że nie zamknęłam drzwi. Sięgam do zasuwki, rugając samą siebie za niedopatrzenie.

Kiedy pralki pracują, wkładam pięć dwudziestopięciocentówek do otworu w suszarce i zamykam drzwiczki. Może ogrzeje wewnętrzny chłód, który nie chce mnie opuścić. Suszarka zaczyna burczeć. Osuwam się na zapiaszczoną podłogę i opieram głowę o maszynę. Wyobrażam sobie uwięzione w środku obracające się duchy Carla.

Kiedy otwieram oczy, otacza mnie ciemność. Suszarka się wyłączyła. Nadal trzymam kolana pod brodą. Nie wiem, ile czasu minęło. Zimny beton pod tyłkiem, rozgrzany metal za plecami. Powieki ciężkie od snu. Uspilo mnie ciepło i dudnienie suszarki, szum deszczu, świadomość, że drzwi są zamknięte.

Pralki wirują jak szalone, jakby miały się rozlecieć na tysiąc kawałków. Powietrze w pralni przyprawia o mdłości, jest ciężkie od zapachu proszku i dymu.

Nie ma światła! Jest dym! Myśli eksplodują w mojej głowie. Co to oznacza? Że w pomieszczeniu znajduje się ktoś jeszcze. Że coś się pali. Jedno z dwojga albo jedno i drugie.

Macam dokoła po podłodze, rozpaczliwie szukając plastikowego woreczka z gazem i drobnymi, którym mogłabym zadać cios z całej siły w twarz, krocze, kolano. Znajduję tylko brud, stwardniałą przeżutą gumę i starą chusteczkę do suszarki.

Ślepa i zdezorientowana zaczynam pełznąć na czworakach w stronę drzwi, to znaczy w kierunku, w którym, jak mi się wydaje, powinny się znajdować. Zapamiętałam całkiem nieźle, z tym że zamiast na drzwi najpierw natrafiam na włącznik światła. Pstrykam i odwracam się. W pomieszczeniu jest pełno dymu, ale nie aż tyle, żeby nie było widać Carla siedzącego na jednej z pralek. Posyła mi leniwy uśmiech. Na jego kolanach leży mój woreczek z ćwierćdolarówkami.

W dłoni trzyma źródło dymu.

– Jak się tu dostałeś? – Ledwo nad sobą panuję.

– Obróciłem gałkę. Za drugim razem zrobiłem to mocniej.

– Po cholere wyłączyleś światło?

Wypuszcza błękitną nitkę.

– Żeby nas nie aresztowali. Poza tym czy nie śpi się lepiej po ciemku? – Zaciąga się skretem. – Niezły towar. Coraz bardziej cię lubię.

Nie pytam, skąd wziął zioło, bo przecież dobrze wiem: podwędził je z mojej walizki. Pali Larry’ego G od gościa z mommyzhelper.com, z którym się spotkałam w Rice Village i który załatwił mi prawa jazdy i tablice. Okazało się, że Larry G odpręża, owszem, ale inaczej niż ten słuchany z płyty.

– Wskakuj – mówi Carl, wskazując drugą pralkę. – Zostało pięć minut wirowania.

– To nie moje zioło – odpowiadam.

– Oczywiście, że nie.

– Carl, proszę cię, trzymaj się z daleka od mojej walizki, bo będziemy mieli poważny problem.

– Nawzajem.

Pomimo tej riposty język ciała Carla sugeruje uległość, za którą częściowo odpowiada trawka. Wdrapuję się na pralkę. Carl podaje mi skreta. Waham się przez chwilę, ale w końcu głęboko się zaciągam. Minęły dwa lata, od kiedy rzuciłam wszystko, co mogłoby wpływać na moją koncentrację. A teraz? Teraz chyba muszę zrobić, co będzie trzeba, żeby stworzyć więź.

– Kim jest ten drugi duch? – pytam. – Ten, który wsiadł z nami, kiedy odjeżdżaliśmy spod domu pani T.

– Kto mówi, że to duch? – Carl wypuszcza smużkę, która wije się jak wąż. – Nazywa się Walt.

– Czy... jest tutaj?

– Został w pokoju, ogląda *Familiadę*. Nie chciał przełączyć na Discovery, więc poszedłem się przejść.

– Jak długo się znacie?

– Od dawna. Kiedyś robiłem mu zdjęcia w Big Bend. Parę razy się spiliśmy.

– Jak wygląda?

– No, maratończykiem to on nie jest. Dawniej jeździł na ciężarówkach. Lubi, gdy mu się stawia piwo.

Biorę kolejnego bucha. I jeszcze jednego. Postanawiam nie pytać o to, czy Walt zawsze był niewidzialny, nawet kiedy razem tankowali. I czy jego przezroczyść wychodzi również na zdjęciach, które Carl mu robił.

– A dziewczyna?

– Odeszła przed godziną. Kto by pomyślał, że będzie uczulona na psią sierść i dym. Mówi, że *Familiada* jest dla kretynów. Wiecznie coś ją wnerwia. – Zabiera mi skręta i pociąga. – Nie lubi, kiedy rozmawiam o niej z innymi.

– Ją też fotografowałeś?

– Możliwe. Ślicznotka z niej. Piękne usta. Jak twoje.

– Bawisz się ze mną w kotka i myszkę?

– Trochę – przyznaje. – Mam dla ciebie nowy warunek.

– Jak się czuje Ćma? – szepczę do słuchawki, sama nie wiem dlaczego. Oddziela nas ściana, założyłam blokadę na drzwi, a zanim wyszłam od Carla o dziesiątej, ten już chrapał. Zresztą co z tego, jeśli się dowie, że dzwonię, żeby zapytać o stan psa?

– Wspaniale. Śpi jak niemowlę. Włożyłam mu do klatki mojego pluszowego misia, który przynosi szczęście. – Okazuje się, że o północy Daisy jest równie radosna jak za dnia. – Jego stan się poprawia i to nas bardzo cieszy. Ciocia Kiwi mówi, że szybko się wylizę, bo jest jeszcze młody.

– Świetnie. Doskonała wiadomość. Mam nadzieję, że zdołasz się przespać.

– Proszę jeszcze raz podziękować panu Smithowi za te dwadzieścia dolarów na mój fundusz harwardzki. W przyszłym tygodniu podchodzę do PSAT. Nie musiał mi dawać pieniędzy, bo i tak kocham wszystkie psiaki i zajęłabym się Ćmą choćby za darmo.

– Panu Smithowi – powtarzam jak echo.

– Pani ojcu.

Fałszywe nazwisko, które podałam w przychodni.

– Tak. Oczywiście, przekażę.

Budżet Carla na fanaberie. Zostało mu już tylko dziesięć dolarów. Nowy warunek jest taki, że Carl chce płukać złoto za pomocą patelni, którą ukradł pani T.

Mam ochotę szybko wytłumaczyć Daisy, dlaczego Harvard nie patrzy przychylnym okiem na opalone dziewczyny imieniem Daisy z Waco w Teksasie, które czytają sprośne romansidła, a w wolnym czasie z oddaniem zajmują się psami, nawet jeśli te dziewczyny są wspaniałymi osobami. I że z tych samych idiotycznych powodów, dla których Harvard jej nie zaakceptuje, Carl i jemu podobni przyjmą ją z otwartymi ramionami. Rezygnuję jednak i tylko dziękuję jej za to, że w przychodni podsunęła mi swój numer telefonu, a teraz odebrała pomimo późnej pory.

– Dobranoc, Daisy – mówię.

Otwieram leżącego na łóżku laptopa. Kiedy staliśmy na opuszczonym polu przy tablicy pamiątkowej, Carl powiedział coś, co od tamtej pory nie daje mi spokoju.

Loguję się do sieci motelowej. Do diabła z zasadą, że będę korzystała z komputera wyłącznie w sytuacjach awaryjnych. W niecałe czterdzieści osiem godzin przekonałam się, że odcięcie od świata może być dla mnie równie groźne jak połączenie z nim. Muszę przyjąć na wiarę, że program do szyfrowania łącza, który ściągnęłam dwa tygodnie temu, ukryje moją lokalizację.

Kilka kliknięć i już znam odpowiedź.

Miałam nadzieję, że Carl kłamał, mówiąc o krzyczących królikach. Nie kłamał.

Dzień trzeci



Mój notes przetrwania, 9 lat

Jak się nie bać wpadnięcia do grobu

- 1. Uważać na dziury.*
- 2. Nie chodzić po miękkiej ziemi.*
- 3. Nosić głośny gwizdek.*
- 4. Na wszelki wypadek mieć przy sobie krakersy rybki.*
- 5. Nie rozmawiać z duchami.*

*

TYTUŁ: PANNA MŁODA

*Podróż w czasie. Fotografie Carla Louisa Feldmana
Calvert, Teksas*

Odbitka chromogeniczna

Komentarz autora: „Spodobała mi się najbardziej ze wszystkich dziewcząt na ulicy. Nie sądziłem, że seksowna biała koronka tak bardzo mnie skusi. Sfotografowałem ją pod każdym możliwym kątem, każdą krągłość. Spoglądała na mnie jak dumna panna młoda, którą była, niemal wyzywająco, nawet kiedy zaczęło padać. Deszcz przydał jej kruchości. Zacząłem dostrzegać pęknięcia w jej makijażu. Wiedziałem, że nie ma szans i wkrótce zamieni się w szkielet, tak jak cała reszta”.

Wiatr całkiem zmierzwił sierść na pysku Ćmy Barowej, który od pół godziny kręci się z tyłu od okna do okna i wystawia łeb na zewnątrz. Nie wygląda, jakby musiał przy tym przestępować przez naszego widmowego pasażera Walta ani zważać na osiemnaście delikatnych szwów, które zamknęły dziurę w jego boku.

Daisy dorzuciła pluszowego misia. Obyło się bez długich pożegnań. Carl nie miał okazji figlarnie pociągnąć za ten jej śliczny warkocz. Nie wiem, czemu wcześniej nie pomyślałam o tym, że Carl będzie się rozglądał za innymi ofiarami poza mną. Albo przynajmniej szukał taniej podniety.

Oboje mamy kaca i lekki roztrój żołądka po Larrym G. Zaspaliśmy. Wyboje na autostradzie stanowej numer sześć mieszają nam w garnkach – to słowa Carla, nie moje. Rano pogderał, ale w końcu przyjął do wiadomości, że śniadanie będzie skromne: poobijane jabłko z misy w recepcji Casa Blanco i tani baton z muesli. Skutek jest taki, że wyzbył się gadatliwości. Upiera się, żebyśmy gdzieś stanęli i kupili litrowe plastikowe torebki – to w ramach jego absurdalnego planu płukania złota. Przypomina mi się, że nie oddał mi woreczka z ćwierćdolarówkami.

Trochę żałuję, że się razem upaliliśmy. Wprawdzie Carl nieco się otworzył, ale za to moja paranoja zyskała pożywkę. Mam wrażenie, jakbym jechała o dwadzieścia kilometrów na godzinę szybciej, niż pokazuje prędkościomierz. Dwa razy raptownie się obejrzałam, bo wydawało mi się, że ktoś mamrocze za moimi plecami.

– Siedzisz jak na szpilkach – skomentował Carl przed kilkoma minutami.

Być może dlatego, Carl, że wiem, iż na miejscu, do którego zmierzamy, odcisnąłeś swój krwawy ślad. Dzieli nas niecały kilometr od drugiego czerwonego kółka na mojej mapie, miejsciny położonej mniej więcej sto kilometrów na południe od Waco.

Sama nie wiem, dlaczego nazywam je czerwonymi kółkami. Brzmi to lepiej niż chłodne „ofiary płci żeńskiej”. Albo rozpalające wyobraźnię „martwe dziewczyny”. Pod żadnym pozorem nie zamierzam zaspokajać wilczego apetytu świata na gładką białą skórę pozostawioną, by zgniła. Nigdy nie napiszę książki o siostrze. Żadna część mojego archiwum, dotycząca żadnej z dziewczyn, kobiet, osób płci żeńskiej, *ofiar*, nie zostanie upubliczniona.

Tłumaczę sobie, że ludzie nie są w stanie opanować makabrycznej ciekawości. Zanadto oddalili się od rzeczywistości. Każdy normalny człowiek, który znalazłby się w zimnej, ciemnej jaskini mojego boksu w kompleksie magazynów samoobsługowych i zechciałby się zapoznać z najbardziej drastycznymi materiałami, które zgromadziłam, już po dziesięciu minutach zwróciłby zawartość żołądka.

Żaden normalny człowiek już nigdy nie byłby taki sam, gdyby spędził nieco czasu z pogrążonym w żałobie ojcem, który słyszy krzyk swojej córki, ilekroć kładzie się spać, w barze z pijanymi policjantami z wydziału zabójstw, którzy poją się dowcipami, by zapomnieć, z seryjnym mordercą, dla którego liczy się wyłącznie to, kiedy i gdzie znów będzie mógł się napić mrożonej słodkiej herbaty.

– Calvert, Teksas – zauważa leniwie Carl, czytając napis na tablicy. Zdejmuję nogę z gazu. – Populacja jeden, jeden, zero, zero. W tym mieście stała kiedyś największa odziarniarka na świecie.

Włączam kierunkowskaz i skręcam z głównej ulicy w lewo.

Carlowi chodzi o maszynę z dziewiętnastego wieku, a ja wyobrażam sobie dzień w dwudziestym pierwszym, kiedy dziennikarze i reporterzy rozbiegli się po mieście jak karaluchy. Zdjęcia z miejsca zbrodni, za których odbitki dałam w łapę pewnemu strażnikowi Teksasu niskiego szczebla. Istny horror show, mimo że ofiary nawet nie było na fotografiach.

Carl się myli, wcale nie siedzę jak na szpilkach. Ten etap mam dawno za sobą.

– Zatem znasz Calvert – rzucam niby mimochodem.

– Grono pięknych dam, ledwo dyszą, skóra i kości. Jezus, powinnaś się przejrzeć w lustrze. Chodzi mi o wiktoriańską architekturę³. Weź

na przykład cmentarz. Albo podupadającą galerię sztuki. Wybierz sobie. Większość wiktoriańskiego Teksasu już nie istnieje. Z wyjątkiem Calvert.

– Miała na imię Vickie – rzucam z wściekłością, zatrzymując się przy chodniku. – Jesteśmy na miejscu.

– To jedna z tych twoich przeklętych czerwonych kropek?

Wyłączam silnik. Carl wpatruje się w chaotyczną płataninę kopuł, wieżyczek, daszków, skrzydeł i wykuszy, której w 1902 roku architekt nadał miano Królowa Anna. Osiem lat temu zjadliwe media przechrzcili to miejsce na Krwawą Victorię.

Dziś Krwawa Vik – jak w skrócie mówiono – wygląda jak pobita przez kochanka. Strupy białej farby, w oknach sklejkowe bandaże, połamane tralki, podrapane zakrętasy, przetrzebiony gont.

– Ucieszy cię pewnie fakt, że pamiętam ten dom – oznajmia Carl. – Zatrzymywałem się przy nim od czasu do czasu, będąc w Calvert, ponieważ dokumentowałem stopniowy upadek ulicy dam. Nazywałem go Panną Młodą, bo wiesz, te wszystkie koronki i wykończenia. To zawsze był mój ulubiony dom na ulicy dam. Raz dostałem na niego zlecenie. Przez cały ranek obfotografowałem go dla babci z domu spokojnej starości, która kiedyś tu mieszkała. Zażyczyła sobie obraz do pokoju. Siostrzeniec z Kalifornii molestował ją, żeby sprzedała budynek i przelała mu forszę. Ciekawe, jak to się skończyło.

Niezbyt dobrze, Carl. Sąsiedzi też cię zapamiętali, mężczyznę z aparatem, który zaglądał do środka kilka dni przed zniknięciem Vickie Higgins. Ktoś zapisał numer rejestracyjny twojego wozu. Policja cię namierzyła. Zatrzymali cię po tym, jak wyszedłeś za kaucją przed procesem w sprawie Nicole Lakinski, i zasypali pytaniami.

Później, kiedy zeznawałeś pod przysięgą, prokurator dołożył swoje. Poprosił policjantów, żeby porozmawiali z „babcią z domu spokojnej starości”, ta jednak, jak można się było spodziewać, nic nie pamiętała. W końcu sędzia uznał, że wzmiankowanie o Vickie przy okazji procesu w sprawie Nicole wywołałoby negatywne skutki prawne dla oskarżonego. Tak oto nadal pozostajesz na wolności.

Przerywam wewnętrzny monolog, nabieram powietrza i opuszczam

nieco szybę w drzwiach.

– Ćmo, zostaniesz w aucie, dobrze? Nie chcę, żebyś sobie naciągnął szwy. – Poprawiam misia, podsuwam go bliżej psiego łba i widzę łagodne oczy wpatrujące się we mnie z większym uczuciem niż to, którym darzył mnie mój ostatni chłopak. Tylko Andy tak na mnie patrzył.

Nie przywiązuaj się, Ćmo. Nie mam pojęcia, jak to się skończy.

– Na werandzie czeka na nas agentka nieruchomości – mówię do Carla. – Mamy pół godziny spóźnienia. Rób to co ja. Przytakuj wszystkiemu, co powiem. Jeżeli coś sobie przypomnisz, zaczekaj z poinformowaniem mnie o tym, dopóki nie wrócimy do auta.

– Tak jest, szefowo. Patrz, macha do nas.

Chętny do współpracy Carl odpowiada agentce tym samym gestem.

W milczeniu przecinamy pusty trawnik. Wiążę z tym czerwonym kółkiem rozpaczliwą nadzieję. Tutaj, w tym budynku, znajduje się pomieszczenie, w którym działały się okropne rzeczy. Zaprowadzę tam Carla. Niech wejdzie. Niech usłyszy krzyk Vickie.

Agentka nieruchomości przytrzymuje dłonią słomkowy kapelusz z opadającym rondem i ostrożnie stąpa po wytartym dywanie mchu porastającym podłogę frontowej werandy. Pod próchniejącą podłogą widać chłodną pieczarę – Rachel zawlekłaby mnie tam, żeby się pobawić w trolle pod mostem. Lubiła słuchać moich pisków.

– Spóźnili się państwo – odzywa się szorstko agentka. – Mam na imię Trudy. Witam w Calvert. Doskonale miejsce na ucieczkę z przedmieść. Lata świetności ma za sobą, ale w czasach wiktoriańskich było czwartym co do wielkości miastem w Teksasie. Jediną rzeczą, która odróżniała *Downton Abbey* od Calvert, był akcent. Przed państwem wspaniały budynek, prawdziwa i rzadka podróż w czasie. Zdecydowanie wart pieniędzy, jakie będą państwo musieli w niego włożyć.

Ani słowa o morderstwie w mieście, w którym zasadniczo nikt nikogo nie zabija. I ledwie sugestia, że remont tej rezydencji za milion dolarów może pochłonąć co najmniej dwa razy więcej.

Kiedy agentka klepie wyuczoną formułkę, ja po raz setny, od kiedy zaczęłam polować na Carla, myślę o tym, jak bardzo fałszywy potrafi

być obraz.

Na swojej stronie Trudy wyglądała na dobre trzydzieści lat młodszą. Twarz ma pokrytą warstwą różowo-pomarańczowego pudru, który kończy się na linii brody. Podkreśliła wargi jasną czerwienią i kiedy je ściąga, tak jak teraz, trudno oderwać od nich wzrok. Starcie rozżarzonego do białości słońca z zebrowo-pelikanowym pandemonium na jej bluzce przyprawia mnie o lekki zawrót głowy.

– Pani T lubiła *Downton* – odzywa się Carl. – Przepadała za panem Batesem, dopóki nie zaczął krytykować kuchni swojej żony.

Trudy posyła Carlowi lekceważący uśmiech. Uprzedziłam ją przez telefon, że Carl cierpi na demencję i że szukamy z mężem lokum do remontu, w którym umieścimy jego firmę konsultingową, mojego umierającego ojca oraz naszą powiększającą się rodzinę.

Rano usunęłam ćwiek z nosa i ozdobiłam uszy dwoma srebrnymi sztyftami w kształcie krzyżyków. Związałam włosy w drobnomieszczkański koński ogon i włożyłam białą letnią sukienkę na ramiączkach kończącą się skromnie tuż nad kolanami. Na palcu mam lśniąca w słońcu złotą obrączkę ślubną matki, którą dwa miesiące temu podprowadziłam z jej szkatułki.

Widzę, że mimo to Trudy jest nastawiona sceptycznie; skupia spojrzenie na maleńkiej dziurce w moim nozdrzu. Potem przenosi wzrok na samochód, który najwyraźniej uznaje za wystarczająco dobry, by opłacało się brnąć dalej.

– Czy przyjechali państwo z urządzeniami do badania zjawisk paranormalnych? – pyta.

– Nie – odpowiada Carl.

– Jesteście dziennikarzami?

– Ja nie. A za nią nie ręczę.

– Trafia nam się wielu oglądaczy – wyjaśnia Trudy. – Nie chciałabym tracić czasu.

– O ile się orientuję, dom jest na sprzedaż od czternastu lat – mówię gładko. – Wiemy o morderstwie. Mój ojciec... wierzy w duchy. Zanim wydamy spadek męża, chciałabym się upewnić, że tata niczego się nie wystraszy.

Carl kiwa głową na potwierdzenie.

– Muszę zobaczyć to miejsce.

– No cóż, to ciekawsze niż historie, które zwykle słyszę – stwierdza Trudy i odwraca się w stronę drzwi. – Pokażę państwu większą część parteru, w tym przestronną sypialnię, świetnie się nadającą na apartament dla pana. Na tym poziomie znajdują się również kuchnia, jadalnia, dwa pokoje dzienne, kilka przyjemnych kącików, a także salon w tylnej części domu, ten, w którym doszło do zdarzenia. Wszystkie plamy zostały profesjonalnie usunięte lata temu, toteż nie ma sensu się za nimi rozglądać. W samochodzie mam album ze zdjęciami sypialni i łazienek na pierwszym piętrze oraz pomieszczeń dla służby na drugim, ale może najpierw przekonajmy się, czy po zapoznaniu się ze stanem budynku nadal będą państwo zainteresowani. Przed obejrzeniem pozostałej części domu musieliby państwo podpisać, że robią to na własną odpowiedzialność, ponieważ nie mogę zagwarantować, że schody się nie zawalą. Przebiegam w ostatniej chwili pod zamykającą się bramą garażową, ale za nic nie weszłabym na te próchniejące stopnie. Musieliby się państwo umówić z moim szefem, który – będę z wami szczerą – najchętniej pozbyłby się wreszcie tego ciężaru. Mawia, że jedyne, co się sprzedaje dzięki morderstwom, to książki i broń.

– Jestem bardzo zawiedziony ograniczeniami – odzywa się Carl. – Dużo było tych plam?

Trudy ignoruje go, wpisuje kod do skrytki, wyjmuje klucz i spogląda na zegarek.

– Zabiorę was od razu do pokoju, w którym doszło do morderstwa. Jeśli pan się wystraszy, nie będzie sensu oglądać dalej.

– Nie wystraszę się – zapewnia Carl.

Wchodzimy do holu aksamitnego ciemnością i kurzem. Światło dnia wciska się do środka jedynie przez szparę pod dwoma frontowymi oknami, tam, gdzie brakuje sklejki na co najmniej osiem centymetrów.

– Proszę patrzeć pod nogi – radzi Trudy. – Pokazujemy tę posiadłość tylko za dnia, ponieważ prąd został wyłączony.

Osadzone w górnej części bogato zdobionej klatki schodowej dwa

brudne okrągłe okna witrażowe nadają wnętrzu stonowane barwy. W miarę jak mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności, ogarniam spojrzeniem znajdujący się po prawej stronie pusty pokój dzienny z zamurowanym kominkiem. Trudy rażno rusza ciągnącym się na wprost nas długim korytarzem.

Niewykluczone, że Vickie szła tędy na spotkanie ze śmiercią. Popycham Carla do przodu, tak jak on być może popychał ją. Trudy, niczym przewodniczka wycieczki, omiata ściany i sufit światłem latarki. Dociera do mnie jej stłumiony głos; nie rozumiem, co mówi.

– Powiedziała pani „szacunek za sranie”? – pyta Carl.

Dotarliśmy do masywnych rzeźbionych drzwi na końcu korytarza. Znam je. Na zdjęciach były zabezpieczone żółtą taśmą. Zatrzymujemy się obok Trudy, która świeci latarką na pęk kluczy i wybiera właściwy.

– Szalunek na ścianie, proszę pana. To taki sposób wykończenia wnętrza. – Otwiera drzwi i wprowadza nas do wąskiego pokoju, który ciągnie się przez całą długość domu. Przez pęknięcia w zewnętrznej ścianie wpada wystarczająco dużo światła, bym mogła wyłowić nie większe od rodzynek odchody szczurów na tanim linoleum, połamane żebra dwóch starych drewnianych krzeseł i graffiti: na jednym zabitym deskami oknie różowy odbłaskowy krzyż, na drugim – litery „ADIH”.

– Co to znaczy? – pyta Carl, który zdążył już podejść do okna i teraz przesuwa palcem po H.

– Kolejny dzień w piekle⁴ – wyjaśniam pod nosem.

Trudy robi kilka kroków w głąb pomieszczenia.

– Nastolatki. Raz w miesiącu musimy zmieniać zamek. Patrole policji przejeżdżają tędy każdej nocy, w Halloween średnio co godzinę.

Kiedy agentka odwraca do nas głowę, gwałtownie łapię powietrze, bo nagle odkrywam, dlaczego nie mogłam jej zrozumieć w korytarzu. Trudy założyła bowiem białą maskę na usta i nos. Widać tylko oczy. Na dodatek uniosła bluzkę, tak że mogę zobaczyć trójkąt bladego tłuszczu na jej brzuchu... i pistolet w kaburze.

– Przepraszam, nie chciałam pani wystraszyć. Noszę maskę ze

względu na alergię. Kto wie, ile azbestu kryje się w tych starych domach. Kiedyś przynosiłam maseczki chirurgiczne dla klientów, ale za drogo to wychodziło, poza tym większość ludzi i tak tylko zwodzi. Od pięciu lat nie udało mi się sprzedać żadnego wiktoriańskiego budynku do remontu.

Nie mogę oderwać wzroku od jej dłoni, która spoczywa na kaburze, całkiem podobnej do tej w mojej walizce. Nie sądziłam, że akurat dziś przyda mi się broń.

– Mąż nie puszcza mnie bez tego do pracy. Tyle się dziś czyta w internecie o napadach na agentki nieruchomości. Tylko proszę bez uprzedzeń. Gdyby do kina wtargnął wariat z półautomatem, byłaby mi pani wdzięczna, gdybym siedziała obok pani.

– Tak, na pewno pośredniczenie w handlu nieruchomościami to zawód... podwyższonego ryzyka – bąkam.

Carl stoi w rogu pokoju, nie zwraca na nic uwagi i przyciszonym głosem prowadzi rozmowę ze ścianą. Udaje mi się wychwycić słowa „kap” i „usta”. Coś kapie z ust?

– No proszę, jednak znalazł to miejsce – mówi Trudy, wskazując brodą Carla. – Nawet pani sobie nie wyobraża, ilu świrów i łowców duchów dzwoni do nas i pisze. Vickie Higgins była dobrą dziewczyną. Bezwzględnie zasłużyła na szacunek po śmierci. Miała przed sobą piękne życie. Jej mąż nadal mieszka w tym samym domu co przed tragedią, dwie przecznice stąd. Kupił go ode mnie rok przed śmiercią Vickie. Vickie tak ślicznie wszystko urządziła, a potem przyszła nowa żona i wypatroszyła budynek z historii. Wie pani, że Vickie zniknęła w pierwszą rocznicę ślubu? Kiedy mąż wrócił do pustego domu, na blacie w kuchni leżał rozmrożony szarzejący stek. Miejsce zbrodni odkryto dopiero po trzynastu dniach.

– Tu została dźgnięta, prawda? – pyta Carl z drugiego końca pomieszczenia. – Na ścianę trysnęła krew i wsiąkła w czerwoną tapetę z motywem główek kapusty. Tutaj, w kącie, jeszcze trochę widać. Faktura ciekawie by wyszła na fotografii. – Unosi dłonie na wysokość twarzy i mlaska.

– Dobra, wystarczy. Koniec oglądania. – Trudy wyjmuje broń z kabury. Ruger. Lufą wskazuje drzwi.

Carl stoi nieruchomo, zafascynowany ścianą.

Na zewnątrz czar domu pryska w promieniach słońca. Trudy wyprosiła nas w trybie przyspieszonym, po czym zdjęła maskę i z wprawą, jakby robiła to setki razy, schowała broń do kabury.

– Może byś zabrał Ćmę, żeby się załatwił? – zwracam się do Carla.
– Smycz leży pod fotelem z tyłu. Ja porozmawiam chwilę z Trudy.

Carl palcem wskazującym robi kółko na wysokości skroni i pokazuje na Trudy, która akurat nie patrzy, bo z pochyloną głową zapina kaburę.

– Sekundkę – mówi agentka. – Nie chciałabym przestrzelić sobie babskich narządów, choć i tak rzadko ich używam.

Kiedy podnosi głowę, wyciągam w jej stronę pięćdziesiąt dolarów.

– Proszę nie mieć nam za złe – mówię. – Nie chcieliśmy marnować pani czasu. Proszę zabrać kogoś znajomego na kolację; tata i ja stawiamy. Dom jest piękny, ale wiem, że gdybyśmy tu zamieszkali, tata fantazjowałby o tym, co tu się wydarzyło.

Moja dłoń z banknotem zawisa między nami. Trudy zastanawia się nad moimi pobudkami, zębami zeskrobując z warg pozostałości szminki, której większość zamieniła się w krwistą plamę na wewnętrznej stronie maski zwisającej z nadgarstka agentki.

Na pewno mi nie wierzy. Daję jej łapówkę – to oczywiste.

– Ech, czemu nie? W weekend wybierzemy się z siostrą do Marlina.

– Świetnie. Raz jeszcze dziękuję.

– Chwileczkę. Gwoli ścisłości. Tapeta w tamtym pokoju nie była czerwona, tylko niebieska. A Vickie Higgins zastrzelono, a nie zadźgano. Wyjęli osiem kul ze ściany. W dodatku wcale jej tu nie znaleziono. W ogóle jej nie znaleziono. Niemniej krwi było tyle, że wyłącznie na tej podstawie uznano ją za zmarłą. No i jeszcze ta sprawa z pochówkiem. Rodzice Vickie postawili fantazyjny kamień nagrobny nieopodal krypty Orvissów. Leży pod nim pusta trumna czekająca na zaginione ciało. Ale na pewno wszystko to pani wie.

Kiwam głową. Na stronach o teksaskich duchach można wyczytać, że nad pustym grobem Vickie snuje się welon ślubny, czasem nawet w pełnym słońcu. Absurd.

Na twarzy Trudy maluje się współczucie.

– Wspomnienia, które pani ojciec odzyskał w tamtym pokoju, mogły dotyczyć czegokolwiek. Może na przykład jego babcia straciła kiedyś panowanie nad mikserem i masa na czerwony biszkopt pochłapała ściany. Współczuję pani. Widać niepokojące symptomy. Pod koniec moja matka zrobiła się nieznośna. Zamieniła się w paranoiczkę. Była przekonana, że ktoś ją śledzi. Raz otworzyła puszkę fasolki szparagowej i rzuciła się z wieczkiem na moją siostrę. Z której *naprawdę* była jędza. Broń Boże, żeby w zlewie znalazła choć jedno naczynie albo kawałek obierki z ziemniaka. Wrywała ci szklankę z ręki i szła ją myć, zanim zdążyłaś dopić herbatę. Co nie zmienia faktu, że radzę pani uważać przy tacie.

Sprawdzamy, która pierwsza się podda i odjedzie spod Krwawej Victorii. Udaję, że sadowię Ćmę Barową na tylnym siedzeniu, zajmuje mi to wyjątkowo dużo czasu, aż w końcu Trudy macha do mnie dłonią, jakby wywieszała białą flagę, i rusza.

Czekam pięć minut i dopiero wtedy skręcam w tę samą uliczkę, w którą skręciła ona. Rozglądam się za jej żółtym mini cooperem, jednocześnie parkując pod niewielkim wiktoriańskim domem, w którym mieszkała Vickie Higgins. Istotnie dwie przecznice od miejsca, w którym zakończyła życie.

Zdecydowanie za blisko, myślę.

Jon Higgins, były mąż Vickie, nadal zajmuje ten budynek. Sprawdziłam dwa razy, a Trudy potwierdziła kilka minut temu. Słusznie też zauważyła, że dom został pozbawiony większości swojego uroku wiktoriańskiej damy. Ostał się jedynie maleńki ozdobnik nad werandą od frontu. Siding w gołęxim kolorze, aluminium, szczelne okna, kanciasta dobudówka – wszystkie te zmiany obniżyły wartość domu.

Na podjeździe stoi zabawkowy kosz do koszykówki, a na werandzie przypięty do balustrady wymyślny różowy trójkołowy rowerek. Nieskazitelnie zielony trawnik spod ręki obsesyjnie pedantycznego projektanta ogrodów otacza wystające równiutko na dziesięć centymetrów obrzeże. Może dwie przecznice, nowa żona i dwójka dzieci wystarczą Jonowi Higginsowi, by zapomnieć, że ślady jego paskudnej przeszłości znajdują się raptem kilka kroków stąd. A może Jon wcale nie chce zapomnieć.

Nic nie zyskam, wysiadając z auta. Jon nie odpowiedział na moje listy, prośby słane e-mailem ani telefony, które odbierała sekretarka w jego kancelarii prawnej. Zresztą i tak chyba nikogo nie ma w domu. Po prostu chcę się przekonać na własne oczy, jak wygląda miejsce, w którym Vickie zostawiła na wierzchu steki, aż rozmarzły

i zszarzały. Chcę sprawdzić, czy widok budynku natchnie Carla do zwierzeń. Czy wspomnienie jaskrawych kolorów domu w czasie, kiedy mieszkała w nim Vickie, zachowało się w zakątkach jego mózgu.

Rok temu w restauracji w Dallas matka Vickie pokazała mi zdjęcie swojej najmłodszej córki. Uśmiechnięta dziewczyna z pędzlem w dłoni przysiadła na drabinie stojącej przy werandzie, którą w tej chwili mam przed oczami. „Była bardzo dumna ze swojej Malowanej Damy – powiedziała. – Pomalowała ją na zielono z paprykowoczerwonymi okiennicami i nazwała Oliwką. Koniecznie chciała oddać wszystkie szczegóły typowe dla domów w San Francisco w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Z początku nie mogła się zdecydować. Powinien być fioletowo-brzoskwiniowy? A może błękitno-złoty? A może taki, a może owaki. Znalazła artykuł w jakiejś starej kalifornijskiej gazecie z przestrożą, że agresywne zestawienia kolorów mogą doprowadzić do epidemii szaleństwa. Czasem się zastanawiam, czy autor nie miał racji i czy barwy ścian nie skłoniły kogoś do zamordowania mojej córki”.

Matka Vickie opowiedziała mi o tym pod koniec naszej dwugodzinnej rozmowy, kiedy obie miałyśmy już oczy czerwone od łez. Pokazała mi zdjęcie sukni ślubnej, w którą ubrano nieobecność, zamknięto ją w trumnie i opuszczono do dziury w ziemi, ponieważ ciała dziewczyny, która ją nosiła – tak jak ciała mojej siostry – nigdy nie odnaleziono.

Matka Vickie nie rozpoznała Carla na żadnej z sześciu fotografii, które rozłożyłam przed nią na papierowej podkładce z krzyżówkami i planszami do gry w kółko i krzyżyk.

Umówiliśmy się w lokalu znajdującym się dwadzieścia pięć kilometrów od jej domu. Uznała, że to bezpieczny dystans, wystarczający do tego, by mogła spełnić prośbę dziwnej młodej kobiety, która zadzwoniła i zaczęła błagać o spotkanie, zapewniając, że ktoś jej bliski zniknął bez śladu tak jak Vickie. Oczywiście, wybierając jej numer, wiedziałam, gdzie mieszka: w Plano, w parterowym ceglany domu w ranczerskim stylu, odpowiadającym jej nauczycielskiej emeryturze, po sąsiedzku ze swoją najstarszą

córką, która dwa lata wcześniej zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Wypiliśmy po filiżance kawy i okazało się, że niepotrzebnie się niepokoiłam. Matka Vickie bardzo chciała porozmawiać o córce, bez względu na moje pobudki i kłamstwa, a także ryzyko, na jakie się wystawiała.

– Uwaga – mówi Carl.

Jedne z wrót wolnostojącego garażu zaczynają się podnosić. Ktoś wyjeżdża albo wjeżdża. Zielony prius wpada na podjazd i z piskiem opon zatrzymuje się w miejscu. Otwierają się drzwi od strony pasażera i wysiada chuda kobieta o czerwonej twarzy, ubrana w czarne legginsy i różową obcisłą koszulkę. Domyślam się, że to DeeDee, druga żona Jona, ta, która bezmyślnie potraktowała dom Vickie szarą gumką do wycierania. Drugą gumką wytarła sobie zmarszczki na zdjęciu profilowym na Facebooku. Zupełnie jak Trudy.

– Trudy dzwoniła, żeby mnie przed wami ostrzec! – wrzeszczy. – Wynocha z naszego terenu, bo zadzwonię do męża. Albo wezwę gliny.

Dopada do mojego wozu, prawie wkłada głowę do środka, tak że mogę się przyjrzeć z bliska wszystkim nierównościami na jej nieumalowanej twarzy, a także poczuć woń jej potu po zajęciach jogi i obowiązkowego jajka na twardo, które zjadła na śniadanie.

W jednym z pojemników w bagażniku znajduje się kilka wybranych fotografii Vickie, bladej, ślicznej blondynki. Tymczasem ta kobieta to jej gorsza wersja, mniej udana kopia. Matka Vickie powiedziała, że poznała drugą żonę Jona podczas nabożeństwa żałobnego. „Jon zasługuje na tę kobietę – stwierdziła z goryczą w głosie. – Zawsze za dużo pracował”. Potępienie subtelne, acz pełne wściekłości.

– Zasadniczo nie znajdujemy się na pani terenie – oznajmia Carl – tylko na ulicy. Poza tym nie znamy żadnej Trudy.

– Ty sukinsynu. Trudy powiedziała, jakim autem jeździcie. – Sięga do środka i zamyka mój koński ogon w bolesnym uścisku.

– Na pani miejscu bym tego nie robił – uprzedza Carl. – Radzę puścić, dla pani własnego dobra. Ona jest silniejsza, niż się wydaje.

Kobieta nie rezygnuje.

– Mam dość tego, że Vickie wlecze się za mną jak jebany cień.

– A nie przyszło pani do głowy, że sama jest jebanym cieniem Vickie? – spokojnie odpowiada Carl.

Próbuję posłać mu ostrzegawcze spojrzenie, ale nie jestem w stanie poruszyć głową. Chwył DeeDee jest bezlitosny.

Carl ma rację co do jednego: wiem, jak się wyrwać z uścisku. Po prostu nie jestem gotowa tego zrobić. Umysł Carla znów się ożywił. Może rozpoznaje dom. Może pamięta Vickie. Może od początku rozpoznawał i pamiętał.

– Kojarzy pani Nicole Lakinski, która zginęła w Waco? – pyta Carl. Czuję na policzku ciepłą kroplę jego śliny.

– Głuchy jesteś, dziadek? Gównu mnie to obchodzi! – Wrzask DeeDee rozchodzi się po ulicy, cichej i spokojnej, jeśli nie liczyć uporczywego buczenia klimatyzatorów.

– Pomiedzy Nicole i Vickie istniał pewien interesujący związek – ciągnie Carl.

– Jaki związek? – pytamy obie jednocześnie.

– Pewien szczegół, którego nie ujawniono w trakcie procesu. Prokurator i mój obrońca uznali, że ta informacja nie przysłuży się żadnej ze stron. – Carl wyciąga rękę i chwyta DeeDee za nadgarstek dłoni, którą ona wciąż ścisza moje włosy. – Proszę zapytać swojego męża o powód tej decyzji.

Mięśnie jego przedramienia napinają się, trzyma mocno.

– Już wiem, kim pan jest – mówi powoli DeeDee. – Tym fotografem, któremu się upiekło. Seryjnym mordercą. Czytałam, że został pan bez dachu nad głową i trafił do jakiegoś ośrodka resocjalizacji.

Ćma zaczyna ujadać: najpierw krótki pojedynczy dźwięk, a potem seria szczeknięć jak z karabinu maszynowego. Nie chcę, żeby rana mu się otworzyła. I wolałabym, żeby żaden z sąsiadów nie zadzwonił na policję. DeeDee przenosi spojrzenie ze mnie na Carla i z powrotem. Próbuje się uwolnić z jego uścisku. Jeżą mi się włosy na głowie.

– Jeśli komuś o mnie powiesz, możesz zostać kolejną, której złożę wizytę – oznajmia Carl. – Lubisz, jak ci się robi zdjęcia?

Dość tego. Włączam przycisk zamykania szyby.

– Przykro mi – mówię bezgłośnie.

DeeDee w końcu wyrywa się Carlowi i cofa, potykając się.

Naprawdę trochę mi jej szkoda. Martwa kobieta, nieważne jak dobra za życia ani jak sztywna po śmierci, potrafi nieźle zależeć za skórę.

DeeDee może sobie przemalować fasadę domu, na jaki chce kolor, ale to nieżyjąca Vickie wciąż ma ostatnie słowo. To ona decyduje o jakości życia erotycznego DeeDee i o tym, jak często jej mąż mówi: „Kocham cię”. Jak bardzo DeeDee może się złościć na dzieci. Do jakiego stopnia ignorowane albo rozpieszczane się czują. Które zabawki psują, kiedy i dlaczego to robią. O tym, czy DeeDee poprzestanie na jednym kieliszku wina, czy na trzech, będzie spała dwie czy siedem godzin, zechce jej się zrobić makijaż, posłać łóżko, bezmyślnie ułożyć poduszki. Bez względu na to, jak często DeeDee uprawia jogę, to Vickie decyduje, jak głęboko wolno jej oddychać.

Być może DeeDee nie zawsze lubiła ciągnąć za włosy. Może Vickie wcale nie była takim aniołkiem, za jakiego uważała ją matka. Zmarłych zawsze obmywa się z brudu.

Postać DeeDee w lusterku wstecznym kurczy się do rozmiarów patykowego ludzika. Jestem pewna, że małymi patykowatymi palcami wybiera na telefonie „K” jak Kłopoty, ale mimo to nagle zatrzymuję samochód na środku jezdni. I dopiero wtedy odzywam się do Carla.

– Czy to prawda? Czy istnieje związek pomiędzy zaginionymi kobietami? Czy prokurator zataił dowody?

Sprawą Nicole Lakinski żyję bardziej niż pozostałymi, z wyjątkiem sprawy mojej siostry. To dlatego, że istnieje mnóstwo materiałów i wszystkie je mogłam bez przeszkód pochłonać: zeznania pod przysięgą, stenogramy rozpraw, artykuły z gazet i stron internetowych. Postawiłam niejedno piwo gliniarzom, którzy jako pierwsi zjawili się na miejscu zbrodni. Flirtowałam z mężczyznami, z którymi nie powinnam, i nieraz posunęłam się za daleko. A teraz się okazuje, że mimo to mogłam przeoczyć największy element układanki.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiada Carl. – Przypomnij mi, kogo jeszcze, twoim zdaniem, zabiłem.

Księżyc jest jak wielka pomarańczowa piłka bawiąca się w chowanego z pasmami nocnych chmur. Jego widok byłby kojący, gdyby tylko jazda czarną jak smoła wiejską drogą nie kojarzyła się z pogrzebaniem żywcem, gdyby opony nie wydawały zawodzącego dźwięku na asfalcie i gdybym nie była przekonana, że na siedzeniu obok mnie śpi seryjny morderca. Próbowałam włączyć radio, ale złapałam jedynie ogłuszające zakłócenia.

Od czasu do czasu koło nieoczekiwanie wpada w koleinę, a wtedy podskakuję ze strachu, ale dzięki temu przynajmniej nie zasypiam. Ćma leży na tylnym siedzeniu uśpiony wieczorną dawką środków przeciwbólowych. Carl połknął swoje tabletki – albo udał, że to robi. Położył głowę na jaśku, który oparł o drzwi. Na dywaniku u jego stóp piętrzy się stosik mniejszych i większych kamyków – twierdzi, że wypłukał je na parkingu przed sklepem Kohl's. „Złoto”, oznajmił.

Uparł się, żeby kupić poduszkę (sto procent puchu) i poszewkę w amerykańską flagę (pięćset nici na cal kwadratowy), a także poduszkę i śpiwór dla Walta, które starannie ułożył na podłodze za przednimi fotelami. „Jak piętrowe łóżko”, szepnął Waltowi. Albo Ćmie. Albo obu. Kolejny wydatek – trzysta dziesięć dolarów i dwadzieścia cztery centy.

Myślę o kamerach monitoringu w dziale artykułów wyposażenia wnętrz, przy kasie i na parkingu przed Kohl's w Bryan w Teksasie. Wszystkie zarejestrowały mnie i Carla, choć jedyne, co chciałam zrobić w tym mieście, to po cichu odebrać nowy samochód z wypożyczalni i potwierdzić rezerwację w hotelu.

Przebrałam się w Whataburgerze, w którym zatrzymaliśmy się na późny lunch. Żegnaj, letnia sukienko od Ann Taylor, witaj kostiumie niezbędny w kolejnym akcie: krótka dzinsowa spódniczko, obcisła biała koszulko na ramiączkach, czerwony push-upie i tanie sandały z paseczkami i na dziesięciocentymetrowym obcasie. Rozpuściłam

włosy, umieściłam kolczyk z powrotem w nosie, obwiodłam oczy czarnym eyelinerem.

W biurze Avis zrećcznie posłużyłam się drugim podrobionym prawem jazdy. Choć na zdjęciu jestem blondynką, a w rzeczywistości wciąż mam włosy w odcieniu cherry cola, uznałam, że mogę zaryzykować.

Chichotałam, flirtowałam, łągałam i nawet zapytałam stojącego za ladą uroczego chłopaka, Mike'a, czy czytał thriller science fiction, w którym czerwonowłose dziewczyny działają na jednego z głównych czarnych charakterów jak kryptonit na Supermana. „Mój chłopak przepadał za tą książką – zwierzyłam się Mike'owi. – Ufarbowałam się na czerwono, żeby zrobić mu przyjemność. Wybieramy się do Oklahomy na polowanie, ale potem chyba z nim zerwę. Mówi, że powinnam sobie powiększyć piersi, ale przecież są w sam raz, nie sądzi pan?”

Po czymś takim Mike z trudem panował nad spojrzeniem. Wymusił na mnie deklarację, że będę wyłącznym kierowcą wypożyczanego auta, ale było widać, że jest mu wszystko jedno. Poprosiłam o czterodrzwiowego białego pikapa, bo trudno o mnie rzucający się w oczy wóz na teksaskiej autostradzie.

Historię czarnego charakteru, któremu czerwonowłose dziewczęta odbierają moc, znam od swojego trenera. Pamiętam, że byłam wtedy w rękawicach bokserskich i okładałam worek treningowy. Trener zawsze starał się mnie przekonać, że moją piętą achillesową jest podatność na zaskoczenie, na cios wymierzony nie prosto w pierś, lecz w umysł.

Dopłaciłam za model ze sterowaną pilotem wysuwaną osłoną na pakę i mocno przyciemnianymi szybami. Wydałam pieniądze z karty kredytowej. Nie mogłam inaczej zapłacić za wynajem.

Nie zabrałam Carla do wypożyczalni. Nie widział więc, jak negocjuję z Mikiem, przegapił kolejny z moich występów. Coraz lepiej sobie radzę. Rachel byłaby ze mnie dumna. Przed Artiem w motelu odegrałam rozdrażnioną żonę w drodze na pogrzeb ciotki. Dla napalonego chłopaka z biura Avis przemieniłam się w czerwonowłosą dziewczynę z facetem burakiem. Jakbym zdjęła koszulkę i zaczęła nią

machać jak konfederackim sztandarem.

Zaryzykowałam i pozwoliłam Carlowi usiąść za kierownicą buicka, sama zaś pojechałam pikapem. To on wpadł na pomysł, żeby porzucić wynajętego sedana na ogromnym parkingu długoterminowym dla studentów uniwersytetu Texas A&M. Szybko zamontował z powrotem stare tablice, a do pikapa przykręcił nowe, fałszywe. Ja w tym czasie przepakowałam nas z jednego auta do drugiego.

Umowa długoterminowego najmu buicka, którą podpisałam w biurze Avis, obowiązuje jeszcze przez trzy tygodnie. Nawet jeśli ktoś zacznie go szukać, to na pewno nie tutaj.

Za wcześnie zostałam zmuszona do zmiany auta i tablic. Za wcześnie na niespodzianki w rodzaju przygarnięcia Ćmy i starcia z DeeDee. Za wcześnie na tak gładką współpracę z Carlem.

Tuż przed tym, jak porzuciliśmy buicka, wybrałam moment, kiedy Carl nie patrzył, i otworzyłam schowek w podłokietniku, żeby zabrać chustę Lolity. Nie było jej tam.

Jakieś dwadzieścia metrów przed nami przez ciemną drogę przemyka jakiś cień. Naciskam hamulec. Carl podnosi głowę.

– Szop – wyjaśniam.

Carl odwraca się, żeby sprawdzić, co u Ćmy, który nawet nie pisnął.

– Co to za światła za nami? – pyta.

– Wróciła twoja widmowa pani? – Rzucam nieco zbyt lekceważąco.

W książkach o demencji jest napisane, żeby akceptować halucynacje, bo „co to szkodzi? Lepiej nie prowokować”.

– Przestań tak o niej mówić – odpowiada rozdrażniony. – Jak długo ten wóz nas śledzi?

Zerkam w lusterko wsteczne.

– Nie wiem. Widzę światła od dłuższego czasu. Raz bliżej, raz dalej. Nie sądzę, żeby to był cały czas ten sam samochód. W razie czego mam go na oku.

– Będziesz musiała zjechać.

– Co?

– Kiedy znajdziemy się po drugiej stronie tego pagórka i na chwilę

stracą nas z oczu, zatrzymaj się.

Pokonujemy wzniesienie i docieramy do jego podnóża. Nagle Carl szarpie za kierownicę.

– Tutaj!

Prowadzi nas na niewielką zwirową zatoczkę. Wciskam hamulec. Nasze reflektory oświetlają bramę dla bydła i staroświecki metalowy łuk, pod którym wjeżdża się na rozległe rodzinne ranczo.

– Wyłącz światła – mówi. – Przejeźdź przez bramę, zawróć, ustaw auto przodem do drogi i zgaś silnik.

Nie wiem, co mnie najbardziej przeraża: rzekomy ogon, Carl, ja sama, czy może to, że wykonuję polecenia jak automat.

Siedzimy w ciemności zwróceniem w stronę szosy i milczymy. Słysząc jedynie oddech Carla. Mija nas smuga pędzącego auta. Jedzie co najmniej sto trzydzieści na godzinę.

– Nauczysz się. – Carl opiera głowę o poduszkę. – Odczekamy trochę dla pewności. Tamci zatrzymają się kawałek dalej, ale po półgodzinie zrezygnują. Zdrzemnij się.

Nie ma mowy o drzemce. Ale mam wrażenie, jakby szyja, wciąż obolała po spotkaniu z DeeDee, nie miała już siły podtrzymać głowy. Dzień trzeci był bardzo długim dniem. Dwa razy musiałam się zatrzymać, żeby Carl mógł wypłukać złoto z kamyków leżących przy drodze. A jeśli ma rację? Nie w kwestii złota, tylko ogona. Z paranoicznej obawy przed śledzeniem postanowiłam pojeździć trochę w kółko bocznymi drogami. Wiem, czego się boję. Zdaję sobie sprawę, jakie reguły złamałam i że rozdrażniłam węże. Kto jednak, zdaniem Carla, miałby nas szpiegować?

Oddech Carla się wyrównuje, jego głowa leży przytulona do poduszki. Mam ochotę przywłaszczyć sobie jasiek przeznaczony dla Walta, ale się powstrzymuję.

Naciskam guzik i fotel się odchyła.

Czuję obecność siostry. Po raz pierwszy zdarzyło mi się to trzy dni po jej zniknięciu. Coś załaskotało mnie w skórę, jakby Rachel wróciła, żeby zapleść mi włosy, tak jak obiecała. Kiedy jednak spojrzałam w lustro, wciąż miałam na głowie skołtunione, sklezione łzami i smarkami gniazdo.

Obecność Rachel w niczym nie przypomina duchów Carla. Na moim ramieniu nie siedzi anioł, żaden z nich nie przyklasnąłby bowiem temu, co jestem gotowa zrobić. Myślę o glocku. Czy po treningu, który przeszłam, nadal znajdę w sobie odwagę, by go użyć.

Kładę się i wpatruję w księżyc, który zagląda do kabiny przez szyberdach.

Koniec z igraszkami na niebie. Obłoki zbiły się w ocean pędzących fal. Księżyc walczy z tym, co nieuniknione, tonie w głębinie tego, co niedostrzegalne. W jednej chwili jest jasny i lśniący, w drugiej zostaje w całości pochłonięty.

Tak jak moja siostra.

Miałam dwanaście lat, kiedy zniknęła. Miała tyle samo, kiedy stała w grobie, śmiejąc się i wyciągając do mnie rękę. Przyjechała do domu na wakacje po pierwszym roku studiów. Rodzina znów była w komplecie, panował – jak mówiła matka – boski chaos. Kiedy Rachel była na uczelni, czułam się tak, jakby brakowało nogi u naszego stołu dla czterech osób. Potem ten stół zamienił się w drewno na opał.

Pomimo siedmiu lat różnicy wieku zajmowałyśmy jeden pokój. Dlatego kiedy policja przysłała i zaczęła zadawać pytania, a matka nie była w stanie powstrzymać łez, to ja udzieliłam niezbędnych informacji: podałam dokładne wymiary Rachel (osiemdziesiąt jeden, sześćdziesiąt trzy, osiemdziesiąt sześć), wzrost (metr sześćdziesiąt dwa), rozmiar sukienki (trzydzieści sześć), rozmiar buta (trzydzieści osiem), wagę (czterdzieści dziewięć) i liczbę kolczyków (pięć: jeden w nosie, dwa w uszach, dwa ukryte), przyznałam, że raz na jakiś czas zdarzało jej się palić marihuanę, i dodałam, że ma na kolanie dwucentymetrową bliznę po niefortunnym wślizgu podczas jednego z meczów softballu.

Powiedziałam, że w dniu zaginięcia wyjechała do letniej pracy (opieka nad dziećmi) dokładnie czternaście po ósmej rano, nieco wcześniej niż zwykle. Zjadła na śniadanie cheeriosy z mlekiem migdałowym, umyła zęby fioletową szczoteczką, na którą wycisnęła pastę wybielającą, włożyła dżinsy, niebieski T-shirt i srebrne kolczyki w kształcie serduszek, które dostała od byłego chłopaka.

Ostatnie słowa, które wypowiedziała do mnie przed wyjściem, brzmiały: „Przepraszam, że wyjadłam truskawki”. Uśmiechnęła się. Obie je uwielbiałyśmy. Wcześniej spałaszowała swoją część, dlatego się na nią wściekłam. Potem już nigdy nie tknęłam tych owoców; kiedy nocami zagłębiałam się w lekturze materiałów, szukałam ich na sporządzanych przez koronerów listach zawartości żołądków ofiar.

Kiedy Rachel zniknęła, już od kilku lat gościły w mojej szafie bliźniaczki towarzyski zabaw. Przyczepiając nowe fotografie do sosnowych paneli, z roztargnieniem myślałam o tamtym zdjęciu i o naiwnej, głupiutkiej dziewczynce, którą byłam. Tym razem poświęciłam moją tajną galerię podejrzanym.

Przesuwałam ubrania – w jedną stronę błękitną sukienkę, w której Rachel poszła na bal na zakończenie szkoły, w drugą jej czerwono-białe świąteczne wdzianko – i moim oczom ukazywał się pan Eversley z zachmurzoną miną, dawny nauczyciel od angielskiego, na fotografii wyciętej z jednej ze szkolnych ksiąg pamiątkowych Rachel. Stawiał jej piątki, mimo że była najwyżej czwórkową uczennicą. Na początku to wystarczało, by trafił na moją listę podejrzanych.

Po prawej, pomiędzy moimi ulubionymi džinsami a bluzą z różowym nadrukiem, przymocowałam rozkładówkę poświęconą dwóm chłopakom, z którymi Rachel na zmianę kręciła latem i zimą – z jednym w naszej miejscowości, z drugim na studiach. Jej przedmiotem kierunkowym było teatroznawstwo.

W kącie zarezerwowałam miejsce dla trzech mężczyzn mieszkających w promieniu półtora kilometra od naszego domu i figurujących w teksaskim rejestrze przestępców seksualnych. Pstryknęłam każdemu ukradkową fotkę – jak był na podwórku albo w domu, przez okno – i przyczepiłam je w szafie. Jeden z nich pogonił mnie i chciał polać wodą z węża. Udało mi się uciec. Nie zgłosił incydentu, bo już się przyzwyczaił, że miejscowa grupa zawziętych Matek Przeciwno Pedofilom nie daje mu żyć.

Przez liceum zdążyłam zapełnić powierzchnię tylnej ściany szafy mapami, notatkami, zdjęciami i nagłówkami z gazet. Kiedy zdarzało się, że rodzice wychodzili na cały dzień z domu, wyjmowałam wszystkie ciuchy i odsłaniałam swoje dzieło pełne szpetnego piękna.

Byłam ostrożna. Ukrywałam swoją obsesję. Pod czerwoną podszewką futerału na skrzypce trzymałam chronologiczny wykaz poczynań Rachel w ostatnim tygodniu jej życia.

Kiedy miałam czternaście lat, zbudowałam skrytkę pod deską podłogową przy oknie. Schowałam w niej czarny T-shirt, czarne sneakersy, latarkę i jeden z pistoletów ojca. Krążenie nocą po okolicy

okazało się podniecające; podejrzewam, że podobnie muszą się czuć drapieżcy, którzy wpatrują się w śpiące domy.

Tata wiedział o broni. Po zniknięciu Rachel zależało mu, żebym ją miała. Dwa razy w miesiącu zabierał mnie na strzelnicę, bo nie chciał, żebym zawahała się przed pociągnięciem za spust w samoobronie. Kupił mi kaburę, którą noszę do dziś. Nieraz byłem bliska opowiedzenia mu o wszystkim. Ciekawe, czy coś by się zmieniło, gdybym to zrobiła. Czy wówczas bardziej zaciekle walczyłby o życie – ze względu na mnie – i nie pozwoliłby, aby kostucha zatrzymała mu serce?

W poduszce siostry ukryłam notes z wypisanymi nazwiskami dziewcząt i kobiet w wieku od osiemnastu do dwudziestu ośmiu lat, które zaginęły w Teksasie w okresie od dziesięciu lat przed zniknięciem Rachel do dziś. Lista stale się wydłuża. Kiedyś bezgłośnie powtarzałam ich imiona przed snem, leżąc z zamkniętymi oczami, tak jak inni ludzie liczą barany, ale teraz imion jest tak dużo, że nie potrafię ich spamiętać.

Kiedy mama myślała, że ślęcę w bibliotece i uczę się historii do egzaminu, ja przeglądałam archiwa i wyłuskiwałam sprawy mające jakikolwiek, nawet luźny związek z Rachel. Po zrobieniu prawa jazdy zaczęłam śledzić swoich podejrzanych. Czasem usuwałam kogoś z listy, częściej kogoś na nią wciągałam.

W końcu sama trafiłam na zajęcia do pana Eversleya. Okazało się, że wcale nie traktował Rachel wyjątkowo, tylko wszystkim jak leci dawał piątki.

Jedyną przewiną dwóch z trzech mieszkających w okolicy przestępców seksualnych było to, że dziewczynom, z którymi uprawiali seks, niewiele brakowało do pełnoletności; zresztą później się z nimi ożenili. Miałam wyrzuty sumienia, że ich niepokoiłam. Upiekłam ciasteczka owsiane, dołączyłam anonimowy liścik z przeprosinami i każdemu z nich zostawiłam na progu taką paczuszkę.

To jednak wyjątek. Wielu mężczyzn, za którymi jeździłam, miało coś na sumieniu. Widziałam, jak biją żony, zdradzają je we własnych domach, sprzedają zioło i prochy okolicznym dzieciakom. Od czasu

do czasu wkładałam różnego rodzaju liściki za wycieraczki ich toyot i bmw. Chciałam, żeby wiedzieli, że są obserwowani.

Miły policjant, który usiadł przy kuchennym stole w naszym domu i spisał informacje na temat Rachel, które mu przekazałam, odszedł ze służby i przejął budowlany biznes swojego teścia. Raz w roku chodziłam na komisariat i dzieliłam się tym, czego się dowiedziałam, ale zawsze mnie zbywano. Za każdym razem ktoś dzwonił do mojej matki i na mnie donosił.

Z czasem stawałam się sprytniejsza i przebieglejsza. No i podtrzymywałam w sobie nadzieję wbrew statystykom. Mimo to coraz trudniej przychodziło mi przygotowywanie się do spotkań z innymi pogrążonymi w smutku rodzinami, tak by matka o niczym się nie dowiedziała. Liczyłam się z tym, że ci ludzie będą odkładali słuchawkę albo zamykali mi drzwi przed nosem. Ze skrepowaniem wyciągałam od nich odbitki zdjęć, by je przeglądać, porównywać wszystkie twarze i liczyć na to, że pewnego dnia dostrzegę jakiś związek. Na próżno.

Wyłącznie szczęśliwym trafem udało mi się odnaleźć element łączący Carla z Rachel, mimo że od początku miałam go przed oczami – był tam, na ścianie w szafie.

Dzień czwarty



Mój notes przetrwania, 9 lat

Jak się nie bać ciemności, kiedy kładę się do łóżka (co mówi Rachel)

- 1. Zastony nie zamieniają się w wiedźmy.*
- 2. Podłoga nie zapadnie się i nie polecę do piekła, kiedy wstanę, żeby pójść do łazienki.*
- 3. Rachel nadal oddycha. NIE podsuwać dłoni pod jej nos, żeby się upewnić, bo może się obudzić.*

Po nocy przerywanego snu w pikapie zajeżdżam na parking dyskontu w jakiejś miejscinie. Carl nadal chrapie jak koń. Dotarliśmy do Magnolii. Albo do Bellville. Nie jestem pewna. Nie sięgałam po telefon, parę razy skręciłam, nie wiedząc, czy dobrze jadę. Ostatni raz zerkałam na mapę przy świetle latarki.

Wypuszczam Ćmę z samochodu i prowadzę go na porośnięty dmuchawcami skrawek trawnika, żeby zrobił swoje. Psiak już prawie nie kuleje.

Jeśli nadal będzie wracał do zdrowia w takim tempie, szybciej będziemy musieli znaleźć odpowiednie schronisko. Trzeba się go pozbyć – z czysto praktycznych powodów: parę z zaniedbanym kundlem po prostu łatwiej zapamiętać. Gorzej, że Ćma budzi we mnie uczucia. Gdy odsłonić tę studnię, wybije. Nie mam pojęcia, co zrobię Carlowi. Podchodzę do auta od strony paki, otwieram puszkę z jedzeniem dla psów i nalewam trochę wody z butelki do lśniącej metalowej miski.

O ósmej trzydzieści sześć siedzimy już z Ćmą w wozie. Podjeżdża zdezelowana zielona toyota camry, a w niej pryszczaty nastolatek, który wysiada i wchodzi do sklepu. Sklep otwiera się dopiero o dziewiątej, ale kiedy pukam do drzwi, ściskając kolana i zasłaniając gazetą krocze, chłopak gestem zaprasza mnie do środka.

Mówię mu, że rozpaczliwie potrzebuję tamponów, co jest po części prawdą. Wchodzę między półki, a on czeka cierpliwie przy kasie, tam, gdzie, jak podejrzewam, znajduje się również podgląd monitoringu.

Schowałam włosy pod czapeczką z napisem „Hollywood, USA”, którą Carl wybrał na stacji benzynowej, a oczy zasłoniłam aviatorami ze znaczkiem Ray-Bana. O tej porze nie powinno to budzić zdziwienia, bo przecież teksaskie wschody słońca bywają oślepiające, kace dokuczają jak cholera, a tutejsze dziewczyny nie żałują forsy na markowe ciemne okulary.

Nie mają tamponów. Kiedy podchodzę do kasy z koszykiem zakupów, chłopak nie okazuje zainteresowania produktami, na które się zdecydowałam: cztery małe opakowania pączków z cukrem pudrem, dwa małe kartoniki mleka (w sam raz na raz), trzy różne farby do włosów i paczka z dwudziestoma litrowymi woreczkami strunowymi. Będąc w alejce numer trzy, uświadomiłam sobie, że lepiej nie pokazywać do kamery, że chcę się zrobić na blond, dlatego wybrałam rozmaite kolory farb.

Kiedy wracam do auta, Carl już nie śpi.

– Wszystko, co kupujesz w sklepie z towarami za dolara, powoduje raka – oznajmia, gdy otwieram drzwi.

Rzucam mu opakowanie pączków i paczkę woreczków. Wprawnym ruchem łapie obie te rzeczy jednocześnie.

– Pamiętałaś. Dziękuję. – Wydaje się szczerze wzruszony tym, że kupiłam mu plastikowe torebki, o które poprosił, kiedy postanowił płukać złoto.

– Dokąd jedziemy? – pyta, dobierając się do pączków.

– Do Houston – odpowiadam. – Potem na Galveston.

– Którą tam zabiłem? Czy to ostatnie kółko? Kończą ci się? – Na ustach i brodzie ma cukier puder.

– Violet – mówię, a w uszach huczy mi ocean.

Wpadamy do wirującego, zadymionego kotła Houston.

Na ulicach taki ruch, że łatwo zapomnieć o huraganie Harvey, rwących rzekach na autostradach, porwanych domach i bohaterach, którzy uczynili z Houston jedno z najdzielniejszych, najsłynniejszych miast na świecie.

Przed nami wyrasta nietknięta linia budynków, żadnych dziur, żadnych brakujących wież. Jedynie mknące po niebie ciemne chmury przypominają, że wszystko się kiedyś skończy.

Są przypomnieniem również dla mnie: że czas mi ucieka. Najbliższe czterdzieści osiem godzin może się okazać decydujące.

Na razie skupiam się na Carlu. Od dziesięciu minut macha do smarkacza w hondzie civic, nie zważając na moje prośby, żeby przestał. Jeśli chłopak zdecyduje się odmachać, jadąc tak jak teraz, z prędkością prawie stu dwudziestu kilometrów na godzinę, może dojść do zderzenia. Kieruje kolanami, bo dłońmi ściska linę, która przechodzi przez kabinę i utrzymuje na dachu dywan, by nie porwał go pęd powietrza. Tymczasem flirtują ze mną osiemnastokółowce, co rusz przekraczając linię oddzielającą pasy ruchu, jakby chciały mnie pocałować.

Kiedy Carl mówi: „To ten zjazd”, nie oponuję, bo koniecznie muszę dać odpocząć nerwom, mimo że opuściliśmy wiejskie drogi raptem dwie godziny temu. Carl pokazuje, żebym przecznicę dalej skręciła na parking przed niemal zupełnie opuszczonym pasażem handlowym. Od razu nachodzą mnie wątpliwości. Myślałam, że zjechaliśmy z trasy, żeby zaspokoić pociąg Carla do Whataburgera.

Działają tylko trzy z pięciu znajdujących się w pasażu punktów: Oczy Teksasu, Figlarny Interes i bar Luby's. Do wszystkich przypisane są miejsca postojowe w tylnej części starego parkingu przed barem.

Wszystkie trzy firmy robią, co mogą, żeby utrzymać się na fali w spękanej betonowej rzeczywistości po Harveyu, i reklamują się

krzykliwie jak w Las Vegas: w witrynie Oczu Teksasu mruga dwoje pomarańczowo-niebieskich oczu, Figlarny Interes pokazuje sprośny różowy neonowy język, a Luby's proponuje menu „jesz, ile chcesz”: filet z kurczaka, krewetki i nieograniczone ilości placków z pekanami i mrożonej herbaty za siedem dziewięćdziesiąt dziewięć.

Carl prowadzi mnie do miejsca oddalonego o jakieś trzydzieści metrów od środkowej części pasażu. Zanim zdążę się odezwać, wyskakuje z samochodu i zmierza w stronę mrugających oczu. Czy to na pewno oczy, a nie ruchome cycki?

Opuszczam szybę.

– Ani mi się waź znosić pornosy do auta! – krzyczę. Czasem myślę, że Carl tylko udaje demencję, a czasem widzę w nim dziecko, które trzeba trzymać krótko. – Po moim trupie!

Od razu żałuję, że to dodałam, bo oczami wyobraźni widzę swoje zwłoki na asfalcie. Carl nawet się nie odwraca. Ćma staje na chwiejnych nogach na tylnym siedzeniu i przechyla się do przodu, przesuwając szorstkim językiem po moim odsłoniętym ramieniu.

Carl znika za nieprzejrzystymi drzwiami Oczu Teksasu. Wyobrażam sobie krzykliwe kształty z obrazów Georgii O'Keeffe, plastik o smaku czekolady i lepką od Bóg wie czego podłogę, do której kleją się sandały.

Rozglądam się po parkingu. Żywego ducha. Moment dobry jak każdy inny do szybkiej zmiany garderoby w kabinie pikapa. Muszę poprawić wygląd przed wizytą w kolejnym hotelu, istnym pałacu w porównaniu z norami, w których się dotąd zatrzymywaliśmy (tylko chwilowa poprawa warunków).

Blokuję drzwi, gramolę się na tylne siedzenie, zapewniam Ćmę, że wszystko gra, i rozbieram się do bielizny. Wkładam drogie dżinsy i ładną, choć trochę pogniecioną brzoskwiniową bawełnianą bluzkę, na tyle luźną, że zasłania kaburę.

Zostawiam kolczyk w nosie, zapinam na szyi delikatny srebrny łańcuszek i zakładam trzy drogie srebrne pierścionki na palce prawej dłoni. Ten na palcu wskazującym najbardziej mi ciąży – nie z powodu swojej wagi, tylko dlatego, że Rachel za nim przepadała. Turkusowy kamyk z żyłkami jak pajęcza sieć. Pierścionki trochę utrudniają

trzymanie broni, ale za to w razie potrzeby wzmacniają siłę uderzenia pięścią. Nadal nie do końca kupuję to, co powiedział mój trener: że lepiej wiedzieć, jak przyjmować ciosy, niż jak je zadawać.

Wracam na przednie siedzenie, zmywam stary makijaż na szopa pracza, ołówkiem delikatnie podkreślam brwi i ostrożnie nakładam tusz do rzęs. Pociągając usta bezbarwnym błyszcznikiem, myślę o tym, jak bardzo mnie uspokaja ta nieustanna przebieranka. I jak dużo otuchy dodaje mi dotykanie kostki do gry, którą zabrałam z tablicy pamiątkowej. Wciąż do niej wracam, przesuwam po niej palcami, liczę oczka na wszystkich sześciu ściankach, jakbym się posługiwała własnym tajnym brajlem.

Martwię się z powodu zajścia z DeeDee w Calvert. DeeDee, DeeDee, DeeDee. Jej durne imię brzęczy mi w głowie. Rozpoznała Carla. Oczywiście nie wie, kim ja jestem, nie zna moich fałszywych nazwisk i nie ma pojęcia, że przesiedliśmy się z dziadkowego buicka do pikapa, jakich są tysiące.

Patrzę przez brudną przednią szybę na drzwi, które połknęły Carla. Drażni mnie jego nieobecność.

– Dobra, Ćmo – mówię. – Wchodzimy.

Wyjmuję pistolet ze schowka i wsuwam go do kabury. Dziewczyna może zniknąć, kiedy przekroczy próg takiego przybytku. „Sieć handlu ludźmi jest bardziej rozbudowana niż sieć handlu narkotykami”, powiedział mi kiedyś pewien policjant. Mimo to nigdy nawet nie zakładałam, że to przytrafiło się Rachel. Czemu więc teraz o tym myślę?

Otwieram drzwi... i mam wrażenie, że spadam. Ściana przede mną jest zaklejona zdjęciem przedstawiającym widok ze szczytu drapacza chmur – perspektywa skoczka samobójcy.

Odzyskuje równowagę, przeniósłszy spojrzenie na plamę na brudnej wykładzinie. Kiedy podnoszę wzrok, okazuje się, że jestem sama w niewielkim pomieszczeniu zalanym światłem jarzeniówki. Są tu jeszcze jedne drzwi, zasłonięte czarną kotarą. Słysząc za nimi szmer głosów, w tym głos Carla. Kładę dłoń na rękojeści pistoletu.

Z bocznych ścian, ze szklanych półek spoglądają na mnie jednookie przedmioty.

Aparaty fotograficzne. Sto, jeśli nie więcej. Używane widziały rzeczy, o których nigdy nie opowiedzą. Stare instamatiki i kosmiczne nowoczesne cuda. Niektóre mają obiektywy wielkie jak lufa czołgu, inne zmieściłyby się w pudełku zapalek. Żaden nie budzi mojego zaufania.

Carl długo nie wspominał o swoim warunku numer jeden i ja też nie poruszałam tematu. Ale nie zapomniał, o nie. Przyjechał tu, żeby kupić aparat. Wsłuchuję się w stłumioną, jakby poufną rozmowę, próbuję wyłowić słowa i uświadamiam sobie, że to być może niejedyny powód, dla którego Carl odwiedził to miejsce.

– Siad, Ćma – mówię szeptem. Żałuję, że nie zostawiłam psa w aucie. Nie chcę, żeby coś mu się stało.

Wąska kotara wydyma się i odchyła. Wychodzi zza niej czterdziestokilkuletni Latynos w czarnej koszulce z Williem Nelsonem i napisem „Outlaw⁵”. Włosy też ma jak Willie – splecione w warkoczyki z kilkoma zwisającymi nad oczami postrzępionymi siwymi kosmykami.

W jednej chwili śmieje się ochryłym głosem, w drugiej milknie. Wbija spojrzenie w moją prawą dłoń i sięga za stojące w kącie drewniane podium. Zanim zdążę się zorientować, po co to robi, moim oczom ukazuje się lufa wycelowanej we mnie strzelby. Dociera do mnie, że on myśli, że chcę go obrabować. Nie pamiętam, w którym momencie wyjęłam pistolet z kabury, ale musiałam to zrobić, bo ściskam go w dłoni, celując w podłogę.

Carl staje za plecami Latynosa.

– Angel, odłóż broń. Oni są ze mną.

– Nie potrzebujesz aparatu – zwracam się do Carla, nie ruszając się z miejsca.

– A ty pistoletu – odcina się. Robi krok do przodu, kładzie dłoń na lufie strzelby Angela i opuszcza ją. – Spokojnie, Angel. Przecież mówię, że ona jest w porządku.

Trzyma nikona, na którym wisi żółta papierowa metka, jak w kostnicy. Nadal celuję w podłogę. I nadal czuję niepokój. Nie z powodu Angela, który klęka i zagaduje do Ćmy.

„Aparat to jego broń. Daje mu władzę”. Kiedy zwraca obiektyw

w twoją stronę, ty albo robisz dokładnie to, czego chce od ciebie Carl, albo podnosisz ręce i zasłaniasz twarz. „Nie ruszaj się” – mówi Carl... a ty go słuchasz. Czy właśnie na tym polegał błąd Rachel?

Carl naciska spust migawki i wszystko staje się czarno-białe. To, co zwyczajne, zamienia się w głębokie, piękne, złowieszcze.

Wcale nie jestem stuprocentowo pewna, że Carl zrobił to, o co go podejrzewam. Jeszcze nie. Ale jego zdjęcia dokumentalne, które oglądałam i badałam setki, tysiące razy, sprawiają, że na każdą rzecz spoglądam z nowego punktu widzenia. Te fotografie prowokują do stawiania mrocznych pytań.

Z czego są te ciemne plamy na materacu leżącym przy krawężniku?

Czy szwy założone nad okiem tego starego człowieka pozostawia blizny?

Co będzie, jeśli nie spełnią się życzenia opłacane wrzucanymi do fontanny lśnjącymi centówkami?

Czy kot zwinięty w kłębek w kartonowym pudełku śpi, czy nie żyje?

Czy mężczyzna z wysoko uniesioną dłonią chce uderzyć stojące w wodzie do kolan dziecko, czy je ochrzcić?

Nie sposób przejść obojętnie obok fotografii Carla. Zmuszają do zastanowienia się nad sposobami, w jakie jego aparat manipuluje oglądającym. I nad losem, jaki spotkał uwiecznionych na nich ludzi i przedmioty na długo przed zamknięciem migawki i na długo potem.

Jestem przekonana, że ta mistyczna, niepokojąca aura otaczająca jego prace sprawiła, że przy bardzo małej liczbie dowodów ława przysięgłych obradowała aż dwa dni zamiast dziesięciu minut. Ślad DNA można łatwo wytłumaczyć. Mały chłopiec w roli świadka był śmiechu wart.

Angel siedzi po turecku na podłodze i drapie Ćmę za uszami.

– Pani jest dla ciebie za młoda – mówi.

– One zawsze są za młode – odpowiada Carl.

– Co się przydarzyło psu? – pyta ponuro Angel.

– Ktoś go postrzelił i porzucił – wyjaśniam. – Myśmy go znaleźli.

– Będzie z niego naprawdę porządne psisko. To widać.

Nie podoba mi się, jak Angel obejmuje Ćmę. Zaborczy gest.

Carl wieszta sobie aparat na szyi.

– Angel, mój przyjaciel, dał mi tego nikona w prezencie. Wie, że potrafię się z nim obchodzić.

Angel błądzi po mnie wzrokiem. Nie wiem, czy jego spojrzenie ma podtekst seksualny, czy też ocenia moje zdrowie psychiczne.

– Jeśli masz wyrzuty sumienia, że Carl dostał aparat za darmo – zwraca się do mnie – chętnie go wymienię za psa.

– Zapłacę ci – odpowiadam bez namysłu. – Ile?

– Nie stać Carla.

Sięgam do tylnej kieszeni džinsów i wyjmuję sześć banknotów pięćdziesięciodolarowych. Kładę je na ladzie.

– Nie mów o nas nikomu, dobrze?

– W życiu was nie widziałem – mówi Angel. – Następnym razem, kiedy znów was nie zobaczę, zostaw broń w aucie. – Zdejmuje blister z półki i rzuca go Carlowi. – Karta pamięci na drogę.

Wracamy do samochodu. Wkładam kluczyk do stacyjki, przekręcam.

– Nie oddałaś mu Ćmy – zauważa chytrze Carl.

– Nie zatrzymamy psa – mówię.

Włączając się do ruchu, myślę o tym, że przepuściłam kolejne trzysta dolarów, mimo że przecież mam w posiadaniu to, czego Carl tak naprawdę pragnie.

George, aparat, który Carl opłakał w sądzie rzewnymi łzami, jedzie z nami w pudełku na pace.

Carl myśli, że jego ukochany hasselblad zaginął. Przepadł na dobre. To dlatego, że ukradłam go z magazynu dowodów. Może się okazać moją jedyną kartą przetargową.

*

TYTUŁ: *KOBIETA W DESZCZU*

Podróż w czasie. Fotografie Carla Louisa Feldmana

Odbitka żelatynowo-srebrowa

Komentarz autora: „Zjawiała się znikąd, w deszczu, biegła przede mną, pomykała ulicą, która lśniła jak mokre lustro. Była mgiełką i blaskiem księżyca. Płynne srebro. Kopciuszek. Dziewczyna z wehikułu czasu, goniąca za swoim drugim życiem. Trzymała wysoko małą czarną parasolkę, jakby opuściła się na niej na ziemię. Znalazłem jej buty pod drzewem. Chciałem podążyć za nią. Zobaczyć jej twarz. Ale wiedziałem, że wtedy przysłby czar”.

Dwa dni ze swojego życia wciąż przeżywam od nowa i w całości jak podwójny seans.

Dzień, w którym zniknęła moja siostra.

I dzień, w którym zorientowałam się, że to Carl ją porwał.

Byłam w ostatniej klasie liceum. Siedziałam w pustej klasie przed zajęciami, czekałam na nauczycielkę sztuki, bo chciałam ją o coś zapytać.

Moja obsesja na punkcie podejrzanych trwała już od prawie sześciu lat. Ściana w szafie zamieniła się w labirynt, w którym sama czasami się gubiłam.

Na krześle nauczycielki leżała książka. *Podróż w czasie. Fotografie Carla Louisa Feldmana*. Jeden z uczniów właśnie ją zwrócił.

Książka cieszyła się takim powodzeniem, że aby ją wypożyczyć, trzeba się było zapisać na listę i uwinąć z lekturą w jeden dzień. Troje rodziców poskarżyło się dyrektorowi szkoły, że album powinien zostać ocenzurowany, mimo że nie zawierał żadnych nieprzyzwoitych treści. Rok wcześniej te same osoby oprotestowały i usiłowały zakazać używania nazwiska Roberta Mapplethorpe'a oraz pokazywania zdjęcia nagiej *Napalm Girl*.

Nauczycielka się spóźniała, a mnie zżerała ciekawość. Znajdowałam się gdzieś w drugiej dziesiątce oczekujących. Nazwisko Carla widniało na jednej z moich list podejrzanych, ale z dużym znakiem zapytania. Bo przecież został uwolniony od zarzutów. Proces uczynił z niego najsłynniejszego fotografa w Teksasie, a może nawet w całym kraju.

Zaczęłam przeglądać album z refleksją, że mam przed sobą mroczne, transcendentalne obrazy, które mogłabym porównać do zapadającej w pamięć, dręczącej poezji. Uznałam, że ktoś tak utalentowany z całą pewnością jest niewinny. I że chyba powinnam ostatecznie wykreślić go z listy. Ale kiedy po raz jedenasty

przełożyłam kartkę w książce, Carl natychmiast awansował na sam szczyt mojego zestawienia.

Znałam to zdjęcie na pamięć. Stojące w lesie dwie małe dziewczynki w białych welonach. Te same, które ukryłam w szafie i z którymi się bawiłam. Te same białe sukienki, te same postrzępione jasne włosy, te same śliczne buzie, to samo rozmycie ruchu. W swojej książce Carl nazwał je *Dwie Mary*. W uwagach autora na sąsiedniej stronie napisał, że natknął się na nie przypadkiem.

Siedziałam oszołomiona i skołowana. W pomieszczeniu nie było okien. Naszą szkołę, w której spędziłam cztery lata, nie oglądając światła słonecznego i nie widząc deszczu, za to słysząc, jak wali w dach niczym gumowe młotki, musiał zaprojektować architekt specjalizujący się w więzieniach. Nie rozumiałam swojego związku z fotografią, a jedynie zdawałam sobie sprawę, że przemawia przez nią coś straszego.

Niepewnym ruchem otworzyłam album na samym końcu i dotknęłam dłonią skrzydełka obwoluty z autoportretem, z którego patrzył na mnie znacznie młodszy Carl. Przystojny. Dżinsy. Wysokie buty. Kowbojska surowość. I jeszcze to, że wydawał się niepokojąco, obrzydliwie *znajomy* – to dręczące uczucie, którego wciąż nie umiem się pozbyć, mimo że teraz Carl śpi tuż obok, na fotelu pasażera, i mogę patrzeć na jego żywą, namacalną twarz do woli, kiedy tylko zechcę.

W chwili, gdy nauczycielka wchodziła do klasy, album leżał już zamknięty, a ja pospiesznie wyciągałam chusteczki z pudełka na biurku.

Zapamiętałam jej imię: Alegra przez jedno „l”, bo wołała, żebyśmy się do niej zwracali po imieniu zamiast „Pani Bukowski”, i okulary: czarne kwadraty z ostrymi błękitnymi krawędziami, nadające jej spojrzeniu przenikliwy, przeszywający charakter. Objęła mnie sztywno i niezręcznie, być może dlatego, że obie byłyśmy raczej szczupłe i pełne rezerwy i nie przepadałyśmy za przytulaniem.

Nie wiem, ile o mnie wiedziała, ale chyba wystarczająco dużo; w końcu o mojej greckiej tragedii rodzinnej było dość głośno.

Mogłyśmy wtedy porozmawiać, była szansa. Pamiętam jednak, że

kiedy wybąkałam: „On zabił moją siostrę”, Alegra opuściła ręce i cofnęła się.

Kiedy dzwoniła do moich rodziców, bezskutecznie usiłowałam przypomnieć sobie szczegóły procesu w Waco. Pamiętałam tylko, że podczas rozprawy poruszono temat jednej z fotografii.

W głowie huczały mi pytania.

Czy oskarżony o szereg morderstw Carl Louis Feldman ukrył jedno ze swoich zdjęć pod schodami na strych w naszym domu? Dlaczego to zrobił?

Czy to możliwe, że już kiedyś go widziałam?

Carl pstryka mi fotki z miejsca dla pasażera. Tym razem prawdziwe. Zapisują się cyfrowo na karcie pamięci. Dwie godziny temu odjechaliśmy spod sklepu z aparatami w Houston i utknęliśmy w korku. Udało się nam pokonać niecałe dziesięć kilometrów. Do hotelu zostało niewiele ponad półtora.

Z każdą minutą ogarnia mnie coraz większa złość. Carl nawet na chwilę nie przestał się bawić swoją nową zabawką, za którą zapłaciłam mężczyźnie w koszulce z Williem Nelsonem, a raczej go przekupiłam, żeby nie zabrał nam psa.

– Nie wiem, czy kogoś zabiłem – mówi Carl – ale zawsze uważałem, że każde zrobione przeze mnie zdjęcie jest jak małe morderstwo. Zamykanie migawki, kiedy naciskałem spust w hasselbladzie, brzmiało jak wystrzał z karabinu. *Dobry*, porządny dźwięk. Poza tym świadomość, że osoby, które fotografuję, czeka nieuchronna śmierć i będą martwe, gdy kiedyś ktoś będzie oglądał je na zdjęciach.

– Może byś odłożył aparat? – Nie potrafię ukryć rozdrażnienia. – Jest duży ruch. Rozpraszasz mnie.

Ustawia obiektyw i znów we mnie celuje. Kolejne ujęcie.

– Przecież praktycznie stoimy w miejscu – zauważa. – Wystarczy, że trzymasz stopę na hamulcu. Ale niech ci będzie. Zagramy w dwadzieścia pytań?

– Bylebyś zostawił aparat.

Naciska spust migawki. Trzy szybkie zdjęcia.

– Trudno ci się oprzeć. Twoja twarz ma intrygujące rysy. Wybacz, ale od ponad roku nie miałem aparatu w rękach.

– Nie lubię, kiedy mi się robi zdjęcia.

Nie, Carl, *wybaczenie* nie ma do ciebie zastosowania.

– Właśnie stąd się biorą dobre fotografie. Przekonanie, że tradycyjne piękności najlepiej wypadają na zdjęciach, to mit. Ty jesteś

prawdziwa. Czujesz ból. Masz cel. Aparat docenia taką uczciwość.

– Cóż za ironia: to, że uważasz mnie za uczciwą. – Delikatnie wciskam pedał gazu i toczę się metr do przodu.

– Mój aparat jest głuchy. Nie słucha kłamstw płynących z twoich ust. Kiedy patrzę na ciebie przez to małe okienko, widzę uroczą, zwyczajną dziewczynę. Widzę bijące w niej łagodne serce. Napięte mięśnie rąk i nóg będące tylko fasadą. Umysł bystry, ale szczerze mówiąc, chyba niewystarczająco.

– Nie możesz mnie poddawać psychoanalizie, tak jak te kobiety w restauracji. Nie masz pojęcia, kim jestem.

– Zwierzę.

Gwałtownie obracam głowę.

– Co takiego?

Sam jesteś cholerne zwierzę!

– Zwierzę, roślina albo minerał. Gra. Pierwszą podpowiedź dostajesz gratis. Chodzi o zwierzę.

Przełykam ślinę.

– Czy je widzę? – Sarkazmem usiłuję przykryć fakt, że Carl znów szarpie mi nerwy. – Czy to Ćma?

– Nie. I nie. Zmarnowałaś dwa pytania.

– Czy jest futerkowe?

– Nie.

– Czy ma łuski?

– Nie.

– Czy ma gładką skórę?

– Tak. Zostało ci piętnaście pytań.

– Czy ma ogon?

– Nie.

– Czy jest szybkie?

– Głupie pytanie. Każde zwierzę jest szybkie, kiedy się boi.

– Czy można je znaleźć w morzu?

– Tak, można je znaleźć w morzu.

– Czy to ta ośmiornica z dziwnymi uszami, która ci się spodobała na Discovery Channel?

– Dziewięć pytań i wciąż zdecydowanie zimno. Musisz kombinować

w szerszej perspektywie. Kiedy graliśmy w to z bratem, „zwierzę” było bardzo ogólną kategorią. Nie miałś brata albo siostry, z którymi grałaś w dwadzieścia pytań?

Naciskam hamulec. Wcina się przed nas niebieska toyota.

– Jezu, uważaj. Naprawdę jesteś rozkojarzona. Darujmy sobie.

– Nic mi nie jest. – Zaczynam czuć niepokój w związku z grą, w której nigdy nie byłam dobra. – Czy ma skrzydła?

– Nie, nie ma skrzydeł.

– Osiem nóg?

– Nie.

– Sześć?

– Nie.

– Cztery?

– Nie.

– Dwie?

– Dwie? – powtarza Carl.

– Dwie nogi. Czy tym zwierzęciem jest człowiek?

– Tak. Gratulacje. Spojrzałaś z szerszej perspektywy.

– Czy tą osobą jest... kobieta?

– Tak. Zostały ci cztery pytania.

– Czy... nie żyje?

– Tak. Nieżyjących też wolno zgadywać. Postaci z przeszłości. Postaci historyczne. Zmarłe gwiazdy. Osoby, które znałaś.

– Czy jej imię zaczyna się na „N”? – bąkam.

– Nie.

Zatem to nie Nicole.

– Czy jej imię zaczyna się na „V”?

– Nie.

Czyli nie Vickie. Ani Violet.

– Zostało jedno pytanie i dwadzieścia cztery litery w alfabecie. Masz niewielkie szanse, jeśli tak chcesz to rozegrać.

– „R”? Czy jej imię zaczyna się na „R”? – Nie zdołam wypowiedzieć imienia mojej siostry.

– Skończyły ci się pytania – odpowiada Carl. – Poza tym zaczynasz na mnie warczeć. Przegrywasz.

Przepraszam Carla za swój ton. Wariactwo. Przepraszam mordercę, który wykorzystuje martwą kobietę – niewykluczone, że moją siostrę – w grze w dwadzieścia pytań. Gładka skóra. Można ją znaleźć w morzu.

Czy zabierał wszystkie swoje ofiary nad ocean?

Znowu drży mu ręka. Chyba nie udaje. Pani T powiedziała, że miewa „to swoje drzenie” i że to „należy do choroby”. Carl musi być w dobrej formie, bo kiedy dotrzemy do hotelu butikowego, w którym zarezerwowałam pokoje, będzie udawał mojego ojca. I musi się odprężyć – przed jutrzejszym spotkaniem, o którym jeszcze nie wie. Spotkanie nie ma związku z Violet. Jest strzałem w ciemno. Przygotowuję się do niego od kilku dni.

Godzinę później, kiedy skręcamy na szeroki podjazd, Carl jest w całkiem znośnym nastroju. Wstępuje we mnie radość na widok sześciu innych białych pikapów nowych roczników, zaparkowanych na miejscach przed wejściem. Liczyłam, że na dwie noce nasz wóz zniknie wśród podobnych bryk.

– Proszę, proszę – komentuje Carl, kiedy parkingowy otwiera drzwi po jego stronie.

– Nie przyzwyczajaj się – rzucam.

Recepcja hotelu ZaZa jest przestronna, ciemna odcieniami głębokiej czerwieni, wyłożona orientalnymi dywanami w misterne wzory i wyposażona w niskie nowoczesne sofy. Carl zdążył orzec, że zdobiące ściany dzieła – czarno-białe fotosy smukłych hipsterów i zręcznie namalowane murale przedstawiające zniekształcone, karykaturalne sylwetki, które wydają się nie do końca ludzkie, w dodatku bardzo niezadowolone z tego, że skończyły jako ozdoba holu – to zwykły szajs.

Recepcję sprawnie obsługują dwie młode, świadome swojej urody kobiety. Wybieram tę z czarnymi jak atrament, równo obciętymi

włosami, skórą bladą jak Lady Gaga i plaketką z imieniem „Harriet”. Za moimi plecami Carl przysiadł na wózku bagażowym, na którym znajdują się nasze rzeczy: lodówka turystyczna, dwie walizki, patriotyczna poduszka Carla, śpiwór Walta, brązowa torba z jedzeniem i miskami Ćmy oraz mój plecak. Poleciałam Carlowi tak ustawić Ćmę, żeby zaprezentował się z lepszej, zdrowej strony.

– Meredith Lane – przedstawiam się nazwiskiem widniejącym na karcie kredytowej i prawie jazdy, które położyłam na kontuarze. – Mam rezerwację dla mnie i mojego ojca.

Harriet nie interesuje ani prawo jazdy, ani karta kredytowa. Jej wzrok wędruje ku Carlowi i Ćmie.

– Czy pies jest z państwem?

Liczę, że recepcjonistka nie zdoła się oprzeć miękkiemu złotemu pyskowi i brązowym oczom Ćmy. Jego sierść zdążyła odzyskać nieco blasku. Psiak odgrywa swoją rolę lepiej niż Carl, który uśmiecha się szyderczo, podziwiając plażowe zdjęcie uśmiechniętego półnagiego mężczyzny z siedzącym mu na barana uroczym dwulatkiem o bujnej czuprynie. „Życie, jakiego pragniesz”.

– Owszem.

– Przykro mi, ale nie akceptujemy zwierząt.

Rzeczywiście wygląda, jakby mi współczuła, więc chyba dobrze wybrałam recepcjonistkę.

– To ZWE – odpowiadam bez zająknięcia. – Na państwa stronie internetowej jest napisane, że je przyjmujecie. – Tak naprawdę na stronie nie ma o tym ani słowa.

Harriet zerka na koleżankę, która jest zajęta zamianą pokoi dla biznesmena domagającego się odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego, do kurwy nędzy, telewizor nie jest zwrócony w stronę łóżka?”. W duchu jestem mu wdzięczna, że jest dupkiem, bo dzięki temu Harriet musi poradzić sobie ze mną bez niczyjej pomocy.

– Zwierzę wsparcia emocjonalnego – wyjaśniam spokojnie. – Dla mojego ojca. ZWE. Jutro rano ojciec ma wizytę u specjalisty. Właśnie dlatego sprowadziliśmy Ćmę Barową aż z Phoenix. Bez niego tata ma kłopoty z funkcjonowaniem. – Niby od niechcenia kładę upstrzoną lśniącymi pierścionkami dłoń na leżącym na kontuarze prawie jazdy,

na którym jest wyraźnie napisane „Phoenix”, mimo że nigdy nawet nie byłam w Arizonie.

– Ładne pierścionki. Ćma Barowa to... pies? – upewnia się Harriet.

Jeśli chodzi o Ćmę, miałam do wyboru tylko dwie możliwości. Mogłam spróbować przemycić go do pokoju, ale wówczas musiałabym poradzić sobie ze sprzątaczką. Zamiast tego postawiłam na udowodniony fakt, że ludzie łatwiej przełkną kłamstwo, jeśli stoi za nim zwierzę o uroczym pyszczku.

Carl macha do Harriet. Kobieta wesoło odpowiada tym samym.

– Tak, Ćma Barowa to pies. Tata go tak nazwał.

– Czy przeszedł szkolenie?

Nie waham się.

– Pies? Tak. Tresował go najlepszy specjalista, weteran wojny w Iraku, który przygarnia bezpańskie psy i uczy je, jak pomagać starszym ludziom. W jego żyłach płynie krew Czirokezów. Występował w *60 Minutes*. Niewykluczone, że będzie prowadził własny program.

– Niesamowite. Bardzo miły człowiek z pani taty. – Ścisza głos. – Moja ciotka ma alzheimera.

– Rak płuc – kłamie.

Harriet przebiera palcami po klawiaturze.

– Współczuję. W ośrodku doktora Andersona mają wspaniałą kadre. Wie pani, że tuż obok hotelu znajduje się park Hermanna? Przepiękne miejsce. Człowiek zapomina, że jest w Houston. Może go tam pani zabrać na spacer. Psa, nie tatę. Dodam, że rano raz na dwadzieścia minut odjeżdża spod hotelu darmowy autobus wahadłowy do centrum medycznego, co stanowi duże ułatwienie dla naszych gości. Widzę, że zarezerwowała pani pokoje ze specjalną zniżką medyczną. Dopiszę jeszcze dziesięć procent zniżki dla emerytów. Karta nie będzie potrzebna.

Coś mnie mocno szturcha w nogę. To Ćma – smycz ciągnie się po podłodze, wyraźnie widać bandaż. Rozglądam się, ale nigdzie nie widzę Carla.

– Witaj, piesku. – Harriet pochyła się nad kontuarem i uśmiecha do Ćmy. – Co ci się stało, nieboraku?

Łapię za smycz.

– Wycięto mu podejrzany guz. Mamy nadzieję, że się z tego wyliże. Choroba psa, rzecz jasna, jeszcze bardziej zacieśniła więź łączącą go z tatą.

Niemal słyszę, jak w umyśle Harriet obracają się trybiki, tylko jeszcze nie wiem, czy na moją korzyść. W myślach już pakuję nas z powrotem do pikapa i znów układam się na szorstkim jak papier ścierny prześcieradle, sprawdzając, czy na poduszce nie ma włosów łonowych.

– Okazuje się – mówi recepcjonistka, wracając wzrokiem do monitora – że zwolniła się rezerwacja większego apartamentu na jednym z górnych pięter. Mieli go zająć goście panny młodej, ale podobno pan młody spoufalił się z druhną. – Przewraca oczami. – Gotowe. Na pewno się państwu spodoba. Nie trzeba nic dopłacać. I tak stałby pusty przez najbliższe dni. Jedna z łazienek jest większa od mojej kuchni. Będzie w sam raz dla psa. Z okien roztacza się obłędny widok na centrum, dzielnicę muzeów i fontanny w parku. Jeśli spojrzeć w dół, ma się wrażenie, że się spada.

O tak, znam to uczucie.

Pozwoliłam Carlowi zamówić nowozelandzkie warkoczyki cielejące i frytki „gorący wulkan z serową lawą” z hotelowego menu. A co tam! Przestałam liczyć – pieniądze, dni, to, ile razy Carl powiedział, że Walt pierdnął. Wybieramy sobie piwa kraftowe, po jednym dla każdego. Decyduję się na Blond Seksbombę z browaru Gwiazda Południa, a Carl na Więcej Czadu IPA z browaru Dolina Bizonów. Zastanawiam się, jak trzeba być pijanym, żeby wymyślić nazwy dań i napojów, które zamówiliśmy.

Dwupokojowy apartament imponuje eklektyczną wspaniałością: trzy głębokie kanapy, stół z sześcioma krzesłami, piękna sypialnia z luksusową białą kołdrą, dwa duże telewizory. Charakterystyczna dla hotelu czerwień przeniknęła też do apartamentu i zabarwiła frędzle na abażurach lamp i polne maki na obrazach.

Niemal na każdym kroku dostrzegam wytrącające z równowagi odbicie swoje i Carla w lustrach w zabytkowych oprawach. Ktoś przyszczaty albo gruby musi się czuć okropnie w takim wnętrzu i nie mówię tego, żeby zadzierać nosa, ale ponieważ na pewnym etapie życia byłam i przyszczata, i gruba. Wiem, czemu to ma służyć – stroszeniu ślubnego tiulu, poprawianiu dekoltu, malowaniu wydatnych ust, pstrykaniu pijackiego selfie. Ale za każdym razem, gdy dostrzegam swoje odbicie, serce zaczyna mi walić, zanim orientuję się, że to przecież tylko ja.

Pierwszą rzeczą, którą robię po wejściu do apartamentu, jest sprawdzenie, czy w drzwiach oddzielających sypialnię od salonu zamontowano solidny zamek. Gdyby go nie było, musiałabym spędzić noc zwinięta w kłębek przy Ćmie, leżąc w śpiworze Walta w zamykanej na klucz głównej łazience. To by również oznaczało kolejną kłótnię z Carlem.

Na szczęście zamek w połączeniu z blokadą drzwi powinien wystarczyć. Carl, o dziwo, bez szemrania zgadza się spać w salonie na

rozkładanej sofie, pod warunkiem że Walt będzie mógł zająć drugą. Chrapanie Walta zaczęło utrudniać Carlowi sen. Mówię o tym tak, jakby chodziło o rzeczywisty problem, ponieważ bez względu na to, jak bardzo Carl bywa racjonalny, a jego wypowiedzi spójne, jednego na tym etapie jestem pewna: on widzi i słyszy swoje duchy.

– Dobrze, że wyluzowałaś. – Carl wkłada ostatnią frytkę do ust. – I przestałaś się tak przejmować budżetem. Mogę pomóc, jeśli trzeba. Odłożyłem parę dolarów.

Słyszac to, natychmiast mam ochotę przeliczyć gotówkę. Dwa tysiące sprytnie albo lekkomyślnie umieściłam w zamkniętym pudełku na pace pikapa, przeniósłszy je tam ze schowka w kole zapasowym buicka.

Jeśli nic się nie zmieniło, pięćset spoczywa w mojej walizce, ukryte w bieliźnie i gotowe zasilić mocno przetrzebiony portfel – ten zaś umieściłam w hotelowym sejfie w garderobie, w której Ćma urządził sobie legowisko.

Szybko zakończyłam formalności z Harriet, ruszyłam na poszukiwania i odnalazłam Carla w restauracji przy barze nad pustym kieliszkiem i kilkoma stosikami ćwierćdolarówek. Jest odprężony. W tej chwili dopija drugie piwo.

Wystawiam naczynia po kolacji na korytarz, a Carl włącza telewizor, żeby obejrzeć *Familiadę*.

– Dla Walta – wyjaśnia, po czym proponuje, byśmy wyszli na balkon i wypalili Larry’ego G.

W telewizorze feeria neonowych barw i tryskający energią Steve Harvey w jaskrawozielonym garniturze. Steve zadaje pytanie grubemu uczestnikowi w hawajskiej koszuli w różowe kwiatki: „Roślina doniczkowa na «f»”. „Fiskus”, odpowiada mężczyzna. Śmiech publiczności brzmi jak orkiestra niestrojących dzwoneczków wietrznych.

– No chodź – namawia Carl. – Jeśli ktoś wyczuje zioło, powiemy, że to medyczna marihuana. Na mojego raka płuc.

– Nie – mówię. – Nie sądziłam, że to usłyszysz.

Po dziesięciu minutach marudzenia Carla i oglądania przerysowanych grymasów Steve’a zmieniam zdanie. Wyjmuję

woreczek z torebki, idę do łazienki i na umywalce robię niewielkiego skręta. Kilka chwil później Carl zajmuje miejsce na miękkim fotelu na balkonie, a ja stoję w otwartych drzwiach i opieram się o framugę.

Mamy widok na Houston, tę współczesną boginię, zranioną, lecz nie pokonaną. Carl wskazuje drugi fotel, ale nie zamierzam ryzykować. Biorę pod uwagę każdą ewentualność, również tę, że Carl zepchnie mnie, bym spadła dziesięć pięter prosto w okrągłe podświetlone fontanny, które lśnią nocą jak lądowisko dla latających spodków.

Upał wygrywa z chłodnym powietrzem z klimatyzacji, które ucieka przez otwarte drzwi. Pot spływa mi po plecach. Carl pstryka zapalniczką, zamienia Larry'ego G w maleńkiego robaczka świętojańskiego.

Niespodzianka. W krótkotrwałym blasku płomienia widzę, że używa srebrnej zapalniczki z literą N, którą znalazłam w jego rzeczach u pani T. Zamyka ją.

– Należała do mojego ojca. Ładna, prawda? Nie wiadomo, czy męska, czy damska.

– Jak miał na imię twój ojciec?

Carl przesuwając palcem po literze.

– Wszyscy wołali na niego Krajak. Mówił, że to przezwisko ze szkoły średniej, bo świetnie sobie radził z nożem myśliwskim, a nie dlatego, że coś sobie odkroił. Ale nie wiem, skąd „N”, nigdy mi nie powiedział.

Bierze solidnego bucha i odchyła głowę. Jego skryty w cieniu profil wygląda jak rzeźba na tle abstrakcyjnych krawędzi dachów miasta. Po raz kolejny uświadamiam sobie, że Carl jest – i był – przystojnym mężczyzną, zwłaszcza po zmroku. Nie jestem w stanie opanować dreszczy, kiedy ściąga usta i wypuszcza dym, który wypełza leniwie przez skraj balkonu.

Claire z *House of Cards* zaciąga się w identyczny sposób. Bezwzględność, z jaką traktuje papierosa, ten intymny przedmiot, który przekazują sobie z Frankiem jak pistolet w rosyjskiej ruletce, ostatecznie przekonała mnie, że z tych dwojga to właśnie ona uosabia większe zło.

– Walt ma obłądny śmiech, co nie? – rzuca Carl. – Kręcą go podteksty seksualne. Lubi, kiedy Steve Harvey mówi o „cielęcinkach”, „męskich zwisach” i „metodach na kiszenie ogóra”.

Nagle Carl odsuwa fotel, metal skrobie o beton. Odruchowo cofam się za próg.

– Spokojnie, dzieciaku. – Podaje mi jointa. Kręcę przecząco głową.

Chcę, żeby serce przestało mi tak walić. Chcę zapytać Carla, czy widmowa kobieta dołączyła do nas w tym luksusowym przybytku i czy zaparowuje lustra i zostawia na poduszkach wilgotne kształtne odciski swojego tyłeczka. Chcę go zapytać o te piękne, pełne życia bliźniaczki, które w dzieciństwie dotrzymywały mi towarzystwa, a dziś budzą niepokój.

Chcę przystawić mu pistolet do głowy i zapytać, skąd, do cholery, wzięło się zdjęcie pod moimi schodami, dlaczego było tam ukryte jak tajemnica na długo przed zniknięciem Rachel.

Chcę wiedzieć, kogo zabił, kiedy, jak i dlaczego to zrobił. Już nie wiem, co może go skłonić do przyznania, że jest potworem.

Rachel zniknęła bez śladu. W jednej chwili była, w drugiej – jej nie było. Tak jak Nicole, Vickie i Violet. Nie miałam wyboru, musiałam się zająć ich sprawami. Jeśli chodzi o Nicole, przynajmniej znaleziono ślad DNA na banknocie pięciodolarowym i wytoczono Carlowi proces. W przypadku Vickie ustalono miejsce zbrodni i odkryto plamy jej krwi na ścianach. A Violet? Porażająco długi odcinek plaży i przyjaciółka, która być może nie powiedziała policji wszystkiego.

Chcę go sprowokować do decydującej, produktywnej rozmowy, zamiast biernie czekać, aż pamięć Carla sama z siebie zmieni tę pozycję embrionalną, w którą się zwinęła. Chcę odnaleźć siostrę, nie oglądając się na nic.

Na razie muszę się powstrzymać. Muszę pozostawić broń tam, gdzie jest. Nie mogę zbyt mocno naciskać. Mój trener miał skrzywienie na punkcie strategii negocjacyjnych.

„Zorganizuj wygodne otoczenie. Skuteczność przesłuchującego wzrasta czternastokrotnie w sytuacji, gdy zachowuje się on niekonfrontacyjnie i w pierwszej kolejności nawiązuje nic porozumienia z przesłuchiwanym. Jeśli zwracasz się do

przesłuchiwanego neutralnym, pełnym szacunku tonem, twoje szanse na uzyskanie przyznania się wzrastają czterokrotnie”.

Przecucie podpowiada mi jednak, że nie będę miała jeszcze sześciu dni na zrobienie dobrego użytku z tej rady – że doganiają nas cienie, które kroczą za nami. Postanawiam więc przesunąć skoczka zamiast piona.

– Kiedyś widziałam ducha – mówię.

– Tak? I jak było?

– Miałam czternaście lat. Weszłam do kuchni i zobaczyłam ją. Stała przy mikrofalówce i odgrzewała makaron z serem z pudełka.

– Powiedziała coś?

– Tak. „Nabrałaś się, co?”. I zniknęła.

– Duchy tak mają. To nawet zabawne – komentuje Carl, niczego nie zdradzając. O nic też nie pyta.

– Psycholog szkolna powiedziała, że to nic niezwykłego – ciągnę ostrożnie. – Nazwała to halucynacją w żalobie. Dodała, że połowie tych, którzy stracili kogoś bliskiego, co najmniej raz wydaje się, że słyszą bądź widzą tę osobę. Podobno jeden uczeń przez miesiąc dostrzegał twarz przyjaciela, kiedy spojrzał wysoko w górę. W prawym górnym rogu jego pola widzenia unosiła się mała głowa. Był z tym u trzech optometrów.

Milczenie Carla boli.

– Duch, którego zobaczyłam, był duchem mojej siostry.

Carl upuszcza skręta na podłogę balkonu i gasi go piętą. Wstaje. Ta część nocy dobiegła końca.

– Matka twierdziła, że zmyśliłam to sobie, żeby poczuć się lepiej. Też tak sędzę. – W moim głosie pobrzmiwa desperacja. Mam nadzieję, że Carl jest zbyt upalony, żeby zauważyć.

– Można sobie tłumaczyć duchy, jak się chce – stwierdza. – Ale nikt tak naprawdę nie ma o nich pojęcia.



Po obejrzeniu albumu w szkole zrobiłam to, co oczywiste. Poprosiłam mamę i tatę do kuchni, usiadłam z nimi przy stole i zapytałam, dlaczego pod schodami na strych było ukryte jedno ze zdjęć Carla Louisa Feldmana. Przypomniałam im, że ten człowiek jest podejrzewany o szereg zabójstw. Opowiedziałam im, jak znalazłam bliźniaczki i kim się dla mnie stały: towarzyszkami zabaw. *Siostrami*.

Rachel była zbyt zajęta.

Opowiadałam nieskładnie, plątałam słowa. Kiedy wymienili rozpaczliwe spojrzenia, poczułam się, jakby sięgnęli po oblepiony okruciami chleba nóż do masła, który leżał na stole, i wbili mi go w pierś. Wyglądali na przerażonych, nie tym jednak, co mówiłam, lecz *mną*.

Odparli, że nie mają pojęcia, o co może chodzić. Poprosili, żebym przyniosła to zdjęcie. Poszli za mną i stanęli za moimi plecami, akurat kiedy na czworakach grzebałam w rzeczach w szafie. Matka wydała okropny dźwięk, jak zwierzę usiłujące nabrać powietrza.

Kiedy rozpaczliwie szukałam zdjęcia, wyjęłam większość ubrań z szafy i rzuciłam je na stos na łóżko, odsłaniając swój zamocowany na ścianie obłąkany patchwork podejrzanych.

Matka opadła na łóżko Rachel i zaczęła zawodzić. Ojciec tylko położył mi dłoń na ramieniu. Pomógł mi wyjąć z szafy każdy świstek, każdą drobinę, łącznie z brązowym pyłkiem z chryzantemy, którą moja siostra nosiła jako ozdobę podczas zjazdu absolwentów. Bliźniaczki zniknęły. Czyżbym je wyrzuciła?

Pokazałam rodzicom, gdzie dokładnie znalazłam kopertę: w połowie schodów na strych, pod dziesiątym stopniem, licząc od dołu. Zajrzeliśmy – przyklejony był tam kawałek poźółkłej taśmy, który z przejęciem wskazałam jako dowód.

Ojciec, nadal w roboczym uniformie – niebieskiej wykrochmalonej koszuli i krawacie w czerwone paski – sięgnął po latarkę, a następnie

wsunął się do niskiego, wąskiego pomieszczenia, w którym znajdował się piec ogrzewający piętro. Upewnił się, że nie ma tam nic poza puszystymi wstęgami pajęczyn. Przesunął snopem światła po wszystkich widocznych stopniach.

To było w piątek. W poniedziałek rano zorganizował dwa spotkania. Pierwsze z młodym agentem FBI, świeżo przydzielonym do odłożonej na półkę z braku dowodów sprawy mojej siostry. Gdy tylko go zobaczyłam – wysoki, silny, energiczny mężczyzna – od razu poczułam się lepiej, nabrałam przekonania, że coś z tego będzie.

Policjant błysnął białym, nieskazitelnym uśmiechem. Miał taką budowę ciała, że zwykły, niedrogi, odrobinę zmechacony niebieski garnitur leżał na nim jak prawdziwy Armani. Rachel zawsze powtarzała, że jej przyszły mąż musi mieć zdrowe zęby i kaloryfer na brzuchu. Tata drażnił się z nią, że w takim razie zostanie starą panną. Teraz na pewno tego żałował.

Miałam wrażenie, jakby Rachel też zaakceptowała śledczego zajmującego się jej sprawą. Nie chodziło wyłącznie o jego wygląd. Przywitał się z nami szczerym, silnym uściskiem dłoni. „Nazywam się DeAndre – powiedział. – Ale proszę się do mnie zwracać Andy, tylko nie mówcie mojej mamie”. Nieważne, jak często używał tego tekstu. Ważne, że wywołał uśmiechy na twarzach rodziców. Zamiast zamykać nas w lodowatym pokoju przesłuchań, przyniósł trzy krzesła i usadził nas dokoła swojego biurka.

Zwracał się bezpośrednio do mnie, nawet kiedy to rodzice zadawali pytania. Znacznie później dowiedziałam się, że neurologzy wykorzystują tę technikę w rozmowach z pacjentami cierpiącymi na demencję, aby podnieść ich poczucie wartości. „Słucham ciebie, a nie ich, choć to ty straciłeś rozum”.

Robił notatki. Poinformował mnie, że niniejszym oficjalnie wciąga Carla Feldmana na listę podejrzanych w sprawie Rachel. Jednocześnie uprzedził, żebyśmy nie mieli złudzeń co do szybkiego rozwiązania sprawy. Okazało się bowiem, że krótko po uwolnieniu od zarzutu zamordowania Nicole Lakinski Carl zniknął i nikt nie wie, gdzie przebywa.

Andy zapisał sobie tytuł albumu Carla, żeby później móc obejrzeć

fotografię bliźniaczek. Przez całą rozmowę na ekranie jego komputera widniało zdjęcie Rachel – to chyba jedyna rzecz, w której wykazał się brakiem wyczucia. Rodzice i ja nie mogliśmy na nie patrzeć. Każde z nas przeżywało inną fazę żałoby. Ojciec zafiksował się na gniewie – dawał mu ujście na ruchomej bieżni, rzeźbiąc mięśnie łydek, i na trawniku, łysym od nieustannego, bezlitosnego koszenia. Matka ugiwała się pod ciężarem depresji, bez przerwy popijając bursztynową „mrożoną herbatę” o zapachu lakieru.

Ja wciąż tonęłam w poczuciu winy. Wiedziałam na przykład, że Rachel miałaby do mnie pretensję, gdyby wiedziała, że w dokumentach FBI i na plakatach z informacją o jej zaginięciu wykorzystano akurat to zdjęcie, którego nie cierpiała.

Andy nie wiedział, że fotografia, o której mowa – portret z ostatniego roku nauki Rachel w liceum – doprowadziła do gwałtownego starcia pomiędzy moją matką a siostrą. Wtedy jeden jedyny raz matka sprzeciwiła się romansowi Rachel z niebieską farbą do włosów i kolczykiem w skrzydełku nosa.

W rezultacie Rachel została po raz pierwszy w życiu sportretowana jako zwyczajna, nijaka dziewczyna; fotograf uwiecznił ją w pozie typowej Teksanki w dżinsach, wysokich butach i wyprasowanej białej bluzce.

Podniszczona czerwona stodoła, o której ścianę się opierała, już na zawsze miała spędzać nam sen z powiek jako krwawa zapowiedź losu Rachel. Matka pozwoliła mojej siostrze założyć tylko jeden naszyjnik i jeden pierścionek: turkusowy, jej ulubiony, ten, który mam w tej chwili na palcu i który trochę uwiera. Przefarbowwała jej włosy na popielaty blond, jak najbardziej zbliżony do naturalnego.

Drugą osobą, z którą miałam się spotkać tamtego ranka, była moja nauczycielka sztuki, Alegra przez jedno „I”. Dwa miesiące później ojciec nawiązał z nią romans, kiedy matka popijała ze swojej szklaneczki z lodem. Coś się kończy, coś się zaczyna. Wtedy jednak jeszcze o tym nie wiedziałam i uważałam, że dobrze to świadczy o nauczycielce, że okazuje nam współczucie i poświęca całą godzinę na obejrzenie z nami albumu Carla Feldmana.

Zarzekła się, że jeszcze tego samego wieczoru spali tę książkę

w swoim kominku gazowym, mimo że na zewnątrz było dwadzieścia stopni. Fotografie zlewały się ze sobą, matka szeptała pod nosem, że są chore, a ja z zaskoczeniem odkrywałam w sobie głos protestu. Choć byłam jedynie przerażoną nastolatką, zdawałam sobie sprawę, że w pracach Carla kryje się coś istotnego.

Po rozmowie z nauczycielką wzięłam album i schowałam go do plecaka. Wszyscy widzieli, jak to robię. Nikt się nie odezwał. Dotarło do mnie, że żadne z nich tak naprawdę nie wierzy, iż fotografia, którą ponoć znalazłam pod schodami, i ta wydrukowana w książce, to to samo zdjęcie.

Żal zakłócał pracę wyobraźni. Może zdjęcie w szafie w ogóle nie istniało? Postanowiłam, że przemilczę osobliwe uczucie, którego doznałam, kiedy zobaczyłam charyzmatyczne oblicze Carla Feldmana na skrzydełku obwoluty.

Matka zasugerowała terapię. Po trzech wymuszonych sesjach przestałam wspominać o Carlu i bliźniaczkach. Gdybym mogła wskazać konkretny punkt w czasie, wybrałabym ten, w którym zaczęłam się zachowywać jak moja siostra: rzucać garść niezbędnych łągarstw i czerpać z tego przyjemność.

Czułam się rozszczepiona jak światło, które przechodziło przez bursztynową szklaneczkę w dłoni matki i padało na ścianę. Uznałam, że jeśli kiedyś urodzę córki, będę się bardziej interesowała ich tajemnicami.

Zerwałam ze ściany wszystko, czym ją wykleiłam. Carl stał się moim podejrzanym numer jeden. Podejmowałam rozpaczliwe próby odnalezienia go, dysponując ograniczonymi środkami dostępnymi siedemnastolatce.

Ponieważ moje poszukiwania wciąż prowadziły donikąd, postanowiłam wykluczyć inne możliwości i skontaktować się z dwoma poprzednimi właścicielami domu. Pierwszymi okazała się para siedemdziesięcioparolatków; oboje zmarli krótko po sobie dwadzieścia lat przed tym, jak się tam wprowadziliśmy.

Drugim właścicielem była pani Zito, wdowa po imigrancie z Włoch, która sprzedała nam dom łącznie ze wszystkimi strategicznie rozmieszczonymi instrukcjami. Przeniosła się do domu spokojnej

starości trzy kwadranse drogi od dawnego lokum. Najpierw odnalazłam jej syna, którego imię, Nixon, było napisane ołówkiem nad miarką wzrostu na framudze drzwi do kuchni.

Zamalowałam ją, bo matka stwierdziła, że kuchnia śmierdzi jak fabryka lasagne. Z ciężkim sercem usuwałam jego imię i drobne plamki sosu pomidorowego, jakbym wymazywała czyjaś historię. Pokryłam framugę jak najcieńszą warstwą farby, tak że kiedy dobrze się przyjrzałam, wciąż widziałam przebijającego Nixona.

Ilu może być na świecie Nixonów Zito?

Jeden, jak się okazuje.

Carl zostawił mnie na balkonie. Usiadłam w jego fotelu i przez pewien czas wpatrywałam się w układające się do snu Houston i budzące się gwiazdy.

Takie spokojne miasto. Gdybym tylko wciąż nie miała przed oczami obrazu tego, jak tonie.

Kiedy wróciłam do środka, Carl nie był zainteresowany oglądaniem zdjęć, które chciałam wyjąć z plastikowego pojemnika, tym pasjensem pamięci, nie chciał wystawić języka, żebym sprawdziła, czy połknął leki, i nie miał ochoty na rozmowę o metafizycznych zdolnościach mojej siostry.

Tak więc znów siedzimy każde u siebie. Umościłam się na łóżku, oparłam o zagłówek i położyłam sobie na kolanach sfatygowany album Carla. Cowieczorny rytuał, od kiedy skończyłam osiemnaście lat, tak jakby książka zawierała wszystkie odpowiedzi. Przez ścianę słyszę znajome dźwięki *Familiady*, maraton, który może trwać nawet całą noc. Carl nie wie, że jutro nieco zboczymy z trasy. Kazałam mu być ubranym i gotowym do wyjścia o ósmej rano. Nie zapytał, o co chodzi.

Cztery poduszki, o które się opieram, są tak rozkosznie miękkie, że zastanawiam się, ile gęsi musiało oddać na nie puch. Zamocowałam blokadę drzwi, szpetny przedmiot w pięknym pokoju, którego wystrój zaprojektowano tak, bym mogła się wyciszyć.

Zdjęłam Ćmie bandaż, zgodnie z instrukcją, którą dostaliśmy od pani weterynarz, i przypilnowałam, żeby połknął tabletkę. Drzwi do garderoby zostawiłam uchylone na piętnaście centymetrów, żebym mogła słyszeć jego głębokie westchnienia i chrapliwe chrząkanie. Po dziesięciu minutach obserwowania, jak podnosi się i opada jego pierś, upewniłam się, że Ćma po prostu śpi, a nie wydaje z siebie ostatnie tchnienie.

Mam na sobie jeden z obszernych T-shirtów ojca. Koszulka sięga mi

do połowy uda, topię się w niej, jest cienka, znoszona, zmięczona potem ciężkiej pracy i niepokoju – to jedyna rzecz, którą zapragnęłam po nim zatrzymać, gdy zmarł na zawał podczas koszenia trawnika w sierpniowym upale, kiedy byłam na przedostatnim roku studiów.

Dawniej wzdrygałam się na myśl, że można nosić ubrania zmarłego albo tarzać się na łóżku jak pies, pragnąc poczuć zapach ukochanej osoby. Nie rozumiałam, dlaczego przez piętnaście lat po tym, jak pochowaliśmy dziadka, jego ciemne garnitury i koszulki golfowe nadal wisały w równym rzędzie w szafie.

Babcia trzymała swój elektroluks za spodniami garnituru dziadka i ilekroć prosiła mnie, bym przyniosła odkurzacz, serce zaczynało mi walić ze strachu. To było jak otwieranie drzwi do miniaturowego nawiedzonego domu wypełnionego zapachem odświeżacza powietrza Old Spice. Rachel mówiła, że czuła się, jakby wyjmowała odkurzacz z trumny. Ale w przeciwieństwie do mnie jej to nigdy nie przeszkadzało.

Zrozumiałam to dopiero później. Kiedy siadałam w ciemności wypełniającej naszą szafę i pozwalałam, by sukienki Rachel łaskotały mnie w głowę. Wdychałam kurz i jej perfumy jak woń słodkich papierosów.

Przypominałam sobie, jaka potrafiła być kochana. Kiedy przechodziłam ospę, codziennie wystawała przed domem, czekając na furgonetkę lodziarza, żeby mi kupić tęczowe lody na patyku. Poświęciła całe lato na przygotowanie mnie do gier kwalifikacyjnych do gimnazjalnej drużyny siatkówki. Rozpuściła wredną plotkę o chłopaku, który okrutnie mnie obmawiał.

Przekładam kartkę, jedną, drugą. Mam wrażenie, jakbym większość z ostatnich sześciu lat życia spędziła z ludźmi na papierze. Grzbiet albumu jest poluzowany, co ułatwia oglądanie.

Zatrzymuję się na *Kobiecie w deszczu* i po raz kolejny zastanawiam się, czy to ona jest tą mokrą zjawą, którą widzi Carl. Ofiarą, której nie może się pozbyć. To niezwykle sugestywna, surrealistyczna fotografia. W uwagach autora Carl nazywa tę elegancką postać Kopciuszkiem.

Chciałabym się sprowadzić do dwóch wymiarów, wnikać w zdjęcie, poczuć na sobie krople deszczu, krzyknąć do niej, by się

zatrzymała, zapytać, czy żyje, czy umarła. Biegnie do domu czy przed czymś ucieka? Czy jej twarz jest piękna, czy przeciętna?

Przewracam następne dwie strony. I znów jestem w szafie z dzieciństwa, i znów rozsuwam ubrania. Bliźniaczki. Dwie Mary, jak je nazywa Carl.

Ucisk w żołądku. Od pewnego czasu zawsze mnie boli, kiedy na nie patrzę. Nigdy mi się nie udało ustalić ich nazwisk ani odnaleźć na listach osób zaginionych. Mogłam jedynie snuć przypuszczenia.

Przechodzę do kolejnego obrazu: pusta stara huśtawka, zardzewiałe łańcuchy, porozszczepiane listwy jak próchniejące zęby. Porzucony obiekt, który aparat Carla przywrócił do wyobrazonego życia. Na tej huśtawce umysły bujały w obłokach, dziewczęta całowały chłopców, kołysały się maluchy, ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami, wysychał pot, stygło rozgorączkowanie.

Rzeka życia. Gdzie w tym wszystkim znajdowało się miejsce bliźniaczek? A Rachel? A moje?

Fotografie Carla wciąż do mnie przemawiają, tyle tylko że nie mówią tego, co chcę usłyszeć.

Eksplozja dźwięku w drugim pokoju jest tak potężna, że odruchowo ciskam książką o ścianę. Grzbiet pęka i album rozpada się na dwoje jak rozłupany siekierą. Potem – cisza.

Na trzęsących się nogach biegnę przez pokój, moje ciało pod wytartą koszulką przechodzi dreszcz, Ćma w garderobie skowyczy. Zastanawiam się, czyją twarz rozkwaśniło: Steve'a Harveya w telewizorze czy pucułowatą Walta w lustrze. Albo gorzej – czy Carl nie przyłożył do czegoś płomienia zapalniczki.

Ćma nadal skamle.

Nie chcę tam iść. Ale nie chcę też wyskakiwać z dziesiątego piętra z psem w ramionach. Rachel uwielbiała radosne podniecenie przebywania na wysokości. Ja zawsze zostawałam na ziemi i zadzierałam głowę do góry.

Przez dwucentymetrową przerwę pomiędzy drzwiami a wykładziną nie przesącza się dym. Pochyliam się, wącham, ale czuję jedynie potpourri z tkaniny, kurzu i kwiatowego odświeżacza do dywanów.

Przykładam ucho do drzwi i słyszę głos Carla. Recytuje. Liczy.

Szoruje jakimiś przedmiotami po twardej powierzchni. Przesuwa jeden po drugim.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniam Ćmę.

Wkładam szorty i wracam do drzwi. Otwieram je.

Carl wziął torbę z kamieniami, które zbierał po drodze, i wysypał jej zawartość na lśniący drewniany stół.

Liczy swoje złoto.

– Wyszłaś z twierdzy – rzuca sympatycznym tonem. Siedzi z pochyloną głową skupiony na zadaniu. Kamyki zostawiają cienkie postrzępione rysy na blacie stołu, które dołączają do bladych widmowych kręgów po butelkach szampana. – Trzydzieści dwa. Trzydzieści trzy. Trzydzieści cztery.

Plastikowe pudełko ze zdjęciami, których wcześniej nie miał ochoty oglądać, leży puste na podłodze pośrodku pokoju. Ofiary i ich rodziny, ludzie od lat będący moją obsesją, są jak rozrzucone przez tornado szczątki na wykładzinie, brokatowych kanapach i fotelach z wysokimi oparciami.

Jedna fotografia stoi oparta o lampę na niskim stoliku za plecami Carla. Ślicznie wyszła. Stodoła w tle jest kolejnym czerwonym akcentem w apartamencie. Żółtawa poświata, która pada na zdjęcie przez frędzle abażuru, sprawia, że postać na papierze wydaje się żywa, światło ustawił ktoś, kto się na tym zna.

– Twoja siostra – mówi Carl.

– Skąd wiesz?

Powietrze więźnie mi w płucach.

– Trzydzieści osiem. Trzydzieści dziewięć.

Przesuwa kolejny kamień po stole jak tępy pazur po moich plecach.

Odchrząkuję.

– Pięćdziesiąt – mówi. – Pięćdziesiąt dwa.

– Skąd wiesz, że to moja siostra?

– A jak myślisz? Jesteście podobne. Poza tym nosisz jej pierścionek.
– Wskazuje mój palec.

TYTUŁ: *DWIE MARY*

Podróż w czasie. Fotografie Carla Louisa Feldmana

Wschodni Teksas, 1992 rok

Odbitka żelatynowo-srebrowa

Komentarz autora: „Natknąłem się na te bliźniaczki w dniu pogrzebu mojego wuja we wschodnim Teksasie. Wuj przez całe życie uprawiał ziemniaki, dopóki nie dopadł go rak skóry. Przedsiębiorca pogrzebowy pozostawił brudne plamy na wujowych paznokciach. Proponował, że je wybieli, ale ciotka się nie zgodziła; powiedziała, że te plamy świadczą o tym, kim był. Kiedy już złożyliśmy go w grobie, wróciliśmy do ich chaty na zwyczajową wyżerkę: żal, smutek i południowe jedzenie. W pewnym momencie wstałem od stołu i wymknąłem się z aparatem do lasu. Po przejściu kilkuset metrów natknąłem się na te dwa małe duszki i podkradłem się do nich. Nie wiem, skąd się tam wzięły ani dlaczego wędrowały błotną ścieżką w sukienkach od pierwszej komunii. Zacząłem im robić zdjęcia. Zobaczyły mnie dopiero po dwudziestu minutach. «Kim jesteś? – wykrzyknęła jedna z nich. – Przestraszyłeś nas». «Nazywam się Carl» – odparłem. «A ja Mary» – powiedziała. «Ja też» – dodała druga, szczerząc zęby w uśmiechu”.

Dzień piąty



Mój notes przetrwania, 10 lat

Jak się nie bać tego, że plakat do Krzyku nad łóżkiem mojej siostry ożyje w nocy

- 1. Przed pójściem spać stuknąć w niego trzy razy.*
- 2. Postarać się jednak nie stukać.*

– Gotów? No to zaczynamy, młody człowieku. Proszę podać dzisiejszą datę.

– Któryś tam lipca – odpowiada Carl usłużnie.

Kobieta, która rzeczywiście *jest* młoda, przedstawiła się jako „doktor Amy, neurolog stażysta, przystawka przed głównym daniem”. Jest nadgorliwa, ładna, ma uśmiech jak słońce i prezentuje coś, czego nie znoszę, mianowicie okropnie protekcyjny stosunek do starszych ludzi. Carla najbardziej kręci chyba to, że biały fartuch doktor Amy rozchyła się na wysokości jej kolan.

Wczoraj wieczorem pozbierałam zdjęcia porozrzucane po salonie. Zawahałam się, ale w końcu to, które przedstawia moją siostrę, zostawiłam tam, gdzie stało, pod lampą. Przeleżałam w luksusowym łóżku w hotelu ZaZa pół nocy, nie mogąc zasnąć i gorączkowo zastanawiając się, jak powiedzieć Carlowi, że przedpołudnie następnego dnia spędzimy w gabinecie słynnej neurolożki, do której zdołałam nas zapisać wyłącznie dzięki kłamstwom.

Nazajutrz Carl mnie zaskoczył.

– Dobrze – powiedział zgodnie. – Może uda się naprawić moją rękę. A, i chcę zamówić brioszki à la francuskie tosty. Sama przeczytaj: sos pomarańczowo-waniliowy, ciepła konfitura z truskawek w occie balsamicznym, marynowany rabarbar, domowe masło bazyliowo-miętowe, kozi ser, kilka kleksów melasy z sorgo.

Carl dostał swoje fantazyjne śniadanie i zjadł je, a potem autobus ZaZa zawiózł nas za darmo na miejsce, ponieważ gabinet znajdował się w promieniu sześciu kilometrów obsługiwanych przez hotelowy transport. I tak znaleźliśmy się u doktor Amy.

Lekarka zaznacza odpowiednie kratki w kwestionariuszu i znów spogląda na Carla.

– Kto jest prezydentem?

– Idiota.

Kolejny znaczek.

– To *musi* być dobra odpowiedź – zauważa Carl.

– Obawia się pan, czy odpowiedział najlepiej, jak potrafi. Proszę powtórzyć: „Pies, widelec, noga”.

– Kot, łyżka, ręka. – Bez mrugnięcia okiem.

– Proszę przeliterować słowo „łódka” od końca.

– J-I-S-S.

– Spróbujmy raz jeszcze. „Łódka”. – Powtarza powoli, seksownie układając usta przy pierwszym dźwięku. To wyjaśnia, dlaczego udało jej się trafić do jednego z najbardziej eksperymentalnych amerykańskich programów badawczych dotyczących demencji.

– Ę-Ł-A-P – odpowiada Carl, przy drugiej literze robiąc z ustami to samo co lekarka. Wydmuchuje przy tym tyle powietrza, że porusza blond kosmykiem spadającym na policzek doktor Amy.

– Doskonale. Proszę teraz wziąć tę kartkę, złożyć ją na pół i umieścić na podłodze.

Carl posłusznie wykonuje polecenie.

– Doskonale. – Lekarka podnosi kartkę i podaje ją Carlowi. – A teraz proszę zamknąć oczy – mówi miękkim głosem.

– Skoro nalegasz, kochanie. – Ściąga usta.

Doktor Amy to ignoruje.

– Proszę wziąć ode mnie ołówek i napisać zdanie na kartce, którą pan dostał. Może pan wykorzystać moją podkładkę. Przepraszam za ten brak zorganizowania, ale dziś jest ciężki dzień, choć dopiero rano.

– Wzdycha z udawanym zmęczeniem. – To proste zadanie: zamknąć oczy, wziąć ołówek, napisać zdanie.

Jestem przekonana, że słowo „proste” nie powinno było paść z jej ust.

– Mam napisać... cokolwiek? – pyta niewinnie Carl.

– Cokolwiek przyjdzie panu do głowy.

Przez kilka sekund Carl gryzmoli coś z zaciśniętymi powiekami, po czym składa kartkę wzdłuż istniejącego zagięcia i oddaje ją lekarce.

– Doskonale. Może pan otworzyć oczy.

Doktor Amy rozkłada kartkę, wsuwa ją pod klips, rzuca okiem i zaczyna notować. Kiedy dociera do niej, co Carl nabazgrał, na jej

szyi pojawia się rumieniec, który wygląda jak paskudne poparzenie.

– Proszę zaczekać na panią doktor – rzuca szorstko.

Jej rola jest zakończona.

– Ile cię to kosztuje? – pyta Carl, jak tylko za doktor Amy zamykają się drzwi. – Podałaś im jedno ze swoich fałszywych nazwisk? Zapłaciłaś podrabianą kartą? Jak mam się dziś do ciebie zwracać?

– Musisz się bardziej postarać. Przypominam, że zgodziłeś się na to, kiedy ustalaliśmy warunki u pani T. I prosiłam, żebyś przy ludziach najlepiej w ogóle nie używał mojego imienia. Tak będzie łatwiej.

– Nie pamiętam, żebym się zgadzał na coś takiego. Nie ufam nikomu, kto używa słowa „doskonale”.

– Dotarło. Przejdź nad tym do porządku dziennego, okej? Przyszliśmy tu do kogoś innego. – Ta jest tylko przystawką.

– Ty przyszłaś – poprawia Carl. – Ja jestem weteranem testów Blessed, opracowanych z wykorzystaniem skali demencji Blessed przez gościa o nazwisku Blessed. Jeśli Błogosławiona Panienska maczała w tym palce⁶ albo jeśli to najlepsze, czym dysponują lekarze, to nasze mózgi mają naprawdę przesrane.

Z każdym kilometrem i każdą minutą Carl zmienia oblicze. Nie jest już tym milczkiem z domu pani T, który nosił świąteczny krawat i wydawał się nieporuszony, kiedy czytałam mu *Pieśń o otwartej drodze* Whitmana. Bywa i bystry, i zabawny, krąży na wielu poziomach jednocześnie.

W nocy Carl zdjął ze ścian wszystkie lustra i wizerunki czerwonych maków i ustawił je na podłodze twarzą do ściany, jak nieposłuszne dzieci. Pozbawiony tańczących odbić pokój stracił okazałość. Stał się mały i jednowymiarowy, anonimowy i nijaki jak brązowy papier na plecach luster. Carl nie potrafił odpowiedzieć, kiedy zapytałam, dlaczego to zrobił.

– Lekarka, na którą czekamy... wie, kim jesteś – mówię.

– Nie rozumiem, co to znaczy. A czy wie, kim ty jesteś? Bo na pewno nie moją córką.

Czuję muśnięcie paniki – dokładnie to, na czym mu zależy.

– Nie musisz wnikać. Publicznie, przy innych ludziach, bezwzględnie powstrzymaj się przed osobistymi uwagami pod moim

adresem. Chyba że chcesz natychmiast wrócić do pani T.

Carl tylko się uśmiecha.

Mam nadzieję, że kontrowersyjna doktor Lucy Blumstein jest tak dobra, jak o niej mówią. Przyjazd tutaj wiązał się z dużym ryzykiem, zresztą jednym z wielu na mojej liście. „Szuka pani po omacku – usłyszałam od niej przez telefon. – Okoliczności są nadzwyczajne, przyznaję, dlatego zgadzam się go przyjąć, ale proszę się nie spodziewać błyskawicznej oceny, na której, zdaje się, pani zależy. Nie powiem pani, czy to morderca”. Wyczułam jednak, że jest zaintrygowana.

Słyszając krótkie pukanie do drzwi, odwracamy głowy. Wchodzi drobna kobieta bez promiennego uśmiechu na ustach. Z informacji, które znalazłam na jej temat, wynika, że przed czterdziestoma sześcioma laty adoptowano ją z koreańskiego sierocińca. Była stypendystką Princeton i Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa.

Dziś ma pod oczami podkowiaste worki. Jej pomięty niebieski fartuch wisi na sylwetce będącej wynikiem regularnego żywienia batonami bez smaku i pracy od świtu do zmierzchu. Żadnej biżuterii, telefonu przy pasku albo na nadgarstku, podkładki z klipsem, iPada. Jediną rzeczą, z którą do nas przychodzi, jest umysł.

– Witam, panie Feldman. A pani to zapewne córka. – Potwierdzam skinieniem głowy. – Jestem doktor Blumstein. Lucy. – Na szczęście nie wspomina o naszej rozmowie telefonicznej, mimo że powiedziała mi wtedy zdecydowanym, niemal opryskliwym tonem, że przed pacjentami świadomymi otoczenia niczego nie zataja. – Panie Feldman, proszę z łaski swojej podejść tu i usiąść naprzeciwko mnie.

Nastawienie Carla się zmienia. Poznaje to po sztywności, z jaką zsuwa się ze stołu. Jego buty głośno uderzają o podłogę.

Posłusznie zajmuje wskazane miejsce.

Lekarka przysuwa się z fotelem, tak by siedzieć bezpośrednio przed Carlem.

– Proszę zacząć napierać na moje dłonie z jak największą siłą.

Patrzę, jak Carl powoli podnosi ręce. Przenoszę spojrzenie na dwie pary zapierających się o podłogę nóg. Klapki Birkenstocki kontra wysokie buty z wężowej skóry. Jestem przekonana, że w tym

pojedyнку to Carl będzie górą, a doktor Blumstein poleci razem z fotelem prosto na stojący na biurku pastelowy model mózgu. Carl nazwał go Panem Kartoflem, gdy tylko weszliśmy do gabinetu.

Muszę ją ostrzec.

– To chyba nie jest dobry pomysł – wtrącam. – On...

Ale Carl już napiera, widzę pulsowanie mięśni przedramienia.

Okazuje się, że nie doceniłam pani doktor. Fotel przesuwana się o zaledwie kilka centymetrów. W końcu lekarka opuszcza ręce.

– Nieźle – ocenia.

Twarz Carla płonie. Nie z wysiłku jednak, tylko ze złości.

– Nie chcę, żeby moja córka przy tym była.

Lucy daje mi znak głową. „Proszę wyjść”.

Niepokoję się, co Carl może mieć w kieszeniach. Myślę o rzeczach, których nadal nie znalazłam. O scyzoryku. O czerwonej gumowej taśmie do ćwiczeń. Dziś rano nie pozwolił mi sprawdzić.

Boję się, co może zrobić tej kobiecie. Plan nie przewidywał, że zostawię Carla sam na sam z drugą osobą.

– Oczywiście – mówię i zamykam za sobą drzwi.

Siedzę w poczekalni czterdzieści pięć minut, podczas gdy Lucy i Carl poznają się w gabinecie. Czterdzieści sześć. Czterdzieści siedem.

Dla doktor Blumstein spotkania z mordercami to codzienność. Naiwnością z mojej strony było podejrzewać, że nie poradzi sobie fizycznie z Carlem albo że nikt wcześniej nie próbował manipulować jej pięknym umysłem. Naturalnym środowiskiem pracy Lucy wcale nie jest ten gabinet, na którego drzwiach jej nazwisko widnieje obok nazwisk innych lekarzy, lecz skrzydło więzienia federalnego.

Zgodziła się na odstępstwo od swoich metod, ponieważ skłamałam i przedstawiłam się jako odnaleziona córka Carla Louisa Feldmana, potencjalnego seryjnego mordercy. Na dokładkę przesłałam jej e-mailem selfie z Carlem, na którym stoimy na kruszejących schodkach przed domem pani T. Wiedziałam, że pani doktor trudno będzie się oprzeć połączeniu sławy Carla, mojej młodzieńczej bezbronności i jej własnej mrocznej historii. Wiedziałam również, że będzie ją obowiązywała tajemnica lekarska.

Przybrany ojciec, który pokochał Lucy, zanim zobaczył jej twarz, i który nie patrząc na nic, przerzucił ją przez ocean, kiedy miała dwa latka, jakby ciągnął rybę złapaną na haczyk – ten człowiek pewnego ranka strzelił do jej leżącej w łóżku matki. Lucy studiowała wtedy na pierwszym roku Princeton i nie mieszkała w domu. Ojciec cierpiał na chorobę Alzheimera i na szczęście nie potrafił dobrze wycelować. Matka przeżyła, ale musiała przejść długą, uciążliwą rehabilitację i zerwała wszelkie kontakty z mężem.

Moim źródłem wiedzy o genialnej Lucy i o tym, jak spędzała weekendy w motelu, wkuwając do egzaminu MCAT, żeby się dostać na medycynę, były wyniki wyszukiwania zbitki „neurologdy morderstwa demencja” w dark webie. Motel znajdował się w odległości ośmiu kilometrów od nieklimatyzowanego teksaskiego więzienia, w którym alzheimer powoli, acz bezlitośnie pożerał mózg

jej ojca.

Kiedy skończyła studia medyczne, udało jej się przekonać bogatego teksaskiego konserwatystę do sfinansowania programu więziennego, w ramach którego stworzono oddzielny blok dla więźniów z demencją, z dala od drapieżców, po to, by mogli przeżuwać zimne grzanki tak długo, jak chcą, i budzić się w spokoju, a nie z przerażeniem, bo mężczyźni z bronią i w mundurze, którego nie pamiętają, siłą wyciąga ich z łóżka.

Stworzyła tanie i, jak się okazało, uszlachetniające rozwiązanie problemu opieki nad osadzonymi z demencją. Opracowała program, w którym współwięźniowie zmieniają im pieluchy, karmią ich, pilnują, żeby dbali o higienę. Mordercy doglądają morderców.

Dlatego wiedziałam, że choć nie była dla mnie uprzejma przez telefon, Lucy ma dobre serce. I moje też nadal takie jest, po prostu przestałam być tą nieśmiałą siostrzyczką niesfornej Rachel.

Pięćdziesiąt dwie minuty.

Rozsuwają się szklane drzwi obok stanowiska recepcjonistki i pojawia się w nich czarna kręcona czupryna.

– Pani Feldman?

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że chodzi o mnie.

– Tak, tak. – Zrywam się z krzesła.

– Lucy zaprasza panią do biura. Proszę pójść w lewo. Przedostatnie drzwi po prawej, za toaletą. Pani ojciec został zabrany na szybki rezonans.

Szybki. Doskonale. Proste.

Lucy zdążyła się przebrać w wąskie džinsy i niebieski T-shirt z napisem: „Dziewczyny nie są na sprzedaż”. Zamieniła klapki na białe wsuwane kedsy i założyła niebieski Apple Watch. Jej biuro jest pozbawione okien, klaustrofobiczne, zaniedbane. Pusto na ścianach, jeśli nie liczyć kilku zadrapań.

Jak jednostka powierzchni magazynowej, boks mieszczący samotne biurko, jakieś stare dokumenty, grube pisma medyczne, nagrody i dyplomy, które dla doktor Blumstein są jedynie środkiem prowadzącym do celu. Podejrzewam, że to biuro kojarzy jej się z całą mocniej niż te prawdziwe, które odwiedza.

Po zdjęciu birkenstocków zmaląła o parę centymetrów, ale nadal wygląda groźnie. Wyobrażam sobie morderców nasłuchujących piszczenia gumowych podeszew jej kedsów na lśniącem więziennym linoleum.

– Proszę usiąść. – Lekarka zsuwa leżący na krześle stos papierów na podłogę. – Poznałam Walta.

– Nie wiedziałam, że zabrał się z nami.

Lucy nie reaguje. Nie spodobał jej się mój żart. Niewykluczone, że w ogóle nic jej nie śmieszy.

– Halucynacje prawdopodobnie wskazują na LBD, czyli otępienie z ciałami Lewy’ego, którego przyczyną są nieprawidłowe złożki białek w mózgu i które wpływa na procesy myślowe, zachowanie, nastrój. Jednym z objawów choroby jest widzenie nieistniejących rzeczy. Halucynacje występują na wczesnym etapie rozwoju LBD, jedynie u niewielkiego procenta pacjentów. – Wzrusza ramionami. – Podejrzewam, że pan Feldman cierpi też na lekką psychozę.

Kręcę głową.

– Wiem tylko tyle, że po tym, jak policja zatrzymała go za włóczęgostwo, zdiagnozowano u niego demencję. Twierdził, że nie pamięta, kim jest ani gdzie jest.

– To mógł być skutek upadku albo przemijającego ataku niedokrwienego, miniudar. Tak jak mówiłam, nie jestem w stanie dokonać wyczerpującego rozpoznania w krótkim czasie. Nie policzę pani za rezonans. Pan Feldman zgodził się na wykorzystanie przeze mnie wszelkich informacji, które zebrałam podczas wizyty, w mojej pracy naukowej. Podpisał zwolnienie od odpowiedzialności.

– Nie wiem, czy powinnam mu pozwolić na... podpisywanie czegokolwiek bez mojej wiedzy.

Znów wzrusza ramionami.

– To w końcu jego decyzja, prawda?

– Myśli pani, że mnie okłamuje?

– W jakiej sprawie?

– Czy to możliwe, że udaje, że widzi duchy? I symuluje zanik pamięci?

– Nie zmyśla halucynacji. Owszem, być może nie mówi całej

prawdy, jeśli chodzi o luki w pamięci. Ale tu nie ma żadnych pewnych odpowiedzi. Moje badania nad mózgami i DNA morderców z demencją dopiero raczkują. Wiadomo, że mordercy tak czy owak nie są w pełni zdrowi psychicznie. Może się pani wydawać, że Carl jest w kiepskiej formie, ale proszę sobie wyobrazić, że za chwilę mam spotkanie z więźniem, który nieustannie błaga mnie, bym wyciągnęła jego żonę z sedesu w celi. Ten mężczyzna widzi jej twarz w muszli za każdym razem, kiedy idzie sikać. Nie pamięta jednak, że pobił ją na śmierć kijem bejsbolowym swojego syna. Przypomina sobie za to, że kiedyś przezwał ją Małą Dumbo. „Proszę, niech pani wyjmie Małą Dumbo z sedesu”. I tak w kółko.

– Carl też widzi rzeczy, których nie ma.

– Ten pacjent nosi pieluchę – ucina doktor Blumstein. – Nie myje się. Tymczasem pan Feldman jest sprawny, cierpi jedynie na częściową utratę pamięci. Sąd go uniewinnił. Ani ja, ani pani nie wiemy, czy rzeczywiście jest mordercą. Gdyby było inaczej, nie zjawiłaby się pani u mnie i nie zadawałaby pytań.

– Na pewno jest coś jeszcze, co może mi pani powiedzieć.

Lucy nie odpowiada. Milczy długo. Za długo.

– Dziękuję, że zechciała pani poświęcić mi czas – mówię. – Naprawdę. Dziękuję.

– Myślę – zaczyna Lucy powoli – że uzyska pani zadowalające odpowiedzi, jeśli podejdzie do sprawy w sposób bardziej kreatywny. Proszę na przykład spróbować porozmawiać z Waltem i zobaczyć, co ciekawego z tego wyniknie. Muszę jednak mieć pewność, że rozumie pani konsekwencje.

– To znaczy?

– Na własną rękę bawi się pani w zgadywanki z inteligentnym i wysoce nieprzewidywalnym człowiekiem. Kiedy trafi pani w czuły punkt, nikt nie przybiegnie pani z pomocą, nikt nie poluzuje dłoni, które Carl zaciśnie na pani szyi. I czy jest pani gotowa na ten moment, w którym on dotknie *pani* czułego punktu? Bo na pewno dotknie.

Walczę z maską zsuwającą się z mojej twarzy.

– A rezonans? Kiedy poznam wyniki?

– To zależy od Carla. Zwolniłam panią z rutynowej papierkowej roboty, ponieważ powiedziała pani, że nie ma dostępu do pełnej historii jego choroby. Nie mogę jednak zrezygnować z formularza pozwolenia na dostęp do historii choroby w sytuacji, gdy ktoś nie jest moim stałym pacjentem.

– Powiedział, że nie jestem jego córką – oznajmiam beznamiętnie. Stwierdzenie faktu.

– Wydaje się, że to jedyna rzecz, której jest stuprocentowo pewny.
– Lucy powstrzymuje mnie gestem dłoni. – Proszę nic nie mówić. Nie wiem, co panią kieruje. Nie ma to dla mnie znaczenia. Zapewne zdążyła się pani zorientować, że nie jestem skłonna do wydawania osądów moralnych. Wygląda pani na osobę w świetnej formie fizycznej. Proszę po prostu nie odwracać się do niego plecami na zbyt długo. Niech pani będzie czujna, na miłość boską!

– Okna i lustra – bąka Carl.

Wróciliśmy do hotelu. Carl przekłada swoje złoto na niewielką patelnię, którą zwędził pani T. Sprawia wrażenie zgaszonego po wizycie u neurologa. Ćma ułożył się pod stołem i oparł nos o but Carla, co powoli wchodzi mu w nawyk.

– „Nie jestem okrutne, tylko prawdomówne”^Z – cytuje Carl. – Sylvia Plath. Głosem lustra.

Przyglądam mu się w milczeniu. Nie wiem, może oczekuje, że do niego dołączę. Siatka rys na blacie stołu rzuca się w oczy jak maniakalna plansza do gry w kółko i krzyżyk. Zamierzam potraktować ją znalezionym w drogerii – w czasie gdy Carl polował na mountain dew – markerem do drewna w odcieniu wiśniowy dąb.

Za oknami słońce kończy wędrówkę.

– Powieszę lustra z powrotem dopiero tuż przed naszym wyjazdem – uspokajam go. – Mogę zaciągnąć zasłony, jeżeli okna ci przeszkadzają.

Przez ostatnie dwie godziny Carl praktycznie się nie odzywał, jeśli nie liczyć pogardliwej uwagi w windzie rzuconej pod adresem rozpixselowanego wizerunku Franka Sinatry uchylającego kapelusza. Zapytałam go o przebieg wizyty, ale odpowiedział jakimś ogólnikiem, tak jakby rezonans i badanie wydarzyły się we śnie.

– Chodzi mi o zdjęcia – mówi Carl. – Są zarówno lustrami, jak i oknami. Historia, którą opowiada fotograf i nieskończone interpretacje obcych ludzi. Idealne ujęcie żyje. Oddycha. Rozwija się. Ludziom się wydaje, że to muzyka jest uniwersalnym językiem. Nie. Jest nim fotografia.

Niemal dosłowny cytat ze wstępu do jego albumu.

Powiedzieć mu, że znam tę książkę? Że nie potrafię zliczyć, ile razy wieczorem, leżąc w łóżku, wnikałam w jego czarno-białe światy? Że unosiłam się razem z Violet na sadystycznych szarych falach wokół

Galveston? Że zamknięta w szafie bawiłam się z jego Dwoma Mary? Zabrzmiałoby to, jakby pomieszało mi się w głowie tak jak jemu.

Zdjęcie Rachel nadal stoi oparte o lampę. Zmuszam się, by podejść, wziąć je i położyć na stole przed Carlem.

– Opowiedz mi o tym.

– Nie zrobiłem go.

– Jaką historię opowiada ta dziewczyna?

– Taką, że cholernie chciałyby być gdzie indziej.

– A co mówi o niej Walt?

– Że szkoda, że umarła. I że takie ustawiane ujęcia są dla łatwych lasek.

Wściekłym ruchem ręki Carl zrzuca wszystkie swoje znaleziska na podłogę. Ćma unosi głowę, po czym uznaje, że lepiej się nie wychylać.

Niepewnym krokiem podchodzę do lampy i ponownie opieram o nią siostrę.

Schylam się, żeby pozbierać kamyki, bo nie chcę, by Carl widział moje łzy, ale po chwili zmieniam zdanie. Otwieram dłoń. Celowo wypuszczam kamyki i pozwalam im spaść na podłogę.

– Pozbieraj swoje złoto. Zamów sobie jedzenie. Nie przeszkadzaj mi przez resztę wieczoru. Chodź, Ćma.

Znalazłszy się za drzwiami sypialni, staram się zapanować nad oddechem i zatamować strumień łez. Wyjmuję z kieszeni kostkę do gry i tak długo rzucam nią na dywan, aż wypada trójka, moja szczęśliwa liczba. I szóstka, szczęśliwa liczba Rachel.

Po dziesięciu minutach jak zwykle zaczynam czuć się lepiej. Nigdy nie trwa to dłużej niż dziesięć minut. Zdołałam wytrenować nawet żal.

Pęknięty album Carla leży na komodzie.

Poduszki i kołdra wyglądają jak spiętrzone zaspasy. Nie było sprzątaczk. Dlatego że powiesiłam na drzwiach tabliczkę z prośbą: „Nie przeszkadzać. Śpię”.

Podchodzę do szafki nocnej i zapisuję wydatki na karteczce z logo hotelu: „Gazeta 1,25. Lunch 10,12. Markery do mebli 8,37”.

Idę do garderoby. Rozpinam ukrytą kieszonkę w plecaku. Moje

palce w pierwszej kolejności natrafiają na zwój nylonowej linki, śliskiej jak wąż, a potem dotykają szarej taśmy klejącej. Wyjmuję ją. Carl znów włączył *Familiadę*, ale tym razem słycać tylko wybuchy rehotliwego śmiechu. Dziś i zawsze będą dla mnie dźwiękową ilustracją szaleństwa.

Walt stwierdził, że moja siostra nie żyje. Nikt nigdy nie powiedział mi tego na głos.

Kładę album Carla na łóżku i starannie sklejam rozdarty grzbiet.

Dzień szósty



Mój notes przetrwania, 10 lat

Jak się nie bać kolejki górskiej

- 1. Wyobrazić sobie, że się wybrało na przejażdżkę tęczą.*
- 2. Jak najmocniej trzymać się uchwytów.*
- 3. Powtarzać sobie, że prawdopodobieństwo śmierci wynosi jeden do trzystu miliardów (prawda).*
- 4. Krzyczeć i oddychać, krzyczeć i oddychać.*

Miałam osiemnaście lat, kiedy odnalazłam mieszkającą w domu spokojnej starości Ednę Zito, poprzednią właścicielkę zajmowanego przez nas domu. Była mistrzynią ukrywania kopert z instrukcjami, dlatego nie mogłam wykluczyć możliwości, że odpowiadała również za umieszczenie zdjęcia bliźniaczek pod schodami.

Nixon, jej syn, uważał, że to całkiem prawdopodobne. „Wszędzie chowała jakieś dziadostwo”, powiedział, kiedy do niego zadzwoniłam. Nazwał matkę zapominalską. Kiedy przyznałam, że mieszkam w jego domu z dzieciństwa, że w sekrecie zachowałam jego miarkę na framudze kuchennych drzwi i że znalazłam interesującą fotografię widmowych dziewczynek pod schodami na strych, nazwał mnie romantyczką.

Mimo to umówił mnie na pierwsze spotkanie ze swoją matką raczej niechętnie, w dodatku sam się na nim nie zjawił. Z drugiej strony na szczęście nie zadawał zbyt wielu pytań. Robiłam, co mogłam, żeby moja mama nie musiała odbierać telefonów ze skargami na mnie.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Ednę, siedziała zgarbiona na wózku inwalidzkim, ubrana w bluzkę w czerwone kropki i czarne spodnie, wyglądała jak wysuszona biedronka. Należała do pięcioosobowego grona pań w podeszłym wieku skupionego wokół stołu do gier i przykutego do metalowych urządzeń. Nazywały się Bunie i grały w kulki z wprawą zawodowców.

Pamiętały, jak brały słodkie żelki w swoje pomarszczone ciepłe palce i częstowały nimi wnuczeta. Wspominały, jak podczas wizyt w zoo z malcami nadawały niedźwiedziom imiona ich ulubionych postaci: Tami, Grafi, Zami. I wiedziały oczywiście, że „abrakadabra to czary i magia” i że „sekretem jest przepis na gumisiowy sok”.

Za to nie potrafiły sobie przypomnieć, który mamy rok.

Nixon uprzedził, że kontakty z jego matką wymagają cierpliwości. Dopiero podczas drugiej wizyty włożyłam Ednie do rąk kserokopię

zdjęcia dziewczynek. „Proszę się im przyjrzeć – poprosiłam. – Zna je pani? Czy to pani rodzina?”. Wydawało mi się, że dostrzegam błysk rozpoznania. „Diablątka” – wybąkała, po czym pokręciła głową i przekazała kartkę Idzie, Ida przekazała Gertie, Gertie – Hazel, a Hazel – Opal.

Iskierka w spojrzeniu Edny sprawiła, że zaczęłam do niej wracać. Była moją pierwszą trenerką, nieświadomie przygotowywała mnie na spotkanie z Carlem. Nauczyła mnie cierpliwości, uczyniła zdolną do obcowania z tym, co niewidzialne. W przytulnym pokoju w domu spokojnej starości rozmawialiśmy w otoczeniu jej barwnych halucynacji.

Jadałyśmy lunche z Audrey Hepburn, z rozwianymi włosami pędziłyśmy niebezpieczną ścieżką nadmorskim klifem, oglądałyśmy wstrząsający poród jej córki, która przed laty przyszła na świat martwa, lecz w tej wersji opowieści przeżyła. Któregoś razu Edna wyszeptała mi do ucha: „Fantazja to alternatywa dla rzeczywistości, moja droga”.

Dzięki Ednie dziś rano wygrzebałam się z obłoków pościeli w ZaZa z nową nadzieją. Śniła mi się. Ufarbowała mi włosy na niebiesko, a potem tańczyłyśmy boso na piasku.

Edna ze snu zapewniła mnie, że Violet Santana, trzecie czerwone kółko na mojej mapie, otworzy Carla.

Plaża na Galveston, na której Violet zaginęła przed piętnastoma laty, znajduje się zaledwie godzinę jazdy od hotelu. O ósmej rano jestem ubrana i spakowana. Do ZaZa już nie wrócimy.

Zamiast ufarbować włosy, jak planowałam, pakuję farby do walizki. Kiedy wychodzę z sypialni, zastaję zamknięte drzwi do łazienki przy salonie. Carl puszcza wodę z kranu nad umywalką.

W telewizorze, włączonym przez całą noc, przyciszonym głosem opowiadają o modliszce storczykowej, ślicznym różowoskrzydłym owadzie, który poluje na ofiary, udając kwiat. Na ekranie rzeczywiście wygląda jak roślina prosto od kwiaciarza. Widać Carl wygrał potyczkę z Waltem o pilota i oglądał Discovery Channel.

Krzepiące jest to, że Carl posprzątał wszystko, łącznie z kamykami

rozsypanymi na podłodze. Nie tknął jedynie luster. Taca z jedzeniem, którą stukał wczoraj wieczorem, też zniknęła.

Wyłączam telewizor. Carl zabrał gazetę ze stołu, złożył ją i zostawił przy koszu na śmieci. Przesuwam palcem po zadrapaniach na blacie – są głębsze, niż sądziłam. Rozglądam się za markerem do drewna, ale nie mogę go znaleźć. Będę musiała zapytać Carla. Tymczasem zajmuję się wieszaniem luster. Oślepiają mnie i po wszystkim mieni mi się w oczach.

Carl wciąż siedzi w łazience. Długo, nawet jak na niego. Delikatnie pukam do drzwi.

– Carl, wszystko w porządku? Zjadłeś śniadanie?

Brak odpowiedzi. Carl udaje przygłuchego albo naprawdę niedosłyszy. Podchodzę do minilodówki i sięgam po sok pomarańczowy za cztery dolary. Połowa produktów zniknęła. Małpki tito's, jacka daniel'sa, don julio, tanie jednorazowe kieliszki z winem pod foliowym wieczkiem, piwa Stella, Bud, Sam Adams – wszystko zniknęło. Zapamiętałam, co tam było, żeby później wiedzieć, co Carl wypił.

Przenoszę spojrzenie na zamknięte drzwi do łazienki. Niewykluczone, że Carl leży tam pijany. Nieprzytomny. Albo martwy, jeśli połączył cały ten alkohol z lekami.

Tym razem walę pięściami.

– Carl, wszystko w porządku?

Brak odpowiedzi.

Gałka nie stawia oporu.

Pomieszczenie jest puste.

Z kranu leje się woda.

Carl się ulotnił.

Panika dochodzi do głosu, dopiero kiedy zjawiam się w recepcji i widzę wpadające do środka przez obrotowe drzwi migotanie policyjnych kogutów.

Wybieram najmłodszego z trzech dyżurujących boyów, tego, którego wzrok skupia się na widocznej pomiędzy džinsami a koszulką na ramiączkach gładkiej białej skórze mojego brzucha.

– Co się dzieje? – zagaduję.

– Ktoś ukradł krowią czaszkę z maski naszego autobusu dla gości – odpowiada. – Nic wielkiego, ale kierowniczką mocno się zdenerwowała. Bo te rogi miały trzy metry.

Wskazuje brodą kobietę z ożywieniem perorującą do dwóch funkcjonariuszy na końcu podjazdu. Obaj mają znudzone miny.

– Poproszę kluczyki do mojego wozu – zwracam się do boya. – To jest kwit.

– Proszę chwilkę poczekać, zaraz przyprowadzę. Biały chevrolet z felgami Warrior, zgadza się? Pomagając wczoraj wieczorem pani ojcu, wyjaśniłem mu, że w naszym hotelu sami przyprowadzamy auta gości. Przykro mi z powodu jego guza mózgu. Prosił, żebym się za niego modlił. I nie pożałował napiwku.

Guz mózgu? Kłamstwo czy prawda? Czy w gabinecie doktor Blumstein Carl usłyszał złą wiadomość, którą się ze mną nie podzielił?

– Przyprowadził pan samochód mojemu ojcu? Wczoraj wieczorem?

– Tak, wydawało mu się, że pilot szwankuje. Uznał, że trzeba wymienić baterię. Kiedy wrócił, zaprowadziłem pikapa z powrotem do garażu, gdzie stoi cały i zdrowy.

Carl musiał podprowadzić zapasowego pilota z mojej kosmetyczki. Niewykluczone, że w tej chwili siedzi w pikapie i uruchamia silnik.

Nie mogę oderwać wzroku od kwadratowej, rozjaśnionej na żółto kępki włosów tuż pod dolną wargą boya i od hipsterskiej plakietki z literką Z.

Felgi Warrior, powiedział. Spostrzegawczy. Nie zdziwiłabym się, gdyby rozpoznał mój brzuch na okazaniu. Niedobrze.

– Masz na imię Harry, tak? Daj kluczyki.

– W naszym hotelu sami... – zaczyna, ale odwraca się w stronę uginających się od ciężaru metalu haczyków za sobą. – Proszę. Miejsce trzysta siedemnaste w garażu na prawo. Drugi poziom. Trzeba będzie wejść po schodach, bo winda jest zepsuta. Uprzedzę szefa, że chciała pani sama zabrać wóz.

– Proszę to zrobić.

Idę podjazdem w stronę parkingu. Schodzę po schodach, otwieram drzwi i staję jak wryta. Pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegam Carla. Siedzi na pace naszego pikapa i przetrząsa moje pojemniki. Znalazłszy coś wartego uwagi, wrzuca to do hotelowej torby na pranie z nadrukowanym dużym „Z”. Właśnie przelicza banknoty z ukrytego zapasu gotówki. Podnosi głowę na dźwięk kroków. Lekko wykrzywia usta, ale nie wydaje się specjalnie zdziwiony moją obecnością.

– Sądziłam, że mieliśmy układ – odzywam się.

– Też tak myślałem, dopóki wczoraj nie zabrałaś mnie na ten swój mały eksperyment naukowy. I dopóki nie spaskudził ci się nastrój.

– Przepraszam. Powinnam była cię uprzedzić o wizycie u lekarza. Czy ty... masz guza mózgu?

– Skąd ten pomysł? Próbujesz mnie wystraszyć?

– Zróbmy tak: pojedziesz ze mną na Galveston, a potem wybierzesz jeden warunek ze swojej listy. Dowolny.

– Walt nie przepada za plażą na Galveston. Strasznie tam gorąco. Przygnębia go to.

– Możecie obaj zaczekać w samochodzie, a ja... spotkam się z kimś.

– Dowolny warunek? Spełnisz go?

– Tak.

– Muszę się zastanowić, co to będzie. – Spogląda na mnie znacząco, kończąc upychać gotówkę w torbie ZaZa. Potem zapina ją na suwak.

– Czemu zawsze trzymasz rękę w kieszeni?

TYTUŁ: *UTONIĘCIE*

Podróż w czasie. Fotografie Carla Louisa Feldmana

Plaża na Galveston, 2002 rok

Odbitka żelatynowo-srebrowa

Komentarz autora: „Ilekcroć odwiedzam ten fragment wybrzeża, przenika mnie tamtejsza wilgoć i strach, mimo że minęło ponad sto lat od huraganu, który zniszczył Galveston. Dzieci budują zamki na piasku tam, gdzie grzebano ciała. Huragan pochłoniął ponad sześć tysięcy ofiar w samym mieście; szacuje się, że na całej wyspie zginęło nawet dwa razy tyle ludzi. Trupy obciążano i wrzucano do morza, palono na miejskich stosach pogrzebowych albo zakopywano w piasku tam, gdzie je znaleziono. Ekipy budowlane do dziś natrafiają na ich kości. Zrobiłem to zdjęcie przed zabytkowym hotelem Galvez, po którego plażach ponoć przechadzają się duchy, między innymi zjawia panny młodej o samobójczych skłonnościach i zjawia szlachetnej zakonnicy. W 1900 roku, kiedy szalał żywioł, siostry z Sierocińca Najświętszej Marii Panny sznurem do bielizny przywiązały do siebie dzieci. Gdy odnaleziono ich zwłoki, niektóre węzły nadal były nienaruszone. Sto lat później odkryłem tę sukienkę zaplątaną w wodorosty tam, gdzie woda zabrała wiele dusz. Zobaczyłem twarz dopiero po wywołaniu zdjęcia w ciemni”.

Moczymy z Ćmą nogi w mętnych wodach cieśniny San Luis na południowo-zachodnim krańcu wyspy Galveston, w których miała utonąć Violet. Na starych zdjęciach policyjnych widać żółtą taśmę oddzielającą fragment plaży za nami, a także puste puszki i butelki po piwie wystające z piasku jak wyrzucone na brzeg śmieci ze statku piratów.

Violet. Dziewczyna numer trzy. Ostatnie czerwone kółko. Uznaję, że mogę ją nazywać dziewczyną, ponieważ nią była – dla rodziców nawet dziewczynką; miała dopiero dwadzieścia jeden lat.

Przez ponad rok zabiegałam o spotkanie z Gretchen Mullins, dawną współlokatorką Violet z akademika. Dorosły świadek, najlepszy, jakiego miałam we wszystkich sprawach, na których się skupiałam. Trzy razy się nie zgodziła. Za czwartym podałam fałszywe nazwisko i wymyśliłam lepszą historię. Zadziałało.

Zamierzałam zaskoczyć Carla tym wspomnieniem, powalić go nim, dlatego początkowo chciałam, żeby ze mną poszedł, zamiast siedzieć w aucie z rozkręconą klimatyzacją i The Who ryczącymi z głośników. Plus tego, że został, jest taki, że nie będzie mógł mnie zdemaskować przed Gretchen, dla której jestem dziennikarką prowadzącą kampanię na rzecz zwiększenia liczby tabliczek ostrzegawczych na plażach; walczę o to, przedstawiając pośmiertne sylwetki ofiar prądów strugowych.

Umówiliśmy się w niebezpiecznym punkcie plaży, trzydzieści parę kilometrów od miejsca, w którym Carl sfotografował fragment tkaniny, nadając zdjęciu tytuł *Utonięcie* i tworząc swoje najbardziej dochodowe i zapadające w pamięć dzieło.

Zarówno w notce w albumie, jak i w licznych wywiadach Carl utrzymywał, że tą tkaniną była sukienka, fotografia zaś – upiorną odą do istnień zabranych przez wielki huragan, który zniszczył Galveston.

Stoję nad obmywającymi plażę wodami Zatoki Meksykańskiej, tego

uśpionego potwora. Przechodzi mnie dreszcz. W 1900 roku odebrano niewiele sygnałów ostrzegawczych. Nie dysponowano odpowiednią techniką. Na dzień przed atakiem huraganu wzmógł się wiatr. Morze wezbrało. Dzwonek alarmowy w miejscowej gazecie zabrzmiał krótko, bo raptem na jeden paragraf. Dwadzieścia cztery godziny później miasto zalała powódź ciał.

Carl mówi, że sukience, którą uchwycił na zdjęciu, pozwolił odpłynąć z powrotem w morze. Zatem kto wie, czym był ten fragment tkaniny. Na zawsze pozostanie tym, czym ukazał ją Carl na fotografii.

Tak się teraz zastanawiam, czy to nie mogła być chusta. Może Carl ma słabość do tej części garderoby? Wracam myślami do chusty Lolity, którą ukradł w domu pani T, schował w mojej walizce, a potem znów podprowadził. W każdej chwili może ją wyjąć z rękawa niczym diaboliczny iluzjonista, owinać mi te różowo-białe ślimaki wokół szyi i zaciskać, dopóki nie zwiotczeje jak sflaczały balon.

Mniej więcej przed godziną opuściliśmy hotel ZaZa i jego lustra, prosząc kierowniczkę o wybaczenie i dołączając do przeprosin trzysta dolarów z karty kredytowej na naprawę stołu. Kierowniczka była tak zdenerwowana kradzieżą krowiego czerepu, że pewnie machnęłaby ręką na zniszczony blat. Po prostu nie chciałam, żeby za jakiś czas naszły ją niepotrzebne refleksje na temat naszego pobytu.

Umawiając się z Gretchen, zaproponowałam, żebyśmy się spotkały w bardziej charakterystycznym miejscu, mianowicie przed starym hotelem Galvez stojącym tuż za wałem i uwikłanym w ryzykowny romans z zatoką. Gretchen i Violet kiedyś się tam zatrzymały. Carl też pomieszkiwał w Galvez co najmniej dwa razy w roku.

Gretchen wybrała jednak miejsce, w którym po raz ostatni widziała Violet żywą. Chciała upamiętnić przyjaciółkę, wrzucając do wody bukiet fiołków. Powiedziała, że robi to co roku. Nie uwierzyłam jej. Ile tutejszych kwiaciarni sprzedaje fiołki? Czy w Teksasie w ogóle hoduje się te delikatne kwiaty? I kto tak naprawdę dotrzymuje tego rodzaju obietnic? Melodramat, pomyślałam. Gretchen liczy, że sprzeda gazecie, za której dziennikarkę się podałam, upiększoną historię.

Nad cieśniną San Luis nie ma tłumów, tylko tu i tam opala się kilka

osób. To jedno z najbardziej niebezpiecznych miejsc do pływania na całej wyspie. Znajduje się na krańcu długiego jak bagietka pasa lądu, z którego śmiałkowie wskakują prosto w niezbadaną nicość.

Żadne zakazy nie są w stanie powstrzymać młodych imprezowiczów (takich jak Violet i Gretchen przed laty) przed przychodzeniem tutaj i robieniem wszystkiego, czego robić nie należy, kiedy człowieka porywa prąd.

„Nawet pływak olimpijski nie ma szans w starciu z szybkim prądem odpływowym. Nie machaj rękami i nogami. Poddaj się prądowi. Nie wciągnie cię pod wodę. Jeśli zaczniesz z nim walczyć, możesz umrzeć z wysiłku. Zaufaj mu. Niech natura sama sprowadzi cię z powrotem na brzeg”.

Trener dzielił się ze mną swoją mądrością na każdy temat – na wszelki wypadek. Nie znał prawdziwego powodu, dla którego go zatrudniłam, i nie wiedział, z czym ostatecznie będę miała do czynienia: z górami czy z morzem. Nie miał pojęcia o zniknięciu mojej siostry. Gdyby było inaczej, nie wiem, czy bardziej byśmy się nie polubili.

Staram się nie myśleć o unoszącej mnie coraz dalej od brzegu wzburzonej wodzie, podczas gdy ludzie stają się kolorowymi kropkami na plaży.

Zerkam na swój tani zegarek i zastanawiam się, czy razem ze sklejoną książką Carla, którą mam pod pachą, przetrwa kontakt z kroplami mgiełki znad oceanu. Gretchen powinna się zjawić za pięć minut.

Powiedziałam, że będę miała na głowie czerwoną bejsbolówkę i przyjdę z brązowym psem. Odparła, że będzie ubrana w żółtą sukienkę i przyjdzie z Gusem, swoim jasnowłosym synkiem.

Violet Santana też była blondynką i miała słodką, naturalną twarzyczkę, na której widok poczułam ukłucie w żołądku, kiedy przed dwoma laty jej sprawa pojawiła się wśród wyników jednej z moich losowych kwerend. Wcześniej przegapiłam ją podczas przeczesywania internetu, ponieważ zdarzenia nie zarchiwizowano pod hasłem „zabójstwo”.

Wyłożyłam tę przerażającą możliwość rodzicom Violet w rozmowie

telefonicznej. „Czy istnieje prawdopodobieństwo, że Violet padła ofiarą morderstwa?”. Nie chcieli o tym słyszeć. Ich córka zmarła z woli Pana, przeszła swego rodzaju chrzest, była częścią Boskiego Planu, wkroczyła do wody i przepadła na zawsze – widocznie tak musiało być. „Zostało zapisane przed jej narodzinami”. Po rozmowie z nimi zaczęłam lepiej rozumieć skłonność Violet do alkoholu.

Przesłuchani przez policję imprezowicze – studenci podczas przerwy wielkanocnej – z którymi Violet spędziła swój ostatni wieczór, przyznali, że byli tak nawaleni piwem i jackiem daniel’sem i tak często zmieniali pokoje i partnerów, że nieobecność Violet zauważyli dopiero dwa dni później w trakcie wspólnego śniadania w hotelu Galvez.

Myśleli, że wtedy, na plaży, Violet weszła do wody i po pewnym czasie po prostu z niej wyszła. Też uważam, że tak było. Moim zdaniem wytarła się, ubrała i ruszyła drogą, która doprowadziła ją do Carla.

Ćma dokazuje nad brzegiem oceanu, zostawiając odciski łap w mokrym piasku. Specjalnie na tę okazję poszłam do Walgreens i kupiłam mu wodoodporny bandaż, ale i tak się boję, żeby nie zamoczył rany. Ciągnę za smycz, może nieco nadopiekuńczo.

Spod daszka bejsbolówki zerkam w stronę pikapa zaparkowanego za opaską brzegową, spory kawałek stąd. Pewnie Carl też mi się przygląda, maleńkiej kropce, i zastanawia, jak dużo wiem o tamtej nocy. A może wpatruje się jak zahipnotyzowany w pomarszczone wody zatoki, myśli o Violet i swojej słynnej fotografii tonącej sukienki. Odwracam się do niego plecami.

Tkanina i woda – oto całe *Utonięcie*. W fałdach sukienki ludzie dostrzegają piękne oblicze strachu, duszę, która zdaje sobie sprawę, że spada w toń – elegantszą, straszniejszą, bardziej artystyczną wersję twarzy Jezusa na grzance albo wizerunku Elvisa w chipsie.

Oprawiona odbitka *Utonięcia* wisi w jednym z najbardziej nawiedzonych apartamentów w Galvez. W sklepikach przy zabytkowym Strandzie nadal można kupić pocztówki z tym zdjęciem. Po Galveston, tym groźnym skrawku lądu, kroczy jeden duch – a wraz z nim tysiące. Ciekawe, czy Carl nadal pobiera tantiemy, czy po

prostu nie pamięta, dokąd trafia czek.

Podczas jednej z moich wizyt w dark webie natknęłam się na ofertę sprzedaży oryginalnej sygnowanej odbitki *Utonięcia* na stronie specjalizującej się w skrajnie makabrycznych kartach kolekcjonerskich dla miłośników seryjnych morderców i ich zbrodni. Jak to w ogóle działa? „Dam ci Jeffreya Dahmera i Teda Bundy’ego za Mordercę znad Green River”? Jak wysokie miejsce w rankingu zajmowałby Carl, gdyby wszyscy znali prawdę?

Owiewa mnie rozedrgana słona bryza znad oceanu. Teraz, kiedy dzieli mnie od Carla kilkaset metrów, boję się go nawet bardziej.

Oglądam się za siebie. Widzę kobietę na wydmie, osłania oczy przed słońcem, patrzy w moim kierunku. Mały blondynek z białą różą w dłoni biegnie w stronę wody.

– Pozwoli pani, że będę nagrywała? – Wyjmuję niewielki dyktafon, licząc, że uwiarygodni moje dziennikarskie przebranie.

Gretchen przesuwa wzrokiem po moim stroju: džinsach, luźnej białej bluzce, najkach, ray-banach i czerwonej bejsbolówce. Wybrałam chyba odpowiedni styl.

Gretchen ma trzydzieści kilka lat i nadal całkiem nieźle wygląda. Ma kasztanowe włosy, dwa odcienie jaśniejsze od moich, piegowatą skórę i dziesięć nadprogramowych kilogramów, których nie powinna gubić, bo dodają jej atrakcyjności. Źródłem wdzięku Gretchen jest świeżość – miękkie, zaokrąglone krzywizny, delikatny teksaski akcent, który przetacza się po mnie jak dłonie masażysty.

– Wolałabym, żeby pani tego nie robiła – mówi, śledząc wzrokiem synka.

Wiatr wydyma wiszącą na jego drobnych ramionach pelerynę Supermana. Gus raz za razem z całych sił ciska białą różę do wody. Kwiat ląduje niecały metr od jego stóp i wraca na brzeg. To nieustające odrzucenie ani trochę nie zniechęca malca. Próbował już pięć razy. Próbuje szósty.

– Czy to tu Violet weszła do wody?

– Tak, mniej więcej, o ile dobrze pamiętam. Traktuję most jako punkt orientacyjny. Gus! Chodź, rzucisz tutaj!

– Jakie jest pani ostatnie wspomnienie z tamtej nocy?

– Pamiętam jej okrągłe białe pośladki jak dwa księżyce, kiedy szła w stronę wody. Tylko tam była nieopalona. Pomyślałam, że później się z niej pośmieję, bo zabawnie to wyglądało. Do wody weszło czternaście gołych osób i żadna nie wie, co się mogło stać z Violet. Byli z nią Fred i Marco. To porządni chłopcy. Wydawałoby się, że będą się trzymali razem, prawda? Ale nie.

– Pani się rozmyśliła i nie weszła do wody?

– W ogóle nie zamierzałam. Wcześniej tego samego dnia pewien

ratownik zaprosił mnie na drinka Pop My Cherry. Dałam się skusić. Jak pani widzi, nie byłam wtedy wybredna. Zostawiłam ich na plaży i poszłam się z nim spotkać. Do pokoju wróciłam dopiero dwa dni później.

Nadal słabo, ale nieprzerwanie tli się w niej wstyd. Posyłam jej współczujący uśmiech pomimo pewności, że to tylko część wyuczonego wyznania, którym raczy każdego. Postanawiam na chwilę zboczyć z tematu.

– Uroczy chłopak. Wytrwały.

– No tak. Mój najmłodszy. Też miałam takie włosy, kiedy chodziłam na plażę. Wyglądały jak spalone słońcem. To jego druga wyprawa ze mną w to miejsce. Rozumie, że mama kogoś straciła. Piętnasta rocznica, ale pani to na pewno wie. Nie chcę zbyt wiele mówić Gusowi, bo za nic nie będzie chciał wejść do wody. Jego ojciec planuje, że w przyszłości będą razem żeglowali. Z tą różą to był kiepski pomysł, prawda? Ale fiołki zaraz po wrzuceniu do wody zaplądają się w wodorosty i toną. O tej porze roku nie znalazłam nic ładnego w moim ogródku, więc wstąpiłam do spożywczaka i kupiłam tę białą różę. Tak jakby Violet obchodził kwiatek, który wyjęłam z plastikowego pojemnika obok kosza z bananami. Chodzi bardziej o mnie. Gus! Chodź, spróbujesz tutaj!

– Na jak długo przyjechałyście z Violet na Galveston?

– Na sześć dni. Zamieszkałyśmy w hotelu Galvez. Rodzice zafundowali mi pokój w nagrodę za to, że nic nie wskazywało, abym miała powtarzać rok. Namówiłam Violet, żeby pojechała ze mną. Inaczej nie byłoby jej stać. To zachwycający stary hotel. Cieszę się, że przetrwał huragan.

Nagły przenikliwy wrzask Gusa wznosi się ponad huk załamujących się fal.

Gus pędzi do matki najprędzej, jak potrafi. Nóżki mu się płaczą na piasku. Depcze mu po piętach bosi Carl w podwiniętych dżinsach. Na głowie ma czapkę z napisem „Hollywood”. Zdjął koszulę, odsłonięty łańcuszek z kluczem lśni w słońcu. Przez jego pierś biegnie ukośnie biała blizna, wygląda jak niedokończony X w grze w kółko

i krzyżyk.

– Gus! – Gretchen przyklęka i otwiera opiekuńcze ramiona, a ja szybko sprawdzam, czy Carl nie trzyma czegoś w jednej albo drugiej ręce.

– Mamusiu, ten pan mówi, że kiedy małe rekiniątka się budzą, zjadają swoich braciszków i siostrzyczki! Mówi, że jeden rekin się nazywa Foremka do Ciastek i jeśli wejdę do wody, to mi odgryzie kawałek tyłka, jakbym był ciasteczkiem z czekoladą.

– Nie mów „tyłek” – poprawia go odruchowo Gretchen.

Carl patrzy na mnie, szczerząc zęby.

– Powtórka *Tygodnia z rekinami*.

Co teraz? Powinam ich sobie przedstawić? Przeprosić?

Carl rozwiązuje za mnie dylemat. Dotyka daszka czapki.

– Nie będę pań niepokoił. Pomyślałem po prostu, że mały nie powinien podchodzić blisko wody bez nadzoru dorosłego. Różne rzeczy mogą się zdarzyć. – Schyla się i podaje mi uchwyt smyczy Ćmy. Nawet nie zauważyłam, że wypuściłam go z ręki. – Psem też wypadaloby się zaopiekować.

Carl odchodzi, a Gretchen gotuje się ze złości.

– Co się ze mną dzieje? Niewiele brakowało, a pozwoliłabym bezdomnemu dotknąć mojego dziecka. Zresztą być może i tak to zrobił. – Jest czerwona z wściekłości na bezdomnego Carla i jemu podobnych. Nagle dociera do mnie, że to nie tak; jej furia jest skierowana przeciwko mnie. – Darujmy sobie tę sentymentalną farsę, dobrze? Zastanawiałam się, jak daleko pani zabrnę. Wiem, że nie jest pani dziennikarką „The Chronicle”. Sprawdziłam. Mąż odradzał mi to spotkanie, mówił, że jest pani jakąś internetową świruską. Nie wie, że tu jestem, bo gdyby wiedział, dostałby szału. Stałam tam, na wydmie, przez dwadzieścia minut, przyglądałam się pani i myślałam, jak postąpić. Doszłam do wniosku, że albo ocean kogoś pani odebrał tak jak mnie – jeżeli tak, przepraszam i niech panią Bóg błogosławi – albo wie pani coś nowego o Violet, coś pani odkryła. Jeżeli tak, to proszę powiedzieć. Odnaleźli ją?

Kiedy jego matka mnie ochrzania, Gus zajmuje się wbijaniem róży w piasek tak, by stała prosto – oto załążek nietrwałego ogrodu. Potem

klapie na ziemię obok Ćmy i zasypuje mu przednie łapy.

Nieważne, co wymyślę, Gretchen i tak mi przecież nie uwierzy.

– Czy zauważyła pani, żeby wokół waszej grupy, a w szczególności w pobliżu Violet kręcił się fotograf? – pytam cicho. – Mężczyzna. Być może ktoś znajomy.

Wątpliwe, żeby rozpoznała Carla po piętnastu latach, zresztą i tak pewnie nie mogła oderwać wzroku od tej dziwacznej blizny na jego piersi, ale kto wie. Stał przecież tuż przy niej.

– Jesteśmy w Galveston – wyrzuca z siebie Gretchen. – *Na plaży*. Tu zawsze jest milion aparatów i milion gapiących się facetów. To jak cholerny klub z darmowym striptizem. Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Kim pani jest, do diabła?

Ćma przejeżdża językiem po włosach Gusa, jakby mu zasmakowały. Chichoczącemu Gusowi udało się zasypać psiakowi trzy łapy.

Czuje, że mam niewiele czasu. Wypuszczam z ręki smycz i otwieram album Carla, który przez cały czas ścisnęłam pod pachą. Przytrzymuję kartki, żeby nie przewracał ich wiejący od morza i targający rąbkiem żółtej sukienki Gretchen wiatr.

– Czy widziała pani to zdjęcie tkaniny unoszącej się na wodzie zatoki? To, o którym ludzie mówią, że przedstawia ducha?

Zaintrygowana Gretchen pochyla się nad książką, choć robi to niechętnie.

– Tak. To podobno oblicze tonącej zakonnicy, która przechadza się plażą w czasie sztormu.

– Sądzi pani, że ten... element garderoby mógł należeć do Violet? Że miała go na sobie w dniu zaginięcia?

Obserwuję, jak to do niej dociera, jak posępnie jej piegowata twarz.

– Czy autorem tego zdjęcia nie jest ten seryjny morderca, którego uniewinniono w Waco?

– Bardzo panią proszę, niech się pani przyjrzy. To ważne.

Gretchen szybko przesuwa wzrokiem po fotografii, jakby nie była w stanie na nią spojrzeć, jakbym wymagała od niej, żeby patrzyła na rozkładające się zwłoki przyjaciółki.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Vi miała tunikę, którą zakładała

na kostium. Chyba niebieską. A to zdjęcie jest czarno-białe. Chce mnie pani wystraszyć?

Jednak nie potrafi się oprzeć. Podsuwam album nieco bliżej. Gretchen łagodnieje, napięcie przechodzi w ulgę. Kobieta energicznie stuka palcem w fotografię.

– Proszę zerknąć na datę. To zdjęcie zrobiono przed szesnastoma laty. A myśmy tu były przed piętnastoma.

Z tonu jej głosu wynika, że ma mnie za idiotkę. I jeszcze, że choć bardzo chciałaby poznać tajemnicę tego, jak wyglądała ostatnia noc jej przyjaciółki, to jednak równie silne jest w niej pragnienie, by o niczym nie wiedzieć. Nie zna treści hotelowej księgi gości. Nie ma pojęcia o tym, że Carl spędził w Galvez dwie noce w tym samym czasie, kiedy ona przyjechała tu z Violet na sześć nocy. Jego pokój znajdował się piętro niżej. Znalazłam tę informację, ten zagrzebany głęboko w raportach policyjnych szczegół, na który nikt nie zwrócił uwagi.

– Gus, wrzuć kwiatek do wody. Idziemy na lody na Strandzie.

– Dziękuję, że pani przyszła – mówię. – Nie chciałam pani zdenerwować.

– Jasne, że nie – odburkuje. – Nie znoszę, kiedy mój mąż ma rację.

Widzę jednak, że powoli uchodzi z niej para. Gretchen chce mi zadać pytanie. Już prawie otwiera usta, kiedy nagle Gus ciągnie ją za sukienkę. Matka delikatnie głaszcze go po głowie. Rozgląda się, czy nie ma w pobliżu Carla.

– Już dobrze. Idź, wyjmij różę z piasku i wrzuć ją do oceanu dla Violet. Widziałam, jak przy moście syrena machnęła ogonem. Zaraz przyplynie i zabierze kwiatek.

Gretchen czeka chwilę, aż Gus znajdzie się poza zasięgiem głosu, po czym zwraca się do mnie z żądaniem:

– Zdejmij czapkę i okulary. – Łapie mnie za ramię i ściska. – No już!

Nie wiem dlaczego, ale wykonuję polecenie. Czuję palce Gretchen wbijające się w moje ciało. Blask słońca sprawia, że oczy zachodzą mi łzami.

– Naprawdę jeszcze dziecko z ciebie. – Na moment zatrzymuje na

mnie wzrok, po czym odsuwa się, by zająć się Gusem, który znów zanedo zblżył się do wody. Zakładam czapkę i okulary.

Schylam się po smycz Ćmy. Gretchen zatrzymuje się w pół kroku i odwraca głowę.

– Proszę do mnie więcej nie dzwonić. I wziąć się w garść. – Kiwam głową. Jest trzecią osobą od początku mojej podróży z Carlem, która udziela mi jakiejś przestrogi. – Z Bogiem – dodaje nieco bardziej pojednawczym tonem.

Oboje są już w połowie drogi do opaski – Gretchen wzięła Gusa na ręce – kiedy fale oceanu wyrzucają na brzeg białą różę. Podnoszę ją za łodygę i przesuwam palcem po jej gładkiej powierzchni ze śladami po kolcach.

Myślę, czyby jej nie ukraść, nie włożyć między karty albumu Carla. Ale wyblakłe, rozpadające się kwiaty jakoś nigdy mnie nie przekonywały w roli symbolu wspomnienia. Dlatego rzucam ją najdalej, jak potrafię, w morze. Od kwiatu odpadają płatki, przez chwilę unoszą się na wodzie jak maleńkie odpryski kości i znikają pod powierzchnią.

Gretchen nie chce wierzyć, że data umieszczona w książce jest nieprawdziwa. Przecież jest tutaj, wydrukowana czarno na białym.

Mam ochotę do niej wrzasnąć: „Mowa o Carlu!”.

Każda strona może skrywać kłamstwo.

Z ulgą stwierdzam, że pikap nadal stoi za opaską tam, gdzie go zaparkowałam. Zaryzykowałam i nie zażądałam od Carla zwrotu zapasowych kluczyków. Samochód jest na miejscu, owszem, ale Carla w nim nie ma.

Układałam Ćmę na jego legowisku na tylnym siedzeniu. Schodzi z niego lawina mokrego piasku. Nasza połączona ludzko-psia woń jest dojmująca: rybi zapach oceanu, mokra sierść, próbka perfum z łazienki w hotelu ZaZa.

Carl rozłożył mapę Teksasu i zrobił z niej osłonę przeciwsłoneczną na przedniej szybie. Pomysłowo. Ciekawe, dokąd poszedł. Włączam klimatyzację, zaprzęgam ją do walki z gorącem i lepką wilgocią, odchylam się na fotelu i staram się odgonić od siebie zniechęcenie. Minęło sześć dni, trochę więcej niż połowa czasu, jakim dysponuję. Nie mam pojęcia, dokąd wybył Carl, ale po tym, jak zobaczyłam go na plaży, przeczucie podpowiada mi, że jednak się nie otworzył tak, jak obiecała Edna Zito we śnie.

Nie mogę się poddać rezygnacji. Sytuacja jest zmienna. Zawsze mam plan B. I C, i D, i E, i F aż do Z. Sęk w tym, że zostały mi niecałe cztery dni.

Planem B jest wschodni Teksas. Z moich poszukiwań, ze stenogramów z rozpraw, z jego zdjęć – z wszelkich materiałów wynika, że Carl nawiedzał tamtejsze lasy, grasował w nich. Jego aparat przeobrażał korzenie drzew w paluchy u nóg pokrytych łuskami potworów, promienie słońca – we wróżki tańczące na błotnym poszyciu, twarze przeraźliwie biednych ludzi – w pełne głębi, dostojne oblicza. Jego obiektyw wszystko, nawet światło, malował w ciemnych barwach. Każda fotografia jak małe morderstwo.

Zeznając pod przysięgą, Carl wspomniał, że jego rodzina miała „chatę”.

Przyciśnięty zamknął się w sobie i odmówił podania lokalizacji tego domu. Oskarżyciel zgłosił wniosek, aby miejscowa policja przeszukała teren, ale to śmiechu warte. W Teksasie znajdują się prywatne posiadłości wielkości Rhode Island. Zadanie wymaga pomocy bardzo osobistego, doskonale zorientowanego przewodnika, którym będzie dla mnie Carl, kiedy tylko uda mi się go przekonać.

Gdzie on się, u diabła, podziewa? Zdejmuję mapę z szyby i próbuję ją złożyć. Wtedy znajduję odpowiedź. Markerem do drewna w kolorze wiśniowy dąb Carl narysował na mapie własną trasę, postrzępioną bliznę, która kończy się co najmniej tysiąc kilometrów na zachód, na spalonej słońcem pustyni. W górnej części mapy widnieje hasło: „Nowe warunki”, zasłaniając kawałek Oklahomy, który wcina się w Teksas i wygląda jak rączka patelni. Linia Carla wiję się w przeciwnym kierunku niż Piney Woods.

Zamiast kropek postawił trzy krzyżyki. Pierwszym oznaczył Austin, a obok napisał: „Niewidzialna dziewczyna”.

Nurkuję w pace. Dokonana mimochodem w garażu hotelowym destrukcja, której Carl dopuścił się na moich starannie posegregowanych zbiorach, przejmuje mnie gniewem. Dokumenty, zdjęcia, artykuły z gazet, materiały wydrukowane z internetu – wszystko, co dotyczyło jego życia i udało mi się rozszyfrować i opisać, leży porozrzucane na platformie pikapa.

Mam jednak trochę szczęścia, bo artykuł, którego szukam, nadal znajduje się w jednym z nielicznych nietkniętych przez Carla pudełek. Umieściłam go w teczce pod hasłem „Austin” i oznaczyłam literami MW, jak „mało ważne”.

Wiedziałam, że kojarzę Carlową Niewidzialną dziewczynę. Była częścią zlecenia od „Texas Monthly” na historię o bezdomnych nastolatkach włóczących się po ulicy Guadalupe niedaleko Uniwersytetu Teksaskiego w Austin. Prace wywołały poruszenie w branży i w mediach, ponieważ Carl fotografował czterema jednorazówkami, w ten mało subtelny sposób dając do zrozumienia, że bohaterów tych zdjęć społeczeństwo może się pozbyć równie łatwo i bez żalu jak aparatów jednorazowego użytku.

Na fotografii, która ukazała się w magazynie, dziewczyna siedzi oparta o ceglana ścianę i czyta podniszczony podręcznik do fizyki. Obok niej stoi pusty kubek ze Starbucksa, z którego wystaje banknot jednodolarowy. Na kawałku kartonu widnieją napisane odręcznie czarnym markerem pełne złości słowa: „Jestem niewidzialna”. Dziewczyna jest wymizerowana, wątła i chuda, ale ładna. Brudne ciuchy i zmierzwiłone włosy to jedyne, co ją odróżnia od przechodzących obok i odwracających wzrok dwóch dziewczyn w koszulkach korporacji studentek.

„Niewidzialna”. „Mało ważna”. Nie trafiła na żadną z moich list. Nie wiem, czy zmarła, czy może wróciła do znienawidzonego domu. Nikt by nie chciał poświęcać czasu na szukanie jej. W każdym razie na pewno nie ja.

Kiedyś musiałam zacząć wyznaczać granice. Na pewnym etapie badań tak bardzo zaangażowałam się w rozszyfrowywanie ukrytych sensów fotografii, tak mocno udzielał mi się smutek rodzin ofiar, że nie byłam w stanie zwlec się z łóżka.

Nawet po zawężeniu obszaru zainteresowań do trzech spraw mam głowę pełną płaczących się szczegółów: Czy to Violet grała na wiolonczeli? Czy to Vickie była uzależniona od pomarańczowych żelków? Czy to Nicole miała różnokolorowe oczy?

Niewidzialna dziewczyna szarpie mnie za rękaw. A jednak jestem ważna, mówi – dla Carla.

Pospiesznie chowam wszystkie materiały do pudełek i rozglądam się po opasce i leżącej niżej plaży.

Wyruszam na poszukiwania. Nie odnajduję Carla, ale dwie przecznice dalej natrafiam na jego ślad. Grupa bezdomnych mężczyzn rozbiła obóz na ławeczce – jedzą hamburgery i przeliczają gotówkę, która, jak zakładam, wcześniej należała do mnie.

Kiedy opisuję im Carla, jeden z nich wzrusza ramionami i mówi:

– Powiedział, że jeśli będzie o niego pytała ładna biała dziewczyna z brylantem w nosie, to mamy jej przekazać, że sobie poszedł.

Wracam do pikapa, ponownie otwieram pakę i z wściekłością zaczynam grzebać w rzeczach. Szybko wyławiam interesujące mnie pudełko. Nietknięte przez Carla. Wyjmuję George’a z sekretnego

gniazdka, które dla niego uwiłam. Piękny przedmiot, stary hasselblad z cudowną rączką z boku. Rolls-royce wśród aparatów.

Myślę o wszystkim, co George widział i zrobił.

Po drugiej stronie drogi wznosi się opaska brzegowa, rzekomo nie do pokonania dla fal, zbudowana na długo, zanim zaczęto nadawać huraganom imiona frajerowatych chłopaków z sąsiedztwa, takie jak Harvey.

Kiedy przebiegam przez ruchliwą ulicę z aparatem dyndającym na szyi, sama przez chwilę czuję się jak zuchwały sztorm. Kierowcy pewnie biorą mnie za głupią turystkę przemykającą między autami i narażającą życie dla fotki zatoki, która i tak zginie pośród tysięcy zgromadzonych na komputerze zdjęć z wakacji.

Dotarłszy do opaski, zdyszana pochylam głowę i spoglądam w wizjer hasselblada. Tak działa ten aparat. Przyglądasz się światu przed tobą, patrząc w dół.

Widzę betonową ścianę. Czy w wizjerze Carla kiedykolwiek znalazła się twarz mojej siostry? Czy się uśmiechała? Czy była zła? Czy żyła?

Naciskam spust migawki. Carl ma rację. To porządny, zadowolający dźwięk. Wystrzał z pistoletu.

Zsuwam pasek z szyi.

Jestem tak sfrustrowana i wściekła, że nie obchodzi mnie, jak głupie jest to, co chcę zrobić.

Uderzam aparatem o beton raz, drugi, trzeci, widzę, jak pęka i roztrzaskuje się na kawałki.

Małe morderstwo, Carl. Dobrze się z tym czuję.

Przez kilka godzin jeżdżę, rozglądając się za idącym poboczem mężczyzną bez koszuli, z blizną na piersi, niosącym torbę na brudy pełną rzeczy osobistych. Istnieje tylko jedna wchodząca w grę droga wyjazdowa z Galveston, lecz Carla tam nie ma. Rodzi się we mnie lekka obawa: czy to możliwe, że zapragnął wrócić po Daisy?

Natrafiam na stację radiową z alternatywnym folkiem i pozwalam, by moją głowę wypełniły harmonie wokalne duetu Cricket Blue i jego opowieści o mitach i końcu wszystkiego. Śpiewam półgłosem: „Osy,

które mieszkają w mojej piersi, budują papierowe gniazda”.

Słońce już zachodzi, kiedy lądujemy z Ćmą w Austin w przybytku o nazwie Motel 6. ZaZa to to nie jest, ale w pokoju zauważam zaskakująco dużo równie eklektycznych akcentów. Ściany i narzuty w kolorze jasnej szaławii. Nowoczesne meble o prostych liniach. Ciepła podłoga z paneli, na jednej ze ścian lśniąca zdjęcie Willie Nelson Boulevard, dумы Austin.

Kładę się na łóżku i leżę tak przez dwadzieścia cztery minuty, wpatrując się w migający czujnik dymu i wyobrażając sobie, że gdzieś tam, w innym miejscu, Carl robi to samo. Snuje plany.

Zmieniam koszulkę, zakładam kaburę. Jest prawie ciemno. Wychodzę na parking, na którym połowa miejsc jest zajęta.

Żadnych ciemnych sedanów. Mnóstwo naklejek na zderzakach. „Ateizm – nie wciskaj mitu”. „Wara od mojej wody”. „Austin świruje”. Carl na pewno uwielbia to miejsce. Mieszkają tu liberałowie, na śniadanie jada się tacos, żyje się muzyką, a o zmierzchu latają miliony nietoperzy. Nienawiść to diabeł, którego możesz puścić z dymem, jeśli masz dość zioła.

Otwieram drzwi, wchodzę do budynku i widzę, że zastępca kierownika zszedł z posterunku. Kiedy się meldowałam, zobaczyłam gęste hieroglify równań matematycznych na ekranie jego laptopa (ponadprzeciętna inteligencja) z klapą w tęczową flagę (gej).

„Unikaj akcesoriów niebędących częścią historii, którą chcesz opowiedzieć”.

Na krześle w pomieszczeniu siedzi tylko jedna osoba: mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna w kowbojkach i w kapeluszu z charakterystycznym zagięciem, rozślawionym przez Gusa w *Na południe od Brazos*, w którego wcielił się Robert Duvall.

Noszeniem kapeluszy kowbojskich w Teksasie rządzią niezmiennie prawa. Rodzaj zagięcia potrafi wiele powiedzieć o człowieku. Mój dziadek nosił kapelusz z teleskopowym zagięciem, niskim denkiem i szerokim rondem, który całkiem nieźle chronił go przed teksaskim słońcem.

Domyślałam się, że ten mężczyzna, uważnie wsłuchujący się w paplaninę CNBC, jest właścicielem całej szafy kowbojskich

kapeluszy z najróżniejszymi zagięciami, a postanowił zatrzymać się w tym lichym motelu, ponieważ zamiast na wygodne łóżka woli wydawać pieniądze na akcje solidnych firm. Wygląda na uczciwego człowieka, dlatego postanawiam go zaczepić. W normalnych okolicznościach starałabym się nie zwracać na siebie uwagi. Ale Carl zmienił reguły. *Chcę*, żeby mnie odnalazł.

– Przepraszam, czy może mi pan polecić lokal w okolicy, w którym mogłabym coś zjeść i się napić?

– Black Pony – odpowiada, nawet nie podnosząc wzroku. – Dziesięć minut autem. Niezła muzyka. Po drugiej stronie ulicy furgonetka z tacos. Whisky z kija.

– Na pani miejscu zamówiłbym taksówkę. – Zastępca kierownika wraca na swoje miejsce na fotelu na kółkach. – I lepiej nie korzystać z tamtejszej toalety, chyba że w ostateczności.

W oczekiwaniu na taksówkę dzwonię do Daisy. Nie odpowiada. Sygnał wybrzmiewa w nieskończoność.

Siedzę wciśnięta pomiędzy dwóch obcych facetów przy barze. Gorąco bije od nich jak od kaloryfera. Obaj na zmianę stawiają mi whisky Knob Creek z nalewaka, zawsze na dwa złote palce. Odmowa świadczyłaby o braku wychowania.

Kiedy weszłam do Black Pony, uderzył mnie odór rzygowin, ale wyparował tak szybko, że chyba go sobie wymyśliłam. Siwowłosy facet po mojej lewej wygląda jak trzy ćwierci do śmierci, mężczyzna po prawej ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, jest schludny, nosi krótkie proste baki i ma wyrobione bicepsy – kiedy widzę takiego typu, zawsze wietrzę niebezpieczeństwo.

Kapela gra głośno sprośne country do tańca, w którym wszystkie chwytaki dozwolone. Na zatłoczonym parkiecie hipsterzy tańczą solo, a pary małżonków z długim stażem pływają w two-stepie i kręcą się jak zrosnięte bliźnięta. W takim miejscu uszłoby każde z moich przebrań. Na Carla też nikt nie zwróciłby uwagi.

Mój młodszy sąsiad bębni palcami o kontuar, niechybny znak, że zamierza poprosić do tańca mnie albo drobniutką dziewczynę, która giba się na stołku po jego drugiej stronie. Na scenie The Beaumonts wyśpiewują pieśń miłosną o dziewczynie ze wschodniego Teksasu – obiekt westchnień podmiotu lirycznego (jeszcze) ma własne uzębienie i samochód, który „nie psuje się za często”.

Ciepła zaborcza dłoń mężczyzny na moim ramieniu oznacza, że dokonał wyboru.

Teraz to *ja* muszę zdecydować. Zrazić do siebie pijanego faceta czy porzucić miejsce przy barze, którego już nie odzyskam. Gość pochyla się nade mną, czuję jego oddech, jacka daniel'sa i drogą wodę kolońską; wołałabym, żeby ta mieszanka była mniej odurzająca. Jeden taniec nie zaszkodzi.

Ciągnie mnie na środek parkietu, pozostali uprzejmie robią nam miejsce. Knajpiany bywalec powoli odsuwa mnie od siebie, trzymając

za rękę, obrzuca mnie spojrzeniem, po czym przyciąga tak blisko, że nie wiem, czy to jego serce, czy uderzenia perkusji dudnią mi w kościach. Łapie mnie wpół. Docierają do niego dwie rzeczy: że mam przy sobie broń i że to nie jest mój pierwszy taniec.

Daję się porwać – pulsowi muzyki, rytmowi setki ciał, wygodzie bycia prowadzoną przez partnera.

Po czterech tańcach mężczyzna dyszy mi do ucha:

– Jak masz na imię?

Gubię go po dwóch budweiserach i kilku wymianach partnerów, które najwyraźniej są miłą tradycją w Black Pony. To się nawet dobrze składa, bo już nie pamiętam, jakie imię mu podałam ani czy on zdradził mi swoje. Poza tym jestem wściekła na siebie. Zbyt wiele części mojego ciała zmysłowo otarło się o nieznanego.

Tak się z reguły objawia moja frustracja: wychodzi ze mnie niegrzeczna dziewczynka. Piwa mieszają się z whisky i z tacos z chorizo, ananasem i kolendrą, które dwie godziny temu kupiłam z furgonetki przed wejściem. Mam ochotę zwrócić wszystko co do kawałeczka. Ruszam do toalety, ale przypominam sobie radę zastępcy kierownika Motelu 6.

Mijam parę splatającą języki i przeciskam się ku blademu światłu nad wyjściem. Uświadamiam sobie swój błąd, jak tylko zamykają się za mną masywne metalowe drzwi. Sięgam do gałki. Zatrzaśnięte. „Wejście od ulicy” – widnieje nabazgrane białym odbłaskowym mazakiem na drzwiach.

Utknęłam na parkingu na tyłach baru w towarzystwie cuchnących pojemników na śmieci, postrzępionych krzaków pod płotem i ledwo świecącej żarówki nad drzwiami.

Od strony biegnącej wzdłuż ogrodzenia ciemnej ścieżki zbliżają się dwa cienie, stawiając długie agresywne kroki. Idą po mnie.

Uliczni bandyci. Gwałciciele. Teksaskie wsioki.

W pijackim ułamku sekundy postanawiam zerwać się do biegu, uciec przed nimi, rzucić się w mrok za budynkiem. Zobaczymy, czy uda mi się okrążyć bar. Możliwe, że moja reakcja jest przesadzona.

– Jezu – stęka jeden z nich, kiedy ruszam z miejsca.

W połowie drogi orientuję się, że nie ma przejścia.

Klękam za kontenerem, oczywiście tam, gdzie zajrzą w pierwszej kolejności. Mam do wyboru przesadzić trzymetrowy drewniany płot albo wyjąć broń. Ani jedno, ani drugie mnie nie pociąga.

Sięgnięcie po broń może się źle skończyć. Kiedy postanawiasz do kogoś wycelować, to tak, jakbyś podjął już trzy czwarte decyzji. Musi istnieć inna możliwość, myślę. Mimo to kładę dłoń na kaburze.

Pamiętam dzień, w którym ojciec dał mi glocka. Zadręczał się tym, że nie zdołał ochronić starszej córki. Nie chcę go rozczarować, nawet teraz, kiedy już nie żyje. Dlatego jednak wyjmuję pistolet.

Gdzie oni są?

Przez ścianę budynku przesączają się dźwięki muzyki. The Beaumonts nuca o wskakiwaniu na siano.

Dlaczego ci dwaj jeszcze mnie nie dopadli?

Powoli podchodzę do narożnika i wyglądam. W ciemności widzę trzy postaci. Dwóch na jednego. Ten trzeci bierze solidny zamach i jeden z mężczyzn osuwa się na kolana. Drugi natychmiast kapituluje i zaczyna się wycofywać, podnosząc rękę w geście poddania i odciągając powalonego towarzysza. Dostrzegam jedynie czarne plamy ich sylwetek, jakbym oglądała brutalną kreskówkę.

Słychać piknięcie automatycznego zamka w drzwiach. Krótkie mignięcie światła.

Trzeci mężczyzna odprowadza tamtych wzrokiem, upewnia się, że odjechali.

Potem się odwraca i tak intensywnie wpatruje w ciemność, że to chyba niemożliwe, żeby mnie nie zobaczył. A potem odchodzi.

Od chwili, gdy zatrzasnęły się za mną tylne drzwi do klubu, dotarło do mnie tylko jedno wyraźne słowo: „Jezu”. I myślę, że może Jezus usłyszał.

Carl ukradł zdjęcie Rachel. To, na którym pozowała na tle czerwonej stodoły. Uzmysławiam to sobie nagle, stojąc pod strumieniami gorącej wody w Motelu 6 i starając się zapomnieć o wizycie w barze.

Wczoraj wieczorem zostawiłam fotografię siostry opartą o lampę w apartamencie w hotelu ZaZa. Kiedy wstałam dziś rano, byłam tak zaaferowana szukaniem Carla, że zupełnie o niej zapomniałam. Nie daje mi to spokoju, mimo że z łatwością mogę znaleźć to zdjęcie w internecie na setkach stron, wystarczy kilka kliknięć.

Podsuwam twarz pod strumień wody i spłukuję makijaż. Powrót piechotą do motelu zajął mi godzinę i dwadzieścia minut. Po takiej wycieczce zwyczajna kabina z włókna szklanego wydaje mi się większym luksusem niż elegancki wyłożony kamieniem prysznic z dwoma siedziskami w ZaZa.

Odczekałam pół godziny ukryta za kontenerem, zanim w końcu zdecydowałam się wyjść z parkingu i przemknąć na front budynku.

– Trzeźwa? – zapytał bramkarz, jak tylko zobaczył, że wyłaniam się zza rogu. – Chcesz podwózkę?

Odparłam, że tak. Miałam ochotę zapytać, gdzie się, do diabła, podziewał, kiedy naprawdę go potrzebowałam. To nie on mnie ocalił – tamten mężczyzna był dużo niższy i węższy w barach.

Wymknęłam się, kiedy był zajęty załatwianiem mi taryfy. Ruszyłam zwawym krokiem, musiałam wypocić whisky i strach. Nie miałam problemu z odnalezieniem drogi – wystarczyło trzymać się nieprzyjemnej ścieżki wzdłuż huczącej autostrady pełnej pędzących aut. Przemykałam koleinami od jednej plamy cienia do drugiej. Miałam mnóstwo czasu na myślenie o wszystkich trzech mężczyznach z parkingu na tyłach baru.

Wkładam szorty i T-shirt z pandą. Zaczynam wycierać włosy ręcznikiem, kiedy nagle słyszę niecierpliwie pukanie do drzwi. Nawet nie jestem zaskoczona, tak jakbym się spodziewała. Óma, który siedzi

w łazience na dywaniku, stawia uszy. Sięgam po pistolet leżący na blacie obok umywalki. Czyżby mój bohater domagał się nagrody? A może przepłoszeni mężczyźni przyszli dokończyć, co zaczęli.

– Wszystko w porządku, Ćma. Zostań tutaj.

Pies zdążył się podnieść, ale zamykam go w łazience i podchodzę do drzwi.

Żaluzje są opuszczone. Wyglądam przez judasza. Obraz jest rozmyty, jakby od zewnątrz ktoś posmarował wizjer wazeliną. To pewnie sprawka nastolatków lubiących przekrzywiać boczne lusterka w autach i podmieniać nadzienie w oreo na pastę do zębów.

Otwieram drzwi, trzymając przed sobą broń.

To nie tancerz z baru. Ani Carl. Ani napastnicy z parkingu. Ani mój trener (mógłby mnie sprawdzać, bo to naprawdę świr).

Pod wieloma względami stojący przede mną mężczyzna jest tym, którego najbardziej się boję.

To ten trzeci.

Odpycha mnie, rozbraja i zamyka za sobą drzwi.

– Sądziłem, że ojciec czegoś cię nauczył.

Wyjmuje magazynek i wysuwa nabój z komory. Oba przedmioty kładzie na szafce nocnej.

Piorunuję go wzrokiem, nie myślę trzeźwo, wciąż jestem w szoku. Minął ponad rok, od kiedy go skrzywdziłam.

Zamiast brązowych mam teraz czerwone włosy; on zamiast krótkiej czarnej szczeciny ma łysą czaszkę. Nie podoba mi się bez włosów, wygląda na podłego, nieustępliwego człowieka. Ubrany jest tak samo, jak wtedy, kiedy się widzieliśmy ostatni raz: czarna koszulka polo, czarne najki, czarne dżinsy, odznaka, broń u pasa. Wszystko w Andym jest prawdziwe.

Od miesięcy czułam na sobie jego cień, a mimo to teraz zastanawiam się, skąd się tu, u diabła, wziął. Gdzie popełniłam błąd? Zmiany wyglądu, fałszywe dokumenty, porzucanie wypożyczanych aut – który element mnie zdradził?

Naraz rozsierdza mnie świadomość, że to on był bohaterem w ciemności.

– Po jaką cholere mnie śledzisz? – rzucam.
– Gdzie jest Carl Feldman?
– Aresztujesz mnie? – Rozmowa zaczyna wyglądać jak wieczorne przepychanki z Carlem, w których każde kolejne pytanie spycha nas coraz głębiej w mroczną otchłań.

Andy patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Przepraszam – mówię. W żaden sposób nie równoważy to tego, co zrobiłam. – Usiądź, proszę. – Wskazuję brzeg łóżka.

Andy odwraca sobie stojące przy biurku krzesło i siada na nim. Nie potrafię wytrzymać pogardy w jego spojrzeniu, zajmuję więc miejsce w rogu łóżka i wbijam wzrok w buty Andy'ego w rozmiarze czterdzieści pięć. Znam rozmiar wszystkiego, co ma na sobie.

Miałam siedemnaście lat, kiedy pierwszy raz go zobaczyłam. Był dwudziestoczteroletnim, dobrze zapowiadającym się detektywem, zajmował się sprawami odłożonymi na półkę. Nosił tanie garnitury i emanował nadzieją, która krążyła w jego żyłach i przenikała do moich jak woda z cukrem. Z ekranu jego komputera spoglądała uśmiechnięta twarz Rachel opartej o tę durną czerwoną stodołę.

Kiedy widziałam go po raz ostatni, był nagi.

Miałam dziewiętnaście, prawie dwadzieścia lat, kiedy pierwszy raz poszliśmy do łóżka. Potem spotykaliśmy się przez miesiąc i robiliśmy to na kocach piknikowych, na starej skórzanej kanapie u niego w domu, na tylnym siedzeniu pięcioletniego SUV-a lexusa, którego rodzice kupili dla mojego bezpieczeństwa.

Zaczęło się od ukradkowego pocałunku w podziemnym garażu po spotkaniu u niego, w biurze FBI w Dallas. Było po zmroku, więc Andy zaproponował, że odprowadzi mnie do samochodu. Kiedy dotarliśmy do auta, odwróciłam się, wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego twarzy, a wtedy on wziął mnie w ramiona i uniósł do góry. Byłam uratowanym rannym ptakiem. Po chwili nazwał pocałunek pomyłką. Pomyłka, lekka jak piórko pomyłeczka, zbyt drobna, by być poważnym błędem.

Oficjalnie widywaliśmy się dwa razy w roku w określone dni, żeby porozmawiać o sprawie Rachel: w rocznicę jej zniknięcia oraz w jej urodziny. Regularne spotkania informacyjne okazały się zbyt bolesne

dla rodziców, chodziłam więc sama, wciąż z nowymi pytaniami w głowie i wynikami obsesyjnych poszukiwań ukrytymi wśród podręczników w plecaku. Oczywiście o niczym mu nie powiedziałam. Pomyślałby, że mi odbiło.

Andy przekazywał mi najnowsze wieści na temat wszystkich, nawet najdrobniejszych postępów w sprawie mojej siostry. Dawał mi posłuchać na słuchawkach nagrań zgłoszeń osób, które twierdziły, że coś wiedzą. Porównywał zaginięcie Rachel do innych, świeższych przypadków. Zapewniał, że biuro nadal usiłuje ustalić miejsce pobytu Carla Louisa Feldmana oraz związku jego i jego prac z Rachel i innymi zaginionymi dziewczętami.

Każda kolejna wizyta miała coraz bardziej osobisty charakter. Za czwartym razem zauważyłam, że ustawił sobie zdjęcie bliźniaczek jako wygaszacz ekranu. Wtedy już wiedziałam, że mi wierzy.

Andy przygotowywał się do magisterium z angielskiego – studia były spełnieniem obietnicy danej babce, byłej nauczycielce, która bała się, że wnuk zginie w strzelaninie, i pragnęła, by zajął się czymś innym. Siadaliśmy w pokoju przesłuchań i dotąd ślęczeliśmy nad dokumentami pełnymi okropności, aż zarządzał przerwę pomimo moich protestów. Czasem recytował poezję dla złagodzenia koszmaru tego, co oglądaliśmy.

Angelou i Frost, Hughes i Dickinson. Mówił, że przed obłędem chroni go nieustające przypominanie sobie o radości i smutku życia, a także świadomość, że istnienie każdego z nas jest wplecione w piękny, choć niepozbowiony wad, niekończący się schemat. Przez pewien czas Andy i grono jego ulubionych poetów zapewniali mi najlepszą terapię.

Tamtego dnia w garażu, kiedy nazwał nasz pocałunek pomyłką, zachował się w sumie w porządku. Próbowałam ukryć zażenowanie, a on w tym czasie wymienił wszystkie powody, dla których nie powinniśmy się ze sobą wiązać, tak jakbym nie pomyślała o nich wcześniej, zanim wyciągnęłam do niego rękę.

Miał dziewczynę. Byłam zbyt młoda. To było z jego strony nieprofesjonalne i mogło się skończyć kłopotami. Straciłby dystans do sprawy. Skrzywdziłby mnie. Zwolniliby go. Moi rodzice poczuliby się

zdradzeni. Był czarny, a ja biała – ukatrupiłaby go jego własna matka, gdyby wcześniej nie dorwał go jakiś cięty na gliniarzy burak z Południa. Ten ostatni powód dodał żartem, żebym się rozluźniła, ale wcale nie był zabawny.

Spotkaliśmy się ponownie pół roku później, zgodnie z harmonogramem. Pamiętam, jak pomyślałam, że Rachel miałaby dwadzieścia sześć lat i byłaby wystarczająco dorosła, by móc go pocałować.

Pamiętam też, że tamtego dnia bardzo starannie dobrałam strój. Andy mnie nie chciał, ale pragnęłam wyglądać na taką, której warto pożądać. Cienka koronka, gołe nogi, rozpuszczone włosy, piżmowy szampon, niebieska kreska wokół oczu będących parawanem duszy, które albo przyciągały ludzi, albo ich odrzucały.

Przy nim zapominałam, że mam dziewiętnaście lat i jestem naiwna; przy nim czułam się pełna życia. Tamtego dnia tylko raz pochyliłam się nad biurkiem i dotknęłam palcami jego ramienia. Wzdrygnął się. Bardzo mi się spodobało, że mam nad nim choć taką władzę.

Wiersz, którym mnie uraczył podczas przerwy, był pozbawiony zmysłowości, piękny i pełen nadziei – Walt Whitman o cudach. „Każdy kubiczny cal przestrzeni jest cudem”⁸. Odwdzięczyłam się własnym wierszem o bliźniaczkach, napisanym na długo przed zniknięciem Rachel. „Dwie małe dziewczynki bawią się w ciemności. Są potwory”.

Tym razem zamiast po prostu odprowadzić mnie do samochodu, usiadł za kółkiem i zawiózł mnie do swojego mieszkania. Przez całą drogę nic nie mówiliśmy, tylko trzymaliśmy się za ręce, doskonale wiedząc, co się stanie, gdy dotrzemy na miejsce.

Potem zawsze go to gryzło. Uważał, że niszczy mi życie. A to przecież ja byłam w tym układzie egoistką. Czułam, że moje życie się rozpada. I nie ułatwiałam mu odejścia. Kiedy leżałam w jego ramionach jak otulona przedwieczną poezją i gdy namawiał mnie, bym przestała zadręczać się siostrą i ruszyła do przodu z własnym życiem – to były jedyne chwile, w których w ogóle brałam taką możliwość pod uwagę.

Po dwudziestu siedmiu dniach przestał dzwonić. Nie musiał

wyjaśniać dlaczego. Mówił mi to setki razy. Odpuściłam. Nie chciałam go zniszczyć.

W lipcu zeszłego roku, po ponad trzech latach milczenia, nieoczekiwanie zadzwonił i poprosił o spotkanie w restauracji. Mężczyzna, który sypał powodami jak z rękawa, tym razem nie potrafił podać żadnego sensownego. Mimo to zgodziłam się, przyszłam i zamówiłam mocny Lemon Drop z martini. Andy wydawał się zaniepokojony. Zadawał sporo pytań o moje życie, o moją misję Odnaleźć Siostrę (tak ją nazywał), o stłuczenie na prawym kolanie.

Później wyczałował siniak.

Kiedy spał w hotelowym łóżku, przejrzałam jego telefon, szukając haseł i kodów mogących dać mi dostęp do większej ilości materiałów. Na jego laptopie odkryłam plik z informacjami o Rachel. Kiedy zobaczyłam ikonkę z imieniem siostry, poczułam ukłucie w sercu. A więc nie zrezygnował. Ostatni raz otwierał dokument trzy dni wcześniej. Skopiowałam plik na pendrive'a.

Jeszcze spał, kiedy wychodziłam.

Godzinę później zmienił wszystkie hasła, które ukradłam.

Nie odkryłam wiele ponad to, co już wcześniej wiedziałam, za to dużo straciłam.

Rozumiem to teraz, kiedy Andy we własnej osobie siedzi metr ode mnie, tak wściekły i piękny, że zapiera mi dech w piersi.

Ćma zaczyna drapać drzwi do łazienki. Skrob, skrob. Andy odwraca się na pięcie, celując z broni.

Oto strach – myśl, że pociski mogłyby rozłupać drzwi i przeniknąć na drugą stronę. Łapię Andy'ego za rękę.

– To nie Carl, tylko pies. Schowaj pistolet. Proszę. Nie ma tu nikogo poza mną.

– Pokaż. – Uwalnia się z mojego uścisku.

– To tylko pies – mówię, obracając gałkę. Z łazienki wybiega Ćma, dopada do nóg Andy'ego i zaczyna machać ogonem, jakby blizna na boku była tylko kreską narysowaną mazakiem. Przywołuję psa i przyglądam się, jak Andy rozsuwa drzwi kabiny prysznicowej. Upewnia się. Zawodowiec.

– Gdzie jest Carl Feldman? – powtarza po wyjściu z łazienki.

– Nie wiem.

– Nie żartuję. Wiem, że podróżujecie razem.

Nagle wypowiada moje imię. Rozchodzi się ono po mojej piersi jak gorąca plama po oparzeniu. Trafi na mój grób, będzie wyryte w kamieniu, tak jak imiona Sophronii i Jimmie Elizabeth na cmentarzu, po którym lubiliśmy z Rachel spacerować. Matka wybrała mi imię z książki, kiedy sama była jeszcze dzieckiem.

– Spędziłam z nim kilka dni – przyznaję. – Ale potem uciekł.

– I nie wiesz, gdzie jest. – Obojętny ton. Niedowierzenie.

– Nie. – Próbuję sobie przypomnieć, co zrobiłam z mapą, bo wolałabym nie pokazywać jej Andy'emu. Wrzuciłam do schowka w aucie? Zostawiłam na widoku na fotelu pasażera?

– Nie podejrzewałem, że posuniesz się tak daleko.

Chodzi tam i z powrotem między łózkami. Mój trener mówił, że czymś takim można wyprowadzić przeciwnika z równowagi. „Tak jak gracz w pierwszej bazie bawi się z miotaczem w kotka i myszkę”. Ćma siedzi nieruchomo przy mojej nodze. Zaczyna ziajać. Kładę dłoń

na jego głowie.

– To znaczy...

– To znaczy, że nie sądziłem, że pójdziesz tą niebezpieczną drogą, goniąc za złudzeniami, którymi się karmisz. Nie rozumiesz, z czym masz do czynienia.

– Rozumiem. I jestem przygotowana.

– Mój Boże, tak ci się tylko wydaje. – Nagle się zatrzymuje. – Co chcesz zyskać? Naprawdę uważasz, że Carl Feldman doprowadzi cię do ciała Rachel?

Ostro. Doskonale zna moje słabości.

– Tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy, od razu powinienem był cię sprowadzić na ziemię. Przekonać cię, że zdjęcie, które przypadkiem znalazłaś w domu, nie ma zupełnie nic wspólnego z twoją siostrą. Nic! Że to zbieg okoliczności albo że twój umysł próbuje dostrzec związek, który nigdy nie istniał. Nie powinienem był pozwolić, byś choć przez chwilę podejrzewała Carla Feldmana. Powinienem był ci załatwić... pomoc.

Dopiero teraz – wreszcie – sugeruje coś, do czego nigdy nie chciałem się przyznać.

– Nie rozumiesz? – Staram się nadać swojemu głosowi łagodne brzmienie. – Dotarłabym tutaj, do tego motelu, z tobą lub bez ciebie. Zawsze bierzesz całą winę na siebie, Andy. Doprowadzasz mnie tym do szału. Nie jestem dzieckiem. *Nigdy* nie byłam dzieckiem.

– Jesteś przekonana, że to Carl odpowiada za śmierć twojej siostry? – odwarkuje. – Bo ja nie.

– Nie wiemy na pewno, że Rachel nie żyje. – Czuję się, jakbym w końcu wypuściła powietrze, które zatrzymałam w płucach tamtej pierwszej nocy, gdy patrzyłam na jej puste łóżko i skłębioną pościel.

Ale to prawda. Nikt mi nie pokazał niezbitego dowodu: kawałka kości albo mikroskopijnej plamki krwi (krew Rachel zawsze była odrobinę ciemniejsza od mojej). Nikt mi nie odtworzył nagrania, na którym jej morderca przyznaje się do winy.

Stąd ten jeden procent nadziei – albo dziewięćdziesiąt dziewięć rozpacz; zależy, czy w szklance mam whisky, czy herbatę.

Moje imię dźwiga ciężar i brzemię bólu. Andy znów je wypowiada.

Chcę, żeby przestał. Próbuję się zastanowić.

Czy Andy umieścił lokalizator w mojej walizce?

Czy był w moim mieszkaniu?

Czy depcze mi po piętach od dnia, w którym zabrałam Carla z domu pani T?

Jak dużo wie?

– Od jak dawna mnie śledzisz? – rzucam agresywnie. – Od naszego ostatniego spotkania? Od kiedy Carl się odnalazł? Dłużej? Obserwowałeś mnie jeszcze wcześniej?

– Wracaj do domu. Albo do Londynu, skoro zdołałaś przekonać matkę, że wyjechałaś i świetnie się tam bawisz. Pozwól nam robić to, co do nas należy.

Ale wy przecież nic nie zrobicie, Andy. W przeciwieństwie do mnie. Rozmawiał z moją matką.

– „Nam”, czyli komu? – pytam spokojnie. – Przyjechałeś z partnerem? – Obracam głowę w stronę okna. Czuję się zdradzona na myśl, że tam, na zewnątrz, czeka druga osoba, kimkolwiek jest.

„My” zawsze znaczyło „Andy i ja”.

– Masz podsłuch? No już, aresztuj mnie. – Wyciągam rękę nadgarstkami do góry. Rzucam mu wyzwanie. Muszę wiedzieć, jak daleko się posunie. I po co tu się zjawił. – Zrobiłam mnóstwo rzeczy, za które mógłbyś mnie zamknąć. Śledziłam ludzi. Dawałam łapówki. Wykrałam aparat Carla z magazynu dowodów.

– Nic już nie mów.

– Jeżeli nie chcesz mnie aresztować, to wyjdź. Carla tu nie ma. Zniknął. Taka jest prawda. Moja misja Odnaleźć Siostrę zakończyła się porażką. Pewnie jesteś zadowolony. Dziękuję, że zająłeś się tymi oprychami w barze, ale musisz wiedzieć, że poradziłabym sobie sama, za to ty nie znalazłbyś się tutaj, w tym pokoju, gdybym *nie pozwoliła* ci wejść.

Nadal trzymam wyciągnięte ręce.

Nie dam się powstrzymać.

Andy robi zdecydowany krok do przodu. Błąd.

ANGIELSKI/PANI ARCHER

Ocena: 4 – piękna metaforyka, ale wiersz nie na temat

Papierowe duchy

Dwie małe dziewczynki
w ślicznych białych sukienkach
i rozwianych welonach
bawią się w ciemności.

Są potwory
w mojej szafie
w ich lesie.

Nie bójcie się!
Czy kiedy wchodzę w ich obraz
nieruchomieję?

Zamieniam się w kamień?

Staję się niewidzialna?

Czy ktoś mnie słyszy?

Wspinam się, tańczę
biegam, chowam się
szepczę

placzę.

Chciałam odnaleźć
swe sekretne siostry
aby dodały mi odwagi.

To była moja czternasta wizyta u Edny Zito, dwa dni przed końcem nauki w liceum. Edna pochyliła się i wyszeptała:

– Nie powinnam ci mówić o dziewczynkach w lesie.

Siedziałyśmy same w niewielkim ogrodzie przy domu spokojnej starości. Miałam na ramionach szal w jaskrawych kolorach, prezent na zakończenie szkoły, wydziergany przez Ednę i Bunie. Godzinę wcześniej panie wręczyły mi ten podarek zapakowany w pomięty papier z odzysku, ozdobiony bożonarodzeniowymi dzwoneczkami.

Nie potraktowałam jej słów poważnie. Edna nikła w oczach, z każdym tygodniem było jej mniej. Już dawno doszłam do wniosku, że nic nie wie. Przestałam pokazywać jej zdjęcia. Odwiedzałam ją z czystej sympatii, bo ją polubiłam.

– Śmiało, Edno – odparłam. – Co takiego wiesz?

Położyła swoją żylastą, suchą jak papier dłoń na mojej.

– Jak myślisz, która spryskuje płynem do szyb moją niebieską galaretkę? Opal czy Gertie? Niebieskiego płynu nie byłoby widać. Sprytnie by mnie załatwiły.

– Płyn do szyb jest bezbarwny – przypominam zniecierpliwiona. – Nie byłoby go widać ani na niebieskiej, ani na czerwonej galaretkie. Powiedz, co wiesz o bliźniaczkach.

– Jakich bliźniaczkach? Nie znam żadnych bliźniaczek. Sądziłam, że rozmawiamy o niebieskich truciznach.

Wtedy sięgnęłam do plecaka i z rozdrażnieniem wyciągnęłam dwa zdjęcia: kopię portretu Carla z albumu i drugie, nowsze, na którym Carl przeciska się przez tłum dziennikarzy przed budynkiem sądu.

– Czy to jakaś gwiazda filmowa? – Edna ściągnęła brwi.

– Edno, proszę. Przecież już widziałaś te zdjęcia. Skup się.

– Chyba pora na ciasteczka i owoce.

Zbladła i zaczęła szybciej oddychać.

Miałam osiemnaście lat. Brakowało mi doświadczenia.

Zamilkłam i zawiozłam ją na popołudniową przekąskę.

Tydzień później przed jej drzwiami zastałam Nixona. Stał z założonymi rękami, czekał na mnie.

– Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli przestanie pani tu przychodzić.

Kiedy palce Andy'ego dotykają mojej szyi, myślę o Carlu. O tym, czy wyważy drzwi i zabije nas, gdy będę naga. Czy skróci moje cierpienia.

Kiedy Andy zaciska dłonie, myślę o jego partnerze w nieoznakowanym radiowozie. A może o partnerce, skrycie w nim zakochanej, wyobrażającej sobie ich śliczne dzieci. Zastanawiam się, czy wkroczy i wykończy mnie słowami. Zamykam oczy i odpływam w mrok, myśląc o tym, że nic poza Andym nie przysporzyło mi takiego bólu, nie było tak nieskończone i głębokie.

Kiedy Andy sięgnął do moich nadgarstków, mogliśmy zrobić to, w czym byliśmy dobrzy. Mogliśmy się nawzajem skrzywdzić.

Zamiast tego pozwoliłam, by przyciągnął mnie do siebie. Jego ciepłe dłonie wsunęły się pod moją koszulkę. Chwilę później ich śladem podążyły usta. Skrzywiłam się odruchowo, kiedy przejechał palcami po starym stłuczeniu na plecach, pamiętce po ostatnim etapie szkolenia. Zawsze dotyka moich ran.

Wspomnienie napaści w barze zaczęło się rozmywać jak sen, jak zdjęcie, które ktoś porzucił w trakcie wywoływania.

Andy błędnie odczytał moje wzdrygnięcie. Zrobił krok do tyłu. Spojrzał na mnie oczami pełnymi pożądania albo urazy, trudno powiedzieć.

– To musi wyjść od ciebie.

Bez zastanowienia położyłam dłoń na jego policzku, tak jak wtedy, za pierwszym razem, w garażu.

Nie odrywając ode mnie wzroku, powoli odpiął kaburę – dawał mi czas, szansę na zmianę zdania.

Upadliśmy niezgrabnie na łóżko i ze śmiechem odbiliśmy się od twardego materaca. Zrzuciliśmy wszystko, co mieliśmy na sobie: on – dżinsy i koszulkę, ja – stanik i majtki, aż staliśmy się nadzy i równi sobie.

Teraz Andy zwalnia tempo, opiera się na rękach, muska nosem

moje ucho. Wyobrażam sobie siebie w postaci ptaka, który przysiadł na łopacie wiatraka pod sufitem, obraca się i przygląda. Jestem smutnym słowikiem Keatsa z ulubionego wiersza Andy'ego albo może czymś mroczniejszym, co łatwiej zauważyć – krukiem z pola pszenicy van Gogha.

Ile czasu minęło od chwili, kiedy mnie pocałował? Dwie minuty? Piętnaście?

Wyginam plecy w łuk. Andy mruczy coś, czego nie rozumiem.

Ten, kto wyważy drzwi, będzie musiał nas od razu zabić – albo zaczekać, aż skończymy.

Chcę zasłużyć na przebaczenie. Chcę, żeby znów mnie pokochał, kiedy już będzie po wszystkim.

– Nigdy nie uważałam, że to błąd – szepczę.

Dzień siódmy



Mój notes przetrwania, 11 lat

Jak się nie bać duchów

- 1. Nigdy więcej nie oglądać Ducha z Rachel.*
- 2. Nie bawić się tabliczką ouija z Rachel.*
- 3. Nie wierzyć w nie.*
- 4. Nie jeść cytryn, bo Rachel mówi, że duchy lubią ich zapach.*

Kiedy się budzę, Andy'ego nie ma. To w porządku z jego strony. Nie padły żadne obietnice, nie wybrzmiały żadne wiersze bez rymów, nie było rozmowy o jego roli w barze ani o moim powrocie do domu, nie było pytań o to, co mu podprowadziłam, kiedy widzieliśmy się poprzednim razem, ani o to, jak oboje planujemy to zakończyć.

Zanim zasnęłam u jego boku, zdecydowałam, że kiedy będę spała, może mi zabrać, co chce: mapę, telefon, pudełka z pikapa. Może mi nawet odebrać życie, jeśli tak postanowi. On wolał jednak po prostu wyjść, co wydaje się okrutniejsze, niż gdyby zrobił wszystko to, na co mu w duchu pozwoliłam.

Dźwigam się z poduszki i podpieram na łokciu. Leżący w nogach łóżka Ćma podnosi głowę. W nocy Andy znalazł psa ukrywającego się w łazience, zabrał go z podłogi, podziękował mu za dyskrecję i położył z nami. Do rana Ćma już się stamtąd nie ruszył.

Na szafce nocnej Andy zostawił magazynek wyjęty z mojego pistoletu. Leżący obok firmowy notesik motelu jest boleśnie pusty. Żadnego liściku.

Andy nigdy nie szczędzi słów. Zachowałam je wszystkie. W kopercie w jednym z moich pudełek znajdują się liściki i zabawne rysunczki, które przez nasze dwadzieścia siedem dni zostawiał mi na poduszce, wsuwał między banknoty w portfelu, wkładał pod wycieraczkę na przedniej szybie, umieszczał w moich podręcznikach jako zakładkę, wklejał w rolkę papieru toaletowego.

Klucze na biurku leżą tam, gdzie je zostawiłam. I w takiej samej pozycji: ten do skrytki bankowej wskazuje północ, ten do samochodu – zachód. Telefon nadal znajduje się w łazience tak, jak go położyłam, i wciąż tkwi przyklejony do niego niemal niewidoczny włos.

Nie spodziewałam się odwiedzin Andy'ego, po prostu te drobne paranoiczne dziwactwa weszły mi w krew. Szybki przegląd moich rzeczy nie ujawnia żadnych braków. Nic nie zabrał. Jedynie kostka do

gry spadła z szafki i potoczyła się pod łóżko.

Poza tym nic się nie zmieniło. Tak jakby Andy'ego w ogóle tu nie było.

Ale ja wiem swoje. To zawodowiec.

Zaczynam drobiazgowo przeszukiwać pokój, chcę się przekonać, co Andy po sobie zostawił. Znajduję maleńki lokalizator na dnie plastikowego pudełeczka z nicią dentystyczną, które wygląda niemal identycznie jak to, które kupiłam, i drugi pod podeszwą jednego z butów. Czarna guma została rozcięta i ponownie sklejona tak precyzyjnie, że prawie nie widać śladu. Rozdeptuję oba lokalizatory, ich maleńkie części kruszą się na białych płytkach jak karaluchy, które wypełzły z dziur w kiepskich ścianach.

Wkładam spodnie od dresu i T-shirt z pandą i wychodzę. Na motelowym parkingu nadal ciemno i tłoczno od aut. Niewykluczone, że w którymś z nich siedzi ktoś, kto mnie obserwuje. Podchodzę do swojego pikapa, klękam i omiatam podwozie światłem latarki. Zaglądam do nadkoli.

Znajduję to, czego szukam, pod tylnym zderzakiem. Niewielkie pudełeczko, którego wczoraj tu nie było. Oglądam je ze wszystkich stron. Nic szczególnego. W obudowie z magnesem mieści się lokalizator GPS, jaki bez trudu można kupić w internecie. Zwyczajne, proste urządzenie do codziennego szpiegowania – dla rodziców, żeby mogli jednocześnie pilnować swojej nastoletniej pociechy, która odkryła uroki alkoholu, i oglądać seriale na Netfliksie, albo dla mężów i żon, żeby mogli zebrać dowody przed rozwodem i tym sprawniej podzielić między siebie dzieci.

Przyczepiam aparacik w takim samym miejscu, tyle że na sąsiednim aucie, którym jest – tak się szczęśliwie składa – drugi biały pikap.

Wracam do pokoju, blokuje drzwi łańcuszkiem i ustawiam budzik na ósmą. Postanawiam, że rano rozejrzę się za innymi lokalizatorami: pod maską i deską rozdzielczą, w okolicy szyberdachu, pod siedzeniami, w chodniczkach, słowem – w typowych miejscach, bo ten, łatwy do odnalezienia, mógł być zmyłką. To nie będzie mój pierwszy raz, ale najwyraźniej powinnam robić to częściej.

Lokalizator zamontowany przez agencję wynajmu samochodów już dawno usunęłam.

Nie jestem do końca przekonana, że trafiłam na wszystkie. Świadomość tego, kto je umieścił, podkopuje moją pewność.

Zastanawiam się, czy przez cały ten czas, kiedy planowałam akcję z Carlem, ktoś inny nie snuł planów ze mną w roli głównej.

Dzwoniłam na komórkę Daisy trzynaście razy. Stale włącza się poczta głosowa. To samo w gabinecie – telefony odbiera automatyczna sekretarka. Zostawiam wiadomość w obu miejscach: „Jeżeli zobaczysz mojego ojca, to bardzo cię proszę: natychmiast wezwij policję. Zgubił się. Cierpi na demencję. Bywa agresywny”.

Obawa o Daisy sprawia, że skręca mnie w żołądku. Jeśli ta niepoprawna, pełna nadziei na przyjęcie na Harvard marzycielka umrze, stanie się to z mojej winy.

Chcę stąd wyjść, opuścić motel, ale pokój wciąż pachnie Andym. Nieustannie wracam do czystych karteczek na szafce nocnej, jakby to była ich wina. Oglądam je pod światło, szukam odcisniętych liter, bo może Andy napisał liścik, ale zmienił zdanie i wyrwał kartkę. Już raz tak było. Widmowa wiadomość brzmiała: „Kocham cię”.

Czemu wrócił? Dlaczego teraz? Od jak dawna mnie śledzi? Czy to możliwe, że od kiedy zerwaliśmy, gdy miałam dziewiętnaście lat? Ale chyba bym zauważyła. Jeśli to prawda, jego obsesja przebija moją pod względem upiorności. Minął rok od jego zaskakującego telefonu i prośby o spotkanie. Często wracam myślami do tamtego dnia w kawiarni i do tego, jak bardzo się wtedy odsłoniłam.

Andy zasypał mnie gradem pytań o siostrę i postęp misji, a ja skryłam się za osłoną krótkich odpowiedzi i zlizując cukier z brzegu kieliszka z martini, odpłynęłam w przyjemną alkoholową mgiełkę. Skomentował mięśnie moich nóg i rąk, co obudziło we mnie zarówno pożądanie, jak i paranoję – dowiedział się o trenerze i wie, jak daleko zaszłam w realizacji swojego planu! Odparłam, że po prostu zmieniłam siłownię.

– Postanowiłaś w końcu zamknąć ten rozdział swojego życia? – spytał.

– Prawie – odpowiedziałam.

Nie dodałam, że jest dokładnie odwrotnie i nigdy nie zrezygnuję z dotarcia do prawdy o losie Rachel.

Nie przyznałam się też, że czasem zaszywam się w betonowej jaskini mojego wynajętego boks w kompleksie magazynów Uncle Fred's, do którego wstawiłam kupione w Ikei białe szafy na dokumenty i wypełniłam je kolorowymi plastikowymi pudełkami – każda barwa oznaczała co innego. Cztery ściany boks są jak powiększona wersja mojej dawnej galerii w szafie. Dwa lata wcześniej przeniosłam tam również biurko z mieszkania. Wytarty fotel. Dobrą lampę podłogową. Małą lodówkę. Pięć pistoletów, które odziedziczyłam po ojcu. Rzeczy Rachel, które matka poupychała do kartonowych pudeł, wyniosła na strych i nigdy więcej nie tknęła. Nawet uczyłam się tam do magisterium.

Staram się usunąć Andy'ego z myśli. Napęlam miskę Ćmy, pakuję ubrania, maluję rzęsy. W głowie tłuką mi się pytania. Czy Andy przyjechał z zamiarem aresztowania mnie, ale nie potrafił się na to zdobyć? Za co miałby mnie aresztować? Za wykradzenie aparatu Carla z magazynu dowodów? Za przeglądanie plików FBI na jego komputerze? Za uprowadzenie pacjenta z demencją z podlegającego stanowej opiece społecznej domu przejściowego?

Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy tamtego dnia w hotelu celowo zostawił swój telefon i laptopa na wierzchu – czy chciał w ten sposób poddać próbie moją silną wolę? Zanim zmienił hasła, zdążyłam zdobyć naprawdę niewiele nowych informacji. Wśród nich tę, że biuro ponownie zajęło się sprawą Carla. Nadano mu status podejrzanego w sprawach Nicole, Vickie, Violet i czterech innych zaginionych kobiet, z których wszystkie znajdowały się również na mojej liście.

Niewykluczone, że Andy wykorzystuje mnie, aby dostać się do Carla.

*

TYTUŁ: *NIEWIDZIALNA DZIEWCZYNA*

Podróż w czasie. Fotografie Carla Louisa Feldmana
Ulica Guadalupe, Austin, 2002 rok
Aparat jednorazowy Kodak

Komentarz autora: „Amanda K., siedemnastoletnia bezdomna, powiedziała mi, że napisała: «Jestem niewidzialna» na kawałku kartonu po tym, jak przez dwa tygodnie na ulicy Guadalupe nie odezwała się do niej ani jedna osoba. «Może ludziom się wydaje, że dając mi dolara, niczego tak naprawdę nie zmieniają, więc mogą mnie ignorować. Ale zmieniliby bardzo wiele, wszystko, mówiąc po prostu: «cześć»”.

Skupić się na odnalezieniu Carla. Skoncentrować się na jego mapie.

Jeżeli *Niewidzialna dziewczyna* jest kolejną wskazówką, to właśnie za nią muszę podążyć, nawet jeśli Carl zrobił to zdjęcie przed ponad piętnastoma laty, nawet jeśli wątpię, aby pamiętał, którą nagą ceglana ścianę przy ulicy Guadalupe podpierała Amanda K.

Włączmy się z Ćmą ulicą pełną hipsterskich sklepów i studenckich knajpek, dołączamy do parady młodych orędowników zdrowego stylu życia, dziewczyn z korporacji i wiecznie perorujących i gestykułujących w próżnię obdartusów. Ani śladu Carla i Walta, ale trzeba przyznać, że obaj pasowaliby do tego tłumu. Samotność i desperacja, które czają się w cieniu dostatku uczelni, odpychają mnie i sprawiają, że znów doceniam skrzywiony system opieki pani T i jej przypalone gofry.

Carl zrobił tu mnóstwo zdjęć bezdomnym. Powstała tu nie tylko *Niewidzialna dziewczyna*, ale też inna znana seria ciasnych, nieruchomych czarno-białych portretów o takiej fakturze, że można je pomylić z rysunkami węglem. Uchwycił zapadnięte oczy, szalone spojrzenia, bezzębne uśmiechy, anielskie światło na roztopionej, ogorzałej skórze. Uchwycił człowieczeństwo. Udało mu się wszystkich zwieść jednorazowym aparacikiem.

To były jego najlepsze lata, krytycy przepowiadali mu sławę i miejsce w historii. Zatyłował tamtą serię *Ludzie z Guadalupe*. Nawiązał nie tylko do nazwy ulicy. Matka Boża z Guadalupe, święta patronka Meksyku, Najświętsza Maria Panna w pierwszej kolejności objawiła się zwykłemu chłopu.

Ktoś chwyta mnie za ramię i boleśnie wbija paznokcie w skórę. To nie Carl, lecz mężczyzna, który wygląda, jakby wrósł w to miejsce. Patrząc na jego chropowatą, twardą skórę, nie sposób powiedzieć, w jakim jest wieku. Czterdzieści lat? Siedemdziesiąt? Jest ubrany w brudne dzinsy, na nogach ma stare sandały. U prawej stopy brakuje

mu jednego palca, u lewej dwóch. Wskazuje pustą przestrzeń za swoimi plecami i mówi:

– Ładniutka, co nie?

– Tak – potwierdzam. – Piękna. – Sięgam po pieniądze i jednocześnie ciągnę za smycz, bo Ćma przymierza się do polizania nieznajomego po stopach. – Masz, postaw jej kolację.

Mężczyzna chowa banknoty do kieszeni i znika w tłumie.

Walt, jesteś tutaj?

Co by było, gdyby nagle ukazali nam się wszyscy niewidzialni kompani z ulicy Guadalupe? Gdybyśmy mogli przenikać dłońmi przez zjawy bezdomnych, a te by się uśmiechały? Martwi kochankowie, którzy przytulają się do nich w brudnych śpiworach, przyjaciele z dzieciństwa, którzy kiedyś dzielili się z nimi kanapkami z masłem orzechowym, towarzysze broni, którzy zginęli u ich boku, dawno nieżyjący ojcowie, którzy czepiali się każdej przywary, wygadane, zabawne postaci, które ożyły z wysłużonych kart ich ulubionych książek. Elvis, Marilyn Monroe, Mark Twain, a nawet Matka Boża z Guadalupe. Gdybyśmy mogli zobaczyć na własne oczy istniejące obok siebie dwa światy: ich wymyślony i ten prawdziwy, być może to by nas odmieniło. I żaden kubek nie pozostałby pusty.

Ja też jestem niewidzialna. Wyglądam jak przeciętna studentka na spacerze z psem. Widziałam co najmniej sześć niemal identycznych jak ja. Duże okulary przeciwsłoneczne, džinsowe szorty, plecak, koszulka na ramiączkach, birkenstocki. Przynęta na Carla, myślę wbrew sobie.

Drugi raz zaczepiam nieznajomego mężczyznę, myśląc, że to Carl. Kiedy go przeproszam, nagle uświadamiam sobie anonimowość wyglądu Carla: szczupła budowa ciała, typowo teksaskie połączenie džinsów i wysokich butów, i dociera do mnie, że ten bezpieczny kostium i aparat dawały mu subtelną i przerażającą przewagę.

Po dwóch godzinach rezygnuję z lustrowania ścian i szukania graffiti i przenoszę się na kampus Uniwersytetu Teksaskiego.

Na chwilę wtapiam się w tłum, po czym wchodzę między drzewa rosnące na ocienionym brzegu Waller Creek. W latach trzydziestych dziewiętnastego wieku sędziego Lamar Waller zaprojektował siatkę

centralnej części miasta i nadał biegnącym z południa na północ ulicom miana nazw rzek, w dodatku dokładnie w takiej kolejności, w jakiej zostały wymienione na mapie stanu.

Niespełna dwieście lat później Austin jest jak nowy Brooklyn – wydaje się, że gwałtownego wzrostu liczby wznoszonych budynków i gęstniejących zatorów na wąskich ulicach nie sposób już opanować.

Czy Lamara Wallera zasmuciłaby własna krótkowzroczność? Z pewnością byłby przerażony tym, co się wydarzyło tu, gdzie teraz stoję, nad brzegiem rzeki noszącej jego imię. W 2016 roku zamordowano w tym miejscu dziewczynę, która lubiła odrywać się od ziemi i wirować w powietrzu.

Carl nie maczał w tym palców. Miała na imię Haruka, a chłopaka podejrzanego o odebranie jej życia ujęto niemal natychmiast. Trafiła na moją listę pamięci tak jak wszystkie kobiety, od kiedy zaczęłam liczyć. Pochodziła z Oregonu i była studentką tańca, pierwszy rok na uczelni. Pewnego wieczoru zadzwoniła do swojej współlokatorki, żeby powiedzieć, że właśnie wyszła z zajęć w budynku teatru i idzie do akademika. Nie dotarła tam.

Kilka minut po telefonie została napadnięta nad rzeką i zabita przez nastoletniego bezdomnego. W tej przypadkowej, okrutnej chwili starły się nadzieja i rozpacz.

Podejrzany okazał się Meechaiel, siedemnastoletni uciekinier z rodziny zastępczej. Niesamowicie, że miał kiedyś matkę, która wpadła na to, by nadać mu takie imię – a potem go opuściła. Pobliska kamera monitoringu uchwyciła jego niewyraźną postać, pokazała, jak prowadzi rower i wyjmuje jakiś przedmiot z kieszeni.

Podczas milczącej manifestacji po śmierci Haruki jej rodzice wypuścili w niebo papierowe lampiony w kształcie ptaków. Zapamiętałam ich piękne oświadczenie, złożone tuż po tym, jak aresztowano przebywającego w schronisku dla bezdomnych młodego sprawcę.

„Pozostajemy niezachwiani w naszym pragnieniu uczczenia pamięci Haruki dobrocią i miłością, nie poprzez przemoc. Prosimy, aby policjanci, studenci Uniwersytetu Teksaskiego, a także wszyscy, których dotknęła ta tragedia, po prostu przytulili swoje dzieci albo

rodziców DWA RAZY: raz od siebie i raz od nas”.

Chcę być taka jak oni. Każdy powinien taki być. Ale nie jest. Nie jesteśmy.

Być może odnajdę Carla, jeśli pójdę tropem jego stukniętej listy warunków.

Oto, do jakiego wniosku dochodzę, dostając słodkiego kopa od pączka Słona Kulka – karmel, nadzienie z kremowego serka, posypka z orzeszków ziemnych – którego zjadam pod czerwonym parasolem dekadentkiej furgonetki Gourddough's.

Jest południe, większość studenckich par zajmujących stoliki na dworze właśnie kończy noc, leczy kaca albo zaczyna snuć refleksje o niedokończonych pracach. Ja zaś myślę o tym, że ulica Guadalupe okazała się dla mnie ślepym zaułkiem, i o tych miejscach na ciele, w których wciąż czuję dotyk Andy'ego, i o przeklętych lokalizatorach.

To nie Carl je podrzucił. Na żadnym etapie naszej wspólnej podróży nie straciłam go z oczu na dość długo, by zdążyć kupić tego rodzaju urządzenie. Dopóki się nie ulotnił, nie miał nawet na tyle dużo pieniędzy, by zapłacić za kosztujący ponad sto dolarów aparacik. A co dopiero za trzy.

Z kolei Andy nie posłużyłby się tak pospolitym modelem jak ten, który znalazłam w pikapie; sięgnąłby po coś z wyższej półki. Widziałam przeróżne wyrafinowane urządzenia beztriosko poupychane w szufladach w jego mieszkaniu. Zatem jeśli nie Andy, to kto?

Niedojezony pączek, którego nadzienie wypływa na tani giętki papierowy talerzyk, wygląda, jakbym go zwymiotowała. Włączam telefon.

Tym razem jest wiadomość. Ucisk w gardle. Poznaje numer: Daisy. Niecierpliwie przebieram palcami, żeby jak najszybciej odsłuchać nagranie. Mam pięćdziesiąt procent szansy, że usłyszę głos Daisy. Spodziewam się, że odezwie się Carl. Powie, że zabiera Daisy do Whataburgera. Powie, że już ją pochował.

Sądzę, że stawiałyby opór.

Kiedy Daisy rozpoczyna swoją radosną paplaninę, tak bardzo zaczyna mi dudnić w uszach, że muszę ponownie odtworzyć wiadomość. Jest w Disney Worldzie. Spotkanie rodzinne. Przeprasza, że dopiero teraz oddzwania. Ma nadzieję, że pan Smith szybko się odnajdzie. Jak się czuje Ćma Barowa?

Ulga, choć tylko przelotna. Bo zaraz wyobrażam sobie inne, bezimienne dziewczyny, które Carl mógł spotkać na swojej drodze. Czerwone kółka, które wprowadziłam do gry w chwili, gdy przekroczyłam próg domu pani T i skłamałam.

Niepokojące fizyczne objawy jak zawsze pojawiają się nagle. Strach gromadzi się w piersi jak gang harleyowców pod barem. Wysoki, potężny przyływ. Pulsowanie w prawej skroni. Od kiedy skończyłam czternaście lat, taki stan zdarza mi się co najmniej trzy razy w roku.

Przy sąsiednich stolikach siedzi mnóstwo ludzi. Nikt na mnie nie patrzy. Nikogo nie obchodzę. Jedynie Ćma się orientuje. Skomle cicho z głową przy moim kolanie.

– Wszystko dobrze – uspokajam go szeptem.

Psycholog szkolna z liceum, głupia terapeutka, matka, trener, Andy, wszystkowiedząca wyszukiwarka – wszyscy oni podsuwają pocieszające, racjonalne wytłumaczenie.

Ale ja wiem, jestem pewna, że przez kilka minut, najwyżej cztery, żyję strachem Rachel.

Razem oddychamy, drżymy, pocimy się. Kiedy to mija, niemal pragnę, aby się nie kończyło.

Interludium z siostrą trwało dokładnie trzy minuty i pięć sekund.

Ruszamy z Ćmą w drogę powrotną na boczną uliczkę, przy której musiałam zostawić samochód. Kiedy od auta dzieli nas jakieś trzydzieści metrów, dostrzegam zatknięte za wycieraczkę i łopoczące na wietrze kartki.

Moje serce zrywa się do idiotycznego tańca. Myślę o Andym: że jednak postanowił zostawić mi pożegnalny list, i o Carlu: że podsunął dokładniejsze wskazówki, uznawszy mnie za mniej lotnego przeciwnika w tej naszej grze, niż się spodziewał. A może to żaden z nich?

Lekko ściągam smycz Ćmy i rozglądam się. Po obu stronach ulicy znajdują się stare pochyłe ogrodzenia, na tyle szczerbate, że można się precyzyjnie między luźnymi deskami, ukryć za płotem i obserwować przez dziurę po sęku. Wzdłuż krawężnika stoją zaparkowane zderzak w zderzak rzęchy. Odruchowo sięgam po broń, ale przypominam sobie, że zostawiłam ją w schowku.

Jedynym poruszającym się obiektem na ulicy jest oddalająca się ode mnie biegiem gibka postać w ciemnopomarańczowej koszulce Uniwersytetu Teksaskiego. Samotna w biały dzień, tak jak Rachel tamtego ranka, kiedy zniknęła. Zagląający we wszystkie zakamarki blask słońca nigdy nie poprawiał mi samopoczucia.

– Zostań – mówię do Ćmy.

Muszę stanąć na stopniu, żeby dosięgnąć pierwszej karteczki. Dowiaduję się z niej, że dziś wieczorem w barze przy Szóstej Ulicy zadebiutuje miejscowa kapela. Wyciągam rękę po następną – to ulotka z prośbą o przygarnięcie grubego czarnego kota o trzech łapach i imieniu Brednia, który „trafia do kuwety, jest odpazurzony i szuka nowego domu”.

Zwyczajne papierowe śmieci, jakie wtyka się za wycieraczki zaparkowanych aut. Trąci ironią w mieście, które zakazało używania plastikowych torebek na zakupy i karze grzywną każdego, kto nie kompostuje odpadków.

Nie wiem, czy czuję się bardziej uspokojona, czy rozczarowana. Wpuszczam Ćmę na kanapę z tyłu i siadam za kierownicą. Jest południe, w kabinie można się ugotować. Rozkręcam klimatyzację na ful.

Lepki pot, jak sok jabłkowy, skleja mi skórę pod kolanami i plami koszulkę na plecach. Rachel zawsze zostawia mnie zlaną potem i z lekkim bólem głowy.

Carl trzymał swoją listę na wyciągnięcie ręki – w schowku po stronie pasażera. Wyjmuję ją. Żółta, złożona na pół kartka, wielokrotnie zginana. Podczas podróży Carl robił z niej samolocik, piłkę albo czapkę marynarza, w której raz przeleżał dwie godziny, bo zasnął.

Martwi mnie, że nie zabrał ze sobą czegoś tak, wydawałoby się,

ważnego. Zakładam, że umysł Carla nie wymazał z pamięci zawartości listy. Zdążyłam się już zorientować, że myślenie o rzeczach, na których mu zależy, ma zapętlone. W rozmowie nieustannie, co najmniej dziesięć razy dziennie, wracał do tematu warunków, zarówno nowych, jak i starych.

Czarna skórzana tapicerka jest tak rozgrzana od nieustępliwego słońca, że musiałam się trochę zsunąć, żeby moje gołe uda znalazły się poza krawędzią fotela, bo mnie parzył.

„Po jakim czasie temperatura w aucie osiąga siedemdziesiąt stopni Celsjusza, jeśli na zewnątrz są trzydzieści dwa stopnie? A) Po dwóch godzinach. B) Po czterdziestu minutach. C) Po mniej niż dziesięciu minutach”.

C. Po mniej niż dziesięciu minutach. Pisemny egzamin na koniec nauki u trenera zdałam śpiewająco.

Cyfrowy termometr na desce rozdzielczej pokazuje prawie trzydzieści siedem stopni. Sprawdzam, co u psa. Wygląda na zadowolonego. Siedzi z nosem w nawiewie, latają mu uszy.

Mechanicznie rozprostowuję i wygładzam pomietaną kartkę na kierownicy. Wpatruję się w słowa, cyfry i litery – płody umysłu Carla – i zastanawiam się, jak najlepiej do tego podejść.

Tłumaczę sobie, że u każdego z nas taki spis wyglądałby zagadkowo. Wszyscy stosujemy własne skróty. Lektura listy zakupów mojej matki okazywała się niemożliwa, jeśli nie wiedziało się, że „pt” oznacza papier toaletowy, „dz” – duże ziemniaki, a „ok” – ogórki konserwowe. Niektóre spośród wykazów, które zostawiłam skrzętnie poukładane w boksie magazynowym, są absolutnie nie do rozszyfrowania.

Ołówkiem wykreślam spełnione warunki: aparat fotograficzny, mrożona słodka herbata, Dairy Queen, Whataburger, nowe łąki, poduszka z pierza, poledwica wołowa po wiejsku (jadł dwa razy).

Skreślam też Biblię, bo Carl przywłaszczył sobie egzemplarz z szuflady w jednym z moteli.

„New York Times”. Praktycznie nie do dostania na stacji benzynowej w Teksasie.

Zaznaczam niemal wszystko, co da się zjeść albo wypić. Zatrzymuję

się przy 1015.

1015 to wbrew pozorom nie PIN do karty, ale popularna w Teksasie wyjątkowo słodka cebula, nazwana tak ze względu na dzień, w którym powinno się ją sadzić: piętnastego października. Większość Teksaszczyków o tym nie wie, ale Carl, syn farmera, zapewne był wtajemniczony. A Ruby Red to nie imię striptizerki, lecz odmiana grejfruta.

Trzy książki: *Dallas '63*, *Na południe od Brazos* i *Ulisses*, umieścił na liście jedna po drugiej. Wydaje się, że nic ich nie łączy i miały służyć chyba wyłącznie zabijaniu czasu.

Zostało dziesięć pozycji. Eliminuję dalej, stawiam ołówkowe ptaszki przy pospolitych przedmiotach, których obecność na liście sporządzonej przez seryjnego mordercę może budzić pewien niepokój. Dlatego ich nie kupiłam.

Buty turystyczne, lina, łopata, zegarek wodoszczelny (do 300 metrów), latarka, WD-40.

Mocna folia spożywcza.

Widzę, jak zasłania nią nos i usta.

Ostatnie trzy punkty:

Baby Head

Muleshoe

Światła z Marfy

Cele podróży. Carl postawił trzy krzyżyki, jednym zaznaczył Austin. Rozkładałam mapę na kolanach.

Baby Head to cmentarz leżący sześć godzin jazdy na południowy wschód od Muleshoe – ot, kilkadziesiąt zapomnianych grobów jak niewyraźna plama za oknem. Podobno w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku Indianie porwali tam młodą białą dziewczynę i zatknęli jej głowę na pice białej u podnóża góry, aby odstraszyć osadników.

Wiem o istnieniu Baby Head, ponieważ Carl zrobił zdjęcie upamiętniającej to miejsce tabliczce, na której wisiały plastikowe główki lalek jak puszki ciągnące się za samochodem nowożeńców. Okazało się, że to nie on je tam umieścił, a jedynie udokumentował miejscową tradycję.

Przy Baby Head brakuje „X”.

Krzyżyki występują za to przy pozostałych dwóch miejscach.

Muleshoe to miasto w zachodnim Teksasie, niedaleko farmy, którą prowadził dziadek Carla.

Natomiast Marfa to miejscowość leżąca w najbliższym sąsiedztwie pustynnego fenomenu natury zwanego Tajemniczymi Światłami.

Carl fotografował tamtejsze osobliwe rozbłyski na niebie. Otwierają one jego *Podróż w czasie*.

W walizce miał zdjęcie dziewczyny na spękanej pustyni. Nosi na szyi jej wisiołek z kluczykiem. Zatem: dziewczyna na pustyni jest dla niego ważna.

Ruszam w drogę. Kieruję się do Świąteł z Marfy. Spędzę noc w miasteczku. Jeśli Carla tam nie będzie, pojedę na farmę jego dziadka.

Carl nie wie, jak daleko jestem skłonna się posunąć. Nikt tego nie wie – poza mną.

*

TYTUŁ: *TAJEMNICZE ŚWIATŁA*

Podróż w czasie. Fotografie Carla Louisa Feldmana

Marfa, przy autostradzie stanowej 90, 2000 rok

Hasselblad 50 mm, statyw

Komentarz autora: „Zawsze byłem sceptycznie nastawiony do zjawisk w rodzaju świetlnych duchów, Tajemniczych Świąteł, Świąteł Chinati, Świąteł z Marfy czy jakkolwiek nazywali je tubylcy. Podczas moich wypadów do zachodniego Teksasu czasem dostrzegałem je na niebie, widziałem, jak świecą niczym spodki kosmitów, kiedy spoglądałem przez równinę Mitchella ku górcom Chinati. Przez długi czas zadanie ich dokumentowania pozostawiałem turystom, którzy po zmierzchu ściągają w te okolice. Naukowcy odzierają światła z tajemniczości, twierdząc, że są to po prostu cząsteczki o wysokiej energii, zawirowania pola elektromagnetycznego, a nawet zwyczajne odbicia

reflektorów. Zwolennicy mistycznego charakteru światła odpowiadają, że Indianie wspominali o tych «duchach» na długo przed pojawieniem się samochodów. Tamtej nocy, kiedy postanowiłem skierować obiektyw aparatu w niebo, ukazało się i uniosło w prostej linii nad równiną sześć kul. Złączyły się w jasny balon, który zaczął pędzić w moją stronę. Uciekłem. Udało mi się zrobić zdjęcie tylko dlatego, że ustawiłem samowyzwalacz”.

Godzinę od Austin po mojej głowie znów zaczynają krążyć myśli o Carlu.

Gdyby siedział tu obok mnie, wychylałby się za okno i pstrykał prawdziwe albo wymaginowane zdjęcia puszystym obłokom jak z *Toy Story*, błagałby, żebym się zatrzymywała przy straganach z brzoskwiniami albo przy rozjechanych zwierzętach, upierałby się, że koniecznie musi wypłukiwać złoto pod każdym mostem nad wijącą się Pedernales.

Uśmiechnąłby się szyderczo na widok miasteczka o nazwie Hye i wytwórni win Fat Ass⁹.

Nie tęsknię za nim. Ale przydałby się, żebym nie zasnęła.

Przede mną siedem godzin nieprzerwanej jazdy do Tajemniczych Świateł. Do pierwszego przystanku. „Oficjalny” punkt obserwacyjny był dawniej zwyczajnym wyjeżdżonym fragmentem drogi przez pustynię, dopóki bogata rodzina teksaskich ranczerów nie pomogła usankcjonować zjawiska, budując tam niewielki parking i stawiając toaletę.

Ograniczam się do trzech postojów na sikanie, napojenie Ćmy i napełnienie baku, zgodnie z moją zasadą, że wskaźnik poziomu paliwa nie powinien spadać poniżej połowy. Spośród aut, które mijam na autostradzie, osiemdziesiąt procent to pikapy, z tego co najmniej połowa biała. Staram się wypatrywać Carla, ale nie jestem jedyną osobą ukrywającą się za przyciemnianymi szybami i okularami przeciwsłonecznymi.

Kiedy czasza teksaskiego nieba rozdyma się, a ja się kurczę, zaczynam się czuć bezbronna i nieistotna. Ktoś, kto nazwał tę krainę Wielką Pustką, trafił w punkt.

W ciągu raptem półgodziny falujący zielony region Hill Country przeszedł radykalną przemianę w brązowe pustkowie porośnięte krzakami i kaktusami o sztywnych ramionach.

Źródłem mojej irytacji – która wymusza czujność i odsuwa senność – jest w tej chwili stary niebieski garbus prowadzony przez kobietę o wystających spod czerwonej bejsbolówki blond strąkach. Jedzie z opuszczonymi szybami, co w Teksasie w lipcu oznacza, że jest biedna jak pył, który wpada przez okna.

Na kolanach trzyma jakieś zwierzę albo puszysty koc. Wlecze się i co rusz wyjeżdża poza swój pas. Wyprzedza mnie. Ja wyprzedzam ją. Taki taniec. Po czwartej figurze dochodzę do wniosku, że już wystarczy. Mijam coraz mniej stacji benzynowych. Zmniejsza się też liczba ciężarówek na trasie.

Niebieski volkswagen wyprzedza mnie po raz kolejny, kiedy zjeżdżam na stację, którą zdobi maszt z flagą Teksasu tak wielką, że dałoby się nią owinąć cały ten przybytek. Na tabliczce wbitej w suchą bladą ziemię przed budynkiem widnieją słowa: „Nie umieraj jako dziewczica, bo po drugiej stronie czekają na ciebie terroryści”.

Żadnych innych aut. Pręty w oknach.

Uznaję, że zimny napój jest wart ryzyka. Kiedy wchodzę do środka, atakuje mnie chłodny powiew klimatyzacji pomieszany z zapachem tamales i brzęczeniem jakiegoś kawałka w stylu Tejano.

Na hasło „dr pepper” stojący za ladą nastolatek w czapeczce Houston Astros wskazuje lodówkę z piwem. Wygląda na zbyt młodego, by wolno mu było sprzedawać alkohol, ale domyślam się, że kupującym to nie przeszkadza. Butelki dr. peppera tkwią głęboko w lodzie w towarzystwie piwa Corona i wody Ozarka.

Sklep oferuje tylko trzy napoje, bo właściciel zna swoich klientów. Wybieram dwie butelki cenionej przez Carla odmiany dr. peppera z południowej granicy, tej z zabójczą ilością cukru, do tego kilka pasków suszonej wołowiny oraz ostatnie pięć tamponów z otwartego opakowania, sprzedawanych na sztuki po dwa dolary. Widać, że właściciel orientuje się również w bardziej rozpaczliwych potrzebach swojej klienteli.

Kiedy płacę chłopakowi za zakupy i drogą benzynę, którą za chwilę wleję do baku, widzę przez brudną szybę w drzwiach, że na stację zajeżdża niebieski garbus. Kasjer wydaje mi resztę, nawet na mnie nie patrząc. To dobrze, bo się dzisiaj nie przebrałam ani nie umalowałam.

Wychodzę na zewnątrz, rozglądam się za volkswagenem, ale ten gdzieś zniknął. Wypijam dr. peppera i wrzucam butelkę razem z paragonem do starego plastikowego pojemnika z napisem „recycling”. Robi mi się lżej na duszy, że nie muszę uwzględniać tego zakupowego szaleństwa w budżecie. Po ucieczce Carla przestałam liczyć pieniądze i kroki.

Otwieram drzwi samochodu.

Kobieta z garbusa siedzi na miejscu dla pasażera, zwrócona twarzą do przodu, nieruchoma jak manekin z testów wypadkowych, jakby ktoś przystawiał jej pistolet do głowy. Widzę fragment profilu, czapkę i blond włosy w odcieniu karmelowym, sfilcowane i splecione jak u starej lalki Barbie.

Kobieta odwraca się, jednocześnie zdejmując czapkę razem z włosami.

To Carl.

– Zabawne, co nie? – Szczerzy zęby. – Taki zestawik. Kupiłem go w Goodwill przy Lamar. Stara pamiątka po parku rozrywki Six Flags Over Texas.

– Gdzie się podziewałeś? – pytam wściekłym tonem, w którym jednak pobrzmiwa ulga.

– Zabrałem się z dwiema dziewczynami, które jechały do Austin.

– A potem?

– Nie wiem. Mam dziurę. – Puka się w czoło. – Później skombinowałem wóz. Znalazłem się na Guadalupe. Myślałem, że mnie widziałaś. Poszedłem za tobą do tej pączkarni. Uznałem, że zaczekam, aż trochę ci przejdzie złość.

Rozglądam się po stacji. Nie ma śladu po niebieskim volkswagenie.

– Ukradłeś samochód? Gdzie on jest?

– Zaparkowałem za budynkiem. Zostawiłem kluczyki w środku.

– Uciekłeś mi. Mieliśmy umowę. Warunki.

– Bo to były fajne dziewczyny. Lekko upalone. – Rzuca czapkę na tylne siedzenie. – No śmiało. Pytaj. Przecież widzę, że chcesz.

– Czy... skrzywdziłeś je?

– Z całą pewnością nie – odpowiada stanowczo. Dobrze się bawi.

Bardzo bym chciała mu wierzyć.

Tankuję za pięćdziesiąt dolarów i wracam za kierownicę. Carl wgryza się w suszoną wołowinę, którą wyjął z torby z zakupami. Wypił połowę drugiej butelki dr. pepper.

Sięgam za tylne siedzenie po plecak. Nie chcę, żeby zobaczył walające się luzem tampony. Moja dłoń ociera się o coś miękkiego.

Znam dotyk koca Ćmy i wiem, że to nie to. Obracam się na fotelu i zaglądam na tył. Psiak leży niewzruszony na kanapie – i ma towarzystwo.

– Tu jest kot – stwierdzam.

– Brednia. Nie sądziłem, że tak dobrze będzie sobie radził na trzech łapach.

Brednia. Kot z ulotki, którą znalazłam za wycieraczką. Ten niepełnosprawny, który „trafia do kuwety”.

– Nie mamy kuwety – bąkam.

– Co?

– Carl, nie możemy zatrzymać tego kota.

– Powtarzasz się. – Wypija resztkę dr. pepper. – Za którą martwą dziewczyną się teraz uganiaasz?

Carl nie chce zdradzić, dlatego postawił drugi krzyżyk na pustyni niedaleko Tajemniczych Świąteł. Unika jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, dlaczego to ważne, abyśmy tam pojechali. Rozkładałam mapę w kabinie, żeby mu pokazać.

– Kto ją tak porysował? – dziwi się. – Pogubić się można. A tak w ogóle, to Walt się obraził, bo się z nim nie przywitałaś.

Tłumię w sobie frustrację i powtarzam w myślach, że podejmujemy wyprawę niekoniecznie do grobu, tylko raczej do miejsca w głowie Carla, w którym ten skrywa swoje tajemnice. Choć bardzo bym chciała, to jednak niewykluczone, że nasza podróż wcale nie prowadzi do fizycznego celu.

W dodatku nie chodzi w niej wyłącznie o moją siostrę, lecz o wszystkie dziewczyny. Nie tylko Vickie, Violet, Nicole, dwie małe Mary, kobietę w deszczu, dziewczynę na pustyni, ale też wszystkie pozostałe zamordowane albo zaginione, których imiona kiedykolwiek wciągnęłam na listę.

Wiem, że stoję nad przepaścią, że czubki moich butów wystają poza krawędź tego samego pięknego urwiska, nad którym znalazła się dziewczyna na pustyni ze zdjęcia, i że jeśli prędko się nie cofnę, polecę na spotkanie z dnem kanionu.

Ale znam też prawdę. I wiem, że nikt poza mną nie posunie się tak daleko.

Jack Kevorkian był szaleńcem, który na pace swojej furgonetki pomagał ludziom popełniać samobójstwo, zanim komukolwiek przyszło do głowy nazywać to humanitaryzmem. Jednym z najważniejszych twórców pierwszego *Oxford English Dictionary* był pacjent zakładu dla niepczytalnych przestępców, do którego trafił po tym, jak zabił ojca sześciorga dzieci. Matematyczny geniusz Pitagoras miał awersję do fasoli, ponieważ uważał, że z każdym pierdnięciem uchodzi z człowieka część duszy.

Wariat potrafi!

Musi istnieć jakiś powód, dla którego Carl zachował fotografię dziewczyny na pustyni z kluczykiem na szyi. Zapewne nadal ma ją w walizce. A kluczyk wciąż dynda na jego szyi ukryty pod koszulą. Odbijało się od niego słońce, kiedy Carl paradował po plaży z obnażoną piersią.

– Pierwszy przystanek – mówię stanowczo. – Marfa.

Wzrusza ramionami.

– Ty tu rządzisz.

Przesypia większość drogi. Słońce zachodzi, pierś Carla unosi się i opada w stałym rytmie, a ja wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym zatrzymała auto, wyjęła pistolet ze schowka i wpakowała mojemu towarzyszowi podróży kulkę w głowę w samym środku pustyni Chihuahua. Patrzyłabym, jak jego krew kapie na ciemną tapicerkę niczym czarne krople deszczu. To by była najprzyjemniejsza chwila mojego życia – choć ceną za nią byłyby wszystkie następne.

Kiedy docieramy na miejsce, łagodnie budzę go ze snu. Stoimy na ciemnym poboczu i czekamy, aż kosmici, duchy, gaz znad moczarów, czy cokolwiek to jest, poruszy sumienie Carla. Wpatrujemy się w rozsypane w pustkowiu nocy lśniąca drobinki cukru. Nigdy w życiu nie widziałam tylu gwiazd. Pustynia i jej cienie rozciągają się aż po naprężone mięśnie gór Chinati.

Trochę się spóźniliśmy na godziny największej oglądalności. Dziś nie ma darmowego pokazu, nie ma kalejdoskopu tańczących światła. Nikt nie potrafi zagwarantować, że światła będą się pojawiały codziennie. Myślę jednak, że bez nich wrażenie jest jeszcze bardziej przejmujące. Atmosfera wyczekiwania. Głębokie duchowe poruszenie, które czuję w swoim wnętrzu, nawet pomimo bliskości Carla – albo może właśnie z jej powodu.

Trzymam przeszłość za rękę – umarłe przed świetlnymi laty gwiazdy nad moją głową, dinozaury i Indian zamienionych w pajęczyny w piasku, zabite przez Carla dziewczęta.

Dolatuje do mnie cichy śmiech pary opierającej się o maskę zaparkowanego za nami samochodu i popijającej wino.

– Widziałam zdjęcie dziewczyny, które nosisz w walizce –

odzywam się do Carla. – Zrobiłeś je w tym miejscu? Jest piękne. Dlaczego nie umieściłeś go w albumie?

– Ty szpiclu. Są tysiące zdjęć, które nie trafiły do albumu. Dziesiątki dziewczyn.

– Ale ta musi być dla ciebie wyjątkowa.

– Po co to owijanie w bawełnę? Po prostu zapytaj, czy ją też zabiłem.

– Zaznaczyłeś to miejsce krzyżykiem.

– Zaznaczyłem je, bo jest jednym z moich ulubionych. Chcę, żeby mnie tu pochowali. – Po czym dodaje pod nosem: – Jesteśmy tylko zmienną materią.

Powiedz mi coś. Cokolwiek. Proszę! Nigdy wcześniej o nic go nie błagałam, nawet w myślach.

– Dziś już się nie pojawią – rzuca. – Czuję to.

Wraca do auta. Znów się niczego nie dowiedziałam. Ociągam się z odejściem, czekam, zastanawiam się, czy gdzieś tam, w ciemności, odnalazłabym Rachel.

Koło wpół do dziesiątej wieczorem wjeżdżamy do wyludnionej Marfy, populacja dwa tysiące i spada. Żadnych przechodniów. Żadnych samochodów. Migające latarnie.

Miasto jest tak beznadziejnie smutne, zakurzone i odrealnione, że mam wrażenie, jakbyśmy cofnęli się w czasie i trafili na pusty plan zdjęciowy jakiegoś zombie westernu. Jakbyśmy byli ostatnimi żywymi stworzeniami na planecie: morderca, kot, kobieta, pies stłoczeni w kabinie pikapa.

Carl papla, nie wiedzieć czemu, o Dostojewskim. Czuję, że jeśli się nie zamknie, pęknie mi mózg.

W mojej głowie też nieustający jazgot: Gdzie, do diabła, jest ten stary hotel z hiszpańską sztukaterią, o którym Carl głądzi od trzydziestu kilometrów? Ile butelek wody zostało w lodówce? Jak się pozbyć kota? Czy najlepszym sposobem na zabicie kowboja zombie jest kulka w łeb z bliskiej odległości?

– W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Marfa była węzłem kolejowym. Do dziś nie rozstrzygnięto, czy jej nazwa

pochodzi od postaci z *Braci Karamazow* czy z *Michała Strogowa* Verne'a – mówi Carl. – Słuchasz mnie?

– Tak – odpowiadam pomimo dudnienia w głowie. – Mów dalej. – Bylebyś był spokojny.

– Żona kierownika kolei, który osiadł w miasteczku, wybrała nazwę z książki. Nie ma jednak pewności co do tego, które dzieło akurat czytała.

Takie rzeczy to Carl pamięta.

– Skręć tu w prawo – instruuje niecierpliwie.

Od kiedy ruszyliśmy spod odległych o trzynaście kilometrów Tajemniczych Świąteł, Carl podsuwa mi chaotyczne wskazówki dojazdu do Paisano, zabytkowego hotelu nieopodal budynku sądu i hrabstwa. Uparł się, że dziś tam przenocujemy, w jednym w jego ulubionych miejsc podczas pielgrzymek fotograficznych.

Pokazuje palcem. Rzeczywiście – z ciemności wyłania się oaza białych świateł.

– Hotel Paisano... Ja stawiam nocleg – oznajmia Carl z kamienną twarzą. – Pozwolisz, że załatwię też sprawę Ćmy. Zobaczysz, że dobrze się wyśpisz i rano będziesz zachwycona Marfą.

Nie zdradzam Carlowi, że już tu byłam, w tym surrealistycznym pustynnym miasteczku. Czytałam o jego artystowskim, hipsterskim charakterze w „Texas Monthly” i „New York Timesie”, którą to gazetę wreszcie będę mogła kupić Carlowi w jakimś sklepiku, gdzie dostanę również kawę Viva la Feminista.

Wiem wszystko o minimalistycznym ruchu artystycznym Donalda Judda, stworzonym przezeń w latach siedemdziesiątych po tym, jak Judd porzucił Nowy Jork i zaczął ustawiać swoje wielkoformatowe instalacje na pustyni w Teksasie. Rzędy jego aluminiowych skrzyń mienią się abstrakcyjnym pięknem o różnym odcieniu w zależności od tego, pod jakim kątem oświetla je bezlitosne teksaskie słońce, którego promienie wpadają przez okna dawnego składu broni. Od niemal pół wieku igrają z oślepiającym światłem.

Wiem wszystko o postawionym pośrodku niczego sklepie Prady, w którego witrynie widać torebki i ekspozycję prawych butów, a który wcale nie jest prawdziwym sklepem, lecz instalacją

artystyczną mającą z czasem ulec degradacji i stopić się ze środowiskiem.

Naprawdę można dostać gęziej skórki.

Tak jak od patrzenia na minę, którą teraz ma Carl. Majstruje przy swoim nikonie, mimo że w kabinie jest całkiem ciemno, jeśli nie liczyć niebieskiej poświaty z deski rozdzielczej.

– Proszę, nie celuj we mnie – mówię.

Chłopak, który powiedział, że mam skłonności samobójcze, zabrał mnie kiedyś do Marfy po drodze do Parku Narodowego Big Bend. Bardzo go interesowały ogromne rzeźby Donalda Judda i piesze wycieczki, za to ani trochę, jak to ujął – „pogańskie światełka” i „pretensjonalne kawusie”.

Zatrzymaliśmy się na kolorowym staroświeckim kempingu, na którym wynajęte kampery rozsiadły się jak śliczne pastelowe klocki na zakurzonej podłodze. Miałam już za sobą kilka potajemnych lekcji z trenerem i chłopak zauważył siniaki.

Był o krok od zerwania ze mną, bo nie chciałam wytłumaczyć, skąd się wzięły. W połowie drogi na jedną z gór w Big Bend wyznałam mu część prawdy, a on nawrzeszczał na mnie, że chyba mi życie niemiłe. Jego słowa rozbrzmiały echem. Nadal rozbrzmiewają.

Trener, rzecz jasna, przyklasnął pomysłowi tygodniowej wyprawy po rozpalonym piachu i zdradliwych kanionach. Powiedział, że jeśli chcę tam przeżyć, muszę wypijać cztery litry wody dziennie.

Mam wrażenie, że to było wieki temu.

Zaparkowawszy przy ulicy naprzeciwko rozświetlonego wejścia do Paisano, z niewiadomych powodów przyjmuję bierną postawę. Carl przemyca Ćmę do hotelu bez najmniejszego problemu – po prostu kładzie trzy banknoty studolarowe przed zastępcą dyrektora i dodaje, że „biedny psiak córki dostał postrzał w dupę”.

Jest tylko jeden wolny pokój: apartament Rocka Hudsona. Zostajemy zdawkowo poinformowani, że słynny aktor spędzał czas w hotelu w trakcie zdjęć do *Olbrzyma* w 1956 roku. Ćma i kot będą mogli przenocować na tarasie na pierwszym piętrze, na który można wyjść bezpośrednio z pokoju.

Dyrektorowi jest wszystko jedno. I tak niewiele się dzieje. W takich miejscach nasza menażeria zapewne nie budzi większego zdziwienia.

Apartament trąci myszką, ale jego staroświeckość jest nawet urocza. Na jednej ze ścian dominuje ogromny stary kominek z białej cegły. W powietrzu unoszą się maleńkie drobiny popiołu. Jest niewielka kuchnia, z której nie będziemy korzystali, dwie łazienki i jedna sypialnia bez zamka w drzwiach.

Zanim poruszam temat, Carl oznajmia, że prześpi się razem z Waltem i zwierzętami na tarasie, w śpiworze.

– Możesz zablokować drzwi, jeśli chcesz – mówi. – Na pewno to zrobisz.

Jak tylko znika na tarasie, ogarnia mnie rozpaczliwa samotność. Pustynia Chihuahua ma ponad pięćset tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni, z czego większość leży za południową granicą Stanów. Na wiele mogę przystać, naprawdę. Ale nie na absurdalną podróż po pustyni z dwoma niepełnosprawnymi zwierzętami, w którą chce mnie zabrać pamięć Carla.

Widzę przez szybę, jak Carl kręci się na tarasie. Rozkłada śpiwór. Wreszcie siada na jednym z foteli i nieruchomieje. Pojawia się znajomy maleńki ognik, porusza się w górę i w dół. Nie muszę pytać, skąd Carl wziął zioło. W końcu był w Austin, Zielnym Raju.

Ciekawe, ile moich pieniędzy mu zostało i jak trudno będzie mi je z powrotem wykraść. Miałam dość rozsądku, by skrycie pozbawić go zapasowych kluczyków do auta i schować je w nadkolu.

Biorę głęboki wdech. Sięgam do torby po krakersy z masłem orzechowym i dwa jabłka.

Otwieram drzwi i wychodzę na spowity pogodnymi oparami taras. Rozjaśnia go ciepły blask skierowanych ku górze światła na dziedzińcu. Kot przysiadł na parapecie i wpatruje się w rzeczy, które jedynie koty widzą w ciemności. Ćma ułożył się na śpiworze.

Carl usłyszał skrzypienie gałki, gdy tylko ją obróciłam. Wysunął nogą drugi fotel – dla mnie, żebym usiadła obok niego, co też robię bez słowa. Proponuje mi skręta, a ja jemu – krakersy. Odchylam się i zaciągam.

– Ten szczerp nazywa się Biała Wdowa – mówi. – Piękna pani.

Nie zastanawiam się nad tym, dlaczego nie mogę znieść dotyku skóry Carla, ale bez słowa skargi wkładam do ust jego ślinę, jego mokre DNA. Ani czemu wciąż doglądam go i podlewam jak ładną roślinkę.

Dwa machy i mój umysł wchodzi na nową orbitę.

– „Niekiedy spotykamy ludzi zupełnie nam obcych, którymi zaczynamy się interesować od pierwszego wejrzenia, jakoś raptownie, znieścacka, zanim choć słowem się do nich odezwiemy”¹⁰ – zauważa Carl.

Niech się zamknie.

Opuszczam powieki i odpływam. Widzę go za drzewami, a obok przebiega kobieta w deszczu. Śliczna dziewczyna z pustyni prosi o podwózkę. Dwie małe dziewczynki znikają w lesie. Nicole buja synka siedzącego na huśtawce. Krew Vickie na ścianach opuszczonego wiktoriańskiego domu. Odciski stóp Violet nad oceanem.

Moja siostra na rowerze odwraca się, posyła mi uśmiech. Cynicznie urocza.

Skręt wypada mi z ręki i ląduje na posadzce. Carl schyla się i podnosi go.

– To z Dostojewskiego – mówi. – *Zbrodnia i kara*. Niezły tekst. Właściwie moje motto. Tak wybieram. Tak decyduję, kto jest na tyle wyjątkowy, aby żyć wiecznie. Na papierze, rzecz jasna.

Mój notes przetrwania, 11 lat

Jak zjeść jedną z mamowych papryczek naga jolokia

- 1. Połknąć cztery tabletki Tums.*
- 2. Possać cytrynę.*
- 3. Zatkać nos.*
- 4. Ugryźć.*

Carl jak zawsze się zamyka. Po spaleniu skręta nie robi się otępiały, tylko wygłodniały. Twierdzi, że się nie odezwie, dopóki porządnie nie zje. Krakery i jabłko to za mało. Upiera się, że zna w Marfie, miasteczku żyjącym według własnego rytmu, lokal otwarty po dziesiątej wieczór.

Kiedy lądujemy w Carlowym „lokalu” (zwykły stół piknikowy pod drzewem w ogródku piwnym pod szyldem „Planet Marfa”), po moim haju zostaje już tylko wspomnienie.

Jeśli nie pasuje nam stół piknikowy, możemy usiąść w starym autobusie albo w ziemiance pod osłoną podświetlonego tipi. Zamawiamy talerz serowych nachosów, jalapeños i dwie butelki Coors. Carl stawia.

Dobiera się do nachosów i dopiero po zjedzeniu połowy talerza orientuje się, że położyłam na stole książkę. Jego książkę. Wystają z niej różowe karteczki, którymi przed wyjściem z hotelu oznaczyłam wybrane strony.

Carl przesuwa palcem po taśmie klejącej, dotyka liter w tytule, zatrzymuje się na słowach *Podróż w czasie*.

– Skąd ją masz? – pyta.

– Nieważne. Liczy się to, że kiedy miałam osiem lat, znalazłam jedno z twoich zdjęć ukryte pod schodami w domu, w którym mieszkałam.

Podnosi wzrok, wyostrza spojrzenie.

– No proszę. Czemu wcześniej nie powiedziałaś? Wreszcie coś konkretnego. Może jak trochę się otworzysz, to i ja się otworzę. Nie pomyślałaś o tym? Które zdjęcie? Jaki dom?

– Dojdziemy do tego. Zależy, jak sobie poradzisz. – Podoba mi się, że choć trochę panuję nad sytuacją. Zastanawiam się, czy nie zacząć udawać, że zapraszam też Walta do zabawy, ale rezygnuję, bo zdaje się, że dziś wieczorem nadajemy z Carlem na tych samych falach.

Carl muska palcami taśmę na grzbiecie książki.

– Z chęcią podpiszę ci ten egzemplarz, jeśli obiecasz, że będziesz lepiej o niego dbała.

– Od sześciu lat niemal każdego wieczoru oglądam go, próbując cię rozgryźć.

– Czuję się zaszczycony.

– Pokażę ci kilka zdjęć, a ty powiesz pierwsze słowo, które przychodzi ci do głowy, kiedy na nie patrzysz.

W milczeniu bierze jednego nachosa i układa na nim wieżyczkę z jalapeños.

– Przetwarzaniu wspomnienia sprzyja dawna emocja związana z oglądanym obrazem – deklamuję.

Z początku sądziłam, że kiedy rozłożyłam przed nim prawdziwe fotografie ofiar i ich rodzin, Carl po prostu nie potrafił sobie przypomnieć tych ludzi albo zwyczajnie kłamał. Ale może chodzi o to, że nic nie poczuł. Zachował emocjonalną obojętność. Czy jest coś, co może go poruszyć bardziej niż dzieło własnego życia – obrazy, które ujrzał oczami duszy, zanim nacisnął spust migawki i je utrwalił?

– Tylko jedno słowo? – upewnia się.

Potwierdzam skinieniem głowy.

Otwieram album na zdjęciu samotnego białego krzyża wystającego z zarośli pod mostem przy Siedemnastej Ulicy w Waco, tam, gdzie policja szukała zwłok Nicole Lakinski.

– Pierwsze, co przychodzi ci do głowy, to...

– Ćma Barowa. Mam nadzieję, że nie wlaźł na dach Paisano i nie wyje jak opętany.

– „Ćma Barowa”? To twoja odpowiedź?

– Ano. Tam go znaleźliśmy. Uwielbiam tego psiaka. Mnóstwo emocji. To moja ostateczna odpowiedź.

– Czy zabiłeś Nicole Lakinski?

– Uznano mnie za niewinnego.

Przekładam kilka kartek, otwieram na portrecie rozpadającego się wiktoriańskiego domu w Calvert, tego, w którym morderca zabił Vickie Higgins, a potem zabrał ciało.

– Szkielet – mówi Carl, sięgając po nachosa. – Jak mi idzie?

– Chodzi ci o zwłoki Vickie Higgins?

– Nie.

Kolejna fotografia: feeria świetlnych kul nad pustynią.

Carl się waha.

– Dopiero tam byliśmy – rzucam niecierpliwie. – Pierwsze słowo.

– Szczerze? – Carl przeciąga samogłoski. – Gówno prawda. To się liczy jako jedno czy dwa słowa? – Pokazuje zęby w uśmiechu.

– Czy tam, na pustyni, zakopałeś dziewczyny? Tę, której kluczyk nosisz na szyi?

Tylko ją?

– Nie. Nie miałem pojęcia, że wiesz o kluczyku. Fajna ta zabawa.

Przebieram palcami, przechodzę do następnego zdjęcia. Krzyczące oblicze w wodzie niedaleko Galveston. Sto lat po huraganie, który zniszczył miasto, Violet Santana poszła na imprezę na plaży i nie wróciła.

– Smutek – mówi Carl. – Oto moje słowo. Niewyobrażalny smutek. Powiedz, co najsmutniejszego ci się przytrafiło.

– Czy ta sukienka należała do dziewczyny, która miała na imię Violet? – Nie przestrzegam reguł gry, wiem, ale nie mogę się oprzeć.

– Skąd mam wiedzieć? To znaleziony przedmiot. Całkiem nieźle zarobiłem na tej fotografii. Tak dużo, że czułem się trochę winny. Większość pieniędzy przekazałem Galveston Historical Foundation na przywrócenie wyspie świetności. Teraz to oni dostają tantiemy.

„Winny”. Jest prawie północ. Kartkuję album, żeby dotrzeć do *Kobiety w deszczu*.

– Pierwsza rzecz, która...

– Pierwsza.

– Tak, pierwsza. Pierwsze słowo. Tak jak do tej pory.

– „Pierwsza” to moje słowo. Ona była pierwsza. A przynajmniej pierwsza, na której mi zależało. Pewnie dlatego pojawia się co jakiś czas, żeby mi podkuczać. W tej chwili siedzi na tarasie, rozmawia z Waltem, suszy się. Między innymi dlatego chciałem stamtąd wyjść.

Carl podsuwa mi talerz z nachosami. Zostało pięć. Na każdym usypuje kupkę z ognistej jalapeño.

– Moja kolej – oznajmia. – Nazwę tę grę *Prawda albo nachos*. Nie

chcesz odpowiedzieć – zjadasz nachosa. Możesz użyć tylu słów, ilu chcesz. Gotowa?

– Jeszcze nie skończyłam ze swoją grą...

– Trudno. Dlaczego mówisz wszystkim, że jesteś moją córką?

Wzruszam ramionami.

– To był najlepszy sposób na wyrwanie cię z domu pani T. I dobra przykrywka na drogę.

– Prawda albo nachos. Jak umarła twoja siostra? Została zastrzelona? Zadżgana? Uduszona? Utonęła? – Podkreśla każde słowo.

– Nie odnaleziono ciała – mówię szeptem. Po co w ogóle odpowiadam?

– Cholerna szkoda. – Przesuwa album w moją stronę. – Które zdjęcie znalazłaś w swoim domu?

Oboje powinniśmy się otworzyć. Przekładam kartki, podnoszę książkę i stawiam ją na stole, zdjęciem w stronę Carla.

Milknie na kilka chwil.

– *Dwie Mary* – stwierdza ponuro. – Oczywiście.

– Jak to: oczywiście?

– Kochałaś swoją siostrę? – rzuca. – Prawda albo nachos. Czy czasem doprowadzała cię do wściekłości?

– Przestań.

– Prawda albo nachos. Prawda albo nachos. Czy siostra czasem doprowadzała cię do wściekłości?

– Tak, Carl, *kochałam* ją. Tak, czasem dostawałam przez nią szału.

Rachel lubiła stawać na krawędzi – i doprowadzać do skraju.

– Dlaczego?

– Bo wszyscy myśleli... Bo Rachel była tą odważną.

– Ładne imię: Rachel. Czy dlatego zabrałaś mnie na tę małą eskapadę? Żebyś mogła dowieść swojej wartości przed Rachel?

Piorunuję go wściekłym wzrokiem.

Sięgam po nachosa i pozwalam, by ostrość papryczki wybuchła w moich ustach.

Carl z trzaskiem zamyka album.

Opuściliśmy Planet Marfa za obopólną milczącą zgodą. Jestem w połowie drogi do zaparkowanego po drugiej stronie ulicy auta, jakieś dziesięć kroków przed Carlem, kiedy nagle zza zakrętu wypada samochód z wyłączonymi światłami.

Carl wykrzykuje ostrzeżenie ułamek sekundy przed tym, jak dociera do mnie, co się dzieje. Rzucam się w stronę krawężnika. Pędzący z piskiem opon wóz mija mnie dosłownie o centymetry.

„Nigdy nie upadaj na dominującą rękę”, przemyka mi przez głowę; w następnej chwili uderzam o beton i kość w lewej ręce pęka jak sucha gałązka.

Straszliwy ból. Mam przed oczami bezkształtny czarny cień, znajomy sygnał, że za chwilę zemdleję. Obracam głowę i jak przez mgłę widzę Carla, który z szeroko otwartymi ustami jak szalony macha rękami pośrodku ulicy.

Krzyczy, ile pary w płucach, ale w ogóle go nie słyszę. Zawartość mojej torebki wysypała się na jezdnię. Album, znowu rozerwany na dwie części, leży u moich stóp.

Biały szum jest ogłuszający. Dźwigam się do pozycji siedzącej, opieram o krawężnik na wypadek, gdybym musiała się bronić. Od strony baru biegną dwie kobiety; jedna wybiera numer na telefonie.

Dopadają do mnie, ta bez telefonu klęka, kładzie dłoń na moim ramieniu i coś mówi, wskazując siebie i koleżankę. Kręcę głową. Czy mój mózg wreszcie implodował? Co za porażający hałas.

Wpatruję się w jej usta i widzę, że wciąż układają się w te same kształty. „Pielęgniarki”. Kobiety są pielęgniarkami. Może wstawionymi, uznaję w roztargnieniu, bo czuję od nich tequilę. Obie kładą mnie z powrotem na ziemi, podtrzymują kończyny. Pilnują, żeby moja nienaturalnie zgięta ręka spoczęła na ciele. „Proszę się nie ruszać. Nie ruszać się”.

Do przyjazdu karetki odzyskuję ostrość widzenia i zaczynam nieco

lepiej słyszeć. Czuję, jakby lewą rękę ktoś mi opiekał.

– Nie muszę się kłaść na noszach – mówię cicho i piskliwie, jakbym to nie ja się odzywała, lecz maleńka, maleńka postać u moich stóp. – Jestem cała.

– Miło mi panią poznać, pani Cała. Mam na imię Andrew – odpowiada rezolutnie jeden z sanitariuszy. – Niech się pani rozluźni, a my się zajmiemy resztą. – Układają mnie na noszach, jakbym nic nie ważyła.

Carl pochyla się nade mną i szepcze:

– Kogo, do cholery, tak wnerwiłaś? Tych dwóch w ciebie *celowało*. – Jego oddech tchnie jalapeño.

Przechodzi mnie dreszcz, kiedy jego usta ocierają się o moje ucho. Carl wsuwa mi dłoń pod koszulkę na wysokości pasa, po czym cofa ją i robi krok do tyłu, żeby sanitariusze mogli mnie wnieść do karetki. Zabiorą mnie w jakieś miejsce na pustyni, pojedziemy na sygnale i z migającym kogutem. To przeciwieństwo niewidzialności.

Carl nie wsiada razem ze mną. Nie wiem, czemu pomyślałam, że to zrobi.

Macha do mnie radośnie zza szyby, stoi z moją torebką na ramieniu i obiema częściami książki pod pachą. Jestem niemal pewna, że kiedy pochylił się nade mną i wsunął mi dłoń pod koszulkę, buchnął mi pistolet.

W torebce, którą zresztą na co dzień rzadko noszę, znajdują się kluczyki do pikapa oraz zwitek banknotów, który przełożyłam z walizki. Pozostała część pieniędzy jest schowana w łazience w apartamencie Rocka Hudsona. Ukrywając gotówkę, myślałam o tajemnicach: swoich, Carla – i gwiazdora Hollywood.

– Nic się nie martw! – krzyczy Carl zza zamykających się drzwi karetki.

„Jakieś miejsce na pustyni” okazuje się miastem Alpine, pięćdziesiąt kilometrów autostradą od jego sennej kuzynki Marfy, tam bowiem znajduje się najbliższy oddział ratunkowy. Dobrze, że nie mam udaru. Z włączonego na cały regulator szumiącego radia w kabinie wylewa się potok piosenek country z najlepszymi tekstami, jakie kiedykolwiek

napisano.

„Gdybym spał na forsie, nie wychodzilibyśmy z łóżka”.

Andrew dodał mi czegoś do kroplówki, przez co mam kłopot ze zrozumieniem łamańca: „Jeśli telefon nie dzwoni, to ja”.

Nie potrafię też przyswoić faktu, że dwóch obcych ludzi próbowało mnie zabić. Niewykluczone, że po raz drugi. Czy to wspólnicy Carla? Naprawdę aż tak kiepsko sobie radzę z nierzucaniem się w oczy?

Dwie godziny po „wypadku” młody lekarz pogotowia z niezadowoloną miną ogląda moje prześwietlenie. Doszło do skomplikowanego złamania. Konieczna będzie operacja, ta zaś, podkreśla, wykracza poza jego kompetencje. Dlatego dziś założy tylko szynę. Będę ją nosiła, dopóki nie zejdzie opuchlizna, a wtedy czeka mnie wizyta u ortopedy.

– Góra trzy dni – wyjaśnia. – Proszę tego nie przeciągać.

Kiwam głową, że rozumiem. Podałam mu fałszywe nazwisko. Uśmiechnęłam się, kiedy zauważył, że moja twarz kojarzy mu się z sekretarką z *Mad Menów*, których wreszcie zaczął oglądać na iTunes. Z każdą uciekającą chwilą zastanawiałam się, gdzie, u diabła, podziewa się Carl z pikapem, moją bronią, forszą, materiałami, fałszywymi dokumentami, ubraniami i farbą do włosów, której nakładanie jedną ręką może się okazać mocno kłopotliwe.

– Gotowa? – pyta lekarz. – Założymy szynę. To nie będzie przyjemne.

– Kiedy mnie już strasznie boli... – narzekam, zamiast wyrecytować słowa mojej własnej piosenki country: „Seryjny morderca porwał mi wóz i psiaka. No, mam przerąbane, jedna wielka sraka”.

– Spokojnie. Wypiszę pani receptę na coś przeciwbólowego – obiecuje.

Lekarz delikatnie obwiązuje mi rękę, a ja zaciskam zęby.

– Pani stąd? – Jaki miły człowiek, tak bardzo stara się odwrócić moją uwagę.

– Nie. Przejazdem w drodze do siostry.

Dzień ósmy



Mój notes przetrwania, 11 lat

Jak się nie bać zastrzyków

- 1. Przygotować się psychicznie.*
- 2. Napiąć mięśnie nóg.*
- 3. Wziąć starszą siostrę za rękę.*
- 4. Za żadne skarby nie patrzeć na igłę.*

Wpatruję się w biały gipsowy sufit ozdobiony przez kiepskiego naśladowcę van Gogha. Straciłam czas. Straciłam Carla. Znowu.

Ręka na temblaku spoczywa na brzuchu. Boli. Tak jak plecy od godzin leżenia na kozetce w tym samym gabinecie, w którym mnie opatrzone. Mimo że żaluzje są opuszczone, przez listwy widzę migotanie słońca.

Miła pielęgniarka, która dała mi zastrzyk ze środka uspokajającego, powiedziała, że mogę tu leżeć, dopóki gabinet nie okaże się potrzebny, co najwyraźniej nie nastąpiło.

Próbuję sobie przypomnieć, na czym stoję. Zanim odpłynęłam, wypełniłam całą ryzę dokumentów, nie podając w nich ani słowa prawdy. Zobowiązałam się, że zapłacę później, co pewnie zrobię.

Zsuwam się z kozetki, krzywiąc się z bólu. Uchylam drzwi i zerkam na zegar wiszący na ścianie nad kantorkiem pielęgniarek. Siedemnaście po dziesiątej rano.

Zabieram receptę – jedyną rzecz, która w tej chwili do mnie należy – i opuszczam gabinet. W poczekalni siedzi tylko wielki facet z rękami założonymi na piersi i chrapie. Wychodzę na zewnątrz. Mrużę oczy przed słońcem. Ręka okrutnie boli. Ściskam w dłoni receptę i zastanawiam się, co mogłabym sprzedać z tego, co mam przy sobie, żeby ją zrealizować.

Nagle – klakson. Kojarzy mi się z krótkim, uprzejmym szczeniakiem, które wydaje Ćma, kiedy czegoś chce.

Na drugim końcu parkingu, jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, stoi biały pikap. Miga światłami. Raz, drugi. Ruszam w jego stronę. Auto toczy się w moim kierunku.

– Musieli ci wyhodować nową rękę? – pyta Carl, kiedy otwieram drzwi.

Tak samo pewnie czuła się Patty Hearst, wdzięczna osobie, która

pozbawiła ją wszystkiego. Wgramoliwszy się do kabiny, z zaskoczeniem zauważam, że mój pistolet leży na podłokietniku między fotelami. A torebka na podłodze.

Ćma nie ma gdzie leżeć. Siedzi i beztruosko ziaje. Tył jest zajęty przez nasze bagaże, lodówkę turystyczną, niezwinięte śpiwory, rzucone byle jak brudne ciuchy i otwarte wielkie opakowanie cheetosów, którego nie pamiętam. Brakuje kota.

– Jak długo czekasz? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Nie wracamy do hotelu?

– Żartujesz? Mielibyśmy ryzykować ponowne spotkanie z tymi popaprańcami? Celowali w ciebie. Może ty masz pragnienie śmierci. Ja nie. Pora się zbierać.

– Mogli pojechać za karetką. Możliwe, że nas obserwują.

– Trudno, poradzimy sobie. – Podaje mi jedną z różowych karteczek, którymi zaznaczyłam zdjęcia w albumie.

Wpatruję się w ciąg cyfr i liter nagryzmołonych jego charakterystycznym pismem. Mrugam kilka razy, ale znaki skaczą na karteczce jak pchły.

– Pewnie kręci ci się w głowie – mówi Carl. – To numer rejestracyjny wozu kolesi, którzy chcieli cię przejechać. Nie znasz kogoś, kto mógłby to sprawdzić, żebyśmy wiedzieli, z czym mamy do czynienia?

– Skąd pewność, że to nie był wypadek?

– Bo widziałem, jak na ciebie jechał.

– Nie jestem w stanie myśleć – odpowiadam. – Muszę wykupić leki przeciwbólowe. – Przetrzęsam jedną ręką torebkę i wyjmuję portfel. Wygląda na to, że nic nie zginęło. Przeliczam pieniądze, wykładając je na deskę rozdzielczą. Wybieram dowód pasujący do nazwiska na recepcie. – Idę do apteki w szpitalu. – Macham receptą. – Daj mi dwadzieścia minut.

Stoję już jedną nogą na parkingu, kiedy nagle sobie przypominam.

– Nie znalazłeś przypadkiem pieniędzy ukrytych w łazience w hotelu?

– Te dwa zwitki schowane w dodatkowych rolkach papieru

toaletowego? Przeniosłem je do wewnętrznej kieszeni twojej walizki.
O to chodzi?

– O to. – To ciekawe, co Carl widzi, a czego nie widzi.

Odwracam się jeszcze raz, choć niechętnie. Muszę zapytać.

– Gdzie kot?

– Dałem ślicznej kelnerce z hotelu Paisano sto dolarów, żeby go przechowała przez parę dni. Obiecałem, że kiedy wrócę, dostanie jeszcze trzysta. W przeciwieństwie do Ćmy Brednia nie jest podróżnikiem.

Nie mogę się powstrzymać przed kąśliwym pytaniem:

– Skąd weźmiesz te trzy stówy?

– A jak myślisz?

Nadal trzymam portfel z pieniędzmi. Nie wiem, ile Carl mi zostawił, ale i tak odliczam trzysta.

Wrócił po mnie. Mogę udawać, że wróci również po kota.

– Pozwól, że o coś cię zapytam, zanim to połkniesz – odzywa się ponuro Carl.

– Dobrze. – Rozrywam zębami zszytą zszywkami saszetkę z apteki.
– Masz sześćdziesiąt sekund. Nie wiem, kim byli ci mężczyźni, jeśli o to chodzi.

Siedzimy w aucie z opuszczonymi szybami i wyłączonym silnikiem, nadal na parkingu przed szpitalem.

– Zupełnie jakby cię to nie obchodziło – skarży się.

– Obchodzi. Minęło trzydzieści sekund.

Próbuję jedną ręką otworzyć buteleczkę z zabezpieczeniem przed dziećmi. Nie widzę powodu, dla którego miałabym opowiadać Carlowi o mężczyznach z Black Pony i że skłaniam się ku nieprzyjemnemu wnioskowi, że ci sami dwaj usiłowali mnie przejechać.

– Jeśli chcesz, żebym ci otworzył tę buteleczkę – mówi Carl – musisz się zgodzić na telefon do któregoś z twoich ludzi.

– Jakich ludzi?

– Masz znajomości. Jak inaczej wytłumaczyć to, że tak dużo o mnie wiesz? Cholera, nawet wozisz ze sobą mój stary aparat, o którym wiem na pewno, że trafił do magazynu policyjnego. Zadzwoń, do kogo trzeba, podaj numery, które zapisałem, i poproś, żeby zdobył pożyteczne informacje.

Czyli jednak Carl znalazł George'a, kiedy przetrząsał moje rzeczy na pace. Wyobrażam sobie szczątki hasselblada na ziemi. I naraz żałuję tamtego impulsu. Aparat mógł mi się przydać jako karta przetargowa. Tymczasem jestem coraz bliższa tego, żeby wyjąć pistolet i po prostu przystawić go Carlowi do głowy.

– Wolałabym, żeby... „moi ludzie” nie wiedzieli, gdzie jesteśmy – odpowiadam.

– No to zadzwoń, a potem wyrzuć telefon przez okno. W plecaku

masz jeszcze dwa.

Carl nie marnował czasu. Kiedy leżałam w szpitalu, nie spał i nie liczył swojego złota, tylko myszkował w moich rzeczach.

– Żeby była jasność: nie gramy w jednej drużynie. – Rzucam mu buteleczkę.

– Dzwon! Nie otworzę buteleczki ani nie włączę silnika, dopóki tego nie zrobisz. A sama wiesz, że nie jesteś w stanie prowadzić ze złamanym skrzydełkiem.

Carl sięga do swojej kieszeni i podaje mi mój telefon. Kiedy ostatnio go widziałam, leżał na asfalcie. Naciskam guzik – nadal działa.

Kładę aparat na kolanie i wybieram numer z pamięci, po cichu licząc, że nie zdążył się zmienić.

Odbiera po drugim dzwonku.

– Gdzie się, do diabła, podziewasz? Jesteś sama? – Albo udaje, albo naprawdę udało mi się usunąć wszystkie lokalizatory, które podłożył.

– Wczoraj wieczorem dwóch mężczyzn próbowało mnie przejechać. Mam numer rejestracyjny ich wozu. Sprawdzisz?

Cisza.

– Prosiłem, żebyś dała sobie spokój. Dlaczego to robisz?

– Wiesz, kim mogą być?

– Po prostu podaj mi ten cholerny numer.

Odczytuję ciąg cyfr i liter z różowej karteczki; już nie skaczą przed oczami.

– Chcesz, żebym oddzwonił na ten numer? – pyta Andy.

– Nie, odezwę się.

– Mogę po ciebie przyjechać, gdziekolwiek jesteś.

– Miło z twojej strony, że mi pomagasz – odzywam się do słuchawki, jednocześnie pokazując Carlowi podniesiony kciuk.

– Zaczekaj...

Rozłączam się, wyjmuję baterię i wyrzucam aparat przez okno. Ląduje w krzakach.

Andy nie mówi mi wszystkiego. Muszę się liczyć z ewentualnością, że doskonale wie, gdzie jestem.

Wyjmuję glocka ze schowka w podłokietniku i sprawdzam

magazynek. Nadal pełny.

– Zastanawiam się, czy już kogoś z tego zabiłaś – mówi Carl, wyjeżdżając tyłem z miejsca parkingowego.

Nie brzmi to jak pytanie, więc nie odpowiadam.

Jestem sama, tonę w bieli. Ściany są białe, podłoga jest biała, moja sukienka jest biała. Jedyne kolorowe akcenty stanowią różowa karteczka w mojej dłoni. Utknęłam w azylu i mam już tylko pięćdziesiąt siedem sekund na to, żeby się stąd wydostać. Wiem, że to koszmar. Ale nie potrafię się przebić do świadomości.

Ten azyl w niczym nie przypomina azylu mojego trenera – nudnego salonu w domu przedstawiciela klasy średniej. Na ręku mam stoper. Gdzieś tu, Bóg raczy wiedzieć gdzie, są ukryte odpowiedzi do zamka szyfrowego w drzwiach. Konsekwencje.

Jak to możliwe, że jednocześnie śnię i wspominam?

Wpatruję się w różową karteczkę. Zostały dwadzieścia cztery sekundy. Dwadzieścia trzy.

Już rozumiem. To zestaw cyfr i liter, który dostałam od Carla. Znaczkę zeskakuje z karteczki, wspina się po ścianie, łaskoczą mnie po rękach.

Ktoś mnie woła. Krzyczy. Usiłuje odpowiedzieć zza ściany? Nadstawiam uszu. Jeszcze tylko cztery sekundy.

Otwieram oczy prosto na oślepiające słońce.

Carl trzyma dłoń na moim ramieniu i energicznie mną potrząsa. Stoimy na poboczu drogi, którą z hukiem przetacza się osiemnastokółowiec, powodując, że naszym pikapem trzęsie jak samolotem podczas turbulencji.

Jestem półprzytomna. Rozglądam się po nowym otoczeniu. Okolica nie kojarzy mi się z zachodnim Teksasem.

– Gdzie jesteśmy? – rzucam. Czuję pulsujący ból głowy i ramienia. – Myślałam, że wiesz nas do Muleshoe. Na farmę swojego dziadka.

– Wracamy do Fort Worth. Jesteś jak cholerna bomba zegarowa. Nastawiałem się na przyjemną przejażdżkę i Whataburgery, a ty mi dajesz... to. – Ponownie włącza się do ruchu, prowadzi ostrożnie i spokojnie jak troskliwy ojciec.

Rzeczywiście, *jestem* bombą.

– Dlaczego tak mocno mną potrzęsasz?

– Bo nie widziałem, czy oddychasz.

– Którędy jedziemy?

– Jesteśmy na sześćdziesiątce siódemce. – Nie najszybsza droga, ale we właściwym kierunku.

Nie chciałam zasnąć. Tylko na chwilę przymknęłam oczy.

– Sprawdziłeś, czy ktoś nas nie śledzi?

– Czarny sedan. Przez pewien czas jechał za nami, potem zniknął. Naćpałaś się? Trochę tak wyglądasz.

– Nie, nic mi nie jest. Miałam... sen. Wiesz co? Po prostu pogadajmy. O czymkolwiek. Opowiedz mi o *Niewidzialnej dziewczynie*.

– Zasługiwała na coś lepszego. To kiepski temat. Dołuje mnie.

– W porządku. Skąd się wzięła blizna na twojej piersi?

– Jakbyśmy grali w *Prawdę albo nachos*.

– A może porozmawiamy o Muleshoe – niecierpliwie się. – Wiesz, o dorastaniu. – Czuję głód wiedzy o farmie. – W sądzie zeznałeś, że Muleshoe było idealnym początkiem.

– Co chcesz wiedzieć? Latem wstawaliśmy z bratem przed świtem i szliśmy pracować dwanaście godzin w polu. Wieczorem wracałem do domu z całym tym piachem i brudem zachodniego Teksasu między zębami i w każdej szczelinie skóry. Cokolwiek babka ugotowała na kolację, smakowało najlepiej na świecie. Brat uwielbiał podpalać pole pszenicy i patrzeć, jak płonie. – Zerka na mnie. – To było kontrolowane wypalanie po to, żeby się pozbyć pozostałości po żniwach.

– Aha.

Jasne. Ten sam brat, który był strażakiem i przyglądał się apokaliptycznemu pożarowi w Waco.

– Lubiłem samotnie wyjeżdżać w pole johnem deere czterdzieści sześć czterdzieści i orać. Dziadek miał czterysta hektarów ziemi. Siedziałem na ciągniku, a przed sobą miałem nieskończoność. To była cudownie piękna, monotonna samotność. Nauczyła mnie cenić własne towarzystwo. I podziwiać obrazy. Mogłem przyglądać się z bezpiecznej odległości, jak po horyzoncie przesuwają się potężne

burze. To było jak seans tylko dla mnie.

Ciekawe, czy jako chłopiec kiedykolwiek czuł się, jakby grał w powtórcę *Strefy mroku*. Bo ja się tak czułam – kiedy jako mała dziewczynka chodziłam po okolicy po zmierzchu, gdy już wszystko spało.

Wyobrażam sobie młodego Carla na potężnej maszynie. Dokoła niego tylko ziemia i niebo. Czy się nie bał, że burza zmieni kierunek i ruszy w jego stronę? Czy czuł strach, wpatrując się w zalewające pola pomarańczowe morze ognia?

A może już wtedy przeistaczał się w łbskiego mordercę, który mógł snuć swoje plany nieograniczony czasem ani przestrzenią?

Ból w ręce staje się nie do zniesienia.

– Spróbuj się przespać – proponuje Carl. – Wyglądasz koszmarnie. Otworzyłem ci tę buteleczkę z proszkami. Masz tu kilka. – Wskazuje wnękę na kubek. – Tak sobie pomyślałem, że chyba będę mógł ci pomóc odnaleźć siostrę. Jeśli nie będziesz upierdliwa.

Połykam proszki, ale nie ma mowy, żebym zasnęła.

Gwałtownie wybudzona i zdezorientowana prostuję plecy. Zwalniamy. Jedziemy dwupasmową czarną wstęgą, po obu stronach wznosi się ściana lasu. Jest noc. To nie sen.

Księżyc wisi nad otwartym szyberdachem i wygląda jak przymrużone oko. Wcześniej szyberdach był zamknięty, prawda?

Jak długo spałam? Słodkie, przyprawione nieznaną nutą powietrze drażni nozdrza. Miga światełko na desce rozdzielczej, tyka do rytmu tępego pulsowania w mojej ręce.

Zapewne to ono mnie obudziło, to regularne klikanie, jakby ktoś bez przerwy naciskał spust migawki. Albo Carl zapomniał wyłączyć kierunkowskaz, albo szykujemy się do skrętu w lewo. Próbuję się domyślić, dlaczego Carl zakleił zegar szarą taśmą. Wskaźnik poziomu paliwa pokazuje jedną czwartą baku. Moja szyja buntuje się i nie chce utrzymywać głowy w pionie. Nie wiem, gdzie jesteśmy ani która jest godzina. Spałam trzy godziny – czy dziesięć?

– Niewiele widać na tej drodze – zauważa zrzędliwie Carl. – Nasz skrót znajduje się dokładnie sześć kilometrów i siedemset metrów za znakiem „ostrożnie, jelenie”. Władze miasta do tej pory nie usunęły graffiti. Jakiś idiota przerobił „l” na „dz” w „jelenie”. Zupełny brak szacunku dla zwierząt.

Jaki znak? Jakie miasto? Sosnowa gęstwina sugeruje, że minęliśmy Fort Worth i zagłębiliśmy się w ostępy wschodniego Teksasu. Chyba że spałam dłużej, niż mi się wydaje, i dotarliśmy aż do lasów Oklahomy albo Arkansas. Zmęczenie i ból rzuciły mnie na zapomniane przez Boga odludzie. Czuję się tak, jakby całe moje szkolenie poszło na marne.

– Carl, gdzie jesteśmy?

– Znowu zmieniłem zdanie. Postanowiłem kierować się twoją mapą i pojechać na wschód.

Jak zahipnotyzowana wpatruję się w migające światełko na tablicy

rozdzielczej. Z trudem odrywam od niego wzrok. Proszki, które wzięłam, jeszcze działają i są jak wełniany koc otulający mózg. Carl bez ostrzeżenia opuszcza boczne szyby z przodu i z tyłu.

Do środka wpada przyjemne wilgotne powietrze, rozwiewa mi włosy, rozrzuca leżące na desce papierki i serwetki z fast foodu; połowa ulatuje w noc jak kosmiczne śmieci.

– To cię powinno obudzić – mówi Carl. – Powąchaj. Nic nie pachnie tak jak to.

Ma rację. Moje zmysły ożywają, pobudzone powietrzem oczyszczonym i przefiltrowanym przez igły tysięcy sosen. Czuję, że odzyskuję... nadzieję, energię, stanowczość? Mam wrażenie, że dzieje się coś ważnego.

– Gdzie...

Carl szarpie kierownicą i skręca w lewo. Zjeżdżamy z szosy i pędzimy prosto na drzewa.

Próbuję krzyknąć, ale głos więźnie mi w gardle. Zaraz w coś uderzymy. Jakbyśmy przedzierali się przez szorstkie, poszarpane szczotki starej myjni. Gałęzie smagają mnie przez otwarte okna, szorują po bokach i po dachu wozu.

Jakaś droga tu jest, ukryta w zaroślach, poprzerastana korzeniami, zdziczała i pozostawiona własnemu losowi. Carl jedzie na wyczucie.

– Znak „ostrożnie, jelenie” i drogomierz jeszcze nigdy mnie nie zawiodły – potwierdza. – Dokładnie sześć kilometrów i siedemset metrów.

Wciska hamulec i przełącza światła na długie. Ich blask oświetla mniej więcej trzydziestometrowy odcinek wyboistej asfaltowej drogi, od lat nieużywanej.

To taka noc i taka droga, że trzeba posuwać się do przodu, przyjmując na wiarę, że dalej, za tymi trzydziestoma metrami asfaltu, znajduje się następny przejezdny odcinek, a za nim kolejny. Jesteśmy niecałe czterysta metrów od szosy, a mimo to mam wrażenie, jakbyśmy się przenieśli na inną planetę.

Przez szyberdach nie widzę już nieba. Za moimi plecami nos Ćmy pracuje pełną parą, w ekstazie pochłaniając setki nowych zapachów. Odwracam się i obrywam ogonem. Psiak wystawia głowę przez okno

i wyciąga szyję jak głodna żyrafa.

Czytałam o psach, które potrafią wychylić się z łodzi na środku jeziora i zasygnalizować ekipie poszukiwawczej, jeśli na dnie leży ciało. I o takich, które umieją wywęszyć nieoznakowane groby niewolników z czasów wojny secesyjnej, a także tysiącletnie znaleziska. Rozkładające się ciała na wiele stuleci zmieniają skład chemiczny gleby. Z prochu w proch, z martwego życia nowe życie, tak to powinno wyglądać. Niektóre psy wyczuwają tę starą śmierć w ziemi.

Ćma opiera łapy o drzwi i wychyla się tak daleko, że zaraz wypadnie.

– Ćma, chodź tutaj! – rzucam ostro. O dziwo, mnie słucha. – Carl, przymknij okna.

On też posłusznie robi, o co proszę.

To tylko dwie drobnostki, a jednak sprawiają, że odzyskuję nieco wiary w to, że panuję nad sytuacją.

– Gdzie, do diabła, jesteśmy? Dokąd mnie wiesziesz?

– Do mojej ciemni.

Naciska pedał gazu i mkniemy w noc.

Carl gna, nie zwracając uwagi na prędkość ani ciemności. Wyboista droga odsłania nam się kawałek po kawałku.

– Po swojej stronie masz głęboki wąwóz – informuje, z piskiem opon pokonując kręty odcinek. – Wuj nazwał ten fragment Trasą Jamesa Deana. Kiedyś spadało w tę przepaść sześć samochodów rocznie. Teraz na dole jest jedno wielkie złomowisko porośnięte pnączami i mchem. Musieli stracić dwie lawety, zanim się połapali, że nie opłaca się wyciągać niczego poza trupami. Widzisz ten zaokrąglony zakręt? Wuj nazywał go Marilyn Mon-*road*. Łapiesz? Bo taki krągły. Lubił stare gwiazdy kina. Oczywiście już dawno nie żyje. Mieszkali tu z ciotką przez pół wieku.

– Zwolnij, proszę – odzywam się przez ściśnięte gardło. – Nie musisz robić za przewodnika.

– Spokojnie – odpowiada. – Jestem jak ślepiec, który zna drogę. Moje zmysły pracują na najwyższych obrotach. Lubisz mapy, prawda? No to wyobraź sobie, że tutaj – odrywa dłoń od kierownicy, żeby popukać się w skroń – mam to wszystko bezbłędnie wyrysowane.

Na szczęście zdejmuję nogę z gazu. Okazuje się jednak, że nie ze względu na mnie, tylko dlatego, że skręcamy na gruntową drogę. Wyobrażam sobie, jak jeździmy w głowie Carla, jesteśmy niczym ogromna asteroida unosząca się w przestrzeni pełnej kraterów i dziur. Możemy krążyć w nieskończoność, nigdy nie opuścimy tego miejsca.

Nagle wpadamy w wyjątkowo głęboką koleinę. Uderzam potylicą o zagłówek. Staje mi w myślach obraz, na którym przebijamy koła, a mamy przecież tylko jedno zapasowe. Kończy nam się woda i jedzenie, nie mamy benzyny. Wracamy stąd piechotą. Ze złamaną ręką i kurczącymi się zapasami.

Wszystko to wydaje mi się teraz równie wielkim zagrożeniem jak Carl. Kiedy ostatnio (wczoraj) zajrzałam do lodówki turystycznej, zobaczyłam w niej czekoladowe jezioro z dryfującym lodem,

w którym pływały jedna butelka wody Ozarka, jedna butelka piwa Stella i dwie tabliczki czekolady Hershey's.

Nie spodziewam się, że ktoś nam tu pomoże. Porzuciliśmy pustynię na rzecz Pine Curtain¹¹. Miejscowi cenią sobie odosobnienie i umiejętność przetrwania. Droga jest tak zaniedbana, że musimy się przedzierać przez chaszczę. Mignęły mi sylwetki kilku porzuconych, zapadniętych chat.

Trzymam się kurczowo plastikowej rączki nad głową, którą zaprojektowano z myślą o wygodzie starszych pań wsiadających do auta. Korci mnie, żeby zerwać taśmę z zegara i dowiedzieć się, która jest godzina. Plecak z zapasowymi jednorazówkami i laptopem leży na podłodze za Carlem; wszystkie urządzenia są wyłączone.

Tyle że mam tylko jedną sprawną rękę. Nie chcę puszczać uchwytu, bo Carl zalicza wszystkie wyboje tak, jakby specjalnie w nie celował.

Nie, zdecydowanie wołałabym go teraz nie drażnić, próbując po coś sięgnąć. To by było nierozsądne. Nadzieja, że uda mi się włączyć któryś z telefonów i skorzystać z GPS-u, powoli gaśnie. Na pewno nie ma tu wież przekaźnikowych zdolnych przebić się z sygnałem przez niebosiężne drzewa. Żaden dron ani satelita nie będzie specjalnie dla mnie wypatrywał swoich elektronicznych oczu.

W głowie kołaczą mi koszmarne pytania.

Czy Carl zamienił wawóz złomu w swój prywatny cmentarz?

Czy zepchnął Rachel z urwiska i słuchał, jak spada na dno, łamiąc gałęzie?

Czy pośród zardzewiałych wraków spoczywają kości mojej siostry?

Czy Nicole, Vickie i Violet dotrzymują jej towarzystwa?

– Daleko jeszcze? – pytam łagodnie.

Z jednej strony wołałabym, żeby zawrócił, z drugiej nie. Rachel by się nie wycofała.

Wzdrygam się, kiedy Carl odbija trochę za mocno w prawo, tak że gałęzie zgrzytają po metalu, zdzierając warstwę lakieru z drzwi po stronie pasażera.

Niewzruszony pędzi dalej, pochylając się nad kierownicą i wpatrując w drogę, jakby nagle stracił ją z oczu. Pole widzenia przed autem gwałtownie się kurczy. Dostrzegam tylko to, co znajduje

się nie dalej niż sześć metrów przed maską. Trzy metry.

– Jeszcze dwie sekundy – uprzedza pewny siebie Carl ze wzrokiem utkwionym w drogomierzu. – Jesteśmy. – Mocno wciska hamulec. Ćma ze skowytem ląduje na podłodze.

Obracam się bokiem, żeby uniknąć uderzenia złamaną ręką o tablicę rozdzielczą. Carl przekręca kluczyk w stacyjce i w kabinie robi się ciemno choć oko wykol. Ćma wydaje pełne oburzenia szczeknięcie.

– To tutaj – oznajmia Carl.

Przez pewien czas siedzimy w zupełnej ciszy. Potem odzyskuję rezon.

– Więcej nie prowadzisz. Zapomnij. – Sięgam do schowka po niewielką latarkę.

Porządną, Maglite, przypadkowo i głupio zostawiłam w poprzednim wozie. Trener zmyłby mi za to głowę.

– Włącz reflektory, żebym mogła zobaczyć, gdzie jesteśmy. Carl! Włącz. Reflektory. I załóż Ćmie smycz, jeśli chcesz wysiąść. Bo pobiegnie i nigdy go nie znajdziemy.

Jeśli będę mu rozkazywała, jeśli przestanę być uprzejma i zacznę przydzielać mu zadania, nie dając czasu do namysłu, będzie dobrze.

Carl bąka coś pod nosem i zaczyna manipulować przy obroży Ćmy, a ja ostrożnie wysiadam z auta. Zatrzymaliśmy się na niewielkiej okrągłej polance, dosłownie centymetry przed ścianą drzew.

„To tutaj”, powiedział. Spodziewałam się jakiejś chaty, tymczasem jedyne, na co pada światło reflektorów, to gęsty las. Poza drzewami nic tu nie ma.

Droga, o ile można ją tak nazwać, kończy się w tym miejscu. Carl nadal siedzi w kabinie. Obchodzę samochód, świecę dokoła, upewniam się, że mam rację. Tak, wszędzie las, a pośrodku my na polance, do której prowadzi tylko jeden szlak. Wycofanie się stąd autem nie będzie proste.

Otwierają się drzwi po stronie kierowcy i widać równy strumień moczu. Ćma sika – to znaczy mam nadzieję, że to Ćma. Carl wysiada i z zadowoleniem przygląda się, jak niewiele zabrakło, by rąbnął zderzakiem i przednimi światłami w pierwszy rząd drzew. Mierzy

dłonią. Nie jest mi do śmiechu. Nie wyobrażam sobie, jak byśmy stąd wyjechali bez reflektorów.

– Co tak stoisz? – rzuca. – Wyłącz światła, żebyśmy mogli ruszyć dalej. Mamy jeszcze kawałek do przejścia.

Trzyma w dłoni latarkę, której wcześniej nie widziałam, profesjonalną, drogą. Przypomina mi się jego lista warunków.

Łopata, latarka, lina, WD-40, mocna folia spożywcza.

Latarkę już ma. Które jeszcze przedmioty z listy kupił, kiedy był sam?

Zauważam wybrzuszenie na jego lewej łydce.

Zegarek wodoszczelny (do 300 metrów). Kupił sobie taki? Prowadzi mnie nad jezioro? W Teksasie nie ma jezior głębokich jak drapacze chmur. W Stanach można je spotkać tylko na północy. Bardzo, bardzo na północy. To i tak bez znaczenia, bo nie zamierzam wchodzić z Carlem do wody, bez względu na jej głębokość i niezależnie od tego, co rzekomo w niej ukrył.

– Tu jest ścieżka.

Unosi gałąź i kieruje snop światła latarki na wąski przesmyk między drzewami. Teren się obniża. Czyli schodzimy. To może być ścieżka, choć na pierwszy rzut oka wcale na nią nie wygląda, bo jest zasłana szorstkimi liśćmi i suchymi sosnowymi igłami.

– Daj mi kluczyki, to wyłączę światła – domagam się ponuro.

Rzuca mi je. Przygląda się z zainteresowaniem, jak podchodzę do drzwi od strony kierowcy. Śmieje się pod nosem, zerkając lekko w bok, tak jakby założył się z Waltem o to, czy odjadę. Nie jestem pewna, czyby się przejął, gdybym to zrobiła. Niemal słyszę chrzęst butów Walta. „Pięćdziesiąt dolców albo garść twojego złota na to, że z nami skończyła”.

Drzwi są otwarte na oścież. Staję na stopniu i wyłączam światła. Zrywam taśmę z zegara. Dwadzieścia sześć po dziewiątej. Za cztery minuty *Familiada*.

Zabieram serwetki, których nie zdołał wywiać wiatr, i sięgam na tylne siedzenie. Plecak wydaje się cięższy. Jeśli nie dam rady go nieść, zawsze będę mogła się pozbyć części bagażu po drodze. Zarzucenie go na zdrowe ramię wymaga sporego wysiłku. Nie

ćwiczyłam ze złamaną kończyną, najwyżej ze skreconą. Trening ze złamaniem to jednak byłby sadyzm, nawet dla mojego nauczyciela.

Świst i trzask.

Szybki, bezlitosny dźwięk dobiega zza samochodu, z miejsca, w którym zostawiłam Carla. Przewrócił się? Jest tu ktoś oprócz nas? Carl nie wydaje żadnego odgłosu, nie krzyczy. Cisza. Pochylona za autem świecę latarką tam, gdzie po raz ostatni widziałam Carla.

W ścianie lasu widać wyrwę, brakuje dużej gałęzi. Nieco dalej dostrzegam poruszający się snop światła. Promień mojej latarki pada na smukłą sylwetkę Carla i odbija się od czegoś metalowego. Trzask. Carl przedziera się przez gęstwinę, korzystając z jakiegoś ostrego narzędzia. Mały sierp? Nóż?

Coś ociera się o moją nogę. Gwałtownie nabieram powietrza, a wtedy Ćma wydaje skowyt, którym przepędza jakieś niewidoczne zwierzę do lasu.

– Przepraszam, Ćmo. – Zapomniałam o psie. Przypadkiem nastąpiłam mu na łapę. Oglądam ją w świetle latarki – wygląda na całą.

Ćma liże mnie po ręce. Siedział cierpliwie i czekał. Jego smycz była owinięta o wystający z ziemi wielki korzeń. Carl daje mi kolejną szansę wycofania się? Czy raczej próbuje jeszcze bardziej utrudnić mi wędrówkę?

Wie, że nie mogę trzymać jednocześnie latarki i smyczy.

Zastanawiam się, w jaki sposób uda mi się pokonać kamienno-korzeniowy tor przeszkód z ręką na temblaku i plecakiem na jednym ramieniu.

Muszę komuś zaufać. Równie dobrze może to być Ćma. Martwię się o jego szwy, mimo że on sam chyba już o nich zapomniał.

Jeszcze bardziej martwi mnie perspektywa, że mogłabym go tu zostawić. Bo co, jeśli przywiążę go do drzewa albo zamknę w aucie z uchyloną szybą i nigdy nie wrócę?

– Trzymaj się mnie, dobrze? – mówię szeptem, odwiązując smycz. – Zawsze możemy zawrócić. – Nie wiem, kogo pocieszam: jego czy siebie.

– Idziesz? – odzywa się Carl.

...dziesz... dziesz... dziesz... Echo odbija się od drzew, brzmi niemal jak muzyka.

Czy Carl wykrzykiwał tu imię Rachel?

Snop światła z jego latarki przemyka między gałęziami jak płomyk, po czym gaśnie. Znika z oczu. Schodzi niżej, Bóg wie gdzie.

Świst i trzask.

Świst i trzask.

Wchodzę na ścieżkę.

Oto coś, do czego się przygotowywałam.

Niepotrzebnie się martwiłam, że zgubię Carla, bo nie zachowuje się, jakby chciał mnie zgubić. Nawet się zatrzymał, żebym mogła go dogonić.

Przedmiotem, którym macha i wycina drogę przez chaszczę i gałęzie, okazuje się maczeta, taka, jaką posługują się miłośnicy pieszych wypraw i szaleńcy.

Trzymam się dobre piętnaście metrów za nim. Nie z obawy, że użyje maczety na mnie, ale ponieważ chcę mieć czas na reakcję, gdyby się zdarzyło, że narzędzie przez przypadek wypadnie mu z ręki. Ćma idzie metr przede mną i też zachowuje czujność.

Podążamy chyba jakimś starym szlakiem. Światło mojej latarki co pewien czas pada na namalowane na pniach drzew ledwo widoczne pomarańczowe i białe strzałki. To oznaczenia dla myśliwych? Dla botaników amatorów? Skautów? Członków Ku Klux Klanu? Pokazują różne kierunki, czasem nawet w górę. Carl nie zwraca na nie uwagi, posuwa się z determinacją, idzie trasą wytyczoną na mapie w swojej głowie.

Pocieszam się, że pacjenci z demencją często dobrze pamiętają odległą przeszłość, dlatego jest szansa, że Carl rzeczywiście wie, dokąd zmierza. Zastanawiam się, czy tą jego ciemnią, jak się wyraził, nie jest czasem cały ten cholerny las.

Przez mniej więcej pół godziny brniemy z Ćmą za Carlem, który rąbie gałęzie i śpiewa *Hymn bojowy Republiki*. Docierają do mnie urywki tekstu. „Oczy me widziały chwałę przyjscia Pana”.

Z pluskiem pokonujemy płytki kamienisty strumień.

„Chwała, chwała, alleluja”.

Sprawdzam ranę Ćmy. Szwy trzymają. Po drodze drę serwetki na mniejsze kawałki i zawieszam je na gałęziach jak znaczniki szlaku, małe białe flagi, które pomogą mi odnaleźć drogę powrotną.

Po opuszczeniu pikapa czuję przypływ optymizmu. Byłam

przekonana, że umrę, paradoksalnie dlatego, że trener doskonale wykonał swoją robotę.

Śpiew cichnie. Carl zatrzymał się na polance. Nad nami nierówna okrągła łąta ciemnoszarego nieba, jakby dziecko wycięło dziurę w kartonie, żebyśmy mogli lepiej widzieć.

Na wprost stoi niewielki dom wśród drzew.

Jego elewacja ma kolor spłowiałej zieleni, a stolarka okienna i okiennice są czarne – może ktoś próbował nadać domowi barwy maskujące? Z przodu znajduje się weranda, a na niej rozpadająca się biała huśtawka. Przed wejściem na werandę stoją dwie smutne popękane donice w meksykańskie wzory.

Gdyby ta konstrukcja nie tkwiła w środku lasu i nie wyglądała, jakby chciała się zawalić, i gdyby w grę nie wchodziła zagadka martwych dziewcząt, powiedziałabym, że dawniej mieszkali tu całkiem mili ludzie.

Jazgot setek cykad zamieszkujących tę dziurę jest tak ogłuszający, że przez chwilę zastanawiam się, czy hałas nie sparaliżował Carla. Czy go nie dezorientował, nie wypchnął wszystkich myśli z mózgu. Sama z trudem próbuję się skupić.

– Carl, połóż maczetę na ziemi – odzywam się głośno, stojąc metr za nim. Mocno ściska rękojęść. – Odłóż ją – powtarzam.

– Nie muszę. Nie zamachnę się na ciebie. Idę usiąść na werandzie.

Zaczynam protestować, ale rezygnuję. Carl rusza w stronę domu. Podążam za nim. Kiedy opada na huśtawkę, ta wydaje jęk, który brzmi jak przedśmiertny lament. Sądziłam, że zwali się z hukiem na beton, ale nie – ugina się niebezpiecznie pod ciężarem Carla, lecz wytrzymuje. Carl wyłącza latarkę i kładzie ją razem z maczetą na podłodze pod huśtawką.

Wyciąga przed siebie ręce, rozprostowuje je, po czym wsuwa dłonie za głowę, wystawiając łokcie do przodu.

– Podoba się? – pyta. – Nie świeć mi po oczach. Te cholerne cykady grają głośniejsze niż kapela na koncercie. No ale to w końcu najgłośniejsze owady na ziemi, potrafią wyciągnąć ponad sto piętnaście decybeli. Wiesz, że sikają z drzew? Nazywaliśmy to rosą

miodową.

Zaczynam się zastanawiać, czy Carl rzeczywiście jest związany z tym miejscem. Może zatrzymał się i czekał, żeby się upewnić, że dom jest pusty. Może po prostu zobaczył tę skrzypiącą huśtawkę i nabrał ochoty, by usiąść.

– Homer pisał o cykadach w *Iliadzie* – ciągnie.

– To cel naszej podróży czy tylko odpoczywamy? – pytam. – Ktoś tu mieszka?

Nie jestem pewna, czy Carl mnie słyszy. Siedzi z brodą opuszczoną na piersi. W słabym świetle wygląda na bledszego niż w rzeczywistości. Ma oczy jak szparki. Ćma położył pysk na jego butach – to psi znak, że wszystko jest w porządku. Kieruję światło latarki ku górze, ku wystającym z sufitu hakom. Śruby wyglądają na solidne. Carl i jego maczeta są bezpieczni.

Kłękam na betonowej podłodze, zsuwam plecak z ramienia i zaglądam do środka. Wyjmuję neoprenową butelkę. Potrząsam. W połowie pusta. Żałuję, że nie zabrałam ostatniej wody z lodówki turystycznej. Ale bałam się, że zgubię Carla w lesie. Biorę haust, łypiąc na osłabłego Carla. Trącam go w kolano.

– Głowa do góry. Masz, napij się.

Carl zaczyna pić, a ja w tym czasie staram się ustalić, gdzie jesteśmy. Do godziny na zegarze w aucie dodaję trzydzieści minut na wędrówkę i szacuję, że Carl jechał przez mniej więcej cztery godziny po tym, jak zasnąłam. Intuicja podpowiada mi, że nadal znajdujemy się w Teksasie, a otoczenie zdaje się potwierdzać, że trafiliśmy do serca Piney Woods.

Już rozumiem, dlaczego tutejsze lasy słyną z tego, że ponoć widuje się tu Wielką Stopę, a w czasie wojny secesyjnej służyły jako doskonała kryjówka dla wszelkiej maści dezertersów. Gorzej dla mnie, że teksaski Piney Woods zajmuje teren o powierzchni ponad pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, a niestety nie mogę przejrzeć mapy w głowie Carla tak, jakbym przeglądała Google Maps.

Omiotam werandę światłem latarki.

– Jesteśmy na miejscu? – powtarzam.

Brak odpowiedzi. Drzwi wejściowe są zamknięte. Z bliska okazują

się nie tak stare, jak sądziłam, wnioskując z wyglądu elewacji i huśtawki. Są wyposażone w solidny zamek.

Znajdujące się za huśtawką duże okno też wydaje się porządne, zwłaszcza że umieszczono w nim szybę z mocnego szkła. Nie widać żadnych szkód wyrządzonych przez leśne stworzenia albo wandalii. Wewnętrzna roleta jest opuszczona, tak jak powieki Carla.

Wiem, że to niemożliwe, ale czuję się, jakbym już tu kiedyś była.

Na tej werandzie. W tym lesie.

Dziewczynki w bieli, jedna rozmazana jak zjawa. *Dwie Mary*. W historiach, które wymyślałam, siedząc na podłodze w szafie, nadawałam im setki imion.

Coś mi chodzi po karku. Strącam to. Werandowy pajęczek. Dziewczynki bawią się, chichoczą, tańczą taniec ptasich piór na mojej skórze. Czy to one mnie tu sprowadziły?

Zastanawiam się, czy nie powinnam była bardziej się przyłożyć do zbadania ich losu. Nie chciałam, aby zamieniły się w pozycje na liście domniemanych ofiar Carla. Czułam się lepiej, kiedy istniały wyłącznie na zdjęciu i gdy kontrolowałam ich życie z poziomu szafy. Wtedy nie przytrafiało im się w lesie nic złego.

U szczytu sławy Carla pewien znany nowojorski krytyk sztuki snuł przypuszczenia, że upiorna Mary w ruchu jest nałożonym obrazem. Stwierdził, że Carl chciał odtworzyć przygotowujący o gęsią skórę klimat słynnego zdjęcia siedmioletnich bliźniaczek, które podczas bożonarodzeniowego przyjęcia zrobiła Diane Arbus. Ojciec dziewczynek powiedział, że to najgorsza podobizna jego córek, jaką kiedykolwiek widział. Fotografia okazała się tak niepokojąca i symboliczna, że podobno natchnęła Stanleya Kubricka do zaangażowania bliźniaczek w *Lśnieniu*.

Ten sam krytyk w podobnym tonie zdyskredytował dwa inne dzieła zaprezentowane w albumie Carla: Tajemnicze Światła z Marfy oraz twarz zjawę, która ukazała się w tkaninie i glonach unoszących się na wodzie nieopodal Galveston. Nazwał Carla iluzjonistą i oszustem, odmawiając mu prawa do miana dokumentalisty. To było, zanim zaczęto go obrzucać dużo gorszymi epitetami.

Publiczny komentarz Carla na zarzuty brzmiał: „Czymże jest

wszystko, jeśli nie iluzją? Żal mi ciebie – po zjedzeniu nieświeżego makaronu, w którym była sierść jednego z twoich kotów, umierasz samotnie w nowojorskim mieszkaniu wielkości wychodka”.

Zestawiam Carla artystę, Carla kpiarza z Carlem, który przyprowadził mnie do tego czyścica pomiędzy piekłem a blaskiem księżycy. Cykady nadal wyśpiewują wibrujące arie. Przenoszę spojrzenie na mieniące się blaskiem światełek podwórza.

Nagle podskakuję, bo huśtawka wydaje jęk. Księżyc znika z nieba, jakby go ktoś zestrzelił. Latarka wypada mi z rąk, z trzaskiem ląduje na podłodze i gaśnie. Obracam się na pięcie. Carl stoi w mroku.

– Wiesz, że światełki synchronizują swoje migotanie? – Wyciąga do mnie rękę. – Nerwowa jesteś. A ja ci tylko daję klucz.

Nie wiem, czy mówi prawdę, bo nie widzę rzeczy, którą rzekomo trzyma w dłoni. Mimo to robię krok do przodu i dotykam jego palców, czując, jak przeskakuje prąd. Metalowy przedmiot jest ciepły i wilgotny od potu Carla.

Pomyślałam, że może chodzi o zagadkowy kluczyk, który nosi na szyi, a który należał do dziewczyny na pustyni, ale nie, to zwyczajny, typowy klucz do zamka w drzwiach. Równie dobrze może służyć do otwierania tego domu, jak i któregoś z naszych pokoi motelowych albo drzwi wejściowych do domu pani T. Carl mógł go znaleźć w żwirze na jednym z parkingów, kiedy płukał złoto.

Boli mnie ręka, dokucza złamana kość. Muszę wziąć tabletkę. Albo dwie, albo trzy. Tęsknię za bieżącą wodą i mydłem – może poradziłyby coś na obłędne swędzenie i otarcia na rękach i nogach, dzieło przebiegłych insektów i ciernistych gałęzi na mrocznym szlaku.

Chciałabym polecieć do tyłu, spadać całą wieczność, aż wyląduję w nieskończonej głębi na czymś rozkosznie miękkim. To przeciwieństwo tego, jak sądziłam, że będę się czuła, kiedy stanę na progu odpowiedzi.

– Czyj to dom? – pytam.

– Teraz mój. Odziedziczyłem go po ciotce.

Podnosi moją latarkę z podłogi i potrząsa nią jak doświadczony magik. Latarka posłusznie ożywa, światło pada na ramę huśtawki i znajdujące się poniżej drzwi. Ogon leżącego pod huśtawką Ćmy

lekko drga, uderzając o ząbkowane ostrze maczety.

– Przyda ci się – mówi Carl, uprzejmie wręczając mi latarkę – bo tu nie ma prądu.

Aby wziąć ją od niego, muszę najpierw schować klucz do kieszeni. Złamana ręka stanowi przeszkodę nawet dla tak prostej czynności.

W tej samej chwili Carl zręcznie wydobywa kolejny przedmiot z kieszeni. Jakiś mały pojemnik. Gaz pieprzowy?

– Coś taka płochliwa? – zrzędzi. – Na litość boską, przecież to tylko WD-40. Do zamka.

Dopiero teraz widzę, że rzeczywiście trzyma charakterystyczną niebiesko-żółtą puszczkę. Rusza w stronę drzwi, omijając mnie szerokim łukiem. Słyszę syk spreju.

– Zapraszam panią – rzuca sarkastycznie i przytrzymuje siatkowe drzwi.

– Zrobiłeś to tutaj, prawda? W tym lesie. Dwie Mary. Małe dziewczynki. Zrobiłeś im tu zdjęcie – nawijam. – Co się z nimi stało?

– Dawno nie żyją – odpowiada. – Wejź, a sama się przekonasz. Mam nadzieję, że nie pomyślisz o mnie źle.

Klucz pasuje, gładko wsuwa się w potraktowaną WD-40 dziurkę.

Dopiero teraz nabieram pewności, że Carl rzeczywiście wie, gdzie jesteśmy. Wcześniej wątpiłam. Pomimo tego, że weranda wydała mi się znajoma. Pomimo niepokojącej legendy o złomowym jarze Jamesa Deana. Pomimo podłej uwagi Carla o nieżyjących małych dziewczynkach z fotografii, tak jakbym po przekroczeniu progu tego domu miała odnaleźć ich szkielety i białe welony zuchwale przytroczone do czaszek.

Niewykluczone, że jest tu również dziewczyna z pustyni. Kobieta w deszczu. Nicole. Vickie. Violet.

Moja siostra.

– Ty pierwszy – mówię do niego. Słowa kleją mi się w ustach.

– Ja nie wchodzę. – Unosi puste dłonie w geście poddania. I przebiera palcami. – Zostajemy z Ćmą na werandzie, tu, gdzie wieje wiaterek. Proponuję, żebyś pootwierała okna. Obejrzyj sobie szafkę z przyborami do szycia, która należała do mojej ciotki. Stolarski majstersztyk. Drugiej takiej nie znajdziesz. Zrobiona przez ojca ciotki na jej szczególne zamówienie jako prezent ślubny.

Trącam drzwi stopą, uchylają się na dziesięć centymetrów, dając pojęcie o panującej wewnątrz atramentowej ciemności. Mogłabym zaczekać, aż się rozwidni. Tak mi zresztą podpowiada intuicja. Wkładam latarkę pod pachę i dokładnie, palec po palcu, wycieram dłoń o dzinsy, żeby się pozbyć tłustego smaru. Carl wysikał chyba cały pojemnik.

Przypomina mi się obraz siostry, którego nikt poza mną nie widział i nie zobaczy. Wyraźna przebitka, do której raz po raz wracam. To było wieczorem dwa dni przed jej zaginięciem.

Rachel wychodzi uśmiechnięta z łazienki po prysznicu, siada na łóżku po turecku, a jej mokre ciemne włosy wyglądają jak strąki i zostawiają wilgotne plamy na ramionach żółtej piżamy. Jest

nieumalowana. Jej rzęsy są jak koronkowe frędzle w kolorze blond. Pod zielonymi oczami ma delikatne cienie, których nie znosi i nie potrafi się pozbyć, choćby nie wiem ile spała. Nadają jej delikatny, eteryczny wygląd. Najpiękniejsza była właśnie w takich chwilach, pozbawiona sztuczności.

– Czego się boisz? – pyta zniecierpliwiony Carl.

No właśnie. Teraz, gdy już stoję w progu, a on zaprasza mnie do środka – sama nie wiem.

Pierwszą rzeczą, na którą zwracam uwagę po wejściu do domu, nie jest wcale duch małej dziewczynki, lecz niewyraźny zapach substancji chemicznych. Formaldehyd, myślę w pierwszej chwili. Chemiczna kąpiel, która utrwala obraz – dociera do mnie w drugiej.

W ciemności i z jedną sprawną ręką rezygnuję z broni na rzecz latarki. Szybko omiatam wnętrze jej światłem, aby się upewnić, że nic się nie porusza – że Carl nie zastawił pułapki we współpracy z tamtymi dwoma śledzącymi mnie mężczyznami.

Żałuję, że nie wzięłam większej, profesjonalnej latarki Carla. Jest coś dziwnego i ułomnego w naszych relacjach, skoro z przekonaniem zakładam, że morderca mojej siostry uprzejmie użyczyłby mi swojego sprzętu. I skoro dziesięć minut temu bez zastanowienia pozwoliłabym mu wypić ostatnią kroplę wody.

Z szybkiego oglądu wynika, że znajduję się w dużym pomieszczeniu z częścią dzienną po lewej stronie, niewielką kuchnią po prawej i nieodzownym w leśnym domku kominkiem. Po cichu zamykam za sobą drzwi i przekręcam blokadę zamka. Jest i zasuwka, w dodatku solidna – z niej też korzystam. Nie chcę, żeby Carl nagle wyrósł mi za plecami. Zakładam, że wszystko, co znajduje się w środku, jest martwe.

Pstrykam włącznik światła. Nic się nie dzieje. Próbuję jeszcze raz – bez rezultatu, tak jak uprzedzał Carl.

Zapach środków chemicznych przyprawia o mdłości, jakby miał maskować jeszcze bardziej nieprzyjemną woń.

Huśtawka na werandzie zaczyna rytmicznie zawodzić, dźwięk przesącza się przez ściany i współbrzmi z grą cykad.

„Panuj nad fizycznym pobudzeniem. Nie biegnij, jeśli to nie wyścig”. Poświęcam dwie minuty na ćwiczenie „cztery na cztery”: czterosekundowy wdech, czterosekundowy wydech, powtórzone piętnaście razy. Huśtawka nadal zawodzi.

Wyobrażam sobie, jak będę przeszukiwała wnętrze. Widzę siebie, metodycznie, centymetr po centymetrze przeczesującą każde pomieszczenie. Za kwadrans wyjdę cała i zdrowa prosto w jasne słońce. Wiem, absurdalna wizualizacja, ale dawniej mi pomagała.

Znalazłam trenera w dark webie, gdzie w szczegółowych i przerażających recenzjach regularnie przyznawano mu pięć gwiazdek. Na koniec swoich obłąkanych gier wręczył mi nagrodę w postaci lodowatej puszkii coli. Myślę o nim teraz, trwając w uścisku okropnej ciszy.

Zapytał mnie, czy zauważyłam, że najgorsze są długie przerwy w grze. Czekanie na coś, czego nie udało ci się przewidzieć. Posłusznie pokiwałam głową. Wychyliłam upiornie zimną colę i pozwoliłam, by wypaliła mi gardło. Była najsmaczniejszym napojem, jaki kiedykolwiek piłam. Trener ostrzegł, że tym, co mnie wykończy, będzie umysł. Można wytrenować ciało, ale psychika... zawodzi nawet żołnierzy.

„Pod moim okiem nie zginiesz”, zapewniał. Nigdy mu nie wierzyłam. Być może dlatego był tak dobry w grze. I dlatego Carl jest w niej dobry. Dzięki notorycznemu brakowi zaufania.

Przesuwam snop światła wolniej, uważniej, w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Rolety zaciemniają. Dlatego czuję się tu jak w podwodnej jaskini.

Kanapa w sosnowej ramie, poduszki, dwa ogromne fotele, wszystko, rzecz jasna, ręcznej roboty. Albumy, starannie ułożone w wachlarz na dużej ławie ze szklanym blatem. Paul Strand, Keith Carter, Diane Arbus, Robert Frank. Sami wielcy twórcy. Najlepsi. Henri Cartier-Bresson, mistrz nieupozowanych zdjęć, Hemingway fotografii.

Nie ma telewizora, sprzętu grającego, półek, czasopism z datą na okładce. Jest za to wytarta drewniana podłoga. I gruba warstwa kurzu właściwie na wszystkim. Osmalone polano w brudnym palenisku.

Olśniewająca panorama pustyni nad kominkiem, bogata w rdzawe barwy, uboga w życie. W prawym dolnym rogu maleńkie, czarne „clf”, podpis Carla. Rzadki przykład tego, że czasem odchodzi od czerni i bieli.

Rozglądam się po kuchni. Piekarnik gazowy, lodówka, kuchenka mikrofalowa, zmywarka. Kiedy wchodzę do przedpokoju, moje nozdrza atakuje specyficzna woń, zatyka mi gardło, jakby powietrze było przesycone zawieszoną tabasco.

Troje drzwi – dwoje na lewo, jedno na prawo – wszystkie zamknięte.

Światło latarki pada na stojącego w kącie sosnowego olbrzyma pełnego drzwiczek i szuflad rozmaitej wielkości. Zakładam, że to „szafka” z przyborami do szycia, o której mówił Carl.

Trudno ją przeoczyć. Jest wielka, sięga aż do sufitu. Na porcelanowych gałkach ktoś ręcznie namalował stokrotki.

Podchodzę bliżej i dopiero teraz widzę, że niemal na każdej szufladzie i każdym drzwiczkach znajduje się biała karteczka z imieniem napisanym charakterystycznym, zdecydowanym pismem Carla.

Elizabeth Ann. Mary Louise. Jean. Sandy. Clara. Betty. Little Boo.

Z szacunkiem, myślę. Jak na tablicy pamiątkowej w Waco.

Mój chwiejny promień światła przesuwają się po szafce.

Szukam imienia siostry.

Eleanor. Belle. Sophia. Mak. Vivian. Dixie. Lulu. Sadie.

Kopciuszek. Big Bertha. Gertrude. Scarlett. Penelope. Fiona. Tina.

Zaczęłam czytać na głos.

Milknę i orientuję się, że huśtawka przestała zawodzić.

Nie ma tu imienia Rachel. Ani pozostałych dziewcząt, które powiązałam z Carlem, trzech czerwonych kółek na mapie. Ani nawet innych, które nie dostały się do pierwszej trójki. Nie wiem, co i czy w ogóle cokolwiek to oznacza.

Policzyłam. Dwanaście szuflad i dziesięcioro drzwiczek. Moja wyobraźnia pracuje pełną parą. Brakuje mi odwagi, by zajrzeć choć do jednej z tych skrytek.

Każę otworzyć szafkę Carlowi. Przystawię mu pistolet do głowy i niech się wytłumaczy. Niech dotknie tego, co znajduje się w środku, cokolwiek to jest.

Ból i wściekłość przysyłają całą resztę. Carl zasugerował, bym się przyjrzała *stolarskiemu* kunsztowi szafki.

Być może jego umysł każe mu dostrzegać wyłącznie te rzeczy, które dawniej przechowywała tu ciotka: tęcze tkanin i nici, ostre igły z niewidzialnymi uchami, zbiór starych guzików uwięzionych w słoikach po majonezie jak kłębowisko wspomnień.

Nieważne. Jakaś jego część wie. Bo przecież nie sprowadził mnie tu, żebym mu wydziergała skarpety z ciocinej włóczki.

Czy Carl wślizgnął się do domu? Nie mam pojęcia. Ale chyba bym go wyczuła. Szybko wracam do przedpokoju. Podchodzę do wyjścia, odsuwam zasuwkę, ostrożnie uchylam drzwi i nasłuchuję.

Wychodzę. Świeci żarówka księżycy. Jej blask pada na nieruchomą huśtawkę.

Weranda jest pusta.

Nie ma ani Carla, ani Ćmy.

Obok rozchwierutanej barierki stoi podstawka pod starą glinianą donicę. Carl wlał do niej wodę, zrobił prowizoryczną miskę dla psa.

Na huśtawce ułożył w równym rzędzie przedmioty wyjęte z mojego plecaka.

Przejaw wypaczonego *fair play* czy sposób, by łagodnie popchnąć

mnie w ramiona szaleństwa? A może jedno i drugie?

Buteleczka z proszkami przeciwbólowymi (pamiętał, by ją otworzyć). Butelka z wodą. Trzy tampaksy. Jeden baton muesli. Woreczek strunowy pełen mniejszych i większych kamyków. Kluczyk na łańcuszku, który Carl nosił na szyi.

Butelka jest wypełniona pod korek. Skąd wziął wodę? Odkręcam i wącham. Ze strumienia? Świecę w kącie tam, gdzie cisnęłam plecak, kiedy Carl miał zamknięte oczy.

Nie ma go. Laptop, podróżny zestaw narzędzi, kompas, jednorazowe telefony – wszystko odeszło w noc razem z Carlem. Udało mu się pozbyć mnie drugiej sprawnej ręki.

Połykam dwie tabletki, popijam je łykiem wody i zagryzam batonem, żeby się pozbyć posmaku.

Mojemu trenerowi by się to nie spodobało. Napiłam się z butelki, którą podsunął mi seryjny morderca, napełniwszy ją wodą z nieznanego źródła. Do tego stępiłam ostrze bólu, będącego być może jedyną rzeczą odpowiadającą za bystrość mojego umysłu.

Wychodzę na środek podwórza, zadzieram głowę i wpatruję się w cmentarzysko gwiazd.

– Carl! – wrzeszczę we wszystkie strony ile pary w płucach.
Echo milczy. Tutaj dźwięk po prostu zanika.

Zaczynam od pierwszych drzwi po lewej.

Nieduża sypialnia. Jedno okno. Zaciągnięta roleta zaciemniająca. Stare podwójne sosnowe łóżko z wielobarwną narzutą w kwadraty, każdy z innej bajki. Pod łóżkiem odchody gryzoni. Komoda z pustymi szufladami. Szafa, a w niej sześć nagich wieszaków i jeden ubrany w dawno niemodną męską hawajską koszulę.

Wyjmuję ją z szafy i przerzucam sobie przez ramię. Może się przydać. Wejście do ciasnej, zimnej i wilgotnej łazienki sugeruje, że pomieszczenie było główną sypialnią. Spoglądam w zmętniałe lustro i widzę rozmazaną obłąkaną dziewczynę.

Przegapiłabym stojącą przy łóżku półkę na książki. Znajdują się na niej czarno-białe zdjęcia w prostych ramkach. Świecę latarką na pierwsze z nich.

Mężczyzna i kobieta w średnim wieku w ogrodzie, oboje ponurzy, kobieta ze spuszczoneym wzrokiem, mężczyzna opiera się o szpadel. Wuj i ciotka Carla? Kadrowanie i oświetlenie tego zdjęcia nie świadczą o jakimś szczególnym talencie autora. Przesuwam snop dalej.

Zapiera mi dech w piersi.

Dwie Mary siedzą skromnie na kwiecistej kanapie, jakby na mnie czekały. Są rok, może dwa lata starsze niż na fotografii w lesie. Na podołkach ruchliwe dłonie, nogi rwą się do biegu, na buziach szerokie uśmiechy.

Od chwili, gdy pierwszy raz je ujrzałam, byłam niemal pewna, że są bliźniaczkami. Tymczasem to zupełnie niepodobne do siebie dziewczynki. Dopiero teraz, kiedy siedzą jedna obok drugiej, dostrzegam ich odmienne cechy. Delikatniejszy nos u jednej, szerzej rozstawione oczy u drugiej. Obie mają krótko, równo obcięte jedwabiste blond włosy; nie są rozwichrzone i nie spływają tak swobodnie jak w lesie.

Kładę latarkę na półce, żeby mi świeciła, i wyjmuję zdjęcie z ramki. Razem z nim wysuwa się szybka i kaleczy mnie w kciuk. Wkładam palec do ust, czuję metaliczny smak krwi. Czytam: „Pamięci sąsiadek, jedenastoletnich Mary Fortson i Mary Cheetham z Piney Woods. Ich ostatnie zdjęcie. Obie urodziły się tego samego dnia, 5 maja 1935 roku. Zmarły jedna po drugiej szóstego i siódmego listopada 1946 roku”.

Brak informacji o przyczynie śmierci. Ale to nieistotne. Ważne, że kiedy umierały, Carla nie było jeszcze na świecie.

Krytyk miał rację: Carl był iluzjonistą. Nie jest autorem fotografii dwóch Mary. Widocznie odnalazł stare negatywy i ukradł czyjeś dzieło. Stworzył coś nowego z czegoś starego. Wymyślił tę historię o dziewczynkach, którą opowiedział w albumie, mimo że prawdziwa wydaje się znacznie ciekawsza i bardziej makabryczna.

To dowodzi, że Carl jest kłamcą. Złodziejem. No ale to już wiedziałam.

Nie mam czasu na opłakiwanie moich dziecięcych towarzyszek zabaw. Umieszczam dwie Mary z powrotem w ramce i odstawiam ją na półkę. Zamykam drzwi i pozostawiam dziewczynki w krainie zmarłych. Chyba zawsze czułam, że stamtąd pochodzą.

Przegląd drugiej sypialni zajmuje mniej czasu. Na gołej podłodze leży niebieski futon. W szafie pusto, jeśli nie liczyć miotły. Dwa okna, tak jak wszystkie pozostałe, zasłonięte roletami zaciemniającymi.

Domyślam się, że to tutaj nocował Carl po procesie. Wciąż nie widzę pełnego obrazu, ale powoli odsłaniają się przede mną jego fragmenty.

Zatrzymuję się przed ostatnimi, trzecimi drzwiami.

Tu najbardziej śmierdzi. Potrafię wstrzymać oddech na dziesięć minut pod wodą – to pięć razy dłużej niż wysportowana, przyzwyczajona do wody osoba.

Nie boję się teksaskich węży, nawet gdy mam związane ręce i nogi.

Spędziłam trzy godziny w pełnym po brzegi kontenerze na śmieci w trzydziestu sześciu stopniach Celsjusza, za towarzystwo mając rozkładające się truchło szopa.

Jestem swoim własnym samotnym reality show.

Obracam gałkę i wpuszczam do środka snop światła latarki. Ściany i okno są pomalowane na czarno. Linoleum klei mi się do podeszew. Różowa porcelanowa umywalka wygląda, jakby zeszła z niej skóra po oparzeniu słonecznym. W kącie różowy sedes z opuszczoną klapą. Ocieram się o jedną z linek, które jak sznury na białiznę przecinają przestrzeń dawnej łazienki.

W rogu znajduje się przymocowany do ściany blat ze sklejki w kształcie litery L. Stoją na nim stary powiększalnik, stosik pojemników i rząd buteleczek. Utrwalacz. Kąpiel płucząca. Wywoływacz. Przyspieszacz płukania. W buteleczce z utrwalaczem jakieś zwierzę wygryzło dziurę; płyn wyciekł, zabrudził sklejkę, ścianę i podłogę.

W kręgu światła ukazuje się szczur winowajca. Leży nieżywy kilkanaście centymetrów od mojej stopy.

Ciemnia. Na ścianach powinny wisieć fotografie, powinny schnąć na linkach, tymczasem nie ma tu ani jednego zdjęcia.

Otwieram klapę sedesu. Sucho, ale cuchnie ściekami.

Wtedy następują po sobie dwie rzeczy.

Szczur na podłodze okazuje się mniej martwy, niż sądziłam.

Latarka z brzękiem wpada do sedesu i na dobre odmawia posłuszeństwa.

Butwiejące listwy huśtawki drapią mnie w plecy.

Tam – i z powrotem. Tam – i z powrotem.

Naciskam przycisk latarki, zgrywając ruch kciuka z odepchnięciami stopą.

Włącz – wyłącz. Włącz – wyłącz.

Ćwiczenie z szaleństwa. Tyle że nie ma „włącz”. Nic się nie świeci.

Zapasowa żarówka i baterie zostały w plecaku, którego, jak się domyślam, Carl używa teraz jako poduszki. Całkiem możliwe, że zorientowawszy się, jak jest ciężki, w ciemności wysypał jego zawartość dosłownie kilka metrów ode mnie. Cholera, może sam też siedzi parę kroków stąd.

Huśtawka mnie usypia. Teraz, kiedy się już poznałyśmy, widzę, że kojarzę ją i jej nierówne zęby z albumu Carla.

Tam – i z powrotem.

Jeśli odepchnę się dostatecznie mocno, zobaczę fragment nieba za linią dachu. Tu, na dole, jestem zaledwie jednym z cieni gromadzących się na werandzie, jakby miało się odbyć przyjęcie niespodzianka. Kiedyś urządziliśmy takie z okazji urodzin Rachel. Wtedy na chwilę ujrzałam jej przerażoną twarz. Carl sprawił, że rzadko wyobrażam ją sobie inaczej.

Leki przeciwbólowe są jak obmywające mózg ciepłe fale oceanu, jak nucący tuż pod powierzchnią skóry śpiewak jazzowy. Mam wrażenie, że skurcze głodowe i pulsowanie w ręce należą do kogoś innego. Szumią sosny, szeleszczą liście – słysząc takie dźwięki, czuję się jak kołyszana do snu mała dziewczynka.

Muszę zaplanować noc, póki jestem w stanie to zrobić.

Nie ma mowy, żebym w tych ciemnościach odnalazła drogę do pikapa.

Świt już całkiem blisko. Sześć godzin. Może pięć.

Zwleczenie się z huśtawki wymaga ode mnie sporego wysiłku. Boli

mnie całe ciało. Drzwi do domu nadal są otwarte. Po omacku docieram do kuchni i wybieram jedno ze stojących przy niewielkim stole krzeseł o prostym oparciu. Ciągnę je za sobą przez przedpokój, głośno szorując po podłodze, aż uderza o szafkę na przybory do szycia.

Nie myśleć o tym teraz.

Decyduję się na pokój z futonem. Pokój Carla.

Zamykam za sobą drzwi, po omacku podsuwam krzesło pod gałkę. Podchodzę do okna i zrywam roletę. Spada ze stukotem na podłogę, ale nic nie szkodzi. Im więcej robię hałasu, tym pewniej się czuję. Pomieszczenie powoli wypełnia szary balsam. Marne światło, ale zawsze jakieś.

Odblokowuję okno, otwieram je, przesuwając do góry, i biorę haust przesyconego sosnową wonią powietrza. Ciekawe, czy ten krzepiący aromat byłby w stanie wyleczyć z raka. Moje więzienie ma drobne siatkowe dziurki.

Zostawiam okno otwarte. A niech wchodzi, co chce: robale, ludzie – ja muszę oddychać. Ostrożnie wydaję z temblaka tabletki, torebkę z kamykami i tampony.

To, że Carl zostawił mi tampony, było z jego strony zarazem uprzejme i obrzydliwe. Otwieram woreczek z kamykami, biorę osiem sztuk i układam je w rzędzie na parapecie. Kolejne osiem umieszczam na przekrzywionym krześle, a pozostałe rozsypuję pod drzwiami. Marny system ostrzegania, ale zawsze coś.

Sięgam po miotłę i zamiatam futon, licząc, że wypłoszę wszystko, co na nim gniazduje. Wyjmuję broń z kabury i razem z miotłą kładę ją w zasięgu ręki po stronie zdrowej ręki.

Przykładam głowę do brudnego materaca i czuję, albo może tylko sobie wyobrażam, zapach Carla. Dotykam wiszącego na szyi kluczyka.

Widzę okropności ukryte w szufladach w szafce za drzwiami.

Zmuszam się do myślenia o szlaku i kawałkach serwetek na drzewach, które czekają, by mnie stąd wyprowadzić.

Nagle oblewa mnie przyjemna fala, przetacza się przez uszy, ręce, nogi, palce. Tabletki długo ustępowały adrenalinie, ale wreszcie powiedziały basta.

Porywa mnie ocean, a ja mu się poddaję.

Widzę przebłycki obrazów. Twarz Rachel. Dwie Mary. Oczy Ćmy.

Wracam do serwetek. Machają do mnie.

Przyglądam się, jak zmieniają się w trzepoczące skrzydłami piękne białe motyle.

Odlatują jedna po drugiej, zabierają ze sobą szlak, którym mogłam się stąd wydostać.

Dzień dziewiąty



Mój notes przetrwania, 12 lat

Jak nie dać się porwać w nocy

- 1. Zakleić okno superklejem.*
- 2. Nie opuszczać rolet, żeby przez cały czas widzieć, kto idzie.*
- 3. Posadzić róże z kolcami albo sumaka jadowitego pod oknem sypialni (zrobić to w rękawiczkach).*
- 4. Każdej nocy ustawiać na parapecie osiem dzwoneczków.*
- 5. Trzymać pistolet w zasięgu ręki.*

Kiedy się budzę, blade światło ozłaca sosnową podłogę i gołe ściany. Osiem kamyków leży, tak jak leżało, na parapecie. Krzesło nadal blokuje drzwi. Miotła i pistolet czuwają u mego boku. Roleta, którą zerwałam z okna, tkwi zmięta w kącie.

Jest szósta rano, może trochę wcześniej. Od dziecka potrafiłam odgadnąć, która jest godzina. Trenerowi nigdy nie udało się mnie zwieść, nawet kiedy zasłaniał mi oczy. Zsuwam się z futonu i wstaję. Czuję się, jakby ktoś zdzielił mnie cegłą w skroń. W porównaniu z tym ból w rękę to pikuś.

Człapię do okna i wyglądam na drzewo brzoskwini; owoce gniją na ziemi, tam, gdzie upadły. Na zachód od drzewa stoi kamienna studnia z kruszącą się zaprawą. Dalej widzę mieniącą się wodę – to pewnie strumień, w którym Carl napełnił butelkę. Wracam spojrzeniem do studni.

Zegarek wodoszczelny (do 300 metrów) – przychodzi mi do głowy. Absurd. Ta studnia nie ma trzystu metrów głębokości. Może trzy. Najwyżej trzydzieści.

Przenoszę uwagę na wbitą w ziemię rdzewiejącą suszarkę parasolową i zaniedbany skrawek ziemi, na którym dawniej znajdowały się grządki warzywne. Kawałek dalej niewielka zielona polanka kończy się ścianą lasu. Dla uniewinnionego mordercy to musiał być prawdziwy raj w skali mikro.

Wysuwam krzesło spod gałki. Kamyki spadają z siedziska na podłogę.

Nasłuchuję. Cisza, jeśli nie liczyć porannego śpiewu nielicznych cykad, które najwyraźniej starają się wyciągnąć jak najwięcej z krótkiego życia po siedmiu, trzynastu albo siedemnastu latach hibernacji. Cykady zdradzają intrygującą skłonność do snu i liczb pierwszych. Widzisz, Carl? Ja też wiem to i owo na temat cykad.

Robię rundę po domu i zrywam wszystkie rolety, zastanawiając się,

czy kiedykolwiek służyły do tego, by porwana dziewczyna nie mogła się zorientować, jaka jest pora dnia.

Odrażający zapach powoli się rozwiewa albo po prostu zaczynam się do niego przyzwyczajać.

Pięć minut później dom jest nasycony świeżym powietrzem i zalany blaskiem wschodzącego słońca. Wychodzę na zewnątrz i dwa razy niespiesznie okrążam budynek. Na studni leży kawałek kruszącej się, nadłamanej sklejki obciążony sporym kamieniem, żeby wiatr jej nie zerwał. Nie dam rady go podnieść. Ciekawe, czy wuj Carla – a może sam Carl – własnoręcznie wykopał tę studnię.

Strumień okazuje się leniwy i zielony od glonów; żałuję, że wczoraj napiłam się tej wody. Wołam Carla. Na próżno. Myślę o przestrodze trenera, że gorzej być zwierzyną za dnia na obcej ziemi niż nocą na znanym sobie terenie.

Do chóru dołączają kolejne cykady, poziom decybeli rośnie.

W kuchni znajduję zardzewiały nóż do masła, porcję słonych krakersów w starej puszcze i trzy pomarańczowe napoje Gatorade, których termin przydatności do spożycia minął dwa lata temu. Przynoszę kilka brzoskwiń, odkrawam zepsute fragmenty. Uczta, nie śniadanie.

Odzyskuje energię i jestem gotowa do działania.

Wracam do przedpokoju. Stokrotkowe gałki śmieją się do mnie okrągłymi buziami i żółtymi oczami.

Otwórz – kuszą.

W środkowej części szafki znajdują się największe drzwiczki, opisane jako „Gruba Berta”. Przypomina mi się Buffalo Bill z *Milczenia owiec*, który porywał grube dziewczęta i głodził je po to, aby z ich skór uszyć sobie strój. Rachel była szczupła.

Chwytam za gałkę, szarpnięciem otwieram drzwi, widzę maszynę do szycia, starego singera, z nawleczoną beżową nicią gotową do użycia – i o mało nie zwracam śniadania.

Nie sądziłam, że jestem w stanie jeszcze bardziej znienawidzić Carla. Każda chwila spędzona przed tą odrażającą szafką, każdy oddech pełen jej stęchłego odoru strącają mnie coraz głębiej

w mroczną przepaść.

Którą teraz wybrać? Kopciuszka, bo nazwał ją tak w swojej książce? Scarlett, bo któregoś lata niezliczoną ilość razy obejrzałyśmy z Rachel *Przeminęło z wiatrem*? Mak, bo to ulubiony kwiat mojej matki?

Prywatne śledztwo nauczyło mnie przynajmniej tego, że wszystkie zaginione dziewczęta są sobie równe. Każda zasługuje na to, aby być pierwszą.

Krew szumi mi w uszach. Wyciągam rękę i ujmuję gałkę Kopciuszka. Potem Vivian. Mary Louise. Jean. Sophii i Penelope. Wysuwam wszystkie szuflady i otwieram wszystkie drzwiczki tego potwora, jedną po drugiej, żeby mieć pewność.

Aparaty.

George nie był jedynym, któremu Carl nadał imię.

Wszystkie pozostałe również miały imiona.

Obiektywy wpatrują się we mnie jak puste oczodoły. Nie potrafię powiedzieć, co właściwie czuję. Ulgę, że nie odnalazłam makabrycznych trofeów Carla? Niepokój, że Carl nadal kontroluje przebieg gry?

Sięgam za maszynę do szycia, ale znajduję jedynie kurz. Wyjmuję Eleanor, kanciastego kodaka duaflex, i Jean, klasycznego canona z długim harmonijkowym obiektywem, i kładę na podłodze.

Ucząc się Carla, uczyłam się aparatów. Potrafię nazwać niemal wszystkie znajdujące się w szafce modele. Przeszukuję wnęki, w których stały Eleanor i Jean. Są puste. Dlatego na razie zakładam, że w dawnej szafce na przybory do szycia ciotki Carla nie ma nic poza jego kolekcją aparatów fotograficznych.

Na samym dole, tuż nad podłogą, znajduje się szeroka płytki szuflada, której wczoraj nie zauważyłam. Nie ma gałki, jest tylko niewielka dziurka od klucza.

Rozumiem, Carl. Kluczyk, który niczego nie otwiera, jednak do czegoś służy.

Zdejmuję łańcuszek z szyi i klękam. Zaczynam szarpać – i zanim włożę klucz do dziurki, by się przekonać, czy pasuje, szuflada wypada

z przewodnic, a połowa jej zawartości rozsypuje się po podłodze.
Kolejne papierowe duchy.

Światła i cienie, załamania i rozmycia. Carl zgromadził tu co najmniej setkę fotografii, wszystkie w formacie dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów, wszystkie czarno-białe. Pozbierałam je sprawną dłonią, przeniosłam na kanapę – cztery razy kursując między przedpokojem i salonem – i zabrałam się do pospiesznego przeglądania.

Brak zbliżeń kobiety w deszczu i dziewczyny na pustyni. Brak połamanych ciał i kości rozrzuconych pośród zardzewiałych aut na dnie wąwozu w Piney Woods. Brak Dwóch Mary. Większość z tych zdjęć oglądałam po raz pierwszy. Przynajmniej jedna czwarta to portrety psów.

Fotografie obrazują aspekty osobowości Carla, których nie chcę w nim dostrzec.

Czuję ucisk w piersi na myśl o emocjach, które wywołuje Carl. Żal, triumf, tęsknota. Świadomość tego, jak wiele tracimy, czekając na coś, co mamy pod nosem. Magia zwyczajności. Egzotyka za progiem. Każde zwierzę ma duszę, w każdym człowieku tkwi coś przerażająco cudownie oryginalnego. Carl robi zdjęcia przez ciemną szybę. Nic nie trwa wiecznie, mówi. Ani radość, ani ból.

Nigdy nie dążył do tego, by znaleźć się w odpowiednim miejscu i czasie, by uchwycić symboliczny decydujący moment. Rozwiana sukienka Marilyn Monroe, pomocnik kelnera klęczący nad postrzelonym Robertem Kennedym. Carl fotografował to, co miał przed sobą. Dumnego psa, usychające drzewo, nędzne dziecko o twarzy dorosłego, bogacza o twarzy dziecka.

Nagle czuję się odsłonięta, zdemaskowana. Tak jakby z każdego okna, które tak lekkomyślnie otworzyłam, spoglądał na mnie obiektyw aparatu. Staram się opanować pokusę wyjścia stąd, skończenia z leśnym domem Carla raz na zawsze, porzucenia go.

Szybko przekładałam zdjęcia, jedno po drugim, ledwo zwracając

uwagę na to, co przedstawiają. Coś jednak do mnie dociera. Zatrzymuję się. Wracam.

Kwitnąca wistaria przed prostym domem.

Piętro, białe ściany, pojedyncze okno, dwuspadowy dach, a na nim dziewczyna w pelerynie ze starego kwiecistego prześcieradła.

Ma zamknięte oczy i szeroko rozłożone ręce, jakby już była w powietrzu. Na dole na trawie leży cienki materac z dziecinnego łóżeczka, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu jej plan się nie powiódł.

Nie potrzebuję wyobraźni, by wiedzieć, co się wydarzyło potem. Ponieważ stałam tuż poza kadrem.

Moja siostra skoczyła i złamała nogę w kostce i dwa zębra.

To było siedem lat przed jej zaginięciem. Byłam wtedy tuż po swoich piątych urodzinach.

Jeżeli autorem zdjęcia jest Carl, to znaczy, że obserwował nas od bardzo dawna.

Przedzierając się przez las, zrywam z gałęzi wszystkie białe skrawki serwetek. Zacieram ślady.

Chowam je do tobołka z hawajskiej koszuli, w którym znajdują się też dwa napoje pomarańczowe, spory wybór fotografii Carla, dwa zardzewiałe noże do masła, proszki przeciwbólowe i butelka z wodą, nadal pełna – na wszelki wypadek. Od pasożytów ze strumienia wolę przeterminowane gatorade.

Tam, skąd zabieram serwetkę, u podstawy pnia zostawiam jeden z kamyków Carla. W świetle dnia widzę, jak starannie je dobrał – wszystkie delikatnie się mienia w promieniach słońca przenikającego przez gałęzie.

Tak jak każdy szlak, również ten wydaje się bardziej stromy pod górę. Wspinając się z bolącą głową i jedną sprawną ręką, mam poczucie, jakbym zdobywała Mount Everest.

Przyzwyczałam się do kakofonii cykad i chłodnego sosnowego baldachimu, przywykłam tak, że dopiero po dobrym kwadransie orientuję się, że pisk owadów nagle ustał, jakby ktoś pstryknął przełącznik.

Zbliża się burza, być może gwałtowna. Kiedy poprzednim razem odebrałam taki złowieszczy owadzi sygnał, wiatr położył mój namiot, gdy kuliłam się w nim ze strachu wraz z Lily, moją koleżanką skautką – tą, która chowała jedzenie pod łóżkiem i nigdy go nie zjadała.

Przeć dalej pod górę czy cofnąć się na dół? A jeśli Carl przeszedł tędy przede mną i zabrał samochód? Igły na sosnach zaczynają szeleścić i tańczyć. Spływający zboczem chłodny wiatr sprawia, że choć zlane potem, dostają gęsiej skórki.

Nie ma się nad czym zastanawiać. Nie spędzę ani sekundy dłużej w chacie Carla. Przyspieszam, myśląc o pikapie stojącym na polance, tam, gdzie go zostawiliśmy. O ukrytych w nadkolu zapasowych kluczykach. O Carlu obżerającym się w fatamorganie Whataburgera.

Ostatnie trzydzieści metrów daje mi w kość jak długi kilometr. Auto stoi na swoim miejscu. Ćma, przywiązany do drzewa, skamle. Sosny się kołyszą. Niebo wygląda jak namalowana palcami na szybie paskudna czarna plama.

Pies mnie dostrzega i zaczyna rzucać się na smyczy i wyszczekiwać szalone staccato. Jak Carl mógł go tak zostawić? Sam pewnie zamknął się w kabinie i dyskutuje z Waltem przy radiu grającym na cały regulator.

Z tą myślą sięgam do smyczy Ćmy, żeby go odwiązać. Coś tu nie gra. Coś nie pasuje do szacunku fotografa dla zwierząt, szacunku, który uderzył mnie w psich portretach, ani do gorącej sympatii, jaką Carl darzy Ćmę. On kocha psy bardziej niż ludzi. A raczej: kocha je zamiast ludzi.

Odwracam się. Spomiędzy drzew wyłaniają się dwie postaci, biegną prosto na mnie. Ćma na przemian warczy i ujada. Czy to mężczyźni z baru? Ci, którzy próbowali mnie przejechać? Za ich plecami dostrzegam sylwetkę Carla z pistoletem w dłoni. Co tu się dzieje?! Roztrzaskuje się jedna z szyb pikapa. Czyżby Carl celował w moją głowę i spudłował?

Salwa zaskakuje też mężczyzn. Obaj się odwracają, żeby zobaczyć, kto strzela. Błąd. Biorę zamach tobołkiem i z całej siły walę nim tego, który znajduje się bliżej. Bez trudu sprowadzam ogłuszonego napastnika do parteru.

W świetle dnia widzę ich wyraźnie: obaj to podtatusiali trzydziestoparolatki z brzuskami, których jedyną aktywność fizyczną stanowi regularne koszenie trawnika.

Ćma szaleje, szarpie, napina smycz. Drugi z mężczyzn rusza na Carla. Ten naciska spust. Krzyk napastnika, ostry i piskliwy, nie pasuje do gościa jego postury. Postrzelony pada na ziemię, łapiąc się za nogę.

Carl błyskawicznie wyjmuję linę i szarą taśmę klejącą z mojego plecaka.

Na ziemi obok Carla pojawia się krew, ale nie potrafię powiedzieć, skąd się tam wzięła. Carl brutalnie owija mężczyźni nogi taśmą, po czym rzuca mi rolkę.

– Zajmij się swoim. Ręce i nogi.

– Chwileczkę... – Do półprzytomnego „mojego” zaczyna docierać, co się dzieje. Groźne niebo, warczący pies, facet o szalonym wzroku, który zawiązuje pętlę na linie.

– Bez gadania – warczy Carl. – Dawaj go tu, kiedy skończysz.

Po chwili obaj zostają fachowo przywiązani do drzewa.

– Kreskówkowi bandyci. – Carl przygląda im się, szczerząc zęby. – Nieźle się spisałaś z tym hawajskim zawiniątkiem. Weźmiemy Ćmę i przeczekamy burzę w samochodzie. A potem przekonamy się, co ci dwaj mają do powiedzenia.

Pochyla się nad Ćmą i odwiązuje smycz, szepcząc coś psiakowi do ucha. Ćma liże go po policzku.

– Nie gramy w jednej drużynie – protestuję słabo, ale moje słowa giną w trzasku pioruna.

– Wytłumacz się – mówię.

Wracamy do dawnego układu: Ćma z tyłu, Carl za kierownicą, ja na miejscu dla pasażera. Wiatr i deszcz szarpią autem, pioruny biją jeden za drugim. Nie boję się burzy; nasz pikap nie złoży się jak skautowski namiot.

– Poszedłem się przejść i patrz, co znalazłem po powrocie.

– Dokładniej, proszę.

– Przywiązałem Ćmę do drzewa i poszedłem się wysrać w lesie. Bo dopiero co się obudziliśmy. Usłyszałem samochód. Ci dwaj zaparkowali jakieś dwieście metrów stąd. Sprawdziłem – to samo auto, którym chcieli cię przejechać. Czekałem, a oni gadali. Niewiele udało mi się usłyszeć. Gruby ma na imię Marco. Wspomnieli o jakimś fiolecie... Co tak długo? Znalazłaś dziewczynki?

Dopiero po chwili dociera do mnie, że ma na myśli aparaty. Nie wiem, o co może chodzić z tym fioletem. Za to imię Marco sprawia, że coś mi zaczyna świtać.

– Skąd masz broń?

– Ja to mam farta, co nie? Znalazłem pistolet pod fotelem w volkswagenie. Studentki zrobiły się cholernie nieuważne, od kiedy mogą nosić i ukrywać broń. Niewiele brakowało, a nie zabrałbym jej ze sobą, kiedy szedłem się załatwić, ale nie byłem pewien, w jakim będziesz nastroju, jak się tu zjawisz, więc pomyślałem, że może lepiej wziąć.

– Kim są ci ludzie?

– Niby skąd mam wiedzieć?

Powoli dociera do mnie, że Carl zwinął auto razem z pistoletem. Do listy moich przestępstw dopisuję więc pomoc w kradzieży. W dodatku przed chwilą ogłuszyłam człowieka. Uderzając tym tobołkiem, zmieniałam się w kogoś, kogo nie poznaję.

Wciąż leje jak z cebra. Przez mokrą zasłonę przedniej szyby ledwo

widzę sylwetki dwóch mężczyzn. Modlę się, żeby koła nie zapadły się w błocie. Za dwadzieścia cztery godziny pani T zawiadomi policję i zaczną nas szukać. Ktoś inny zauważy zniknięcie tych dwóch. Sięgam do wiszącego na mojej szyi kluczyka na łańcuszku.

– Mogę go dostać z powrotem? Należał do mojej ciotki. Otworzyłaś szufladę w szafce? Ciotka nosiła ten kluczyk jako pamiątkę po ojcu. A także po to, żeby żaden z nas, bratanków, nie dorwał się do jej prywatnych rzeczy. – Carl rechocze. – Okazało się, że trzymała tam pudełko czekoladek, peniuar z nocy poślubnej, parę sprośnych powieści i swoje zdjęcie na pustyni, które zrobił jej wuj, kiedy jeszcze nie byli małżeństwem. On też lubił pstrykać. Wiele mnie nauczył. Kiedy umarł, dostałem po nim kilka dziewczynek.

– Nosileś kluczyk na pamiątkę po ciotce? Twój wuj zrobił to zdjęcie, które nosisz w walizce? Wykorzystałaś szufladę jako schowek na swoje fotografie?

– Zaczynasz łapać.

– Dom...

– Odziedziczyłem go po jej śmierci. Teraz rozumiesz, dlaczego tak bardzo ją lubiłem.

– To znaczy, że jedynym celem wizyty tutaj było to, abym znalazła w szufladzie zdjęcie mojego domu... i mojej siostry?

Czy aparaty w jakiś sposób reprezentują twoje ofiary? Te, o których nie wiem?

– Jak zwykle masz mnóstwo pytań. Wsiadamy. Marco się rusza.

Od razu widać, że Carl jest wprawiony w krępowaniu ludzi. Marco się szarpie, ale daremnie. Jego towarzysz też próbuje się uwolnić, spokojniej i może subtelniej, ale również bez rezultatu.

Wsiadam, trzymając nad głową worek na śmieci. Niepotrzebnie. Deszcz ustał, pozostawiając po sobie nieznośną wilgoć. Błoto pod stopami jest jak gęsty budyń.

Carl zrywa taśmę, którą zakleił usta Marcowi. Ten chce splunąć na Carla, lecz nie trafia.

– Pozwę cię i puszcę z torbami.

– Wątpię – odpowiada gładko Carl, zrywając taśmę z ust drugiego

mężczyzny. Następnie wyjmuję pistolet, który trzymał z tyłu za paskiem spodni, i mierzy w jasnożółtego najka na nodze Marca; drugi jest czerwony od krwi. – Zdradź, proszę, mojej przyjaciółce, dlaczego ją prześladujesz.

Drugi facet, przemoczony i ze zboląłą miną, próbuje usiąść.

– Marco, daj już spokój. Mam żonę i dzieci. To zaszło za daleko.

– Przymknij się, Fred. Chcesz, żeby żona i dzieci dowiedzieli się, co zrobiłeś?

– Ty zrobiłeś, nie ja! Było prawie po wszystkim, kiedy się zorientowałem, co z nią robisz w wodzie. Ja jej nawet nie dotknąłem!

– Jesteś tak samo winny jak ja. W Teksasie sadzają na krześle i sprawców, i tych, co stali z boku i patrzyli.

Policzki Freda robią się szpetnie rdzawoczerwone.

– Ty...

Jego słowa zagłusza trzask wystrzału. Kula wpada do głębokiej kałuży przed Markiem, ochlapując mu twarz błotem.

– Carl! – krzyczę.

– Łeb mi przez nich pęka – skarży się Carl. Nie przesadza, rzeczywiście zaczyna wyglądać na zdeorientowanego.

Natomiast z chaosu w mojej głowie powoli wyłania się ład. Woda. Marco. Fred. Fiolet – *Violet*.

– Ja się tym zajmę, dobrze? – mówię. – Tylko nie strzelaj do nikogo. Czy któryś z was – zwracam się do mężczyzn – jest mężem Gretchen?

Twarcz Freda rozjaśnia się wdzięcznością, tak jakby fakt, że jego żoną jest Gretchen, miał nas do siebie zbliżyć... i uratować mu życie.

– Tak, tak, ja. W maju będzie dziesięć lat. Lecimy na Hawaje świętować. Pozwól mi wyjaśnić. Kiedy tamtej nocy wyszliśmy z Markiem z wody, pomyślałem, że Violet się po prostu ociąga i specjalnie została z tyłu. Że się wściekła, bo Marco posunął się za daleko. Wiesz, bała się, że ja też będę chciał ją przelecieć. Krzyknęła raz.

– Weszliście do wody z Violet – mówię cicho. – Twój kumpel ją zgwałcił, być może utopił, a ty po prostu... sobie poszedłeś. A potem ożeniłeś się z jej najlepszą przyjaciółką.

– Ja naprawdę nic nie zrobiłem... Ani wtedy, ani teraz. Tylko powiedziałem Marcowi, że jakaś kobieta zawraca Gretchen głowę i chce się z nią spotkać na plaży. Myślał, że jesteś glina. Ale przecież nie zachowujesz się jak glina.

– Niby na co liczyła, idąc się kąpać na golasa? – rzuca Marco.

– Mam to wszystko nagrane – oznajmia Carl.

– Co? – pytam.

– To był warunek – wyjaśnia zniecierpliwiony Carl. – Dziewczyny w Austin pomogły mi wybrać iPhone'a. Dopłaciłem trzydzieści cztery dziewięćdziesiąt dziewięć za złote etui, ale było warte każdego centa. Chcesz, żebym odtworzył nagranie? To proste.

– Daj mi ten pistolet.

– Bo co?

Na szczęście posłusznie przekazuje mi broń.

Wysypuję naboje z magazynka, hawajską koszulą usuwam odciski palców, po czym rzucam kule i pukawkę między drzewa najdalej, jak się da. To musi wystarczyć. Znow zaczyna mocniej padać. Bardzo dobrze, deszcz pomoże zatrzeć ślady.

Coraz sprawniej posługuję się jedną ręką. Zerkam na but Marca. Sporo krwi, ale to tylko draśnięcie. Mięczak.

– Carl, zrób im zdjęcie i zmywamy się stąd.

– Nie możecie nas tak zostawić – jęczy Fred. – Woda w strumieniu może się podnieść. Możemy utonąć.

Sprawdzam więzy. Lina leży doskonale, jak ciepły mokry wąż.

– Spokojna głowa. Przecież nie zostawilibyśmy was na śmierć.

– To sarkazm – informuje mężczyzn Carl. – Ona wcale nie jest taka przyjemna, na jaką wygląda. Jest wredna jak szerszeń.

– O rany – marudzi Carl. – A teraz cuchnie jak woda ze studni.

To wystarczy, bym sobie przypomniała, że choć Carl nie podniósł na mnie broni ani nie przywiązał mnie do sosny, to jednak nie jest łagodnym człowiekiem.

Kobieta w deszczu znów siedzi na tylnym siedzeniu, tym razem po wizycie w Carlowej studni. Nawet nie chcę myśleć, co to oznacza. Ciekawe, gdzie się podziewa Walt. Za oknem Marco i Fred drą się jak opętani, szarpiąc za linę, a Carl przekręca kluczyk w stacyjce. Strugi deszczu zalewają przednią szybę. Skowyt Cmy osiąga wyższe rejestry.

Mam ochotę zatkać uszy, ale wiem, że zgiełk nie zniknie. Od momentu, w którym potraktowałam gościa ciężkim tobołkiem, tłumiałam w sobie emocje i wątpliwości, nie chciałam się zastanawiać nad tym, jak głęboką moralną bliznę pozostawi na mnie ta wyprawa, kiedy już skończę z Carlem. Czuję się tak, jakby ktoś rozrywał mi wnętrzności. W mojej głowie kotłują się pytania.

Carl rusza na wstecznym biegu wąską drogą, zamkniętą z dwóch stron sosnowym murem, o który kilkanaście godzin wcześniej z piskiem karoserii otarł bok pikapa.

– Weź stul pysk! – wrzeszczy do zjawy na tylnym siedzeniu. Wolałabym, żeby nie kłócił się z duchami, wykonując niebezpieczne manewry. Korci mnie, żeby go wypytać o kobietę, ale na razie odwracam się i mówię:

– Zostaw teraz Carla w spokoju, dobrze?

– Bez obaw. Pójdzie sobie. Nie znosi, kiedy prowadzę. – Na te dziesięć minut, które zajmuje Carlowi pokonanie kilometra i trzystu metrów na wstecznym, ja też najchętniej przeniknęłabym przez metal na drugą stronę.

Bolą mnie zęby od zaciskania, ale na szczęście w końcu wyjeżdżamy na solidniejszą drogę. Tylny błotnik pikapa jest w opłakanym stanie. Od razu dostrzegam nad drzewami, na tle

szaroniebieskiego skrawka niespokojnego nieba maszt telefonii komórkowej. Czyli wcale nie jesteśmy aż tak daleko od cywilizacji, jak sądziłam.

– Dobra robota. – Chwalę Carla regularnie jak w zegarku bez względu na to, w co przyładuje.

Wróciliśmy na krętą Trasę Jamesa Deana. Carl pokonuje ją w tempie traktora. Boję się, co będzie, kiedy mocniej wciśnie gaz. Próbuję zajrzeć do wąwozu, by zobaczyć cmentarzysko wraków, ale skraj urwiska zasłaniają splątane korzenie.

– Dokąd teraz? – pyta Carl.

Myślę o dwóch mężczyznach, których zostawiliśmy w błocie na polanie. I o uciekającym czasie. Jutro do północy Carl musi się zameldować u pani T. Jeśli tego nie zrobi, właścicielka domu przejściowego z całą pewnością zawiadomi policję. Skłamię na temat tego, w jaki sposób Carl opuścił dom, i bez wątpienia zrzuci całą winę na mnie. Zrobi wszystko, żeby nie dopuścić do wyschnięcia źródelka pieniędzy.

– Możemy pojechać, dokąd chcesz – odpowiadam. – Dokąd chce Walt. Zadzwoń, dobrze? – Sięgam po leżącego na podłokietniku połyskującego złotym etui iPhone’a.

Carlowi drga kącik ust.

– Nie boisz się, że nas przez to namierzą?

– Szybko się uwinę.

Okazuje się, że pomimo środków ostrożności łatwo mnie wyśledzić. Widocznie nie znalazłam wszystkich lokalizatorów. Czy Fred i Marco jechali za mną od spotkania na plaży? Czy Fred wtajemniczył Gretchen w okoliczności śmierci Violet? Czy smutek i poczucie winy zaślepiły ją do tego stopnia, że wpadła w ramiona sukinsyna, który ślubował jej miłość i wierność z pełną świadomością, że pozwolił Violet, jej najlepszej przyjaciółce, utonąć w mętnych wodach zatoki?

Wybieram numer, trzymając telefon w trzęsącej się dłoni.

Kiedy w słuchawce odzywa się Andy, wypełnia mnie wdzięczność. Jego spokojny, pewny głos jest jak ciepła dłoń na moim policzku.

– Dzięki Bogu – mówi Andy. – Jesteś cała?

– Tak.

– Feldman jest z tobą?

– Tak.

– Moi ludzie twierdzą, że opuściłaś z nim szpital w Alpine po tym, jak lekarze założyli ci szynę na rękę. Czy to prawda?

– Jacy ludzie? FBI? Naprawdę mnie śledziłeś?

– Chyba nie sądziłaś, że puszcze cię zupełnie samą? Zebrali solidny opieprz za to, że cię zgubili. Mieli pecha, bo samochód, który przed nimi jechał, miał wypadek i zatarasował drogę. Musisz wiedzieć, że namierzamy twój numer. Sprawdziłem tę rejestrację. Auto jest z wypożyczalni, wynajął je niejaki Marco Barone z The Woodlands. System skojarzył jego nazwisko ze sprawą zaginięcia Violet Santany w Galveston, w której był świadkiem. Mówi ci coś to nazwisko?

– Owszem. Marco i jego kumpel czekają na odebranie.

Cisza w słuchawce.

– No dobrze – odzywa się w końcu Andy. – Skoro nie zamierzasz rozwinąć tematu, będę po prostu mówił dalej. Nie chcę, żebyś się poczuła w jakikolwiek sposób usprawiedliwiona, bo nie o to chodzi, ale twoje grzebanie poskutkowało zwrotem w sprawie Vickie Higgins z Calvert. Wczoraj zgłosiła się na policję kobieta, która wcześniej zapewniła alibi mężowi Vickie – obecnie jego druga żona, jak się okazuje. Przyznała, że skłamała, mówiąc, gdzie gość przebywał tamtego popołudnia, gdy zamordowano jego pierwszą żonę. Podobno pogawędka z seryjnym mordercą i jego stukniętą córką nieźle ją wystraszyła. Twierdzi, że śnią jej się koszmary, w których dusi się ślubnym welonem. Domyślam się, że rozumiesz znaczenie tego wszystkiego.

Milczę.

– Wychodzi na to, że Feldman prawdopodobnie nie odpowiada za śmierć ani Vickie Higgins w Calvert, ani Violet Santany w Galveston, zgadza się?

– Rzeczywiście. Na to wychodzi.

– Powiązałaś te dwie sprawy z Feldmanem, prawda? Powiesz mi, co wiesz na temat Violet?

Dwa z trzech czerwonych kółek na mojej mapie wyeliminowane. Odkupione. Zastanawiam się, jak wiele zdradziłam Andy'emu przed

rokiem, nakręcona mocnym Lemon Drop z martini, a ile sam się domyślił.

Wiem, że ilekroć używa zwrotu „zgadza się” w pytaniu, nie zwraca się do dawnej kochanki. Przesłuchuje mnie. Jestem tropem. Jestem przydatna. Dlatego mnie nie aresztował. Mimo to będę musiała trochę mu zaufać.

– Nadal uważasz, że Carl Feldman zamordował twoją siostrę? – pyta.

Oto ono: ważne, niewygodne pytanie.

Las za oknem przesuwa się powoli. Carl wydaje się oszołomiony. Nie oddaliliśmy się zbyt od polanki, na której pozostawiliśmy dwóch zabójców.

– Mam zamiar – mówi Andy.

Rozłączam się. Potem przesyłam Andy’emu nagranie z Fredem i Markiem. Waham się przed pokazaniem mu zdjęcia tych dwóch przywiązanych do drzewa, ale w końcu wybieram „załącz” i „wyślij”.

– Co robisz z telefonem? – pyta podejrzliwie Carl.

– Wyłączam go – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Wycieraczki na przedniej szybie zaczynają piszczeć. Deszcz ustaje. Niebo się przejaśnia. Wyjeżdżamy na szosę, Carl zatrzymuje auto na poboczu i zamieniamy się miejscami. Patrzy szklistym wzrokiem. Wolę prowadzić jedną ręką niż zastanawiać się, czy nie zasnął albo czy nie zapomniał, że siedzi za kółkiem.

Jeśli będę jechała siedemdziesiąt na godzinę z potrząskanym błotnikiem i migającymi przyjaźnie tylnymi światłami i jeżeli będę się usuwała z drogi każdej przetaczającej się z hukiem sto czterdzieści na godzinę ciężarówce, to chyba dam radę. Carl jeszcze nie powiedział, dokąd chciałby jechać, dlatego na razie po prostu trzymam się prawego pasa.

Walczę z wątpliwościami i pokusą dania za wygraną, powtarzając w głowie mantrę Johna le Carrégo. Mój trener wyrzaskiwał mi te reguły w twarz, kiedy czułam się najpodlej, jak to możliwe, jak szczur u jego stóp.

Ufaj intuicji.

Niczego nie zakładaj.

Potencjalnie każdy może być na usługach twojego przeciwnika.

Nie oglądaj się za siebie; nigdy nie jesteś całkiem sam.

– Walt ma ochotę na zieleninę i fasolę czarne oczko – oznajmia Carl.

Uśpij ich czujność, aż popadną w samozadowolenie.

– Dobrze – zgadzam się. – Gdzie konkretnie? Muszę wiedzieć, jak jechać.

– Lubimy Pickett House przy następnym zjeździe w Woodville. Chodziłem tam z ciotką i wujem. Tłuczone ziemniaki, babeczki, smażony kurczak. Prawdziwe jedzenie.

Unikaj rutyny, bądź konsekwentna w kamuflażu. Płyń z prądem; wtapiaj się w otoczenie.

Sama już nie wiem, co jest moim kamuflażem. Jestem brudna. Śmierdzę. I nie pamiętam pozostałych reguł.

Zaczynam układać w głowie nową listę.

Punkt pierwszy.

Siedem lat przed zaginięciem Rachel Carl zatrzymał się przed naszym domem i zrobił zdjęcie mojej siostrze stojącej na dachu. Na pewno widział w wizjerze również pięcioletnią mnie.

Carl mnie uratował.

To naprawdę najzmyślniejsza z jego dotychczasowych gier.

By dojść do tego wniosku i odsunąć na bok uczucie wdzięczności, potrzebuję całej drogi do Pickett House.

Wsuwam dłoń do hawajskiego tobołka i wyjmuję starą fotografię, na której Rachel stoi z rozłożonymi rękami na dachu naszego domu. Kładę ją na plastikowym obrusie obok szklanki z bursztynową mrożoną herbatą, która kojarzy mi się z whisky mojej matki.

Podsuwam zdjęcie zajądającemu się fasolą Carlowi. Na talerzu góra zieleniny i smażonego kurczaka polana gęstym sosem pieczeniowym. Jest coś nieprzyzwoitego w jego apetycie, jakby Carl nigdy nie miał dość.

Siedzimy przy końcu długiego stołu piknikowego. Naszym jedynym towarzyszem jest stary ponury farmer ze wschodniego Teksasu, gość, który na pewno zarzyna dziki dla czystej frajdy, ale nami się na szczęście nie interesuje. Gdyby wiedział, kim jest Carl i jakie informacje próbuję z niego wydobyć, podejrzewam, że poszedłby do pikapa po swoją strzelbę i załatwił sprawę za mnie.

– Znalazłam je w szufladzie w szafce twojej ciotki – mówię przyciszonym głosem.

– Dziewczyna szykuje się do lotu – odpowiada Carl.

– To ty zrobiłaś to zdjęcie?

– Spontaniczna klasyka. Niewiele brakowało, żeby trafiło do albumu.

– Wiesz, jak ma na imię?

– Nie mam pojęcia.

– Jasne – rzucam z przekąsem. – Nazywa się Rachel. Jest moją siostrą.

– No proszę, ale zbieg okoliczności. To dlatego myślisz, że ją zabiłem?

– Carl, przecież sam mnie naprowadziłeś na to zdjęcie. Wiesz, czyj to dom.

– Pewnie. Mojej kuzynki.

Przechodzi mnie ponury dreszcz.

– Jak miała na imię? – Nie dopuszczam do siebie myśli, że jesteśmy spokrewnieni, że w moich (i Rachel) i Carla żyłach płynie ta sama krew.

Przysuwa sobie talerzyk z krzywo ukrojoną porcją placka brzoskwiowego.

– Nazywaliśmy ją Edie. Była dużo starsza ode mnie. Jakoś się nie dogadywaliśmy.

Prostuję plecy.

– Chodzi ci o Ednę? Ednę Zito?!

Moją Ednę? Ednę z domu spokojnej starości? Ednę, poprzednią właścicielkę naszego domu?

– Edie. Edna. Mówiliśmy też Ed, kiedy chcieliśmy jej dopiec. Co za różnica? Kiedy przyjechałem, już tam nie mieszkała. Taka mała dziewczynka powiedziała, że pani od lasagne się wyprowadziła. A potem ta na dachu skoczyła. Zrobiło się zamieszanie.

To ja byłem tą małą dziewczynką! Moje wspomnienia z tamtego dnia są niewyraźne: sąsiedzi, karetka, matka klęczy i na zmianę przytula i ochrzania Rachel. Teraz już wiem, że Carl też tam był.

– Postanowiłeś odwiedzić kuzynkę Ednę z jakiegoś konkretnego powodu? – Staram się panować nad głosem.

Przez kilka sekund Carl piorunuje mnie wzrokiem.

– A niech tam. Zdradzę ci tajemnicę, przez wzgląd na twoją siostrę. Edie mnie szantażowała. Po śmierci wuja opublikowałem zdjęcie dwóch Mary jako własne. Ukazało się w międzynarodowym czasopiśmie o fotografii. Zdobyło nagrodę. Edie miała jedną z oryginalnych odbitek wuja. Przez wiele miesięcy groziła, że mnie zdemaskuje. W tamtych czasach ludzie byli mniej wielkoduszni. Przestrzegano pewnych zasad. Nie twierdzę, że nie żałuję, że to zrobiłem. Moje własne prace są wystarczająco dobre.

Przetrawiam jego słowa. Nieromantyczne, podłe. Brzmia szczerze.

– Mimo to pozwoliłeś na umieszczenie *Dwóch Mary* w albumie. –

Nawet nie staram się ukryć pogardy w głosie. – Swojej *autorskiej* książce.

– To było wiele lat później. Wydawca się uparł. Zdjęcia, które zdobywają nagrody, dobrze się sprzedają. – Wzrusza ramionami. – Niewiele ryzykowałem. Przeszukałem pokój Edie w domu spokojnej starości kilka dni po tym, jak zrobiłem zdjęcie Supergirl na dachu. Jej dom też, zajrzałem w każdy kąt. – Zawiesza głos. – *Twój dom.*

Śniły mi się palce Carla myszkujące w naszych szufladach. Palce śmierdzące utrwalaczem. Brudzące rzeczy Rachel. Moje rzeczy.

Czy byliśmy wtedy w domu? Czy spałyśmy?

Zdjęcie Rachel nadal leży na obrusie w niebieską kratę, zwrócone w stronę Carla. Nie mógł wiedzieć, że peleryna Superwoman była zrobiona ze starego prześcieradła w kwiaty, które dostałyśmy po babci. Nie mógł widzieć klamerek do bielizny, którymi Rachel przymocowała pelerynę do koszulki. Ani fioletowej plamy tam, gdzie rok wcześniej rozlała w łóżku sok winogronowy.

– Powiedz – odzywam się chłodnym tonem, stukając palcem o zdjęcie – czy tego samego dnia zacząłeś chodzić za moją siostrą?

Carl odsuwa talerzyk.

– Pomyliło ci się – mamrocze. – Nie naciskaj.

Ogarnia mnie dziwny spokój. Powinnam się zagotować ze złości i frustracji, sięgnąć przez stół i zacisnąć palce na szyi Carla tak, że nawet farmer o umięśnionych ramionach nie byłby w stanie mnie od niego oderwać. Nie ruszam się jednak z miejsca, a nawet celowo opieram się całym ciężarem na drewnianej ławie.

Mam na końcu języka pytanie: Co zrobiłeś z ciałem Rachel?

Ale wiem, że on chce, bym je zadała.

Wiem, że Carl ma już przygotowane kłamstwo, więc nie robię tego.

Co innego jutro.

Jutro to się skończy.

Carl uśmiecha się do mnie nad blatem stołu.

– Sypiałaś pod kołdrą w niebieskie jednorożce?

Dzień dziesiąty



Mój notes przetrwania, 12 lat

Jak odnaleźć mordercę siostry

- 1. Ułożyć plan.*
- 2. Być gotowym umrzeć.*

Na moim tanim zegarku jest minuta po północy.

Ważny dzień. Dzień, w którym odstawię Carla do pani T albo... postanowię go zabić. Dzień, w którym uzyskam ostateczne odpowiedzi i będę mogła pochować moją siostrę, tak jak należy, na cmentarzu w Weatherford, gdzie latała, robiła salta i żyła wiecznie młoda jak Piotruś Pan. Kupiłam dla niej kwaterę pod pięknym dębem, sześć metrów od Sophronii. Wybrałam epitafium.

Zegar tyka. Pomiędzy mną a Carlem panuje spokój. Zatrzymaliśmy się pod Fort Worth w tandetnym motelu Ten-Star. Carl znajduje się po drugiej stronie drzwi oddzielających nasze pokoje, rozmawia z Waltem, z Ćmą, z mokrą kobietą zjawą czy z kim tam jeszcze.

Zjedliśmy posiłek i potem już się do mnie nie odezwał. Zaproponował pieszą wyprawę do pobliskiego rezerwatu Big Thicket, ponieważ chciał zobaczyć na żywo i w akcji rzadką mięsożerną roślinę o nazwie kapturnica, ale się nie zgodziłam. Zachowywał się, jakby zupełnie zapomniał o naszej surrealistycznej rozmowie nad smażonym kurczakiem sprzed zaledwie kilku minut. Powiedział, że chce zrobić kapturnicy zdjęcie swoim nowym iPhone'em.

– Sprytnie toto – zachwycał się.

W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi mu o telefon, miał jednak na myśli kapturnicę, która wabi owady do wysokiego kielicha przypominającego flakon na słodki nektar. Owady toną w wodzie gromadzącej się na dnie kielicha albo zdychają z wycieńczenia, próbując wspiąć się po jego śliskich ściankach.

– Następnie enzymy rozkładają ich martwe ciała – poinformował mnie Carl. – Wymazują je z powierzchni ziemi.

Wyobraziłam sobie wnętrze studni w Piney Woods, tę wypełnioną zieloną mazią misę o ścianach oblepionych szlamem, po których nie sposób się wspiąć. Uzmysłowiło mi to, że seryjni mordercy od milionów lat są częścią natury.

– To warunek – zażądał gniewnym tonem, kiedy odmówiłam.

– Lista warunków zostaje zamknięta, dopóki się nie dowiem, co się stało z moją siostrą.

Odpowiedzią na groźbę okazało się milczenie. Pojechałam w stronę Fort Worth, nie wiedząc, co zrobię, kiedy dotrzemy na miejsce. W końcu postanowiłam ulokować nas w tej norze.

Podchodzę do drzwi pokoju Carla i zamykam je. Nie ma łańcuszka. Blokada została w aucie. Zresztą i tak nie wiem, czy zdołałabym ją zamocować jedną ręką.

Wsuwam glocka pod poduszkę.

Carl stoi nad moim łóżkiem. Jego sylwetka tonie w ciemności, z wyjątkiem twarzy, na którą pada blask upiornego niebieskiego światła.

– Walt mówi, że chyba wie, gdzie jest twoja siostra. Zapisał adres i poprosił, żebym ci go przekazał.

Siadam na łóżku i zapalam lampkę. Z sąsiedniego pokoju, do którego drzwi są szeroko otwarte, dobiega niezbyt głośny śmiech widowni *Familiady*.

– Słyszysz mnie? Walt ma adres twojej siostry. Myślałem, że się bardziej ucieszysz.

Trzyma dwa przedmioty: iPhone'a – to jego ekran tak podświetla mu twarz – i karteczkę wyrwaną z motelowego notesu. W górnej części rząd czerwonych, białych i niebieskich gwiazdek, a pod spodem niechlujne odręczne pismo, które nie wygląda jak pismo Carla.

Ciekawe, ile czasu Carl bawił się telefonem. I jak długo zajęło Andy'emu i jego ludziom namierzenie nas w tym pokoju.

Sięgam po karteczkę. Trzyma ją odrobinę dłużej, niż to konieczne – znak, że nadal jest na mnie zły.

Nie kłamał. Adres wskazuje miejsce przy drodze niedaleko Burleson. Całkiem blisko Fort Worth. Może piętnaście kilometrów od domu, w którym spałyśmy w jednym pokoju i w którym widziałam ją po raz ostatni.

– Dobrze, pojedźmy tam – odpowiadam od niechcienia, jakby nie

chodziło o nic ważnego. Jakbyśmy się wybierali do kina albo obejrzeć mięsożerną roślinę. – Daj telefon, sprawdzę, gdzie to dokładnie jest.

– Najpierw wymelduj nas z tej nory – upiera się. – Bo już tu nie wrócimy.

Po niebie płyną lekkie strzępiaste białe chmury. „Nastrojowe światło”, mawiał tata, kiedy wstawał o wczesnej porze na polowanie. Chłodna poświata, która ułatwia orientację w terenie, ale utrudnia odstrzelenie pięknego zwierzęcia bez poczucia winy.

Carl jest pilotem – siedzi na miejscu dla pasażera i prowadzi nas, wyraźnie czerpiąc przyjemność z obserwowania przyjaznej strzałki na ekranie telefonu, wskazującej drogę do czerwonej kropki.

Na wiejskiej drodze ani jednego auta, tak jak się spodziewałam. Niekończące się ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem. Płaskie pola upstrzone zgrabnymi walcami zbelowanego siana. Mrożąca krew w żyłach, przenikliwa cisza, tak jakby umarło wszelkie stworzenie, a dni ziemi były policzone.

– Skręć w najbliższą w prawo – instruuje Carl. – To ten dom na wzgórzu.

Pikap powoli wspina się po gruntowym podejździe. Nie patrzę jednak na wskazany przez Carla dom, bo wbijam spojrzenie w stojącą nieopodal czerwoną stodołę.

Kiedy opuszczaliśmy motel, czułam się tylko otępiała. Teraz zaczynam się bać.

– W oknie świeci się światło – zauważa Carl. – To dlatego, że uprzedziłem ją o naszym przyjeździe. Jeżeli sens całej tej wyprawy sprowadza się do udowodnienia, że jesteś tak samo odważna jak twoja siostra, to teraz będziesz miała okazję to zrobić.

Nie chcę już więcej błagać Carla o odpowiedzi. Wyłączam światła i powoli toczymy się podjazdem.

Dom, do którego się zbliżamy, to zwyczajny niski budynek z białej cegły. Podniszczona czerwona stodoła wygląda jak ta, o którą opierała się Rachel, pozując do zdjęcia. Dziwnie się czuję, wchodząc po schodkach na ganek i grzecznie pukając do drzwi. Wszystko to wydaje mi się mocno nierzeczywiste.

Otwiera nam kobieta po sześćdziesiątce, ubrana w spłowiały męski T-shirt, dzinsy i lawendowe kapcie. Nie jest zaskoczona naszym widokiem. Przypomina mi matkę, nie ze względu na rysy czy charakterystyczne kapcie, lecz z powodu wyrazu znużenia, który przyrósł jej do twarzy.

– Dzień dobry, nazywam się Sherman, Williamowa Sherman – mówi.

Nie odpowiadam, nie przyjmuję jej wyciągniętej dłoni. Za to Carl ochoczo nią potrząsa i przedstawia się.

Kobieta zaprasza nas do salonu: ślady po odkurzaczu na brązowym dywanie, obicie kanapy z motywem kolorowych jesiennych liści, dwa fotele zwrócone w stronę telewizora. Na szklanej ławie dzbanek mrożonej herbaty, trzy szklanki i talerzyk ciasteczek maślanych.

Pokazuje, byśmy spoczęli na liściach. Kręcę głową. Carl siada.

Dopiero wtedy zauważam, że ściska fotografię Rachel, tę na tle czerwonej stodoły – tę, którą zwędził z hotelu w Houston. Kiedy sięgnął za oparcie fotela, gdy tu jechaliśmy, pomyślałam, że chce uspokoić Ćmę, on jednak wyjmował zdjęcie.

Carl bierze ciasteczko i kładzie moją siostrę na szklanym blacie twarzą do dołu. Otwieram usta, w końcu jednak nic nie mówię – ponieważ wpatruję się w czerwoną pieczętkę na odwrocie zdjęcia.

„Fotografia portretowa A-Plus”.

Od bardzo dawna nie wracałam myślami do tej pieczętki. Rachel

zniknęła ponad rok po tym, jak zostało zrobione zdjęcie. Fotografa poleciła mojej matce znajoma z kościoła. Siedem koleżanek Rachel również skorzystało z jego usług. Żadna nie zaginęła.

Mimo to trzy albo cztery razy zadzwoniłam pod numer widoczny na pieczętce. Za każdym razem zgłaszała się automatyczna sekretarka o miłym głosie kobiety z teksaskim akcentem. Miałam wtedy trzynaście lat.

Nagrałam wiadomości, na które nigdy nie doczekałam się odpowiedzi.

Teraz czuję, jak włoski na karku stają mi dęba. Ponieważ na pieczętce widnieje również adres. *Ten* adres.

– Niech ktoś mi powie, co się dzieje – proszę na pozór spokojnie, podczas gdy trzynastolatka we mnie drze się w niebogłosy.

Carl zaczyna nucić.

Sięga po jedną ze stojących na ławie oprawionych fotografii, następnie obraca ją w moją stronę, żebym mogła zobaczyć, kto jest na zdjęciu.

Delikatna uśmiechnięta twarz w srebrnej ramce bardzo przypomina twarz mojej siostry. Nigdy wcześniej nie widziałam tej dziewczyny.

– Proszę nie dotykać. – Pani Sherman ustawia fotografię w poprzednim położeniu, przodem do telewizora, tak jak fotele. Szczęśliwa rodzinka. – Może po prostu przejdziemy do stodoły – proponuje.

Stodoła jest olbrzymia i prawie pusta. Uprzątnięta podłoga. Buczące jarzeniówki. Ledwo wyczuwalny zapach obornika. W głębi lina zwieszająca się z krokwi.

– Tutaj mój mąż powiesił się po tym, jak zabił pani siostrę. – Pani Sherman wskazuje linę gestem, jakim kustosz w muzeum prezentuje eksponat. – Kiedy zrobił zdjęcie pani siostrze, nie mógł uwierzyć w to, jak bardzo była podobna do naszej Audrey.

Głowa mi pęka od nucenia Carla, rehotu Steve’a Harveya, pisku cykad.

Muszę się skoncentrować na Carlu. Czy tych dwoje się zmówiło?

Carl podchodzi do liny, pociąga za nią, wypróbować.

Kobieta nie zwraca uwagi na nic poza swoją historią.

– Nasza córka zmarła kilka lat przed tamtymi wydarzeniami. Mąż myślał, że pani córka została nam, wie pani... zesłana. Poprosił ją, żeby odwiedzała nas przynajmniej raz w tygodniu, abyśmy mogli powspominać Audrey. Przychodziła przez kilka miesięcy, zapewne z litości, a potem napisała bardzo uprzejmy list, w którym wyjaśniła, że niestety nie może już u nas bywać. Sądziłam, że mąż to zaakceptował. Okazało się jednak, że chodził za Rachel, kiedy przyjeżdżała do domu z uczelni. Później twierdził, że chciał tylko porozmawiać. Kiedy przyjechali, leżała na platformie pikapa i już nie żyła. Było bardzo, bardzo mało krwi. William powiedział, że to był wypadek.

Kobieta obejmuje mnie ramieniem. Odtrącam je. Carl nadal bawi się liną.

W mojej głowie pojawiają się nowe obrazy. Mnóstwo obrazów.

– Pan Feldman powiedział mi przez telefon, że jest pani jej siostrą – mówi pogodnie kobieta. – Rachel bardzo panią kochała. Za każdym razem, gdy do nas przychodziła, wiele o pani opowiadała. Chciałaby pani zobaczyć jej grób?

Wprawiona przez Carla w ruch lina buja się jak wahadło. Na zewnątrz słychać niosący się pustą wiejską drogą jęk syren.

– „Kłamstwo to rzecz pożyteczna, gdyż wiedzie do prawdy”¹². Dostojewski. W stodole niejedno się może zdarzyć. Stuprocentowo Carl Feldman.

Carl łapie mnie za łokieć, odciąga od pani Sherman, wciąż dumnie noszącej nazwisko zabójcy mojej siostry.

– Nigdzie z tobą nie pójdzie – zwraca się do niej. – Wariatka z ciebie, i tyle. Spierdalaj z powrotem do domu, zanim coś we mnie wstąpi.

Puszcza mnie. Nic nie poradzę – zginam się wpół, opieram dłonie na kolanach i wbijam spojrzenie w podłogę, walcząc z dudnieniem w głowie i uciskiem w piersi. Oddychaj! Słyszę, jak zamykają się drzwi stodoły.

W końcu się prostuję. Pani Sherman wyszła, a Carl chichocze.

– Uznałem, że prędzej uwierzysz, jeśli to wyjdzie od niej. Bardzo chciała ci się z tego wypowiadać. Wciąż pamięta te wiadomości, które zostawiłaś na jej sekretarce, kiedy byłaś mała. Myślała, że wtedy wszystkiego się domyśliłaś. I każdego dnia zastanawiała się, kiedy się zjawisz. No już, weź się w garść. Na pewno masz przy sobie broń. Te syreny oznaczają, zdaje się, że ktoś się zbliża. Nie wracam do pani T, nie ma mowy. Zabrałem resztę twojej forsy. Zostawiłaś kluczyki w wozie?

Nie czeka na odpowiedź.

– W zasadzie dobrze się bawiłem. I nieważne, jak naprawdę masz na imię. Gdybym miał córkę, mogłaby być taka jak ty. Nie wiem, czy ci to poprawi humor, ale wcale nie jestem aniołem, po prostu obstawiałaś niewłaściwe rzeczy.

Stoi w drzwiach stodoły skąpany w porannym świetle, do którego wzdychają fotograficy, a którego rolnicy prawie nie zauważają.

– Z początku myślałem, że to jakaś twoja gierka. Wiesz, kiedy w hotelu pokazałaś mi zdjęcie swojej siostry. Że twoim zdaniem to ja je zrobiłem. A potem dotarło do mnie, że nie masz pojęcia. – Dotyka mojej brody, unosi ją delikatnie, jakby ustawiał mnie do zdjęcia. – Twarz twojej siostry na tamtej fotografii dała mi do myślenia. Ta mowa ciała... Rachel patrzyła na człowieka, którego nie lubiła. Który budził w niej odrazę. Większość ludzi widzi na zdjęciach to, co chce zobaczyć. Natomiast fotograf *wie*.

Podnosi dłonie trzymające niewidzialny aparat, przykłada go do oka, pstryka, uśmiecha się.

Carl, ten człowiek, na którego polowałam i którego nienawidziłam, nie zabił mojej siostry. Pokazałam mu zdjęcie, a on po prostu odgadł. Sam by to zapewne ujął tak: „Zaryzykowałam twierdzenie, opierając się na posiadanych informacjach”.

– Mam na imię Grace – mówię, ale jego już nie ma.

Dziś wszystkim, co widzę w zdjęciu mojej siostry, jest strach. Nie potrafię patrzeć na czerwone stodoły, nie myśląc o bujającej się linie. Ani na dęby, nie przypominając sobie drzewa, pod którym Rachel została pogrzebana na placu za domem na wzgórzu.

Dąb, a pod nim prosty drewniany krzyż pomalowany na biało. Grzebiąc Rachel, pani Sherman okazała jej więcej szacunku, niż przypuszczałam – może poza tym, że umieściła ją w ziemi pół metra od człowieka, który ją zabił.

Kiedy Andy i jego ludzie wpadli do domu, zastali mnie w salonie. Siedziałam w jednym z foteli Shermanów, trzymając glocka na kolanach. Pani Sherman zajmowała drugi fotel i tuliła do piersi zdjęcie swojej córki. Ćma leżał między nami. Nie pamiętam, co wtedy myślałam ani co zamierzałam zrobić.

Od tamtej pory w każdej sytuacji – przed opinią publiczną, w kontaktach z policją i z prawnikami – Andy na różne sposoby zapewniał mi niewidzialność. Wymazał moje winy.

Jestem zagadkową młodszą siostrą, jedną z bohaterek narracji towarzyszącej zbliżającemu się procesowi pani Sherman. Matactwo, zatajenie dowodów, ukrycie ciała... Przestałam w końcu interesować się stawianymi jej zarzutami.

Zostałam po cichu wezwana na świadka podczas postępowania przed wielką ławą przysięgłych w sprawie Marca i Freda, mimo że nagranie Carla nie pozostawiało żadnych wątpliwości. *Odkupienie pięknej Violet*, głosił nagłówek w „Houston Chronicle”.

W Calvert mąż Vickie Higgins awansował na głównego podejrzanego w sprawie jej śmierci. Jego patykowata żona odeszła, zabierając dzieci. Policja ponownie bada wszystkie dowody rzeczowe związane ze sprawą, szuka śladów DNA.

Splaciłam długi zaciągnięte w drodze: uregulowałam należności na podrobionych kartach kredytowych, zamknęłam konta, naprawiłam

pikapa z wypożyczalni, wysłałam anonimowy list z pieniędzmi na adres pogotowia w Alpine.

Poinformowanie matki, że to ona sama poznała swoją córkę z mordercą, było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek musiałam zrobić. Nie patrzyłam z naganą na szklaneczkę bursztynowego płynu, którą ścisnęła w dłoni. Po raz pierwszy cieszyłam się, że ma się czym znieczulić.

Andy, matka, prawnik – wszyscy oni uważają, że w dążeniu do prawdy zadałam sobie zdumiewająco wiele trudu. A przecież znają tylko niewielki fragment całej historii.

Trzy dni po tym, jak Carl odjechał pikapem, wręczył większość moich pieniędzy jako napiwek kobiecie z autyzmem, która sprząta ze stołów w jednym z Whataburgerów, resztę zaś oddał taksówkarzowi, który na życzenie Carla zawiózł go z powrotem do domu pani T.

– Świat oszalał – rzekł Carl dobitnie. – Jeszcze trochę tu posiedzę.

To było dziesięć wizyt temu. Nadal nie poruszył tematu wyprowadzki z tego miejsca, choć przecież zarzekał się, że nigdy tu nie wróci.

Znów stoję na progu domu pani T i wciąż usiłuję odłamek po odłamku usuwać potłuczone szkło z umysłu Carla.

Mam ze sobą jedną z połówek *Podróży w czasie*. Dwie Mary są jak zawsze piękne i niepokojące. Boję się, że pewnego dnia sięgnę po album i ich nie zobaczę. Zostaną wymazane, przetrwa jedynie zimny pusty las. Ktoś je porwie, zabierze jak Rachel. Wyobrażam sobie takie rzeczy, mimo że zajrzałam do wykazu zgonów w roku 1946 i w części poświęconej ofiarom grypy znalazłam Mary Fortson i Mary Cheetham.

Carl pochłania tłustą zawartość torby z Dairy Queen (to ode mnie – dawny warunek) i głaska Brednię (nowy warunek). Pani T i Carl zawarli pewnego rodzaju porozumienie, w myśl którego Carl powstrzymuje się przed relacjonowaniem drastycznych historii, które ogląda na Discovery Channel, kobiecie w ślubnym welonie.

Pokazuję mu fotografię kobiety w deszczu. Przeczucie podpowiada mi, że Carl ją zabił.

– Mówiłem ci – warczy. – Nie chcę oglądać tego przekłętego zdjęcia. I tak za często ją widuję. Śpi ze mną w tym tygodniu. Przynosi tyle wody, że pani T myśli, że sikam do łóżka.

– Zagrajmy w naszą grę – upieram się. – W *Prawdę albo nachos*.

Wzrusza ramionami. Ma pełne usta, a kiedy podnosi rękę, żeby włożyć do nich frytkę, całe jego ramię wpada w drzenie. Pani T mówi, że mu się pogarsza.

– Znasz jej imię?

– Nie powiedziałaś: „Prawda albo nachos”.

– Prawda albo nachos. Znasz jej imię?

– Nie. Zapytaj o coś innego. Zapytaj, czy zabiłem tamtą dziewczynę w Waco.

– Czy zabiłeś Nicole Lakinski?

– Uniewinniony. Przykro mi. Powtórne pociągnięcie do odpowiedzialności za to samo przestępstwo.

Czasem mam wrażenie, że zwyczajnie drażnię się z ekscentrycznym, śmiertelnie chorym starszym panem. Czasem wydaje mi się, że to on drażni się ze mną. Pani T pokazała mi jego wyniki badań z Houston. Choroba dosłownie zżera mu mózg. Nie obchodzi mnie to. Będę próbowała dopóty, dopóki istnieje choć cień szansy, że zdołam dotrzeć do prawdy – dla synka Nicole, albo że odnajdę jej ciało. Bądź ciało innej ofiary.

Bywają dni, kiedy pozwalam mu płynąć. Opowiada wtedy historie związane z jego ulubionymi fotografiami. Chichocze z tego, jak bardzo Brednia lubi brednie, albo cytuje Walta (lub Dostojewskiego – trudno powiedzieć). W ten sposób dowiedziałam się, że w dniu pogrzebu wuja ukradł negatywy *Dwóch Mary*. Zarzeka się, że to był jedyny raz. Twierdzi, że wszystkie pozostałe zdjęcia są jego autorstwa.

Rok temu wzięłam udział w warsztatach poświęconych budowaniu opartej na zaufaniu więzi z pacjentem z demencją. Jeden z mężczyzn wstał i opowiedział o swojej matce, która poniżała go i była dla niego okrutna, gdy był mały. „Nie widzę sensu w duszeniu w sobie złości. Tamta matka już nie istnieje. Jak mógłbym nienawidzić tej miłej starszej pani, która darzy mnie bezwarunkową miłością?”.

Spieszę z odpowiedzią, nie wahając się ani chwili. Nawet jeśli Carl nie jest mordercą, to jednak żyje w nim świadek. Nie zasługuje na odkupienie, nawet jeśli już nic nie pamięta.

W jego przypadku chodzi o wiele, zdecydowanie zbyt wiele zbiegów okoliczności. Dlatego sięgam po fotografię. Dlatego gram dalej.

– Prawda albo nachos – mówię. – O czym rozmawiałeś z kobietą w deszczu wczoraj przed pójściem spać?

– Głupota, głupota, głupota – powtarza. – Zagrajmy w szachy. Nie rozumiesz idei *Prawdy albo nachos*. Zresztą nie przyniosłaś nachosów.

Carla pokonało drzenie. Przewrócił się pod prysznicem i uderzył w głowę. W dniu jego śmierci byliśmy przy nim wszyscy: Walt, kobieta w deszczu, pani T, ja. W ostatnich chwilach życia upierał się, że kobieta w deszczu próbowała pomóc mu wstać.

Odbyło się skromne nabożeństwo przy grobie. Oprócz nas uczestniczyli w nim tylko ksiądz i pani T.

Wahałam się, czy coś powiedzieć, wygłosić jakąś mowę. W końcu poczułam, że powinnam. Zaczęłam więc mówić o tym, że wielcy fotograficy utrwalają zarówno to, co widzialne, jak i to, co niewidoczne, o ulotności życia i nieuchronności śmierci. Carl zapewne zapytałby, czemu go usypiam, skoro już nie żyje.

Zastanawiałam się, po jaki cytat z Dostojewskiego sięgnąć na zakończenie, i już prawie się zdecydowałam na jeden z ulubionych Carla, ten o niepozbywaniu zwierząt szczęścia, ale jednak nie. Przypomniało mi się, jak wtedy, w stodole, Carl powiedział, że źle obstawiałam; miał na myśli swoje przewiny.

Widzę okropną bliznę na jego piersi. Słyszę świst maczety w lesie. Pamiętam, z jaką wprawą przywiązał dwóch mężczyzn do drzewa i postrzelił jednego bez mrugnięcia okiem. Przywołuję w pamięci strach, który poczułam, kiedy zabawił się moim kosztem za pomocą zwyczajnego łańcuszka na drzwiach w motelu albo kiedy dotknął mojej szyi dwoma palcami, żeby zmierzyć mi puls. Myślę o zaginionych kobietach, o smutku zawieszonym w powietrzu jak dym.

Poszłam więc na kompromis i zakończyłam mowę fragmentem *Wspomnień z domu umarłych*.

„Wszędzie są ludzie źli, a wśród złych i dobrzy”¹³.

Od razu po pogrzebie przeszukałam pokój Carla. Do wezgłowia łóżka od strony ściany przykleił szarą taśmą swój poświadczony przez panią T testament składający się z pięciu linijek tekstu. Do kartki przyczepił zszywaczem dwa przedmioty: woreczek strunowy z należącym do Nicole Lakinski srebrnym pierścionkiem z sową, zakładanym na mały palec.

Oraz akt własności, jeszcze na nazwisko jego ciotki.

Zapisał mi swój mroczny, dziki kawałek lasu.

Epilog

– Mam na imię Grace. Miałam dwanaście lat, kiedy zaginęła moja starsza siostra. Przez dziesięć dni nikt nie tknął jej nieposłanego łóżka, dopóki nie zaczęłam zwijać się na nim w kłębek. Nie pozwoliłam uprać pościeli. Nie tak miało wyglądać nasze życie. Minał miesiąc. Minał rok. O jedno miejsce mniej przy stole w Święto Dziękczynienia. O jedną szczoteczkę mniej w kubeczku. O jedne urodziny mniej do świętowania. O jedno mniej, o jeden mniej, o *jedną* mniej. Minęły dwa lata. Pięć lat. Każdej minuty każdego dnia jest coś, co przypomina mi o Rachel. Szklanka z Myszka Minnie, z której piła sok, od kiedy skończyła trzy latka – nietknięta w szafce w kuchni. Ledwie uchwytna woń pizmowego szamponu. Paplanina *Przyjaciół*, kawałki Green Day, fajerwerki, Szekspir, ozdoba bożonarodzeniowa z jej zdjęciem z pierwszej klasy, zapach miętowej nici dentystycznej, dzwonki wietrzne, kolor niebieski. Chmury. Przez lata głupia nadzieja, ilekroć zadzwonił telefon. Ból, kiedy okazywało się, że to telemarketer albo policjant, który chce poinformować rodziców, że znaleziono szczątki niezidentyfikowanej kobiety w Missisipi, w Oklahomie albo w Houston. Przygotowuje ich na złe wieści. „Czy zapomnieli nam państwo powiedzieć, że miała pieprzyk na plecach? I lekką skoliozę?”. Wtedy spoglądaliśmy po sobie. Czy miała pieprzyk, o którym nie wiedzieliśmy? Czy jej kręgosłup wydawał się odrobinę krzywy? Zawsze okazywało się, że to nie Rachel. Byłam dzieckiem owładniętym obsesją. Potem dorosłą kobietą z obsesją. Minęło sześć lat. Dziesięć. W końcu pochowałam ją tam, gdzie było jej miejsce. Rachel miałaby trzydzieści jeden lat. Nie znalazłam spokoju, który, jak sądzę, znalazła Rachel.

Siadam. W ciasnym kręgu siedzi już pięć kobiet i jeden mężczyzna. Nikt nawet nie podszedł do ekspresu do kawy. Nikt nie tkwi z nosem w telefonie, nie słycać gwaru rozmów. Jesteśmy zupełnie sami w anonimowym pomieszczeniu. Oceniają mnie. Oceniają siebie

nawzajem. Wiedzą, że teraz kolej na nich – że mogą powiedzieć tak wiele lub tak mało, jak chcą. I że wolno im używać wyłącznie imion.

Najmłodsza mówi, że ma dwadzieścia jeden lat – to minimalny wiek, by zostać przyjętym do grupy. Domyślam się, że dodała sobie jakieś trzy lata. Lubię ją. Jest wyjątkowo dojrzała – marzycielka, niedoszła aktorka, studiuje musical, matkuje trojgu młodszego rodzeństwa, kiedy ich matka pracuje nocami. Myślę, że powinna z nami zostać pomimo młodego wieku; sądzę, że pozostali się ze mną zgodzą.

Rok temu jej ojciec zaginął bez śladu w Meksyku. Znaleziono jego samochód porzucony na pustyni. Wracał z wizyty u swojej matki w Juarez. Dziewczyna mówi, że w Meksyku ginie tylu ludzi, że nikomu nawet nie chce się ich szukać, a policja ogranicza się do spisania raportu. Siedzi i obgryza paznokcie – będę musiała jej pomóc pozbyć się tego nawyku.

Najstarsza twierdzi, że ma czterdzieści pięć lat, ale raczej dobiega pięćdziesiątki. Dwadzieścia sześć lat temu jej męża zastrzelono na jej oczach podczas ich podróży poślubnej do San Francisco. Umorzoną z braku dowodów sprawę zakwalifikowano jako rabunek z zabójstwem. Kobieta w to nie wierzy. Mąż był ambitnym zastępcą prokuratora okręgowego. Wyeliminowano go pojedynczym strzałem w tył głowy.

Najbardziej intryguje mnie siedzący naprzeciwko młody mężczyzna. Mówi, że ma dwadzieścia pięć lat, i rzeczywiście na tyle wygląda. Niewiele się odzywa. Jest smukły i umięśniony. Na jego prawym bicepsie wije się wytatuowane imię kobiety. Nie wyjawia, skąd się wzięło. Później mu wyjaśnię, dlaczego tatuaż to błąd.

O pewnych rzeczach nigdy tym ludziom nie powiem: że jestem żoną agenta FBI i lubianą nauczycielką drugiej klasy szkoły podstawowej, że matki zachwycają się różnego rodzaju szczegółowymi listami, które układam na potrzeby zajęć, oraz tym, że skutecznie potrafię doradzić najbardziej trwożliwym dzieciom, jak się przeciwstawiać łobuzom na placu zabaw. Uczniom podoba się, że mam psa Ćmę Barową i kota Brednię o trzech łapach. Nie mogą się doczekać poniedziałku, kiedy znów przypnę do tablicy jakieś zdjęcie

i zaproszę ich do wspólnego wymyślania historii, która może się za nim kryć.

Zmieniłam nazwisko. Zrobiłam to, aby nikt nie mógł decydować o tym, kim jestem, zanim sama mu nie powiem. Moja miłość do Andy'ego jest tak głęboka, że czasem dociera aż do miejsca, w którym chowam ból po stracie siostry.

Andy dużo pracuje. Również w weekendy. Chciałabym mu o wszystkim opowiedzieć, ale nie robię tego.

Wie, że prowadzę grupę wsparcia dla ludzi, których najbliżsi zginęli tragiczną śmiercią.

Nie wie jednak, jak to dokładnie działa. Nie wie, w jaki sposób ludzie mnie odnajdują. Nie wie o sprzęcie, który trzymam w dużej, dobrze zamkniętej skrzyni na pace pikapa.

Wie natomiast, że prowadzę fundusz stypendialny dla dzieci ofiar morderstw.

Ale nie pyta, skąd biorę pieniądze.

Cztery lata temu, tuż przed tym, jak policja wreszcie zabrała się do leśnej kryjówki Carla, wynajęłam dwóch chłopaków ze wschodniego Teksasu, którzy przyjechali z psami myśliwskimi i przeczესali dom i działkę Carla. Psy myśliwskie mają czuły węch, a chłopcy ze wschodniego Teksasu umieją trzymać gębę na kłódkę. Nie znaleźli jednak Nicole ani nikogo innego. Policji również się to nie udało. Nie, dla Carla to by było zbyt proste. Dlatego gram dalej, ale już bez niego.

Jedyne ciekawe znalezisko znajdowało się w studni. Dwóch silnych facetów wyciągnęło z niej ciężką zabłoconą torbę i zataszczyło ją na werandę. Otworzyłam ją, dopiero kiedy pojechali. Wybuchłam śmiechem, kiedy zobaczyłam, że jest wypchana sztabkami złota.

Nadal wracam do tamtego lasu.

Prawie zawsze mam towarzystwo.

Dwie małe dziewczynki zjawy.

A także obcych ludzi, którzy mnie odnajdują.

Raz jeszcze przesuwam wzrokiem po ich twarzach.

– Jesteście gotowi na trening? – pytam.

*

Nie mów do widzenia – tak się mówi, kiedy się odchodzi. A kiedy się odchodzi, to się zapomina.

Przypisywane J.M. Barriemu
Epitafium na grobie Rachel Lynne Barrett
Cmentarz Greenwood, Weatherford, Teksas

Podziękowania

Uwaga, będą spoilery! Nie czytaj dalej, jeśli lekturę powieści masz dopiero przed sobą.

Jeden z zabójców, o których piszę w *Papierowych duchach*, wywołuje niepokój i wprawia mnie w zdumienie bardziej od wszystkich pozostałych. Potrafi zawładnąć człowiekiem bez powodu, a potem szydzi zeń, podsuwając kawałki, odpryski bliskich osób, jak porywacz, który podtyka ofierze telefon do ust, abyśmy przez krótką chwilę mogli usłyszeć jej głos. Demencja jest jak bezkarny seryjny zabójca. Przynajmniej na razie bezkarny.

W tej książce rozgrywam demencję jak mroczną komedię, którą również potrafi być. Śmiech bywa koniecznym elementem tego postawionego na głowie, wyimaginowanego świata, w którym żyje zarówno pacjent, jak i jego opiekun. Dziękuję wszystkim, którzy zechcieli podzielić się ze mną opowieściami o swoich ukochanych rodzicach, w szczególności moim przyjaciółom Kirstin Herrerze i Tommiemu McLeodowi, a także mojej redaktorce Kate Miciak.

Duchy w tej książce ożyły dzięki *Halucynacjom* zmarłego przed kilkoma laty neurologa Olivera Sacksa, który opowiada niezwykłą historię omamów i pisze, że wielu z nas prędzej czy później ich doświadczy. Podkreśla, że nie powinniśmy się tego wstydzić, ponieważ halucynacje wchodzą w zakres typowych przeżyć człowieka. Anegdotę o Grace, która widzi ducha siostry przy mikrofalówce, oparłam na historii zasłyszanej od mojej matki. Krótka po śmierci dziadka zobaczyła go w kuchni, jak przygotowywał swoje ulubione chili. Uśmiechnął się i powiedział: „Nabrałaś się, co?”, po czym rozpląnął się w powietrzu.

Dziadek sporządzał dokumentacje zdjęciowe miejsc zbrodni i kopalni – to on natchnął mnie miłością do fotografii, która przewija się przez strony powieści. Jill Johnson, jedna z moich ulubionych fotografek i dziennikarek, była mi muzą, jeśli chodzi o artystyczną

stronę osobowości Carla. Jestem jej niewymownie wdzięczna za fachowe uwagi i wspaniałomyślność. Udostępniła mi całe stosy zaczytanych albumów i chętnie wdawała się w dyskusje przy winie. To ona stworzyła eteryczne portrety bliźniaczek, które widnieją na okładce i pojawiają się w książce. W młodości spędzała wakacje podobnie jak Carl – mieszkała na farmie dziadka w zachodnim Teksasie i codziennie wstawała o świcie. Zwróciła moją uwagę na piękne i niesamowite fotografie Keitha Cartera (*Holding Venus, The Blue Man, Mojo, Bones*). Jego prace natchnęły mnie bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić. Carter mieszka i fotografuje głównie we wschodnim Teksasie, zgodnie ze swoją filozofią, według której wcale nie trzeba wychodzić daleko poza własne podwórko, by móc przekazywać wielkie prawdy o życiu. Jeśli jeszcze nie widziałeś jego zdjęć, koniecznie musisz to nadrobić.

Jedno z morderstw opisanych w książce niestety rzeczywiście miało miejsce. Pewnego wiosennego wieczoru w 2016 roku Haruka Weiser, piękna studentka tańca i teatru na Uniwersytecie Teksaskim, wybrała się w drogę powrotną do akademika, ale nie dotarła do celu. Jej ciało znaleziono w rzece na terenie kampusu. Kilka dni później aresztowano nastoletniego bezdomnego i postawiono mu zarzut zamordowania Haruki. Jej śmierć bardzo mną wstrząsnęła. Mój syn studiował na tej samej uczelni i wiele razy chodził tamtą drogą. Tworzyłam wtedy w aurze smutku i modlitw w intencji Haruki. Napisałam o niej, ponieważ zapragnęłam oddać cześć zarówno jej, jak i jej rodzinie, która potrafiła okazać serce i miłość w obliczu tragedii. Ich oświadczenie wygłoszone po ujęciu sprawcy przytaczam w pełnym brzmieniu. Jest niezwykle w swoim dążeniu do pojednania i zrozumienia. Na Uniwersytecie Teksaskim działa obecnie Fundusz Pamięci Haruki Weiser.

Wszystkie moje thrillery są odą do Teksasu. W *Papierowych duchach* dwoje zagadkowych ludzi podróżuje od szarych plaż Galveston po Marfę, miasteczko na pustyni, a potem z powrotem na drugi koniec stanu, by zniknąć w Pine Curtain. W planowaniu akcji pomagała mi przez ponad półtora roku wisząca na ścianie w kuchni wielka mapa Teksasu. (Kiedy powiedziałam ekipie remontowej, że krzywe linie,

które narysowałam, to prawdopodobna trasa seryjnego mordercy, panowie spojrzeli na mnie dziwnie). June Naylor Harris, autorka tekstów podróżniczych o Teksasie, zechciała pochylić się nad poprawnością faktograficzną i geograficzną mojej opowieści. Wszelkie błędy, które popełniłam w opisach istniejących miejsc, biorę w całości na siebie, zaznaczając przy tym, że pozwoliłam sobie na odrobinę swobody. Hotel ZaZa uwielbiam i polecam; nie zdziwiłabym się, gdyby naprawdę mieli apartament ślubny z lustrami. Inspiracją – ale tylko w pozytywnym sensie – dla baru Black Pony był bar White Horse w Austin.

Alyson Ward, wspaniała, obdarzona wielkim poczuciem humoru pisarka i moja serdeczna przyjaciółka, oprowadziła mnie po niepokojących zakątkach Waco. Stałyśmy pod mostem na Siedemnastej Ulicy i patrzyłyśmy na tajemniczy bezimienny krzyż, spacerowałyśmy po pięknym rozległym cmentarzu Oakwood, odwiedziłyśmy przybliżone miejsce jednego z najokrutniejszych samosądów, jakich się kiedykolwiek dopuszczono, wpatrywałyśmy się w samotne ruiny kompleksu Gałęzi Dawidowej, w którym zginęło osiemdziesiąt sześć osób, kiedy w 1993 roku wybuchło tam piekło. Dzięki Alyson na zawsze zapamiętałam smutną poezję dziecięcych imion wyrytą w cegle i kamieniu na tablicy pośród jałowego pola.

Podziękowania dla:

– Kate Miciak, mojej redaktorki w Ballantine, za magię pióra oraz naukę, którą wynoszę z naszej współpracy; Kary Welsh za wiarę w *Papierowe duchy*; Jennifer Hershey i Giny Centrello;

– Maxine Hitchcock z Michael Joseph/Penguin Random UK, mojej dobrej wróżki zza oceanu, która roztaczała nade mną swoją magię na długo, zanim spotkałyśmy się osobiście. Jestem Ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz. Za to samo dziękuję Louise Moore, Lee Motley i pozostałym członkom zespołu;

– Kimberly Witherspoon, mojej agentki, za zapał, humor, konstruktywne porady i za to, że tak świetnie o wszystko dba;

– mojego męża, Steve’a Kaskovicha, który nieustająco i z czułością wspiera mnie w pisaniu. Dziękuję też mojemu synowi Samowi, który zaraził mnie miłością do *Braci Karamazow*;

– moich rodziców, Chucka i Sue Heaberlinów, którzy mając ponad osiemdziesiąt pięć lat, nadal domagają się przywileju lektury pierwszej wersji czystopisu każdej mojej powieści, a także wciąż udzielają się społecznie w bibliotece. Tato, dziękuję za to, że potrafisz wyśnić tytuł;

– mojego brata, Douga Heaberlina, za pomysł na imię Ćma Barowa, które mnie rozśmiesza, ilekroć je piszę;

– Amy Rork, mojej guru od mediów społecznościowych, za radość i Instagram. Uwielbiam Cię tak mocno, jak mocno uwielbiam Londyn;

– Timothy’ego Bullarda, autora inspirującego symbolicznego zdjęcia tajemniczej kobiety biegnącej w deszczu, które ukazało się w 1993 roku w „Houston Chronicle”. Można je znaleźć w Google’u;

– Michaela Halla za artykuł *The Truth Is Out There* w „Texas Monthly”, niezwykle, ponadczasowy tekst o Świątłach z Marfy;

– Alex Coumbis, mojej pełnej entuzjazmu specjalistki od reklamy w Ballantine, i Gaby Young, jej pierwszorzędnej odpowiedniczki w Wielkiej Brytanii, która podsunęła mi pomysł na pierwsze zdanie i zawsze nosi najlepsze spódnice;

– wszystkich, którzy pracowicie wyłapywali moje błędy i którzy zadbali o tak piękną oprawę dla mojego tekstu: Loren Noveck, korektorki; Pam Feinstein, korektorki; Dany Leigh, projektantki układu graficznego; Angeli McNally, kierowniczkę produkcji; Caroline Johnson, projektantki obwoluty; Paola Pepe, projektanta okładki;

– Allie Honeck za poradę w sprawie szybkich przemian Grace oraz sformułowanie „obłoki jak z *Toy Story*”. Powodzenia we własnej przygodzie z pisarstwem;

– J.R. Labbe za wysiłek przekazania mi wiedzy o broni. Każdy, kto zna J.R., wie doskonale, że jeżeli w książce są jakiegokolwiek błędy związane z tą dziedziną, odpowiadam za nie wyłącznie ja;

– całej mojej licznej rodziny i przyjaciół – dziękuję Wam raz jeszcze! – za gorliwe wsparcie. Szczególne wyrazy wdzięczności dla Jennifer, Emmy, Morgana, Isaaka Bennetta oraz Cary Clark za pomysłowe fotografie i promocję; Stephanie Happenstall, Rhondy Roby oraz Laury DiCaro; Roba, Paula, Val, Chelsea Kaskovich oraz Pabla Croissiera; Seta i Seana Stapfów; Mike’a i Mikie Haneyów;

Kate, Michele i Laury Heaberlin. Możesz spotkać Laurę w księgarni Flying Pig w Burlington w Vermont, gdzie sprzeda Ci moją książkę z uściskiem dłoni ode mnie. Możesz również posłuchać fantastycznego indie folku w jej wykonaniu (który z Grace uwielbiamy!) na stronie www.cricketbluemusic.com. Możesz mieć pretensję do Kate i Michele za to, że pokazały mi *Familiadę*;

– Miguela Suareza za zabawne teksty do muzyki country i dla jego żony Judy za to, że zawsze kupuje moje książki;

– Pam Ahearn, jak zawsze, za wszystko, co nas łączy prywatnie i zawodowo, i za to, że od początku dostrzegła to „coś” w moim pisaniu;

– czytelników, klubów czytelniczych, księgarzy, użytkowników Twittera, Instagrama i Facebooka, sąsiadów, przyjaciół i bibliotekarzy, którzy chwalały moje książki zarówno tu, w Stanach, jak i w Wielkiej Brytanii i wszędzie na świecie. Jesteście słońcem na moim niebie.

Na koniec dziękuję Sarze Grace i Elizabeth Marie Claire, pełnym życia, olśniewającym teksaskim bliźniaczkom, które pozowały do zamieszczonych w tej książce niepokojących zdjęć w ogrodzie botanicznym w Fort Worth, a także ich rodzicom, Davidowi i Tanyi Claire, którzy nie ustępują córkom żywiołowością. Mam też nadzieję, że kiedyś poznam ducha, który odpowiada za chłodny punkt w naszym domu.

-
- ¹ Kot i czerwone rybki (fr.; wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- ² *Rain* (ang.) – deszcz.
- ³ Mianem *Painted Ladies* (Malowane Damy) określa się w USA odremontowane, pomalowane na różne kolory budynki w stylu wiktoriańskim bądź edwardiańskim.
- ⁴ *Another Day in Hell* (ang.).
- ⁵ *Outlaw* (ang.) – wyjęty spod prawa.
- ⁶ *Blessed* (ang.) – święty, błogosławiony.
- ⁷ Tłum. Zbigniew Herbert (za: kulturaliberalna.pl/2014/10/28/lustro-sylvia-plath-przeklad-zbigniew-herbert/).
- ⁸ Tłum. Czesław Miłosz (za: dominikanie.pl/2015/03/jest-cudnie/).
- ⁹ *Hye* wymawia się tak samo jak *high* – haj, upojenie. *Fat Ass* to Tłusty Osioł (wytwórnia ma osła w logo), ale może też znaczyć Tłusta Dupa.
- ¹⁰ Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*, tłum. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Warszawa 2018, s. 17.
- ¹¹ *Pine Curtain* (ang.) – Sosnowa Zastłona. Porośnięta gęstymi lasami sosnowymi część wschodniego Teksasu, ze względu na specyficzne nastawienie mieszkańców uważana za mniej niż inne obszary podatna na przemiany społeczne i kulturowe.
- ¹² Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*, dz. cyt., s. 147.
- ¹³ Fiodor Dostojewski, *Wspomnienia z domu umarłych*, tłum. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Kraków 2009, s. 102.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Jacek Żuławnik
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Agnieszka Gzylewska

Jacket design: Caroline Teagle Johnson
Cover image: © Jill Johnson
Photographs copyright © 2018 by Jill Johnson

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6585-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo